PIELGRZYM POLSKI

pismo zbiorowe,

popularno-naukowe i powieściowe.

WYDAŁ:

Ks. Marceli Dziurzyński.

NAKŁADEM X. M. DZIURZYŃSKIEGO.

W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
pod zarządem A. Szyjewskiego.
1899.

Spis rzeczy.

Ustrój przyszłego państwa socyalno-demokratycznego i jego wady.

Napisał F. G.

I.

Przed 30 laty nikt nie słyszał, u nas przynajmniej, o socyalistach; lecz jakże się zmieniły stosunki, kiedy dziś stanowią socyalni-demokraci partyę silną, dobrze zorganizowaną, z którą rządy liczyć się muszą, reprezentowaną wskutek rozszerzenia prawa wyborczego w parlamencie w dosyć poważnej liczbie.

„Nowinki socyalistyczne“, jak niegdyś nowinki reformatorskie, wtargnęły do nas z Zachodu, stamtąd otrzymują poparcie, a natrafiając w klasach robotniczych na materyał podatny, szerzą się z elementarną prawie gwałtownością, większe coraz zataczając kręgi. Ruch socyalno-demokratyczny, początkowo lekceważony, nie znajdował skutecznej zapory i temu zawdzięczać należy, że tak spotężniał; dziś również społeczeństwo nie występuje do walki z nim, jak powinno, chociaż wszyscy wiedzą dobrze, że ruch ten grozi zagładą ustrojowi społeczeństwa i dąży do jego zupełnego przewrotu, bezwarunkowo nie na lepsze.

Dzisiejszemu ładowi społecznemu zarzuca doktryna socyalno-demokratyczna *nierówność posiadania,* a co za tem idzie *nierówność korzystania z darów przyrody i używania życia.* Z jednej strony nagromadzone bogactwa, życie bez troski i pracy w zbytkach i rozkoszach, z drugiej praca ciężka, wyzyskiwana przez kapitalistów, nie nagradzana sprawiedliwie, nie dająca nawet środków na utrzymanie, nędza i głód. A przecie wszyscy są ludźmi i równe mają prawo do życia i jego uciech.

Tę nierówność chce socyalna-demokracya usunąć, zrównać wszystkich ludzi pod każdym względem i zapewnić każdej jednostce równe środki do utrzymania życia. Cóż więc dziwnego, że robotnik, ciężko zarabiający na chleb dla siebie i rodziny, słysząc takie obietnice i wierząc w obiecywaną lepszą przyszłość, jeżeli nie dla siebie, to dla swego potomstwa, na oślep, nie badając obietnic tych krytycznie, zapisuje się pod sztandar socyalnej-demokracyi.

Szerzeniu się szkodliwej tej doktryny sprzyjają i inne jeszcze okoliczności.

Osłabienie wiary i ducha religijnego w społeczeństwie, bodaj czy nie najważniejszą odgrywa tu rolę.

Nad osłabieniem powagi Kościoła i jego sług pracują od wieków różne czynniki. Państwa widząc jaką moralną potęgą jest Kościół i chcąc dla swych politycznych celów potęgę tę wyzyskać, pierwsze zaczęły osłabiać powagę Kościoła, dążąc do uczynienia z Kościoła posłusznego sługi; za państwami poszły jednostki — w ludzkiej bowiem leży naturze chęć krytykowania wszelkiej powagi. Masonerya, liberalizm a obecnie socyalna-demokracya podały sobie ręce w osłabieniu moralnej siły i potęgi religii i sprowadziły dzisiejszy indyferentyzm religijny tak w warstwach inteligencyi i możnych, jak i u dołu wśród szarego tłumu.

Znikła wśród społeczeństwa prawdziwa głęboka wiara, jej miejsce zajął egoizm i materyalizm, a na tym gruncie nauka socyalnej-demokracyi czysto materyalna, bogate zbiera żniwo. Mamy wprawdzie miliony chrześcijan z imienia, chrześcijan zaś prawdziwych — nie wielu.

Gdzie niema wiary w życie pozagrobowe, gdzie niema nadziei w nagrodę a obawy przed karą po śmierci, tam niema mowy o zwalczaniu namiętności, tam musi zapanować materyalizm, i tam znajdzie przyjęcie doktryna namiętnościom tym schlebiająca co zaraz, a nie w przyszłem życiu, obiecuje raj na ziemi. Socyalna-demokracya wie dobrze, że głównym jej wrogiem Kościół katolicki, że dopóki Kościół ten posiada jaką taką powagę, dopóki wiara w życie pozagrobowe ożywiać będzie serca ludzkie, tak długo nie wybije dla niej godzina zwycięstwa, więc wszelkiemi siłami, wszelkimi środkami stara się Kościół ten zwalczać, obrzuca sługi jego oszczerstwem, zieje nieprzejednaną dlań nienawiścią.

Zanik lojalności dla monarchicznego ustroju państwa jest drugim czynnikiem, który przygotowuje grunt pod posiew socyalnej-demokracyi. Wprawdzie mienimy się monarchistami,

afiszujemy przy każdej sposobności ostentacyjnie nasze uczucia monarchiczne, ale mimo to tęsknem spoglądamy okiem w stronę republiki.

Monarchizm jest jednak silną zaporą dla socyalizmu. Dynastya stojąca przez kilka wieków u steru państwa, związana jest niezliczonemi nitkami uczucia z poddanymi; dzieliła ona dolę i niedolę państwa, dała mu mężów wszelkich, sławnych, dobrotliwych i sprawiedliwych, a zasług ich spadkobiercą panujący. Wytwarza to silną łączność między monarchą a ludem, wzajemną miłość — jest bodźcem miłości Ojczyzny, której reprezentantem monarcha.

Dopóki więc miłość dla monarchy żyje w sercach ludów i około tronów skupiają się miliony związane tradycyą z panującą dynastyą, tak długo socyalna-demokracya nie będzie święcić tryumfu.

A więc obok Kościoła zwalcza socyalna-demokracya monarchizm, wskazując na ustrój republikański, jako lepszy, osłabia w narodach lojalność dla dynastyi, osłabia miłość Ojczyzny. I widzimy to naocznie, że w państwach republikańskich socyalna-demokracya daleko większe robi postępy, jak w monarchiach.

Zdawałoby się, że skoro o niebezpieczeństwie grożącem ze strony socyalnej-demokracyi przekonani są wszyscy, to powinny wszystkie czynniki skupić się do jej zwalczania i do obrony zagrożonego ładu społecznego. A przecież tak nie jest. Przypatrzmy się parlamentom europejskim. Wszędzie ścierają się w zażartej ze sobą walce różne stronnictwa, które w zacietrzewieniu partyjnem, przeoczają główne niebezpieczeństwo i z zawiści partyjnej przeszkadzają sobie w podejmowanych usiłowaniach zwalczania zmory socyalno-demokratycznej. I to jest trzeci czynnik sprzyjający rozwojowi szkodliwej tej nauki.

Wobec tak sprzyjających warunków cóż dziwnego, że na gruncie indyferentyzmu religijnego i narodowego socyalna-demokracya coraz szersze ogarnia koła. Najlepiej jej wzrost ilustrują stosunki w Niemczech. W roku 1871 oddano w Niemczech na kandydatów socyalnych do parlamentu 101.000 głosów, w roku 1887 wzrosła liczba tych głosów do 1,331.000.

Główną bronią socyalnej-demokracyi jest prasa nadzwyczaj ruchliwa. Setki tysięcy pism socyalistycznych rozchodzi się codzień w różnych językach, miliony je czytają, a pozbawione po większej części zmysłu krytycznego, wierzą i przysięgają *in verba magistri*.

Sposób redagowania tych pism jest zastósowany do celów

propagandy. Nędzę u robotnika — a nędza zawsze i wszędzie się zdarza — malują w kolorach drastycznych, jaskrawych, nie pytając wcale, gdzie jej źródło, czy ona zasłużona czy nie; wmawiają w czytelników, że nędza i głód udziałem tylko „wydziedziczonych“, jak się lubią nazywać; nędzy tej z drugiej strony przeciwstawiają zbytek i rozkosze, w których nurzają się uprzywilejowane klasy.

Obrazy to czasem prawdziwe, zwykle przesadzone, a oszczerstwo i paszkwil, to zwykła broń tej prasy. Z lubością cytują pisma socyalistyczne wypadki wyzysku, dumy i niesprawiedliwości ze strony dygnitarzy państwowych, kościelnych, kapitalistów, opowiadają historye o orgiach przez nich wyprawianych. A choć to tylko oszczerstwo lub fakt przekręcony, nic nie szkodzi; za oszczerstwo odsiedzi redaktor parę tygodni aresztu, z którym dobrze zwykle obeznany, a oszczerstwo i paszkwil zrobią swoje.

Generalizując wypadki wyzysku i niesprawiedliwości możnych wobec proletaryatu, wmawiają pisma socyalistyczne w swych czytelników przekonanie, że ustrój społeczny obecny popiera jeno kapitalistów, że państwo i Kościół stoją w służbie kapitału ku ciemiężeniu i wyzyskowi robotnika, który przy ciężkiej pracy razem z rodziną przymiera głodem, podczas gdy zbogacone potem jego pracy inne klasy społeczne opływają we wszelkie dostatki. Sieją one w sposób ten nienawiść klasową i wywołują niezadowolenie z obecnego stanu i podbudzają pożądliwość tłumów. Wykazując tylko ujemne strony dzisiejszego ładu społecznego — dodatnie zupełnie pomijają milczeniem.

Oprócz peryodycznej prasy pracuje z powodzeniem także prasa ulotna. Tysiące broszur powtarzają jedne i tę samą piosnkę o milionach wydziedziczonych, których pracą tuczy się nieliczna garstka wybranych, o równych prawach dla wszystkich i niewoli robotnika i t. p.

Z każdego świstka socyalistycznego zieje nienawiść dla Kościoła katolickiego, każdy świstek jest paszkwilem na Duchowieństwo, każde pismo jest taranem burzącym mury monarchizmu.

Jaki owoc musi wydać taki posiew, taka strawa duchowa, mówić nie potrzeba.

Potężnym także środkiem propagandy jest pieniądz. Towarzysze opodatkowują się dobrowolnie; ze swych tygodniowych zarobków składają pewien procent na wspólne cele, a życzyćby państwom należało, by kontrybuenci tak sumiennie

i regularnie opłacali podatki państwowe, jak socyalni-demokraci tę dobrowolnie przyjętą opłatę. W ten sposób gromadzą znaczne sumy potrzebne na wsparcie peryodycznej prasy, na wydawnictwo pism ulotnych, na podróże płatnych stałych agitatorów, na pensye prowodyrów, na podtrzymanie bastówek.

Z pieniędzy składanych przez towarzyszy utrzymuje się cała falanga agitatorów wędrownych, a niektórzy przewódcy wcale pokaźne pobierają płace, które pozwalają im żyć nieraz na wysokiej stopie, choć nie przeszkadzają piorunować na uprzywilejowanych. Dla niektórych przywódców jest to zawód — równie dobry jak każdy inny, lepszy może, bo hojnie uposażony — a wymagający tylko dużo krzykactwa, dosadnych wyrażeń i dużo blagi.

W każdym razie podziwiać musimy ofiarność towarzyszy i ich karność.

Mają bowiem silną organizacyę z rządem u góry, z organami podwładnymi, a wszystkie rozkazy tego rządu bywają z ścisłością wykonywane. Posłuszeństwo w szeregach socyalnej-demokracyi jest bezwzględne, czysto wojskowe. Mamy tego dowody na bastówkach. Nieraz strejki są wynikiem istotnie anormalnych stosunków, skutkiem nieludzkiego wyzysku, w wielu jednak wypadkach trudno dopatrzeć racyonalnej przyczyny bezrobocia. Wtedy strejk jest nakazany z góry, a cel strejku jest różny, nieraz tylko dla wypróbowania swej siły.

Czy bastówka dla robotników skończy się klęską, czy zwycięstwem, rzecz podrzędna; klęska robotników przyczynia się do powiększenia niezadowolenia wśród mas robotniczych, zwycięstwo zaś podnosi zaufanie, poczucie siły własnej, w jednym i drugim wypadku idea na tem zyskuje.

Powszechnem jest zdanie, że główną przyczyną ruchu socyalno-demokratycznego i jego potężnego rozrostu jest powszechna nędza wśród robotników. Nie przeczymy, że trafiają się częste wypadki nędzy w tych kołach, ale nędza była i będzie zawsze wśród społeczeństwa, czy to z powodu nieszczęścia, czy własną jednostki nieopatrznością i winą wywołana. Były czasy większej powszechnej nędzy — weźmy n. p. w środkowej Europie czasy wojny trzydziestoletniej, a socyalnych-demokratów wcale nie było.

Jeżeli przypatrzymy się bliżej życiu robotnika fabrycznego lub górnika, z których rekrutuje się *gross* armii socyalno-demokratycznej, to musimy przyjść do przekonania, że zarobki ich przy pewnej rządności wystarczają po większej części na utrzymanie ich i ich rodzin, że zarobki ich w porównaniu

z dochodami niektórych klas n. p. niższych urzędników, nauczycieli ludowych i t. p., mających daleko większe potrzeby, są większe przy mniejszych daleko potrzebach, a więc o powszechnej nędzy mowy być nie może. Musi być przeto coś innego, co tłumy gromadzi w socyalistycznym obozie; jest to duch czasu, zrodzony przez równouprawnienie.

Zasada równouprawnienia według nauki przywódców ruchu socyalnego nie jest przeprowadzona należycie. Cóż z tego, że wobec państwa każdy obywatel jest równy? Jak jednak ta równość w praktyce wygląda? Kto zajmuje najintratniejsze posady w państwie, w Kościele? kto zasiada w parlamentach? Prawda, że każdemu droga do wszystkich dostojeństw otwarta, ale kto ma większe środki do ich zdobycia, czy proletaryusz zarabiający na skromne wyżywienie rodziny, czy ten, któremu intratna posada lub posiadany majątek pozwalają bez zbytniego uszczerbku dać dzieciom odpowiednie wykształcenie. Synowie więc klas posiadających, mając w ręku odpowiednie środki, mogą sięgać zawsze po wyższe, intratniejsze stanowiska, które dla syna proletaryusza tylko w wyjątkowych razach, przy największych ofiarach ze strony rodziny są dostępne. Gdzież więc równouprawnienie?

Cóż szkodzi n. p. szlachcie, że zrzeka się swych feudalnych prerogatyw, kiedy i tak dziedzicznie dominujące zajmuje stanowisko, potężna majątkiem i wykształceniem, a ciężka praca dziedzicznie z pokolenia na pokolenie proletaryusza spada, bo mu brak środków do wyniesienia się na wyższe i lepsze stanowisko.

Przez równouprawnienie rozumie socyalna-demokracya zrównanie wszystkich ludzi p o d k a ż d y m w z g l ę d e m. A więc różnicy nie powinno być w posiadaniu, różnicy w ubiorze, pokarmie, mieszkaniu, pracy i wykształceniu.

Używanie życia i jego rozkoszy, to jeden z głównych postulatów socyalnej-demokracyi.

Różnica w sposobie życia robotnika a ludzi zamożnych bije w oczy na każdym kroku. Wspaniałe wille z marmurowymi posągami, wśród uroczych parków i kląbów kwiatowych są krzyczącym kontrastem z wilgotną, zimną i pozbawioną wszelkiego wdzięku izdebką robotnika; lukullusowe uczty, wspaniałe polowania, bale, o których się czyta w dziennikach, rajem wydawać się muszą dla robotnika, którego przysmakiem chleb czerstwy, a całym zbytkiem liche cygaro. Jakież uczucie musi wzbudzać w nim widok wspaniałych cacek artystycznych, nagromadzonych po wystawach sklepowych, dlań niedo-

stępnych, przeznaczonych dla klas posiadających, które przecie dziełem są ręki robotnika, skąpo wynagrodzonego, a często niestety wyzyskiwanego.

Porównując więc zbytek i bogactwo w pałacach możnych ze swoimi stosunkami, uczuwać musi robotnik pomimowoli zazdrość, a jeżeli jeszcze znajdzie się ktoś, co mu nieustannie prawi, że on ma równe prawa do takiego samego zbytku i używania, że wszelka własność jest kradzieżą, popełnioną na społeczeństwie, że zbytki te i bogactwa mają jedyne źródło w wyzysku pracy robotnika, to musi z zazdrości zrodzić się zawiść i pożądliwość i nowy towarzysz socyalnej-demokracyi gotowy, bo chętnie pójdzie za tym, kto mu obieca zupełną równość i używanie wszelkich życia rozkoszy, a uwierzy obietnicom tem chętniej, że pozbawiony po większej części wiary głębokiej, w życiu doczesnem widzi całe szczęście,—jest zupełnie zmateryalizowany.

Zresztą i dziwić się nie należy, że klasy pracujące, że proletaryat stojący pod sztandarem socyalnej-demokracyi tchnie nienawiścią dla szczęśliwych posiadających: — płaci on tylko pięknem za nadobne.

Powszechnem jest zapatrywanie, że zyskany w granicach prawnych majątek uważamy za przedmiot, którym dobrowolnie rozporządzać możemy, nie potrzebując zeń nikomu zdawać rachunku; jest to zasada egoizmu. Etyka chrześcijańska uczy nas jednak, że jesteśmy tylko doczesnymi szafarzami hojniej na nas zlanych darów i że z posiadaniem łączą się obowiązki względem bliźniego. Postąpiliśmy daleko w cywilizacyi, ale o wiele cofnęliśmy się w tył na polu miłości bliźniego.

Prawdziwy duch chrześcijański zanika w społeczeństwie, miejsce jego zajął egoizm, materyalizm, gonitwa za przyjemnościami życia, a do tego dążą i socyaliści. Przykład działa z góry.

Materyalizm i egoizm u góry musiał oddziałać na klasy niższe, natchnąć je pożądliwością dóbr doczesnych, skoro przestały wierzyć w dobra wieczne, a przy zręcznie szerzonej agitacyi rzucić w ramiona socyalnej-demokracyi, która obiecuje równość we wszystkiem, równe uciechy życia, dostatki, która roztacza przed oczami mas obraz społeczeństwa, gdzie niema panów ani sług, wyzyskiwaczy ani wyzyskiwanych, gdzie zupełna panuje równość.

II.

A teraz przypatrzmy się temu wymarzonemu rajowi socyalistycznemu pod względem prawnopaństwowym, kościelnym, obyczajowym, towarzyskim i t. d. i zastanówmy się, czy zdoła on zadowolnić żądania mas, czy stanie na wysokości swego zadania i czy wogóle da się długo utrzymać.

Pierwszym czynem państwa socyalnego będzie: zniesienie wszelkiej prywatnej własności, bądź w ziemi, bądź w budynkach, fabrykach i przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych i skonfiskowanie ich na rzecz państwa.

Skonfiskowane przedsiębiorstwa staną pod zarządem państwa, produkcya cała będzie własnością państwa a dochód jednostki stanowić ma udział, wymierzony stosownie do jej czynności przy produkcyi.

Ten system wszechposiadania środków produkcyjnych, tego kollektywnego posiadania kapitału z publiczną organizacyą pracy i rozdziału udziałów, ma zapobiedz dotychczasowej konkurencyi pomiędzy przedsiębiorstwami w jednej gałęzi, konkurencyi, która obecnie obniża zarobek robotnika, ma zapobiedz nadmiarowi produkcyi i zapewnić robotnikowi stałe i nieprzerwane zatrudnienie pod kierownictwem państwa i odpowiednie dać mu za to wynagrodzenie.

Dzisiejsi przewódcy socyalnej-demokracyi zarzucili system proponowany przez Lassalla, system spółek produkcyjnych, gdyż pomiędzy takiemi spółkami musiałaby bezwarunkowo powstać konkurencya, jaka dziś istnieje pomiędzy przedsiębiorstwami prywatnemi, i łatwoby się to stać mogło, że jedna z tych spółek prosperowałaby należycie, druga zaś upadła; powróciłyby więc znowu stosunki dzisiejsze.

Mylnem jest zapatrywanie, że socyalna-demokracya dąży do komunizmu. System skreślony dalekim jest od komunizmu. Państwo socyalistyczne, konfiskując prywatną własność, nie dzieli jej pomiędzy wszystkich obywateli na równe części, bo taki podział do niczegoby wreszcie nie doprowadził. Równości majątkowe znikłyby tylko chwilowo; po niedługim już czasie nastąpiłaby znowu nierówność majątkowa i trzebaby powtórny przeprowadzać podział i tak w nieskończoność. Taki nieustanny podział byłby tylko premią dla próżniaków.

Tymczasem zasada socyalnej-demokracyi jest, że każdy człowiek powołany jest do pracy, że wyzysk jednych przez drugich, czy to za pomocą lichwy, podstępu lub gwałtu, jest karygodny, że każdy robotnik stosownie wynagradzany być winien. A przecie zasady te, są wzięte z nauki chrześcijańskiej, tak zwalczanej i znienawidzonej przez socyalnych-demokratów.

Teorya socyalnej-demokracyi wyklucza z góry możliwość nabycia najdrobniejszej chociaż własności, domku lub ogródka, urządzenia sobie go według upodobania, gdzieby się człowiek czuł zupełnie „u siebie“ i coby mógł kiedyś dzieciom na pamiątkę zostawić. Teorya to tak przeciwna ludzkiej naturze, że gdyby towarzysze dziś poznali doniosłość idei wszechposiadania środków produkcyjnych przez państwo, kto wie, czyby się zdecydowali dalej iść pod „czerwonym sztandarem“,

Ale przypuśćmy, że system ten zadowolniłby wszystkich i że wszelkie gałęzie produkcyi upaństwowione zostaną. W jaki sposób państwo socyalistyczne przystąpi do administracyi?

Wydzierżawiać gruntów, domów, przedsiębiorstw jednostkom nie można, bo od indywidualności jednostki, od jej sprytu i pilności zależałoby jej zbogacenie się lub zubożenie, a więc znowu byłaby zwichnięta równowaga. Wszystkie więc gałęzie produkcyi muszą we własnym zarządzie być administrowane; dla każdej gałęzi produkcyi ustanowićby trzeba osobny kolosalny zarząd, dobrany z fachowców, osobny personal nadzorczy dla kontroli pracujących, dla obliczenia wartości pracy i wymiaru wynagrodzenia z ogólnego dochodu. Nie da się zaprzeczyć, że w ten sposób urządzone państwo socyalistyczne przedstawiałoby się jako jedna olbrzymia fabryka, a właściwie jako pewna liczba olbrzymich fabryk, będących własnością jednego pana.

Dotąd mieliśmy na myśli większe przedsiębiorstwa, które łatwiej w ramy takiego kollektywnego systemu włożyć się dadzą. Ale istnieje przecież cały szereg drobnych przedsiębiorstw produkcyjnych, weźmy n. p. mały warsztat rzemieślnika, lub dorożkarza posiadającego parę koni. Ani takie nawet drobne przedsiębiorstwa nie mogą istnieć w państwie socyalnem, bo łatwo drobny przedsiębiorca mógłby przy sprycie, oszczędności i pilności zbogacić się, mógłby uciskać i wyzyskiwać swą czeladź — a więc znaczyłoby to znowu wracać do dawniejszych stosunków. A więc i takie małe przedsiębiorstwa musianoby upaństwowić.

W państwie socyalistycznem niema więc miejsca dla samoistnego szewca, krawca, kowala, kupca, nawet posługacza, nikomu nie będzie wolno produkować na własny rachunek, na własną i swojej rodziny korzyść, cała produkcya odbywać się musi na rachunek państwa według wskazówek ustanowionych kierowników we wspólnych przemysłowych zakładach, za wynagrodzeniem odpowiadającem czasowi i wartości pracy, a obliczonem przez kierownictwo.

Z teoryi tej wynika zasada, że w państwie socyalistycznem nie będzie z jednej strony kapitalistów-pracodawców, z drugiej robotników za zasługą lub akordowych, natomiast będą sami producenci na wspólny rachunek. W ten sposób stanie się państwo socyalistyczne zbiorem niezliczonej ilości najróżnorodniejszych przedsiębiorstw rolnych, handlowych, przemysłowych, których jedynym właścicielem i administratorem będzie państwo, i państwo każdemu członkowi, zdolnemu pracy przydzieli zatrudnienie i oznaczy wynagrodzenie.

Pomimo, że obraz to dla dzisiejszych ludzi trochę dziwny, nie chcemy z góry odmawiać mu racyi bytu, nie chcemy nazwać go nienaturalnym; wszak i dziś niektóre przedsiębiorstwa w administracyi państwa wyłącznie zostające jak poczta, telegraf, prosperują. Przypuśćmy, że chociaż w państwie socyalistycznem jednostki będą pozbawione samodzielności pod względem swej zawodowej pracy i mały czy wielki, każdy będzie niejako robotnikiem jednej wielkiej fabryki, a właściwie jej współproducentem, to stosunek taki tylko wtedy może zadowolnić jednostkę, jeżeli zajęcie odpowiada jej powołaniu, jeżeli urządzenie tej fabryki jest należyte i kierownictwo sprawiedliwe, a wreszcie jeżeli przedsiębiorstwo jest rzeczywiście rentownem.

Zastanówmyż się bezstronnie, czy państwo socyalistyczne jest w stanie warunkom tym zadość uczynić.

Aby ze stanu swego być zadowolonym, potrzeba aby stan ten wypłynął z wolnego wyboru, z powołania, a co za tem idzie, potrzeba wolności zmiany stanu, jeżeli pierwszy wybór stanu okazał się fałszywym. Wolny wybór stanu jest w życiu ekonomicznem ważnym motorem, bo obudza ducha inicyatywy, dodaje energii i człowiek z radością poświęca się zawodowi, który sam sobie obrał.

Takiej wolności wyboru zawodu państwo socyalne dać nie może. Państwo socyalne jako organizator i administrator wszystkich gałęzi produkcyjnych musi także dbać o to, aby te ga-

łęzie produkcyjne należycie prosperowały, aby wszystko, co do życia społeczeństwa potrzebne w dostatecznej ilości było wytworzone, aby wreszcie każdy współproducent dostateczny za swoją pracę uzyskał udział. Będzie więc głównem zadaniem państwa wyprodukować potrzebną ilość ziemiopłodów, wytworzyć dostateczną ilość ubrań, obuwia, urządzić należytą komunikacyę i środki transportowe, słowem postarać się o wszystko, co do codziennego życia obywateli potrzebne. Aby to uskutecznić, potrzeba siły robotnicze tak rozdzielić, aby w każdej gałęzi pracowała odpowiednia ilość ludzi. Praca zaś w jednym zawodzie jest lżejsza, w drugim cięższa, mniej lub więcej przyjemna, mniej lub więcej popłatna.

Gdyby więc państwo socyalistyczne pozostawiło każdemu wolny wybór zawodu, to rzeczą jest niezaprzeczoną, żeby się wszyscy cisnęli do zawodów, gdzie praca lżejsza, przyjemniejsza, intratniejsza, pozostawiając bez pracowników zawody więcej ciężkie i mniej intratne. W ten sposób pewne gałęzi produkcyi leżałyby odłogiem, pewne artykuły codziennego życia nie znalazłyby wytworców i brak ich czućby się dał społeczeństwu. Tak więc liczba pracowników w każdym zawodzie musiałaby być przez państwo oznaczona. Ponieważ zaś do każdej pracy potrzeba odpowiedniej rutyny i odpowiedniego fachowego wykształcenia, musiałoby państwo już od lat dziecinnych przeznaczyć dla każdego człowieka zawód, i w tym zawodzie go kształcić, inaczej z samych dyletantów złożone przedsiębiorstwo produkcyjne nie mogłoby wydać należytych wyników.

Byłoby to coś podobnego jak przy brance wojskowej. Komisya asenterunkowa wie, że tylu a tylu ma przydzielić do konnicy, tyle do piechoty, tyle do artyleryi i t. p. i przeznacza popisowych bez względu na ich osobiste chęci, według swego uznania do różnych gatunków broni. Ale armia składa się ze setek tysięcy — państwo socyalne liczymy na miliony — armia ma kilka gatunków broni — państwo socyalistyczne tysiące zawodów. Co za ogromna praca w przydzielaniu zawodów jednostkom, tem więcej, jeżeliby się do każdego zawodu chciało mniej więcej odpowiednie dobrać jednostki. Służba w armii trwa lat kilka tylko, poczem żołnierz odzyskuje wolność; zawód nadany przez państwo socyalistyczne nie mógłby już być zmieniony, trwałby przez całe życie, bo dozwolona zmiana zawodu spowodowaćby musiała dezercyę z jednego do drugiego zawodu i sprowadzić zastój pewnych gałęzi przemy-

słowych. Wykluczoną jest więc w państwie socyalistycznem zupełnie wolność wyboru zawodu, wykluczoną możność zmiany zawodu. A czy takie stosunki nie wywołałyby niechęci i niezadowolenia, czyby nie były przeszkodą w produkcyi — łatwo osądzić.

Nadto musiałoby państwo socyalistyczne zaprowadzić *przymus* pracy, bo pomyślmy tylko, gdyby w państwie socyalistycznem były możliwe strejki — dzisiejsza broń socyalistów — która w swoim czasie przeciw nim samym zwrócićby się mogła — coby się stało w takim razie, gdyby zabrakło wskutek strejku jakiego artykułu, niezbędnego do codziennego życia?

Każdyby więc w naznaczonym zawodzie pracować musiał, a w ten sposób wykluczonąby została zupełnie wolność osobista jednostki.

Dalej wykluczonaby być musiała w państwie socyalnem wolność przesiedlania się. Przy dozwolonej wolności przesiedlania, pewne miejsca posiadające lepsze warunki klimatyczne, przedstawiające dogodniejsze warunki życia towarzyskiego i t. p. ściągałyby ludność ze szkodą dla innych miejscowości, nie posiadających tak dogodnych warunków. Łatwo staćby się więc mogło, że pewna miejscowość pozbawionaby została zupełnie szewców, krawców, piekarzy i swoje potrzeby musiałaby sprowadzać z oddalonych centrów, co, pominąwszy koszta transportu, pozbawiłoby mieszkańców n. p. świeżego pieczywa, świeżego mięsa, i zmusiłoby ich z drobną naprawą obuwia lub ubrania, udawać się daleko. Na to państwo socyalistyczne pozwalać nie może i wyznaczając każdemu zawód, wyznaczy mu równocześnie i miejsce pobytu, którego mu opuszczać nie wolno, bez zezwolenia państwa, gdyż każda miejscowość mieć musi to, co dla jej mieszkańców jest koniecznie potrzebne.

Widzimy więc, że powstałaby najstraszliwsza pańszczyzna, każdy bowiem obywatel państwa socyalistycznego byłby „glebae adscriptus“.

Kolej teraz na sposób administracyi i władze w państwie socyalistycznem.

Anarchiści — wyrośli ze socyalizmu — nad tym punktem przechodzą do porządku dziennego; oni nie potrzebują żadnego rządu, żadnej władzy — pozostawiając zupełną samowolę jednostkom. Przeciwnie w państwie socyalistycznem rząd być musi.

Po upaństwowieniu wszystkich gałęzi produkcyi, kierownicy muszą każdą gałąź produkcyi, każdy zakład opatrzyć potrzebnym inwentarzem i ustanowić odpowiedni personal, a więc przeznaczyć kto w fabryce X. ma być buchalterem, kto „werkführerem“, kto prostym robotnikiem. Wprawdzie republikańska forma znajduje na to sposób: głosowanie towarzyszy. Ale to jest czystą niemożliwością. Każdy towarzysz tworzyłby partyę dla siebie, niechętnie bowiem pozwalamy oceniać naszą wartość przez drugich. Wielu byłoby kompetentów o lepsze i przyjemniejsze miejsca, których mniej, mało zaś chętnych znalazłoby się do wykonywania podrzędniejszych funkcyj. Więc rozdział czynności musiałby nastąpić z góry. Wybór odpowiedniego personalu w większych przedsiębiorstwach jest dla właściciela i dzisiaj rzeczą nie małej wagi, jest trudny, o wieleż trudniejszy będzie w państwie socyalnem dobór kierowników dla tylu najróżnorodniejszych przedsiębiorstw, tem trudniejszy, że każdy przeceniając siebie, będzie się uważał za pokrzywdzonego, jeżeli go ominie spodziewana lepsza posada, tem więcej, że naznaczone mu miejsce ma być dożywotniem. Jak zaś będzie wyglądać posłuszeństwo dla naznaczonego kierownictwa wśród mnóstwa niezadowolonych, osądzić nie trudno, zwłaszcza, że nikt się za sługę, ale każdy za towarzysza, za równego uważać będzie i ma do tego prawo. Pierwsza czynność kierownictwa państwa socyalnego, czynność obsadzenia drabiny socyalnej połączona jest z nadmiernemi trudnościami.

Równie ważną procedurą będzie po puszczeniu w bieg maszyny państwowej, ocenienie pracy pojedynczych współpracowników celem słusznego wymiaru należnego im udziału, stosownie do ich pilności i zdolności. Zasadę równego udziału słusznie odrzuca państwo socyalistyczne, bo niesprawiedliwąby rzeczą było na równi wynagradzać robotnika pilnego, zręcznego — z próżniakiem i niedołęgą, który pewny, że go nie minie udział, spędzałby czas przeznaczony na robotę — na pogawędce. Równość udziałów stałaby się premią próżniactwa, osłabiłaby pilność i energię dobrych pracowników i ostatecznie doprowadziłaby do upadku przedsiębiorstwo.

Aby być sprawiedliwym, należy inny udział przyznać n. p. buchhalterom, inny przodownikom i nadzorcom — następnie ocenić ściśle wartość pracy każdego współpracownika i stosownie do wartości pracy wymierzyć jego udział. Powstaćby przeto musiały pewne kategorye udziałowe, coś niby dzisiejsze rangi urzędowe.

Jeżeli już naznaczenie każdemu właściwej funkcyi połączone jest z ogromnemi trudnościami, to trudności, jakie stają w drodze oznaczeniu słusznego wymiaru udziału, zdają się wprost nie do przezwyciężenia.

Nasuwa się myśl, że kwestya ta mogłaby być rozwiązaną na podstawie rezultatu pracy robotnika w pewnym okresie i wyznaczenie mu na tej podstawie wynagrodzenia za następny okres, n. p. na rok — jednak wynagrodzenie to musiałoby być modulowane według wydatności całego przedsiębiorstwa. Taki wymiar jednak to to samo, co wynagrodzenie akordowe, a więc przeciwne idei socyalistycznej. Byłby to może najłatwiejszy sposób rozwiązania tej kwestyi, ma jednak tę niedogodność, że mu za podstawę służy nie obecna pilność i praca robotnika, ale pszeszła, a ustanawiając na przyszły peryod coś niby stałą płacę, — znowu wbrew idei socyalnej — mogłoby się robotnika zachęcić do zaniedbania, do mniej wydatnej pracy, skoro ma z góry oznaczony już udział zapewniony.

Chcąc zaś tej możliwej opieszałości zapobiedz, trzebaby nadzwyczaj ścisłą zaprowadzić kontrolę i każdego zaniedbującego się karać odpowiedniem zmniejszeniem się jego udziału, coby znowu wywołać musiało niezadowolenie. — A zresztą na co te kary miałyby być obracane — na zwiększenie udziału pilnych — czy na rzecz państwa? I w jednym i w drugim wypadku idea socyalna byłaby naruszona, bo kosztem jednych bogaciłby się drugi, choćby tym drugim było państwo.

Aby nie dopuścić się niesprawiedliwości, trzebaby dokładnie obliczyć wydatność pracy każdego poszczególnego robotnika od jednego terminu rozdziału udziałów do drugiego, a więc prowadzić jak najściślejszą kontrolę. Taka kontrola, pominąwszy bezstronność i możność w ocenianiu pracy — wymagać musi całej armii personalu nadzorczego, a obliczenie zanadto wiele czasu i znowu armii urzędniczego.

Przystąpmy teraz do kwestyi, w jaki sposób ta cała armia urzędnicza i nadzorcza ma być wynagradzaną.

System pensyjny jest z góry wykłuczony, bo przy ustanowieniu stałych pensyj urzędnik byłby albo pokrzywdzony w razie, gdyby wynik całej gospodarki był bardzo korzystny, albo pokrzywdzeni byliby pracownicy na rzecz urzędników, którzy w razie niepowodzenia, a więc zmniejszenia

udziałów pracowników pozostaliby przy swej stałej pensyi. Musiałby więc być wynaleziony pewien klucz do ocenienia pracy urzędnika w stosunku do ogólnego zysku, co tem jest trudniejszem, że praca umysłowa nie da się podciągnąć pod pewien strychulec, jak praca fizyczna. O tem jednak nie wiele słychać w kołach socyalistycznych — snać przywódcy dotąd nie wynaleźli sposobu załatwienia tej sprawy.

(Dokończenie nastąpi).

WŁOŚCIANIE W POLSCE.

Krótkie studyum historyczne.

Napisał I. P.

„Oni nie miłują przeszłości, bo dzieje narodu nie są ich dziejami; a wiekowa praca ich ojców przeszła dla nich bez skutku i śladu“.

Supiński.

Stan włościański, ta wielomilionowa siermiężna rzesza, której pracowita ręka z łona ziemi wydobywa dla społeczeństwa najkosztowniejsze skarby, bo chleb powszedni, przechodził w dziedzinie swego narodu różne, niejednokrotnie przykre, a nawet bolesne koleje.

Bywało, że polski włościanin, pierwotnie wolny zasiadał wraz z rycerzami czyli późniejszą szlachtą na wiecach i naradzał się z nimi nad dobrem krajowem; atoli z biegiem czasu stan panujący czyli szlachta ograniczała coraz więcej wolność włościanina, uczyniła go swym poddanym i nałożyła na niego pańszczyznę, t. j. przymusowe robocizny bez wynagrodzenia i różnorodne daniny. Włościanin stał się poniekąd niewolnikiem.

Dzisiaj jego dola jest wcale znośna i poczesna: został on uwłaszczonym, równouprawnionym — jest obywatelem państwa. A skoro tak, skoro włościanin jest naszym spółobywatelem, to należy poznać: czem był w przeszłości, jakie przechodził koleje w wiekach minionych, bo powiada nasz proroczy kaznodzieja ks. Skarga: „Kto nie wie: co się w kraju działo, lub dzieje, jest jako ten, który nie zna ojca, ni matki swojej!“

Od niepamiętnych czasów istniał w Polsce rodzaj poddaństwa jak u starożytnych Greków, Rzymian, Germanów czyli Niemców, które w ten sposób powstało, że pierwotni Polacy

przemocą oręża kraj i mieszkające w nim plemiona ludu ujarzmiali i zwyciężonych mieszkańców uważali za swych niewolników [1]).

Przed zaprowadzeniem chrześcijaństwa w Polsce nie było stanu mieszczańskiego; byli tylko rycerze — późniejsza szlachta i włośnianie.

Szlachcicem był ten, który wskutek swego urodzenia mieszał się więcej do rządów kraju, aniżeli drugi.

Szlachcic polski, to rycerz, który zatknął miecz do pochwy i powiedział sobie. „Nie z wojny, ale z mego wyższego pochodzenia szukać będę zysku i sposobu do życia“. Jak wszędzie tak i w Polsce starszy rycerz od szlachcica i rycerz jest przodkiem szlachcica.

Słowianie, do których należą Polacy, byli ludem spokojnym i trudnili się uprawą roli, hodowaniem bydła i pszczelnictwem. Napadnięci zbrojno przez Karola Wielkiego musieli pochwycić oręż dla swej obrony; i niezawodnie od owego to czasu w pokoleniu Lechów czyli u Polaków zaczęli powstawać rycerze, t. j. ludzie orężni, wojenni z zawodu. Oni to w ciągu rozlicznych wojen, a osobliwie za Bolesława Wielkiego nazbierali łupów i napędzili jeńców do swoich włości.

Rycerz saski, osiadły w 9 i 10 stuleciu w podbitym przez niego słowiańskim kraju pomiędzy rzekami Łabą i Odrą miejscowych Słowian, ludzi niewojennych uczynił jeńcami i chłopami, którzy musieli na niego pracować!

Rycerz polski poszedł za jego przykładem, gdyż miał także w swej włości wojennych brańców, i dążył do tego, iżby jego ziomek — Polak niewojenny, ubogi, był chłopem, poddanym, pracującym dla jego dobra.

Stan włościan był pierwotnie jeszcze poczesny, bynajmniej tak bolesny jak w późniejszych wiekach. Mówi bowiem nasz dziejopis Szajnocha w historyi Bolesława Wielkiego czyli Chrobrego, że „kmieć piastowski, t. j. w czasach, gdy u nas rządzili Piastowie, zasiadał pospołu z rycerzem na wiecach i na równi z nim radził“.

Toż Bolesław Wielki miarkował równowagę pomiędzy rycerzem a chłopem; nie chciał włościan poniżać i tak opisał obowiązki obu stanów, iżby społem pracowały dla dobra ogółu.

Oto rycerz był poniekąd żołnierzem z zawodu, człowiek

---

[1]) Porównać: Łukasz Gołębiowski: Lud, jego zwyczaje, zabobony strona 9.

zaś niewojenny składał opłaty na wojnę, znosił daniny w zbożu, odbywał roboty osobiste i sprzężajne po zamkach, przy publicznych budowlach i tylko w ostatniej potrzebie za broń chwyiał. Po zgonie tego dzielnego króla nastało próżniactwo, a książęcy dwór opanowali łakomcy; toż podatki i daniny szły do ich kieszeni i spichrzów.

Rycerz, zamiast pilnować chłopa, iżby pracował dla dobra narodu, zaczął go używać na swoją własną usługę na równi z jeńcem, którego sobie zabrał był w czasie wojny. Kasztelanowie po zamkach i starostowie wyganiali ludzi wolnych do swoich robót, lub nakazywali dla swych koni i psów zabierać z ich stodół zboże. Włościanin zrównał się więc niebawem z jeńcem, popadł w pogardę.

W Polsce ułożyło się wszystko jak w sąsiednich ziemiach pomiędzy rzekami Łabą i Odrą; tylko że tam Sas zwycięsca mianował włościanina chłopem, niewolnikiem, a u nas Polak — Polaka.

Cierpliwi zrazu włościanie polscy zaczęli teraz użalać się na rycerstwo, ubolewać nad różnicą stanów, a w końcu złorzeczyć nawet świętej wierze Chrystusowej, która nakazuje: miłować bliźniego jak siebie samego, a której złość stanu możnego umiała użyć ku zdzierstwu i ujarzmieniu bliźniego.

W czasie bezkrólewia po śmierci Mieczysława II [1]) powstały wskutek słusznego oburzenia rozruchy. We wielu okolicach zebrali się włościanie zbrojno, poobierali sobie naczelników, staczali walne bitwy z rycerzami. W rozgoryczeniu mszcząc się za swój ucisk i niewolę okazywali się okrutnymi: mordowali ich żony, dzieci i starców, nie przepuszczali księżom i Biskupom, palili dwory, zamki i kościoły, powracali do słowiańskiej bałwochwalczej religii, święcili na nowo gaje, odbywali „sobótki“ z tańcami w nadziei, że przez to odzyskają wolność na zawsze.

To było jużci niemożliwem. Przecie tyle zyskali, że wskutek ich silnego odporu zachwiała się ich jeszcze nieutwierdzona niewola; włościanie nie byli teraz uciemiężonymi niewolnikami wojennymi.

Pierwsi polscy królowie byli tylko naczelnikami rycerstwa: żyli podobnie jak oni z łupu wojennego i włościan. Kmiecie płacili za Bolesława Krzywoustego tak zwane poradlne: po 20 srebrnych od łanu. Łanem zaś nazywano kawał ziemi, który można było obrobić parą koni. Znosili

---

[1]) Panował od r. 1025—1034.

nadto włościanie osep, t. j. pewną ilość wszelkiego zboża na stół królewski.

Istniał oprócz tego podatek w życie i owsie dla ludzi zamkowych i zwał się stróża. Dostawiali też włościanie bydło do rzezi; tę daninę zwano krownem. Nie dosyć na tem: dawali oni jeszcze źrebięta do stajni, tuczne wieprze, gołębie, kury i miód. To były opłaty i daniny stałe.

Jako ciężar nadzwyczajny można liczyć stan czyli tak zwane stacye, t. j. obowiązek, wskutek którego włościanie musieli podejmować w przejeździe króla, lub księcia z całym jego dworem.

Do tego wszystkiego policzyć należy posługi: najprzód powóz, t. j. dawanie królowi i jego dworzanom koni do przeprzągania, podwody, t. j. obowiązek dawania wozów i koni dla królewskich komornych, którzy między innemi wypełniali obowiązki woźnych, w końcu przewód, t. j. obowiązek dawania konnego przewodnika, który miał jadącym urzędnikom wskazywać drogę [1]).

Chociaż te ciężary mogły być dla włościan niekiedy przykre, nie były one przecie niesprawiedliwe, gdy szło o przyczynianie się do dobra ogólnego. Atoli za króla Kazimierza Sprawiedliwego [2]) prawie wszystka podróżująca szlachta, czy w rządowym, czy tylko we własnym interesie zmuszała włościan do tych posług na swoją korzyść. Nie czyniono już różnicy pomiędzy dobrami królewskimi, duchownemi i szlacheckiemi, a to trzymano się tej niesprawiedliwej zasady, że „chłopi“ od tego są, iżby szlachcie służyli.

Duchowni pierwsi ujęli się za uciemiężonymi włościanami i powstali przeciw tym nadużyciom tem więcej, ponieważ wskutek zniszczenia włościan malały także dochody z dóbr kościelnych.

Na zjeździe łęczyckim (o którym później dokładnie i szczegółowo pomówimy), na którym było 8 Biskupów, wielu możnych panów ze szlachty i Kazimierz Sprawiedliwy, uchwalono r. 1180, iżby podwody dostarczali włościanie jedynie dla osób, jadących w interesie publicznym.

Tę uchwałę na korzyść gnębionych włościan zabezpieczono zagrożeniem wyklęcia z kościoła i przesłano do zatwierdzenia Papieżowi Aleksandrowi III.

Stan włościan, pierwotnie nie najgorszy i znośny dozna-

---

[1]) Patrz: Łukasz Gołębiowski: Lud, jego zwyczaje, zabobony str. 8.
[2]) Panował od r. 1177—1194.

wał z biegiem czasu coraz przykrzejszego ucisku od stanu panującego czyli szlachty, która wolność włościan coraz więcej ograniczała, ścieśniała, a w końcu uczyniła ich istotnymi niewolnikami.

Na zjeździe wiślickim król Kazimierz Wielki [1]) uznaje, że każdego roku jeden, albo dwaj włościanie mogą wieś porzucić, chociażby i pan nie pozwalał. Dlaczegóż tylko jeden, lub najwięcej dwaj? Oto dlatego, że gdyby wszyscy włościanie mieli nieograniczone prawo osobistej wolności, grunta panów, szlachty nie mogłyby być uprawiane dla braku robotników.

Dotychczas ciążyły wprawdzie na włościanach liczne podatki i nadużycia, lecz oni byli jeszcze właścicielami dziedzicznymi swoich gruntów, posiadali wolność oderwania się od kąta, w którym się urodzili i mogli przeciw każdemu poszukiwać sądownie sprawiedliwości.

Dobra (powiada dziejopis Skrzetuski) przechodziły z rąk do rąk jak i teraz: dawali je królowie duchownym, lub rycerstwu. Atoli kmiecie, otrzymując nowych panów nie przestawali być właścicielami i dziedzicami swoich gruntów. W wielu przywilejach nazywano kmieci dziedzicami, a sprawy o dziedzictwo włościańskie były wyłączone od sądownictwa książęcego.

Co do wymiaru sprawiedliwości wszyscy poddani dóbr, zarówno książęcych jak i szlacheckich i duchownych byli sądzeni w sądach kasztelanów, których naówczas polscy monarchowie z swego ramienia stanowili niejako powiatowymi rządcami i sędziami.

Dziedzice nie mieli władzy sądzenia swych poddanych, jeśli na to nie uzyskali osobnych przywilejów od królów lub książąt.

Za panowania Kazimierza Wielkiego, było już dosyć w Polsce tak uprzywilejowanych dziedziców. Mimo to król przyjmował jeszcze skargi kmieci ziemskich, nakazywał dla nich sprawiedliwość i zapobiegał, iżby ich nie uciskano. Ta łaskawość króla nie podobała się niektórym panom, którzy go też przez żart nazwali „Królem chłopów“ — przezwisko, które w dziejach naszego narodu stało się najchlubniejszym, zaszczytnym przydomkiem tego dzielnego monarchy!

Kazimierz jednak wogóle nie uczynił tyle dla włościan ile może zamierzył. Owszem za jego to panowania dostrzegamy już pierwsze ogniwa kajdan dla przyszłych pokoleń tej nie-

---

[1]) Panował od r. 1333--1370.

szczęśliwej klasy naszych braci. Uchwalono bowiem nadmienione powyżej prawo, że chłopi osiadli są przywiązani do gleby i z jednej wsi corocznie tylko jednemu, lub najwięcej dwom wolno się wyprowadzić.

Nakazano więc osiadłym włościanom być wiernymi poddanymi swych panów. Każdy chłop zbiegły mógł być w drodze prawa napowrót ściągniętym, a gdyby dowiódł, iż się z nim srogo obchodzono, mógł wprawdzie nie wracać, ale musiał za karę zapłacić trzy grzywny i roczny czynsz.

Już wtedy obchodzenie się szlachty z włościanami musiało być nieznośne i oborzające, albowiem sprawiedliwy król Kazimierz Wielki określa wypadki, w których wszystkim włościanom wolno było porzucić ziemię i wieś.

Odzyskiwali oni wówczas nieograniczoną wolność, ujarzmioną przez szlachtę dlatego, aby włościanie uprawiali jej grunta.

Działo się to wtedy, gdy pan zgwałcił żonę, albo córkę włościanina, którąkolwiek wieściaczkę w gminie, jeśli „r a b o w a ł , z a b i e r a ł , p r z y w ł a s z c z a ł s o b i e majątek kmiecy“, jeśli był przez rok przez Kościół wyklęty. Naówczas mogli włościanie nieograniczenie rozporządzać swemi osobami; mogli według woli we wsi pozostać, albo grunta porzucić.

Chociaż tedy już pod owe czasy prawa przeciw włościanom zaczynały się srożyć, mogli oni przecież jeszcze poszukiwać sprawiedliwości w sądach kasztelańskich.

Przyznawano im własność tak dalece, że orzeczono, iż pozostały po zmarłym kmieciu majątek powinien przechodzić w spadku nie na pana, ale na krewnych zmarłego włościanina.

Jużci ta sprawiedliwość kasztelańska musiała się niejednokrotnie mijać z nakazami prawa. Albowiem według świadectwa dziejopisa B i e l s k i e g o, król Kazimierz Wielki włościaninowi, użalającemu się na swego pana, miał odpowiedzieć: „Miej chłopie w kalecie krzesiwo, a na polu krzemień znajdziesz — toż łacno sobie uczynisz sprawiedliwość, jeśli masz krzywdę!“ Radził mu więc poprostu podpalić strzechę nad głową ciemiężyciela, który bezkarnie gwałcił prawo i uciskał biednego chłopa, pracującego w pocie czoła ku pomnożeniu jego dobrobytu.

W 14 stuleciu rozkrzewiło się w Polsce prawo niemieckie, tak zwane magdeburskie, podług którego zaczęto sądzić najpierw dobra królewskie (królewszczyzny) bez względu na to: czy to były miasta, czy wsie. Za tym przykładem poszli duchowni, a nareszcie i możniejsi ze szlachty, którzy sami prosili króla o ten przywilej dla swoich dóbr.

Na tem prawie osiadli zawierali kontrakty ze zwymi panami: obowiązywali się do danin i robocizn według umowy, byli wieczystymi niejako dzierżawcami, mogli swoich praw odstąpić drugiemu, chociaż za zezwoleniem dziedzica. Wolno im także było zrzec się swych posiadłości: byle je oddawali uprawne, zasiane, wogóle w stanie należytym.

Król Władysław Jagiełło stanowi na sejmie w roku 1423, że jeżeli sołtys, albo kmieć swoją rolę, albo dziedzictwo opuści, pan jest zobowiązany: pozwać, wezwać go czterokrotnie. Jeżeli pozwany kmieć powrotu odmówił, wtedy dopiero pan mógł dziedzictwo kmieciowe wydzierżawić innemu rolnikowi.

Te prawa, chociaż zakażone już szlacheckiemi przywłaszczeniami, pozwalające wątpić: czy król Kazimierz Wielki miał rozległy zamysł usamowolnienia całego ludu, okazują, że w 14 stuleciu, a nawet na początku 15, polscy włościanie mieli i wykonywali swoje prawo czasami ograniczonej, a czasami nieograniczonej wolności, że mogli być pozywani, a więc używali opieki prawa, że wreszcie posiadali swoje dziedzictwa, swoje własności ziemskie, które jeśli dobrowolnie opuścili, a wezwani nie wracali, pan mógł wydzierżawić nowemu posiadaczowi.

Ogólnie polscy włościanie wieli wolność swoich osób, mogli być pozywani i sądzeni, mieli swoje ziemskie własności. Atoli pozbawieni wolności politycznej, nie mający swojej, albo ze szlachecką połączonej reprezentacyi, rozprószeni, stracili wszystkie rękojmie bronienia coraz więcej uszczuplanych, podkopywanych, a w końcu całkowicie zniwczonych swobód.

Im bardziej powaga króla słabnęła, tem bardziej każdy szlachcic stawał się sam królem. Kiedy król Ludwik w roku 1374 targował się w Koszycach, aby jedna z jego córek utrzymała się przy tronie, musiał na to zezwolić, żeby chłop szlachecki nie płacił więcej podatku jak 2 grosze z łanu tak zwanego poradlnego. Ile szlachta zasłaniała chłopa od ciężaru publicznego, o tyle sama więcej z niego ściągała.

Niedługo potem zdało się szlachcie, że Kazimierz Wielki uczynił chłopstwo zanadto swawolnem, zastrzegając, że i dwóch corocznie z jednej wsi mogło się wyprowadzić.

Za Jana Albrechta r. 1496, stanęło na tem, że dosyć być miało na jednym. Pamiętano także i o synach chłopskich i orzeczono, że kiedy kmieć ma tylko jednego, ten powinien zostać na roli, gdy zaś ma ich więcej, może z nich jeden odejść już to na naukę szkolną, albo rzemieślniczą, już to na służbę.

Odjęto więc już wolność wszystkich synom, a zostawiono

ją tylko jednemu, jakby na pamiątkę szczęśliwszych czasów. Aż do tej ustawy tylko osiadły gospodarz był przywiązany do swej gleby; odtąd zaś włożono jarzmo niewoli na cały stan włościański.

Włościanina zamienić zwolna na rzecz, na niewolnika, przykuć go do ziemi, gdzie wziął życie, odebrać mu prawo polityczne, cywilne, a nawet samo przyrodzone, przeszkodzić, iżby nigdzie nie znalazł schronienia, zabronić mu umysłowego wykształcenia, odmówić opieki prawa, wykluczyć ze społeczności, znikczemnić, zbezcześcić i przytłumić w nim człowieczeństwo, mieć tylko żyjące machiny, przyobleczone w ludzkie kształty: ten był wynik praw, pisanych samowolnie przez stan panujący wobec włościan.

Niekiedy miasta mogły uciekającym włościanom dać przytułek, udzielić prawa miejskie. Przenikliwy stan szlachecki uchwala przecie zaraz i zaostrza prawo przyjmowania włościan przez miasta.

Jakoż sejm w r. 1496 zabrania miastom dawać schronienie włościanom, szukającym zarobku, nakładając za to karę 14 grzywien. Stanowi on, że po miastach szukający pracy włościanie mają być chwytani i używani do budowania twierdz, a to dlatego, aby szlachta nie cierpiała przez niedostatek sług i robotników. (Ciąg dalszy nastąpi).

BOROWNO.

(Opowieść z przeszłości).

Jeszcze nie wznosił się ogrom murów klasztornych, których pierwszą cegłę książę Opolski Władysław położył; jeszcze obraz Przenajświętszej Dziewicy, na cyprysowym stole od świętego Apostoła Łukasza wymalowany, cerkiew bełzkiego zamku ozdabiał; kiedy już na Jasnej Górze i z przyległego gródka Częstochowy i z całej okolicy zbierały się każdej niedzieli i święta tłumy pobożnych, bo to miejsce niby przed blaskiem przyszłej chwały jaśniało i przysposabiało się niejako do tej wielości ludu, który bezustannie klasztor, strażnicę cudownego obrazu odwiedza.

Miejscowa tradycya głosiła, że kiedy święty Wojciech, pragski Arcybiskup, wezwany od Chrobrego Bolesława, pospieszał dla nawrócenia pogan pruskie zamieszkujących krainy, przepędziwszy na tym skalistem wzgórzu kilka godzin na modlitwie, nagle a jakby w cudownem zachwyceniu, zwracając się do przytomnych, wykrzyknął:

— „Zaprawdę mówię wam bracia w Chrystusie, to miejsce dzisiaj posępne i odludne, zanim trzy wieki upłyną zacniejsze i weselsze będzie od wszystkich innych w chrześcijaństwie; krocie ludu z tych nagich wzgórzy wznosić będą błagalne hymny ku Najwyższemu, a góra stanie się jasną, łaskami i opieką Najświętszej Matki“.

Stąd też okoliczni mieszkańcy w trop słów świętego Biskupa górze „Jasnej“ dali nazwisko, a magistrat miasta wzniósł na jej szczycie kaplicę, w której w wielkim ołtarzu obok wizerunku świętego męczennika, obraz Niepokalanej Dziewicy w Krakowie nabyty, zawiesił.

Otóż dnia 8 września 1242 roku, w dzień uroczysty chrześcijaństwu całemu, Narodzenia Bożej Matki, w wspomnionym kościółku zebrał się licznie lud z Częstochowy i siół pobli-

skich, kapłan z przyległego grodowego miasteczka Kłobucka, świętej wiary tajemnice w hołdzie niósł Twórcy, przerwawszy je zaś, według ówczasowego zwyczaju przy poświęceniu chleba i wina, wstąpił na kazalnicę i wymownemi słowy z przeczytanej Ewangelii wyprowadzać zaczął zasady czystej chrześcijańskiej moralności. Przekonywające dowody i prawdy na Piśmie świętem oparte, rady mądre i łatwe, czystym i miłym wymówione głosem, nie dziw, że szły prosto w serca słuchaczy: w jednych utwierdzając zamiłowanie dobrego, innych do skruchy za grzechy skłaniając; gdy zaś kończąc rzecz swoją, wyrzekł:

— „Wy, których umysły zawistny szczęściu waszemu szatan owładnął, wy, którzy zabaczywszy o najświętszych obowiązkach, nietylko chrześcijan lecz ludzi, pogardzacie tą braterską miłością jaka was jednoczyć powinna, dzieci jednej matki, tegoż domu mieszkańcy, zamiast poufnej przyjaźni nienawiść ku sobie w sercach chowacie, upamiętajcie się, wspomnijcie na przyszłość, na straszny sąd Boga, otrząśnijcie się z szału występnych uczuć, podajcie sobie nawzajem pojednania dłonie“.

Otóż ledwie tych słów domówił, dwaj rycerze niedaleko kazalnicy stojący, niby w trop napomnienia, podali sobie ręce, uścisnęli i pospołem niby jedną i tą samą myślą natchnieni, postąpili do wielkiego ołtarza, na kolana upadli i nie zważając na ogólny podziw przytomnych, nabożnie i gorąco zaczęli się modlić.

Ci zaś rycerze, byli to znani w całej okolicy młodzieńcy, Janusz i Spytko Zaklikowie herbu Trąba, bracia rodzeni, dziedzice na Zakliczynie, Borownie i innych w Małej Polsce majątkach.

Trudno zaś było znaleść młodzieńców równie przykładnego życia, równie miłujących się, jak dwaj wspomnieni bracia; wychowani pod dozorem pobożnej matki, wiedzeni radami mądrego ojca, niegdyś z ramienia królewskiego starosty i kasztelana wrocławskiego, miłowali się w dzieciństwie, kochali w wieku dojrzalszym, oba w jednym czasie i z tych samych rąk odebrali zaszczyty rycerstwa, oba pospołem dzielili trudy wojenne, gdy rozkaz monarchy, Kędzierzawego Bolesława, powołał ich przeciw najezdniczym Niemcom ze Śląska. Nie chcieli nawet według powszechnego zwyczaju rozdzielić między siebie ojczystej puścizny; skłaniającym ich do tego przyjaciołom i krewnym mówili:

— Alboż nie jesteśmy dziećmi tych samych rodziców? mienie jednego nie należyż drugiemu, na co mamy rozgrani-

czać się w spuściźnie, czy przysiągłszy na grobie ojca dozgonną miłość i zgodę, nie potrafimy ich do końca życia dochować?

I obietnice szlachetnych młodzieńców czczemi nie były, cała kraina przyznawała to. Od dzieciństwa pod jednym dachem żyjąc, ni raz braterskiej nie zakłócili przyjaźni, ni raz wola i chęci jednego z chęciami drugiego w sprzeczności były; od niejakiego to czasu dopiero, od trzech miesięcy mniej więcej, w postępowaniu dwóch braci baczne oko mogło zmianę dopatrzyć, nie żeby poufna zgoda zerwaną była, lecz w ich domowem pożyciu nastąpiła jakaś oziębłość, niezwykła układność, ten pierwszy szkopuł przyjaźni.

Jako epokę owej zmiany kładziono czas, w którym w ojczystym ich grodzie, Borownie, osiadła piękna krewniaczka Bronisława, córka Ottona Grabi z Pilicy, sierota po obudwu rodzicach.

Gdy pobożny kapłan świętą Ofiarę zakończył, a dla złożenia uroczystych szat udał się do zakrystyi, dwaj bracia pospieszyli za nim.

— Ojcze Michale, rzekł starszy, pięknie dzisiaj kazałeś, twoje słowa niby manna niebieska sercom naszym były, niby rosa wiosenna pokrzepiająca urodzaj upadły w głębi naszych uczuć, złe niszcząc, rozkrzewiły dobre. Niech ci je Pan Bóg nagrodzi, szponom czartowskim dwie bratnie dusze wyrwałeś.

Starzec w dziękczynnej modlitwie wzniósł oczy ku niebu, i skromnie odparł:

— Nie mnie to mili moi synowie dziękować winniście, lecz temu, który wymową natchnął, podał w usta wyrazy, trafiające do przekonania waszego, Bogu jednemu cześć i chwała niech będzie. On, nie ja waszym zbawcą...

— To prawda, odrzekł młodszy z braci, pobożnie bijąc się w piersi, dlatego też na znak mojej wdzięczności przyrzekam, że od dziś za miesiąc najdalej zawieszę w tym kościele przed ołtarzem Bożej Dziewicy szczero srebrną lampę.

— A ja drugą, odpowiedział Janusz, i obiedwie na pamiątkę cudownie powróconej naszej miłości braterskiej, niechaj wiecznie goreją.

— Przyjmuję waszą ofiarę, odparł kapłan, nie dla wielkiej jej ceny, lecz jako dowód waszej zgody, wdzięczności dla Stwórcy i chrześcijańskiej cnoty. Wiecie bowiem z słów ewangelii, że grosz wdowi przed majestatem Bożym znalazł większą zasługę niż hojne dary bogacza.

— Ofiara nasza, miły księże Michale, rzekł Janusz, szczera

i próżną światową nie nasunięta mamoną. Owszem, w miarę łaski Bożej daleko być większą powinna, jakoż dar według naszej możności radzi jesteśmy powiększyć, dlatego obiecuję ci w ciągu roku najdalej zapomódz tutejszą zakrystyą bogatym jedwabnym ornatem; miły on będzie Panu zapewne, bo go czyste dziewicze serce złoży w dani i dziewicze dłonie wyszyją.

Młodszy brat lekko brwi ściągnął, uważał to Janusz i szybko dodał:

— Obadwaj będziem prosić o to.

Kapłanowi nie obce zapewne były uczucia obu młodzieńców; kiedyś nauczyciel, teraz ich spowiednik i doradzca, z nieutajoną radością poglądał na wracające przywiązanie i ufność, a mówił:

— Otóż znowu jesteście takimi, jakimi widziałem was lat wiele, jakimi być w mojej obecności, na grobie rodziców przyrzekliście; krótkie były dnie przeciwności, uleczone, nauką powinny stać się dla was, cierpienia tych dni spodziewam się zbyt się wryły w waszą pamięć, zbyt zakłócały sumienia i spokój dusz, abyście ich powrotu zapragnęli kiedy, kto wie, może też chwilowa rozłąka umyślnem była dopuszczeniem niepojętego w swych zrządach Boga, dla przytarcia waszej cnotliwej dumy, i pokazania ile są wątłemi obietnice ludzkie, gdy ich silna ufność w miłosierdziu nieba nie popiera. Lecz czemu przypominać złe, które minęło? Bóg roztworzył wasze oczy, dał widzieć otchłań, w którą w zaślepieniu waszem biegliście, na dobrą naprowadził drogę, nie opuszczając już jej, bądźcie godnymi siebie i szlachetnych waszych rodziców.

— Amen, dodali, zginając przed kapłanem kolana, obaj bracia. Starzec złożył na ich głowie ręce, pobłogosławił, rady i przestrogi powtórzył, młodzieńcy obiecali zastosować się do nich, i pospołem dosiadłszy rumaków, opuścili Jasną Górę.

W drodze mówił Janusz Spytkowi:

— Wyznaj jednakże bracie, że dziwne było twoje postępowanie, dla czegoż nie wyznać co dolegało sercu, obawiałżeś się nie znaleść w niem współczucia, kiedyż to zawiodłem twą ufność?

— Prawda, odparł Spytko, ależ zarzuty jakie mnie czynisz Januszu, mógłbym właśnie przeciw tobie odwrócić, i tyś stronił odemnie i taił myśli. Ależ czemu mówić o tem, od dzisiaj wszakże wszystko ma być inaczej.

— Tak, mówił Janusz, dzień dzisiejszy podwójnie winien być świętym, a nawet czemuż nie ma stać się i epoką w ży-

ciu naszem? Przysięgliśmy ojcu Michałowi, że jak dawniej i teraz nie będzie dla nas żadnej tajemnicy... dlatego też wyznaj, tu głos jego zadrżał nieco... lubisz Bronisławę.

— Nie będę ani chcę taić... lecz też i twemu sercu nieobojętną jest ona.

— Bóg widzi tak jest, i to co boli i dręczy, co dręczyło do ninie, obydwa ją lubujem, obydwom bez niej życie byłoby nudne i smutne.

Głucho westchnął brat młodszy, świętą prawdę powiedziałeś Januszu, a przecież podwójnie przysięgliśmy sobie dozgonną przyjaźń i miłość, co czynić więc, jaki środek wziąść.

— Co czynić? nie wiem... moja głowa tępieje, porady nie daje... jeden z nas tylko może jej mężem być, lecz który odstąpi?

Milczeli obydwa chwil kilka... w oczach smutek, głębokie marszczki na czole, pierwszy Spytko poszepnął:

— Tyś starszy bracie.

— A więc, — skwapliwe było pytanie.

Spytko zarumienił się, pobladł i jąkał.

— Jako starszemu naczelnikowi domu i rodu, winienem uszanowanie i uległość, ustąpić winienem.

Zaiskrzyło się oko Janusza — lecz ty bracie, co uczynisz wtedy?

— Ja? alboż możesz pytać? świat szeroki i długi, znajdę dla siebie ustronie, klasztor... lub też... nieraz już ta myśl przychodziła mi do głowy; o wojnę u nas nie trudno, dosiędę konia, wyprawię się na pogańską pruską dzicz. Bóg litościwy nie da cierpieć długo, a zbawienia nie poskąpi, wszakże w walce za jego sprawę głowę położę.

Lekko wzdrygnął się Janusz; — ty miałbyś zginąć bracie... bezemnie na wojnę pójść — na to nie zgodzę się nigdy.

— Jestże przecie inna jaka rada?

Podumał starszy — zaiste srodze Bóg nas doświadcza, głowa boli, rozum błąka się... jest to otchłań, z której napróżno chcesz się wydźwignąć, w której niema iskierki nadziei, ratunku.

— Twoje pierworodztwo mówi za tobą.

— Istniejeż ono między nami Spytku... przysięga dozgonnej przyjaźni możeż cierpieć jaką wyższość? ślepy traf losu, przypadek nie stanowiż jej tylko, nie, na pamięć zmarłych rodziców, przysięgam ci, korzystać z niej ni chcę, ni będę, innego trzeba szukać środka, i rozpogodziło się nieco jego czoło, rozjaśniło oko, alboż nie mamy go? przebóg żywy, dlaczegóż

nie wyznać naszych uczuć Bronisławie, czemu nie działać wręcz śmiało, otwarcie, czemuż wreszcie nie powierzyć jej naszego losu, niechaj wybór uczyni.

Zgodził się chętnie na projekt starszego młodszy brat i dodał:

— Lecz odrzucony co uczyni?

— Co? i to obmyśleć winniśmy... i na to słowo sobie dać trzeba; twój poprzedni projekt nie zgadza się z mem przekonaniem, rozpacz grzeszną rzeczą przed ludźmi i Bogiem, dlatego przyrzeknijmy sobie, że opuszczony nie poda serca smutkowi, owszem, że szczęśliwemu i jej, dobrym bratem i przyjacielem być nie poprzestanie.

Chwilę wahał się Spytko, ofiara z swych uczuć trudniejszą mu była zapewne niż bratu, lecz gdy ten wyrzekł:

— Wątpisz-że o sobie, bracie?

Podał na znak przyjęcia projektu swą rękę.

II.

Pięknym był w owych czasach borowiński zamek; rezydencya możnego szlacheckiego plemienia, tak obszernością budowli, jak i warownem położeniem swojem słynął w całej lachickiej krainie. Zbudowany na niewielkiem wzgórzu, właśnie w załamku obszernego jeziora, które w części istnieje do dzisiaj, bo w większej dla zyskania na miejscu osuszonem zostało, od strony suchej okrążony był wysokim murem i podwójnemi fosami, na których zwodzone spoczywały mosty; po krańcach muru, jako też od strony jeziora, sterczało kilka baszt i wąskich wieżyczek z polnego lub ciosowego wywiedzionych kamienia.

Mieszkanie dziedziców grodu, na końcu dziedzińca z modrzewia wybudowane, opatrzone było wysokiemi a wązkiemi oknami, w których rzadko gdzie szyby ogromnej w owych czasach wartości błyszczały; lecz albo mocne żelazne kraty je strzegły, lub też cienki oliwą napuszczony pergamin, zapełniał; do dworu przytykała wieża tak zwana strażnicza, górowała ona nad wszystkiemi budowlami grodu; na jej płaskim wierzchu bezustannie czuwała boczna straż, rycerze w ciężkich niemieckich zbrojach, z oszczepem w dłoni, z szablą u boku, tam też szamotana wichrem, powiewała chorągiew o rodzinnym herbowym klejnocie Zaklików: dwóch trąbkach jedwabiem i złotem wyszytych. Podobne temu znamie błyszczało i na marmu-

rowej tablicy, ozdabiającej główne wejście do zamku; napotkałeś go też wyryte na ciosowym kamieniu na basztach i wieżach.

Mieszkanie załogi i służby dworskiej, jako też hojnie zaopatrzona w różnorodny zaczepny i odporny oręż, zbrojownia, pełne dzielnych rumaków stajnie, i inne gospodarskie budowle, wszystkie wywiedzione z wapiennego kamienia, obficie w okolicy się znajdującego, okrążały dziedziniec; w przerwach zaś między niemi a murami zamku, starannie uprawne ogrody zasadzone były warzywem lub owocowemi drzewami z Włoch i innych ciepłych krain, świeżo od Benedyktynów sprowadzonemi w te strony.

Przeszedłszy sień, czwartą część dworca zajmującą w przestrzeni, dwaj bracia weszli do długiej a wązkiej komnaty, tak zwanej sali rycerskiej. Całą jej ścianę przeciwległą oknom zdobiły familijne portrety naturalnej wielkości, a więcej niż waga złota płacone; w przedziałach między niemi błyszczały zbroje stalowe i miedziane, bogato srebrem zdobne pancerze, szyszaki strusiemi piórami lub włosiem pokryte, okrągłe paważe i tarcze o rodzinnych herbach; w innych miejscach zatrzymywały twe oczy przytwierdzone do ściany całe łby jeleniów, turów i żubrów, na olbrzymich rogach powiewały rycerskie szarfy, misternie wyszyte rękami córek, małżonek, lub bogdanek dziedziców miejsca; dalej złożone na krzyż sterczały łuki i skórzane sajdaki strzał pełne; pomiędzy oknami z strony przeciwnej, symetrycznie ułożone proporce, kopie w pęki związane, kusze, berdysze, oksze i topory o jednym i dwóch ostrzach, dzidy o dwóch toporkach i długich żelcach, włócznie to zwyczajne, to nabijane gatunkiem piły, dla rozrywania ciał ludzi i koni, przenosiły myśl twoją w owe czasy, gdy właściciele grodu, na czele walecznych rot, zbrojną żelazem dłoń kąpali w krwi przeciwników, gdy za rozkazem Chrobrego, Szczodrego i Krzywoustego Bolesławów przewagę sarmackiego oręża nieśli w strony dalekie nad bystry Dniepr, w puszcze nadbałtyckie, ponad Dunaj, Elbę i Salę.

Dwaj bracia przeszli społem rycerską salę, a wstrzymali się dopiero w jej końcu, gdzie zamykając szereg familijnych portretów, wisiały wizerunki dawno już zmarłych rodziców. Ojciec dał gardło w ostatniej wojnie niemieckiej, odpierając najazd cesarza Rudobrodego i garnącego się Spluwacza do berła, którego piastować nie umiał. Matka nieutulona po tej stracie, przywdziawszy wdowieńskie szaty, zakończyła swe życie w panieńskim klasztorze Benedyktynek znajdującym się na górze

świętej Katarzyny. Przy tych drogich sobie obrazach, rycerze według codziennego zwyczaju, pobożne Ave Maria za dusze zmarłych odmówili, i uścisnęli się serdecznie, niby tym dowodem braterskiej miłości chcieli uczcić pamięć rodziców, a przeszli do następnej izby, gdzie stał dębowy stół makatem i białym płótnem pokryty, a przygotowany do obiednej strawy.

Jakoż służba za rozkazem Janusza pospieszyła na jej wniesienie. Zebrało się kilku dworskich i matron, do pańskiego stołu prawo mających, i właśnie gdy drzwiami od sali rycerskiej wchodził marszałek domu, wiodąc za sobą dwóch domowników przynoszących na srebrnych misach potrawy, drugiemi drzwiami, a do górnych komnat dworca wiodącemi, poprzedzona od dziewczyny służebnej, a w towarzystwie swej ochmistrzyni, rodowitej szlachcianki, weszła piękna Bronisława z Pilicy.

Siedmnastoletnia była to najwięcej dziewica; wzrost jej hoży, smagły, niepospolita uroda, ale dziwny jakiś smutek rozlany na nadobnych licach; oko błyszczało niby łzą i białe czoło pokrywała jakby ciężka żałoba, jakby tęsknota myśli i uczuć.

A i jest temu przyczyna. Nie ojcem los dla młodej dziewicy, lecz surowym od dawna był tylko ojczymem. W ciągu jednego roku postradała rodziców, fortuna przeszła w ręce chciwych opiekunów lub dalekich krewnych, sierota na obszernym świecie tułać się musi; wprawdzie pomoc teraz i opiekę znalazła. Dom braci Zaklików jej powinowatych, niby własnym dla niej jest; dobrze tu, miło, wszystkie wygody a i władza pani, gdyby zapragnęła byłaby, lecz czyż to wynagradza ciężkie straty dziewicy? Może i inna jeszcze przyczyna troski znajdzie się, młoda ona, dziecię prawie, ale rozum, rozwaga i zastanowienie są niewiasty, umie czytać w sercach; doświadczonej cierpieniem, mogłyż ujść postępki dwóch braci, ich nagła obojętność dla siebie, przyczyna może dla niej nie tajna, wyznać jej sobie nawet nie śmie, ale możesz ją z myśli odepchnąć, z serca usunąć, a któż cierpiącej pomoc da, radą dopomoże, wesprze słowem poufnem?!

Ah! ciężkie życie sieroty!

Wejście dziewicy lekki rumieniec wywołuje na licach dwóch braci, starszy podaje jej rękę, a na zaszczytnem miejscu przy stole posadzi, sam też siądzie. Młodszy przy nim; ta drobna okoliczność na pozór wyraźnie pociesza sierotę, radość w oku zabłyśnie. Po raz to pierwszy bowiem od kilku miesięcy, młodzi rycerze usiedli przy sobie, zwykle niby stroniąc od siebie,

wybierali miejsca odległe; radość dziewczęcia powiększa się, widząc, czego dawno nie było; rozmawiają z sobą poufnie, przyjaźnie, układają plany na dzień cały, jutro polowanie, pojutrze wycieczkę w sąsiedztwo. Przy końcu obiadu jednak, rozmowa ich słabnąć zaczyna, nie żeby dąs jaki położył jej koniec, sprzeczka lub co podobnego, lecz niby jakaś myśl cierpka, wspólnie dzielona... jakaś trwożna tęsknota co zasępia ich czoło, wesołość tłumi.

Po skończonym obiedzie i po krótkiej dziękczynnej do Twórcy modlitwie kapelana, Spytko pociągnął brata w framugę okna.

— Pomnisz Januszu naszą umowę... czas jej zadośćuczynić.

— Lecz któż ją wypełni? Kto jej nasze projekta objawi? ja nie czuję w sobie dość sił.

— I ja też nie, poszepnie Spytko; kłopot obu wielki, nie pomyśleli układając piękne swe plany, o tej zawadzie.

Bronisława wstawszy od stołu, chwilę jeszcze zatrzymuje się w komnacie, ażeby nie przerwać rozmowy braci, staje w odległem oknie, widok z niego przestronny a piękny: na dziedziniec zamkowy i jego sady, i na drogę przez zielone łąki i niwy, bujnym plonem pokryte do przyległego miasteczka Mstowa wiodącą. Na tej drodze z nagła, w małem oddaleniu od grodu, ukaże się orszak rycerski, ludzi mniej więcej dwudziestu, tętnią kopyta rumaków, brzęczą szable, głucho szeleszczą zbroje, i trąbka rozgłośnie zaśpiewa przed zwodzonym mostem, niby w prośbie o jego spuszczenie.

Lekko zadrży dziewica, tyle cierpień w życiu ją dotknęło, od tylu ludzi przyszło znosić troski, że widok nowych twarzy trwogą przejmuje, ażaliż nowych wrogów nie ujrzy. Dwaj bracia szybko wyjdą na przyjęcie nieznajomych, może i radzi z ich przybycia, bo ono na jakiś czas przerwie ich kłopot; dziwne to istoty ludzie! niepewności nie lubią, a ileż razy sami jej się dobrowolnie poddają!

Pierwszy z gości, który wszedł do komnaty, był to grabia Jaksa Gryfowczyk, rycerz jednakowo znany w całej krainie, tak z gromnego majątku jak i rodu, który starożytnością ród książęcy panujący Piastów przewyższał, bo Popielów zasięgał i od nich wywodził się, jako też pobożnością, doświadczoną cnotą i rycerskiemi dziełami, których nie w jednej okazyi liczne dał dowody. Grabia zaś nie pierwszej już młodości człek; czarne włosy rzęsisto przeprusza siwizna, ale dzielność wielka, oko błyszczy młodzieńczym zapałem, postawa okazała, nakazująca

uszanowanie. Co do ubioru, dziwny on, a przynajmniej niezwykły w tych stronach; opisać go winienem.

Gruby stalowy pancerz na piersi, czerwony jedwabny przepasuje go pas, za nim błyszczy puginał w srebrnej oprawie, przy nim różańca kokosowe paciorki, na piersi na złotym łańcuchu w miejscu wizerunku króla, lub miłej sercu osoby, ośmiokończasty krzyż wsparty na muszli pielgrzymiej, na barbach gruba, biała, wełniana opona, na której podobnież ośmiokańczaste z czerwonego sukna wycięte, błyszczy znamie zbawienia... szablę rycerza, również jak miszurkę ozdobną grabiowską koroną i czarnym pióropuszem, niósł giermek, młody ośmnastoletni chłopiec.

Po zwykłych powitaniach, grabia wskazując na krzyż swej szaty, rzeknie do dwóch braci:

— Przebaczcie młodzi przyjaciele, że na dzisiejszą noc gościnności w waszym grodzie zażądam, ależ droga przedemną daleka, koni i ludzi oszczędzać winienem, jadę bowiem do Niemiec, stamtąd zaś w orszaku cesarza Konrada, jeżeli Bóg zdrowia i siły użyczy, do Ziemi Świętej. Nie tajno wam bowiem, iż Saraceni w przeszłych bojach zwalczeni, teraz głowy podnoszą, uciskają wiernych wyznawców świętej naszej wiary, ogniem i mieczem niszczą ziemię krwią Zbawiciela naszego zroszoną, a okupioną męztwem Godfryda z Bulionu. Co więcej, w dumie swojej bez granic myślą i o opanowaniu miasta z grobem Chrystusa, Świętego Jeruzalem; aby tamę dumnym ich zamiarom położyć, ojciec święty krucyatę ogłosił, cesarz niemiecki i król francuski, zachęceni jego radą i prośbą, mają w niej wziąć udział, tysiące rycerzy poszło za ich przykładem i przyjąwszy znamię, które na mych piersiach widzicie, chcą zaciętym bojem barbarzyńców poskromić lub zginąć. Przyszła wiosna ujrzy nas na brzegach syryjskich i spodziewać się należy, że przy pomocy Najwyższego, nowa krucyata, równie pomyślnym jak pierwsza, uwieńczona będzie skutkiem.

Młodzi Zaklikowie chętnie w swym domu gości przyjmują; kiedyż to dworzec polskiego szlachcica przed nimi się zamknął? wieczorem zaś, gdy grabia z towarzyszami na spoczynek się udał, wyrzekł Janusz do Spytka:

— Ażaliż to nie oczywisty palec Boży w przybyciu krzyżowych wojowników do naszego domu, właśnie w dniu, który ma o losie naszym stanowić, ja przynajmniej tak widzę, i gdyby Bronisława pominęła mię w wyborze, los mój rzucony, przyjmę święty znak zbawienia, i z grabią Jaksą udam się na obronę grobu Zbawiciela.

— Taż sama była i moja myśl, odpowiada Spytko, nie traćmy zatem czasu, chodźmy do niej, wybrany będzie jej mężem, odrzucony niebieską koroną wynagrodzi sobie ziemską pomyślność.

Dłoń w dłoń, dwaj młodzieńcy weszli do komnaty pięknej pokrewnej; siedziała w obszernem krześle, przed nią w krosienkach robótka, jedwabna stuła, przeznaczona do jasnogórskiej świątyni. Mało się nią przecież zajmuje, tajne uczucia, bolesne wspominki i marzenia są przeszkodą; nieraz więc igła w połowie ściegu niewzruszoną zostanie, oko zachodzi grubą łzą, i pierś się wzdyma westchnieniem.

Wejście rycerzy nie uspokaja dziewicy, owszem powiększa trwogę; instynktem wiedziona przeczuła, że niezwykłe odwiedziny mają przyczynę, a jaka? domyśla się... lecz co odpowiedzieć, jakie postanowienie wziąć, nie wie sama, serce bije gwałtownie, krew z dziwną siłą obiega po żyłach.

Janusz ujmie jej rękę, w oku silne postanowienie błyszczy, postanowienie to jednak niby febryczne, dość zapewne czasu, nie mało pracy i władzy nad sobą wymagało, aby zdobyć się można było na nie.

Mówi zaś:

— Bronisławo, droga moja krewniaczko, chciej mnie posłuchać cierpliwie, a nie dziw się i nie obrażaj słowami, jakie ci przyniosę, idzie tu bowiem nietylko o szczęście i przyszłość moją i Spytka, ale co nam więcej waży, i o twoją, pozwól więc, że ci będę mówił jak na dobrego krewniaka, i człowieka lubiącego prawość przystoi, szczerze, otwarcie: jesteś młoda, piękna i dobra, prędzej czy później o twą rękę ozwą się co najznakomitsi rycerze i panowie tej krainy, przebacz jednak, że ja ze Spytkiem wszystkich uprzedzę, nie chcę ci bowiem taić, lubujemy cię oba, dla obu nas nietylko krewniaczką i siostrą, ale niby świętym aniołem jesteś, życie bez ciebie, toż ciało bez duszy, nudne i smutne. Jeżeli więc nasze uczucia podzielasz, jeżeli nie jesteśmy ci obojętni, a choć w części tyle mili jak miłą nam jesteś, zechciej powiedzieć; boć na co niepewnością udręczać, czemu godzinę szczęścia naszego oddalać, życie krótkie i nieraz bolesne, niechże w niem będzie rozkoszny kwiat, którego woń je upiękni, zrób wybór, wskaż z dwóch nas tego, komu rękę swą oddać pragniesz... ależ żaden wzgląd niech nie kieruje twojem postanowieniem, żaden prócz serdecznego jeśli jest uczucie, gdyż przysięgliśmy, że twa wola prawem naszem będzie, a ten kogo odrzucisz i bratu i tobie dobrym bratem a przyjacielem dozgonnym być nie przestanie...

Milczało chwilę dziewcze, tylko jej różowe usta lekko poruszyły się niby w tajemnej modlitwie i serce biło gwałtownie, a modre oko wzniosło się w górę, jakby z niebiosów błagając pomocy, ale i ona czuje, że raz koniec przykrej niepewności położyć wypada, i rzeknie:

— Zaiste, czężkiej rzeczy żądacie odemnie, mili krewniacy, jest ona prawie nad me siły i możność, lecz wola Boga niech się dzieje; zaufanie zaufaniem, szczerość szczerością odpłacić winnam... pragniecie mego słowa... głos jej zadrżał, ja ciebie lubuję Januszu...

Pobladł młodszy brat, zimny dreszcz obiegł po ciele, zdawało się, że omdlenia był bliskim, gdyż musiał wesprzeć się o ścianę izby; dojrzy to dziewcze, i pospiesznie dodaje:

— Bracie Spytku, Wszechmogący Bóg, co patrzy w me serce, w głębi mych myśli czyta, On wie, że ja i ciebie lubuję.

— Tak, lubuję cię, lubuję was obu, mówi dalej głosem silniejszym, niby pierwszą dziewiczą przełamawszy wstydliwość, wszystkie swoje uczucia, co dotąd tyle gnębiły i bolały duszę, chciała wylać na jaw, a nie kłamię, że was lubuję, ah! dobrze i nazbyt czuję, że wy mnie drodzy, że życie bez was życiem w połowie byłoby, sierotą przyjęliście do waszego domu, dalekiej pokrewnej bracią i opiekunami jesteście, jej dobro na pierwszym dla was względzie, wdzięczność i własna skłonność do miłości wiedzie, ale, który mi z was milszy, który droższy sercu, kogo wybierając wybrałabym, sama nie wiem.

Daremnie bracia więcej stanowczej odpowiedzi żądają, nie sposób jej otrzymać, dziewcze rzewnemi zalewa się łzami, a jak przedtem mówi ciągle, ja nie wiem.

Starszy brat wtedy bierze młodszego na stronę, kilka chwil z cicha coś mówi do ucha, ten słucha uważnie i odpowiada:

— I na to zgadzam się całkiem.

Janusz znowu do dziewczęcia przystąpi.

— Jakkolwiek, droga Przecławo, nie rozstrzygnęłaś naszego kłopotu, dziękujemy ci za oświadczenie, jakie przyniosłaś, owszem, aby prawdę rzec, wahanie się twoje miłem jest dla nas, bo ujmy ni jednemu, ni drugiemu nie przynosi, a serca nie krwawi. Przecież gdy dziś przy ołtarzu Bożym w jasnogórskim kościele i tu przy wizerunku zmarłych rodziców przysięgliśmy, że stanowczo niepewność naszą rozstrzygniem, winniśmy to uczynić; chceszże tedy przyjąć projekt, jakim wła-

śnie przed chwilą Bóg w miłosierdziu swojem natchnął mój umysł?

— Jakiż on, trwożnie zagadnęła dziewica.

— Ułożyliśmy, że odrzucony od ciebie miał się udać na świętą z grabią Jaksą wyprawę, teraz chcemy oba pojechać.

— Dla Boga! — wykrzyknęło dziewcze z przestrachem, jaż nieszczęśliwa mam być zgonu waszego przyczyną... czyliż na to weszłam do tego domu, aby żałobę, którą jestem pokryta i nań rozciągnąć?!

— Mylisz się miła krewniaczko, spokojnie odrzekł jej Janusz, twoje smutne serce w smutnych barwach widzi nasz projekt. Wyprawa nasza na obronę Chrystusowego grobu nie jest wypływem rozpaczy, lecz świętym obowiązkiem chrześcijańskim, Bóg poszczęści, że i jemu się zasłużymy, i silną mam nadzieję powrócimy oba żywi i zdrowi, a wtedy o wybór kłopotu nie będzie, bo temu, który w chlubnej walce pierwszeństwo otrzyma, oddasz rękę... gdyby zaś rycerskich czynów trudny był sąd, i na to znajdzie się sposób, ten będzie twoim mężem, który z świętej chrześcijanom rzeki Jordanu pierwszy wody zaczerpnie. Czyliż zgadzasz się na projekt?

Dziewcze po małym oporze przyjęło warunek; w owych czasach chrześcijańskiej prostoty i rycerstwa, nie był on nadzwyczajnym, ileż to razy wiedziała o tem z legend i wieści, jako dank męstwa, piękność oddawała swą rękę szczęśliwemu rycerzowi. Ileż razy, gdy kilku współzawodników znalazło się, rozstrzygali spór o miłość bogdanki walką na turniejach, lub z nieprzyjaciołmi kraju albo wiary. Była to rzecz prosta, sąd Boski jak mniemano, nikt się nie dziwił, nikt go nie ważył się nadwyrężać.

Gdy więc nazajutrz grabia Jaksa za gościnę dziękując chciał się udać w swą drogę, zatrzymał go Janusz Zaklika.

— Szlachetny panie, — rzekł, — mam prośbę do ciebie.

— Jakaż ona? — zapytał rycerz.

— Jeden jeszcze dzień pozostań w tym zamku.

Zakłopotał się nieco grabia, wiesz mój młody przyjacielu, jaka droga przedemną, nie cierpi zwłoki, zwłaszcza, że termin wyprawy cesarskiej bliski, nie chciałbym go chybić.

— Wiem o tem, i nie ważyłbym cię wstrzymywać bez żadnego powodu... i ja i mój brat chcemy wyprawę podzielić, służyć pod twem dowództwem. Konie, zbroje i ludzie służebni gotowi, ależ majątek wymaga urządzenia, zwłaszcza, że nasza krewna w zamku zostanie... dlatego o jeden dzień prosimy.

Grabia uścisnął ręce młodego Zakliki; nie jeden lecz dwa więcej dni chętnie wam daję, zwłoka nie może być przykrą, gdy takich jak wy wojowników świętej sprawie nastręcza, powtórzył uścisk, wzniósł oczy w niebo, i dodał:

— Najwyższemu Panu niech będą podzięki, on natchnął wasze serca godnem chrześcijańskich rycerzy postanowieniem, oby wam więcej podobnych znalazło się.

Dzień później, młodzi bracia z orszakiem grabiego, jak to postanowili, opuścili Borowno, długo przecież tęskny i łzawy ich wzrok zwracał się ku ojczystemu zamkowi, bo z szczytu wyniosłej jego wieży powiewała im w znaku pożegnania biała chustka Przecławy.

III.

Wiemy z dziejów jak nieszczęśliwa dla chrześcijan była druga krucyata; przeszło połowa rycerstwa, nie doszedłszy nawet Świętej Ziemi, w niegościnnej Grecyi, lub w burzliwych Śródziemnego morza falach, grób swój znalazła, spory dowódców, niezgoda między cesarzem a Papieżem, intrygi Francuzów i Greków, udaremniły najświętsze usiłowania, podały gród, serce chrześcijaństwa, Jeruzalem w ręce niewiernych, i skłoniły cesarza Konrada do wydania rozkazu powrotu do Europy.

Ostygł już zapał, pierwsze lata krucyaty cechujący, długie oddalenie od rodzinnej ziemi, niepewność własnego losu i losu rodzin i przyjaciół, wreszcie przekonanie o niemocy ogólnej, najdzielniejsze serca zwątliły, najsilniejszym umysłom odjęły energię; w całym obozie za danym rozkazem powrotu wzniosły się radosne okrzyki... winszowano go sobie nawzajem, i niby po odniesionym stanowczem zwycięstwie, palono ognie radości, wyprawiano biesiady.

Dwaj tylko rycerze miłą innym wiadomość przyjęli ze wstrętem, a nawet z rozpaczą, byli to Janusz i Spytko Zaklikowie.

Dzielni młodzieńcy nie zawiedli oczekiwania grabiego Jaksy... męstwo ich było nieposzlakowane, odwaga niepospolita, w ciągu lat dwóch krucyaty, w krwawych zapasach z wrogiem, nieraz mieli sposobność odznaczenia się, nieraz zyskali danki dowódców. Jednakże zawistny los uparł się niejako, aby najgorętsze ich życzenia zniweczyć, piękne udaremniać projekta. W różnych stronach Świętej Ziemi walczyli; kilkakrotnie rycerska ochota zawiodła ich daleko w pustynie syryjskie, w dzi-

kiej Arabii przestworza, lecz ni razu, nie ujrzeli wód tyle drogich sobie Jordanu, rzeki, od której zawisł los jednego z nich, ręka młodej i pięknej pokrewnej.

Z ponurem więc okiem i czołem, stali przed drzwiami swego namiotu; tęskny wzrok rozstrzelał po obozie, serce trapiła radość towarzyszy; gwałtowniejszy z natury Spytko rzekł bratu:

— Oni się cieszą, radują, kiedy nasze serca zakrwawione smutkiem... lecz czemu dziwię się? alboż nie wracają do ojczystych stron... czy każdego z nich nie powita ktoś miły, ojciec, matka, przyjaciel, żona... czyż każdego nie oczekuje luby spoczynek; przyszłość szczęśliwa, wesoła... nas przeciwnie... dwa lata upłynęły w ciągłych bojach... krew hojnie rozlewaliśmy, ostatnimi nie byliśmy nigdy... a przecież czyż rozstrzygnięty nasz los? zaprawdę... szatan przymięszał się do całej tej sprawy. — Bóg nas opuścił.

Janusz mu przerwał:

— Nie bluźnij bracie, świętem nie pomiataj imieniem, ażaliż nie własna to nasza wina, że Najwyższy nie poszczęścił naszym zamiarom, gniew Jego widoczny a słuszny, godziłoż się do świętej sprawy mięszać nasze drobne projekta... przystałoż na rycerzy znamie krzyża przyjmujących walczyć pod jego godłem, dla swego własnego interesu; przecież, dodał z westchnieniem, i mnie to boli i dręczy; odwrót naszych hufców niweczy wszystkie słodkie nadzieje, w labirynt dawnej niepewności rzuca.

Spytko chciał coś odrzec, lecz w tej chwili od wchodowej bramy obozu zabrzękły szable, zatętniały kopyta rumaków... Obaj bracia ciekawi, spojrzeli w tamtę stronę, ktoby nadjeżdżał, byli to Templaryusze; po ubiorach poznałeś... po białych płaszczach i krzyżach, zdobiących szerokie piersi... na czele orszaku jechał komandor; długa czarna broda półkolem okrążała męskie oblicze, u pasa wisiał kokosowy różaniec, na głowie błyszczał stalowy kask, strusiemi piórami ozdobiony, ale czoło rycerza pochmurne, gniew i smutek błyszczały w oku.

— Nie mylną więc była nowina, wyrzekł ponuro do krzyżowych rycerzy zatrzymując rumaka właśnie przed namiotem dwóch braci, z radością opuszczacie tę ziemię, której przyjmując święte znamie zbawienia, poprzysięgliście bronić lub zginąć... opuszczacie ją, gdy święte miasto Jeruzalem w ręku niewiernych... gdy dumny Saracen ostatnią wschodniemu chrześcijaństwu grozi zagubą i niby w urągowisko wam... waszej

wierze i honorowi, pod waszym bokiem nad brzegami Jordanu rozbija namioty.

Na wyraz „Jordan“ wzdrygną się młodzi rycerze, starszy komandorowi smutnie odpowie:

— Cesarz Konrad odwrót nakazał, jeneralnemu dowódcy wyprawy winniśmy posłuszeństwo, bądź pewny jednak, że nasze chęci w przeciwności z nieznośnym obowiązkiem, że chętnie wespołem z tobą spróbowalibyśmy hartu naszych szabli o bisurmańskie czerepy.

— I czemuż tego nie mamy uczynić bracie, rzekł Spytko, przed rozkazem dowódcy idzie nasza przysięga... Templaryusz powiada: że Saraceni koczują nad brzegami Jordanu... jestże lepsza okazya wywiązania się z uczynionego ślubu?

Chciał pobiedz do namiotu, aby do nowej wyprawy się przysposobić, wstrzymał go Janusz.

— Nie Spytku, tak być nie może... wiesz co udaremniło obecną wyprawę, najświętsze chrześcijan zniweczyło zamysły? niekarność, nieposłuszeństwo, sam tylokrotnie sarkałeś na nie... chceszże teraz grzechem, który potępiałeś obarczyć sumienie? zresztą ile sądzę, komandor do cesarza jedzie, aby mu o zbliżeniu się wrogów zdać sprawę... być może, iż wszechmocny Bóg natchnie go wymową, skłoni Konrada do walki, a przynajmniej do odłożenia na jakiś czas naszego powrotu.

Domysł Janusza czczym nie był, Templaryusz istotnie udał się do cesarza, i wkrótce czterech heroldów ukazało się w głównych punktach obozu, donośnym wykrzykując głosem:

— Saraceni rozbili namioty nad brzegiem Jordanu, cesarz imci chrześcijański na przedstawienie komandora Templaryuszów, pozwala każdemu z rycerzy krucyaty wyprawić się na nich. Galary na przewiezienie pozostałych będą oczekiwać w porcie Edessy.

Mimo tego pozwolenia i zabezpieczenia odwrotu, mała tylko liczba krzyżowców, ludzi pięciuset najwięcej, połączyło się z komandorem i jego orszakiem.

— A więc z całego hufca zachodnich rycerzy, ta szczupła garstka tylko nie zabaczyła swych przysiąg, wykrzyknął Templaryusz z nieukrywanem oburzeniem, biada nam, biada Jeruzalem, biada po trzykroć chrześcijaństwu całemu!

Rozpaczny wykrzyk przejął zgrozą przytomnych, różnorodne uczucia wywołał na ich lica i czoło, nikogo więcej przecież nie skłonił do wyprawy... Janusz Zaklika poskromił oburzenie i skargi komandora słowami:

— Nie grzesz rycerzu, nie poddawaj serca zwątpieniu i boleści, alboż za nic masz pomoc i opiekę wszechmocnego Boga, alboż liczniejszy od twego hufiec orężników wiódł święty Judasz Machabejski, gdy nieprzeliczone tłumy Syryjczyków pokonał?

Rozpogodziło się zasępione Templaryusza oblicze, słowa młodziana wyrzeczone głosem silnym i niby wewnętrzne mocne przekonanie malującym, natchnęły odwagą i ufnością potężny umysł, rękojmią niejako były zwycięstwa... uścisnął przyjacielską dłoń rycerza... dziękuję ci, wyrzekł, staremu żołnierzowi przypomniałeś jego obowiązek; nie skarżyć się mu, nie biadać ale działać wypada. Tak bracia moi w Chrystusie, zwrócił się do orszaku, ten młodzian miał słuszność, szczupłe nasze siły, ale Bóg naszym opiekunem, On wieść nas będzie, nie traćmy zatem czasu, jutrzejsze rano winno nas ujrzeć na skalistych brzegach Jordanu.

Skwarne południowe słońce wysoko wzbiło się na firmament niebiosów, pył nieprzejrzanej okiem pustyni, rozruszany kopytami rumaków, wznosił się bladożółtym gęstym i zaduchliwym tumanem, aż pod obłoki, tchu braknęło rycerzom, dzielne wierzchowce upadały na siłach, nie pomyślano jednak o wytchnieniu, wieczorem dopiero po kilkogodzinnym pochodzie, wstrzymano się na skalistej równinie blisko świętej chrześcijanom rzeki, komandor mówił:

— Tu wypocząć rumakom i sobie należy, znam dobrze okolice, pół mili tylko od obozu Saracenów jesteśmy odlegli... w nocy walka z nimi byłaby niepewną, poczekajmy do wschodu słońca.

Jakoż skoro tylko jutrzenka zabłysła na modrem przestworzu firmamentu, dał hasło pochodu, a właśnie w chwili, gdy słońce ognisty swój okrąg wytoczyło, od strony piaszczystej arabskiej równiny, szczupły zastęp Krzyżowców ujrzał przed sobą groźne hufce Kalifów.

Jak tylko okiem zdołałeś zasięgnąć, zalegały one nadbrzeża mętnego Jordanu, wszędzie błyszczą dzirydy i jatagany, wszędzie bielą się namioty; Janusz wyrzekł do brata:

— I z taką to liczną tłuszczą przyjdzie nam dzisiaj bój toczyć, zaiste obym był fałszywym prorokiem, nasza zguba nieuchronna.

Spytko nie odrzekł nic, ostrą tylko szablę obnażył, widno, że choć wątpliwość w zwycięstwo była, rycerski umysł nie poddał się trwodze, nie straszy niebezpieczeństwo, owszem chwalebny zgon miłym się sercu wydaje.

— Wspomóż nas, dopomagaj nam, Najświętsza Zbawiciela Matko, wykrzyknęli chórem chrześcijanie: Ałłach huekber ałłach bis ałłach, wołali Saraceni, i za danym rozkazem dowódców, w jednej chwili zabrzękły szable, zaświsły strzały i niby dwa nabrzmiałe powodzią potoki, niby dwie burze ciężkie gromem, brzemienne piorunami, spotkało się z sobą.

Godzinę przeszło trwał zacięty bój. Chrześcijanie walczyli dzielnie, bo o śmierć lub życie, niewierni o hańbę lub zwycięstwo, aleź liczebna przewaga górę brać zaczęła, już dzielne roty krzyżowców, zwątlone długą walką, przemagane dziesięćkrotnie liczniejszym wrogiem, uszczuplone w potędze, zaczęły się cofać, zwijać i ustępować, gdy waleczny Spytko, dojrzawszy na niedalekiem wzgórzu zielony Mahometa sztandar, święte godło Islamu, wykrzyknął do brata i do grabiego Jaksy, który także podzielał wyprawę:

— Bracia... widzicie co się dzieje, jeśli wieść będziem bój jak go do tej chwili wiedliśmy, zguba nasza nieuchronna, stanowczy cios tylko ocalić nas zdoła. Spostrzegacie na tym wzgórku powiewającą główną wrogów chorągiew, gdy się nam ją uda zdobyć lub zniszczyć, nieprzyjaciel straci ufność w swą sprawę; naszem będzie zwycięstwo.

I w trop swych słów, spiąwszy ostrogą rumaka poskoczył w nieprzeliczony tłum wrogów, za nim pobiegł Janusz i kilkudziesięciu rycerzy z orszaku grabiego. Barbarzyńcy niespodziewanym a silnym napadem strwożeni, słaby tylko opór stawiali, szczupły orszak chrześcijan, roznosząc na okrąg śmierć i trwogę już był bliskim celu usiłowań, gdy nagle rumak Spytka dosiągnięty czekanem wroga, potknął się i upadł na ziemię, pociągnąwszy jeźdźca za sobą.

Krzyżowcy straciwszy dowódcę, wstrzymali się w pochodzie, to wróciło odwagę barbarzyńcom, zaczęli się skupiać, i o obronie myśleli, ale Janusz naprzód wybiegł, rozumiał, że brat jego poległ, boleścią i zemstą serce zawrzało, rozpacz poruszyła krew, zemścić się lub zginąć, to jego hasło. Za mną bracia, donośnym głosem wykrzyknął, pomścijmy krew dzielnego wojownika... hańba temu co ustąpi... te wyrazy i przykład młodziana, który w całym pędzie rumaka uderzył na bisurmanów, powraca zwątlonym odwagę, bój się rozpoczyna z podwójnym zapałem, ale i Saraceni z pierwszego przestrachu przyszedłszy do siebie, o obronie myślą.. Chrzest zbroi, brzęk szabli, groźne wykrzyki zapełniają powietrze. Chrześcijanie biją się dzielnie, ciężkie ich szable strumieniem krwi zlewają pia-

sek pustyni... lecz jak poprzednio tak i teraz ustępują liczebnej przewadze.

Grabia rzeknie Januszowi:

— Dla Boga, młody przyjacielu, trudno nam dalej wytrzymać, połowa naszych zginęła, reszta znużona... niepodobieństwo przeciągać napad... dokąd czas, o zbawieniu myślmy.

— O zbawieniu, wykrzyknął młodzian, czyś zapomniał grabio o świeżej naszej stracie... brat mój poległ... ach! krew za krew, śmierć im!

I znów groźna jego szabla zabłysła, znów jeden i drugi czerep barbarzyńcy zbluzgał się krwią, ależ świeży hufiec bisurmanów nadbiegł, z wszystkich stron okrążył chrześcijan, klęska ich było nieodzowna, nawet dzielny Janusz to pojął i zwrócił się do towarzyszy... bracia, zawołał, nie ma dla nas nadziei, zginąć potrzeba... zgińmyż więc jak na chrześcijan i na rycerzy przystoi, na stosie trupów niewiernych, z ufnością w miłosierdzie Boskie, w przyszłe szczęśliwe życie.

Nim jednak barbarzyńcy zdołali łacnego dokonać zwycięstwa, dziki przeraźliwy wśród ich hufców wykrzyk rozległ się, wykrzyk ten powtórzyli i inni dalej walczący... na ogorzałych licach maluje się dziwna trwaga. Biada nam biada, powtarzają rozpacznie wszyscy, Ałłach nas opuścił, Mahomet swoje oblicze odwrócił od nas. I wypadek to był jednej chwili... niby trzoda zlęknionego zwierza rozbiegają się w całym pędzie rumaków po niezmiernej pustyni, i nie o walce, nie o zwycięstwie myślą w swoim popłochu, lecz o czemprędszej ucieczce, niby ich ścigała nieomylna dłoń srogiego przeznaczenia.

Chrześcijanie kilka chwil poglądają za pierzchającymi, zdziwieni, nie wiedzą jakiemu cudowi przypisać ocalenie swoje i zwycięstwo. Zagadka przecież wkrótce rozwiązaną była, na skalistym pagórku nie powiewa już złowrogie znamie, zielony Mahometa sztandar... złamała go, zdruzgotała i podarła jakaś dzielna ręka.

Ręka to była Spytka Zakliki.

Upadek z konia nie pozbawił życia dzielnego młodziana, na chwilę tylko odebrał mu przytomność umysłu, skoro jednak przyszedł do siebie, natychmiast dawny projekt w wypełnienie przywiódł, korzystając z zajęcia się barbarzyńców walką z chrześcijańskim oddziałem, przedarł się do groźnego sztandaru... po krótkiej walce z strażnikami zdobył go, i jak to wspomniałem podarł i złamał. Krótka i zwycięska jego walka nie była przecież bez niebezpieczeństwa... Kilka ciężkich razów odebrał, i gdy chrześcijanie radośne wznosząc okrzyki,

zebrali się na wzgórzu, znaleźli młodego rycerza zbroczonego krwią, i leżącego bez sił, na stosie nieprzyjacielskich trupów.

Usilne starania brata i wdzięcznych towarzyszy powróciły go przecież do życia, lecz gdy opatrzywszy rany, Janusz chciał chorego zabrać ze sobą, wzbraniał się, odrzucając pomoc i drżącym głosem wyrzekł:

— Ah! opuść, pozostaw mnie, niech tu zginę, niech umrę nad temi wodami, które ci szczęście przynoszą, zapewniając rękę Przecławy.

— Nie Spytku, — odparł brat starszy, — jej ręka nie moją ale twoją być winna, tobie dank dzisiejszego dnia należy, twoje męstwo i poświęcenie się okupiło nasz tryumf, ocaliło wszystkich.

— Lecz ty bracie, co czynisz, ofiara nie jestże ci ciężka?

— Choćby ona była najcięższą, zniosę ją przecież, alboż palec Boski w całej tej sprawie nie widny? poddać się bez szemrania winienem... los mój rzucony... Grabia Jaksa votum uczynił, że jeśli szczęśliwie do ojczystej ziemi z krucyaty powróci, w swoim dziedzictwie Miechowie klasztor wybuduje, który Bożogrobskim rycerzom nada, ja pierwszy więc wstąpię do niego.

Tym słowom więcej niż balsamom lekarzy winien był Spytko uzdrowienie, gdy przecież przyszedł do zdrowia, i wtedy gdy lotne nawy ryły bezdenne Śródziemnego morza otchłanie, i gdy wracał do rodzinnego kraju pięknemi obszarami Węgier, nie poprzestał walczyć z postanowieniem brata, do zmiany ślubu nakłaniał; nieugięty on w nim był przecie i na wszystkie rady i prośby, odpowiadał:

— Nie, tak być nie może jak chcesz... Co postanowiłem dokonać muszę, ona cię kocha i ty ją kochasz, więcej daleko niż jabym zdołał, rozłączyć was byłoby ciężkim grzechem, zbrodnią nawet, bądźcie więc szczęśliwymi, o mnie się nie troszczcie, czuję w sobie dość siły do cierpliwego zniesienia mojego losu.

Ale choć mówił te słowa obojętnie niby, głos jego był drżący, łza w oczach błyszczała, widno, że i jego miłość, choć cicha i skromna, równie była jak brata wielką; przybywszy przecie do kraju, nie chciał widzieć pięknej krewniaczki, ale osiadł w Krakowie, oczekując na wywiązanie się z ślubu grabiego Jaksy, i jak postanowił, jeden z pierwszych w miechowskim klasztorze, jako mnich Bożogróbskiego zakonu osiadł.

Co do Spytka, ten wkrótce za powrotem z Palestyny nazwał swą żoną Przecławę z Pilicy. Bóg hojnem i licznem po-

tomstwem udarował ten związek, które by na wieczne czasy zachować pamięć świetnych czynów i ślubu ojcowskiego, do rodzinnej nazwy przydomek Jordan dodało. Dotąd wiele znakomitych rodzin nosi go, pokazując tem ile im szanowną i miłą pamięć walecznego naddziada.

(Z powieści i legend Kosińskiego).

Wpływ nauk klasycznych

na religię, rodzinę i społeczeństwo.

„Jeszcze kilkadziesiąt lat pogaństwa w wychowaniu, a w Europie zaginie religia“.

Ks. Possevin.

Ojciec św. Leon XIII wydał, jak wiadomo, w dniu 1 sierpnia roku 1897 z powodu trzechsetletniego jubileuszu błogosł. Piotra Kanizyusa encyklikę do Episkopatu Niemiec, Austryi i Szwajcaryi, zajmującą się szkolnictwem.

Papieskie pismo oddaje na wstępie przedewszystkiem hołd pamięci błog. Piotra Kanizyusa, który w czasach, gdy Luter podniósł sztandar buntu przeciw Kościołowi, stanął do walki w obronie katolicyzmu. Następnie przedstawia encyklika życie i czyny błog. Piotra Kanizyusa, który na wszechnicach w Kolonii, Ingolsztacie i w Wiedniu nauczał teologii, a w liceach i kolegiach jezuickich szerzył katolicką prawdę. Dalej omawia encyklika treść jego pism, które wszystkim umysłom zacnym ukazują drogę prawdy i szczęścia.

Do tego nawiązuje Ojciec św. wskazówki, a między innemi i tę: należy dążyć przedewszystkiem do dwóch rzeczy: a) pierwszą jest, aby katolicy nie zadawalniali się szkołami mięszanemi, lecz wszędzie mieli swoje własne szkoły; b) następnie jest potrzebnem, aby nietylko w przeznaczonych na to godzinach uczono młodzież religii, ale, aby cała reszta nauki była owiana i przejęta duchem chrześcijańskim.

Wobec tej całkiem w porę ogłoszonej encykliki Ojca św. i budzących się nowych prądów w wychowaniu młodzieży, postanowiliśmy wykazać w niniejszej rozprawce: czy i o ile dzisiejszy system nauk klasycznych w wychowaniu odpowiada

intencyom słusznym encykliki Ojca św., jako też wykazać wpływ tych nauk na religię, rodzinę i społeczeństwo.

„Zdziwienie ogarnie kiedyś naszych potomków“ — powiada jeden ze znakomitszych protestantów*) — „gdy się dowiedzą, że społeczeństwo nazywające się chrześcijańskiem! poświęcało 7—8 najpiękniejszych lat młodości swych dzieci wyłącznemu studyowaniu pogan“. Słuszna to bardzo uwaga, gdyż niebezpieczeństwa i szkody, wynikające z tego rodzaju wychowania są — nieobliczone. Klasyczne bowiem pogaństwo w wychowaniu dąży do zgotowania całkowitego upadku chrześcijaństwa; burzy ono chrystyanim, wydając go na łup zapomnienia, pogardy i sfałszowania. Dziecko, pochodzące z rodziny, w której obecnie otrzymuje tylko bardzo powierzchowne chrześcijańskie wychowanie, wstępuje do publicznego naukowego zakładu, gdzie pozostaje 7 do 8 lat. Jeśli nie pierwszą, to drugą łacińską, lub grecką książką, którą mu dają do ręki, jest książka — pogańska, trzecią, czwartą książką jest książka pogańska — słowem: otrzymuje same pogańskie książki aż do ukończenia studyów.

Jego zatrudnieniem każdego dnia, każdej godziny jest ich czytanie, tłómaczenie, uczenie się na pamięć, poznawanie wszelkich czynów pogaństwa od postępków bóstw, aż do postępków wojowników, mowców, filozofów Rzymu i Aten. W klasie słyszy uczeń tylko nazwiska Rzymian i Kartagińczyków. Wyjaśnienia profesorów nie przyswajają mu nigdy, albo prawie nigdy pojęć — chrześcijańskich gruntownie. Żyje on pośród pogaństwa; jego duchowy widnokrąg rozpościera się tylko przypadkowo poza granice Grecyi i Italii. „Góra święta“, Palatyn, Sparta, Teby, Maraton, Termopile, mownica, Kapitol, areopag, forum — to jedyne miejsca, w których przemieszkują jego myśli, jego wyobraźnia, jego pamięć.

— No, — powie ten i ów — ale czyż nie uczą religii we wszelkich naukowych zakładach zarówno świeckich jak i zakonnych, duchownych?

To prawda: religia figuruje tam jak każda inna umiejętność w naukowych programach. Prawda: każdy z tych zakładów posiada duchownego, który odprawia Mszę świętą i dwa razy, lub więcej na tydzień udziela młodzieży mniej, lub więcej racyonalnej, mniej, lub więcej filozoficznej nauki religii.

---

*) Gasparin.

Czy atoli w ten sposób przyswojona religia ochroni młodzież od indyferentyzmu religijnego? Bynajmniej. Zanim powiemy: dlaczego, zaznaczamy przedewszystkiem, że wina w tej mierze ciąży nie na osobach, ale na systemie wychowania.

Nasycony deizmem, aby więcej nie powiedzieć, upatruje dzisiejszy system naukowy w religii tylko umiejętność uboczną, której zakres działania ograniczono, a nie — jak być powinno i czego nigdy wobec klasyków pogańskich dopiąć nie można — umiejętność uniwersalną, umiejętność wszechumiejętności, która codzień, co godzinę udzielana we wszelkich książkach jakie uczeń studyuje, powinna naturalnym sposobem wytryskać: jak woń tchnie z kwiecia. W istocie nie z jednej tylko książki, ale ze wszelkich książek, nietylko z ust jednego nauczyciela, lecz z ust wszystkich nauczycieli powinna płynąć religia, aby raz opowiedzieć jakieś zdarzenie z jej dziejów, lub cnotę którego z jej wielkich mężów, zasadę ewangelii, innym razem aby wpłynąć na serce dziecka, sprostować błąd jego młodocianego rozumu, rozwinąć jego kiełkujące szlachetne usposobienie, to znowu aby mu objawić ukrytą przyczynę jakiego przewrotu w dziejach świata, lub ważnego zdarzenia — a zawsze, aby mu wykazać, że ona jest jedynem źródłem piękna, dobra, prawdy, duszą, okiem, wskazówką kierującą, wonią wszelkich umiejętności, które ona ożywia, uszlachetnia, porządkuje, objaśnia i doprowadza do ostatecznego celu wszech rzeczy, t. j. do uwielbienia Boga i zbawienia ludzi.

Tem powinna być religia, a tem nie jest. Możnaż tutaj jeszcze zapoznawać błąd zasadniczy, który w naszym pogańskim systemie wychowania religię podaje i zawsze podawać będzie na łup zapomnienia? Uczniowie przysłuchiwać się będą nauce religii jak każdej innej nauce, może z nieco mniejszą uwagą, a nieco większą niechęcią. W oczach dziecka pozostanie religia nieustannie oderwaną, od jego reszty studyów oddzieloną umiejętnością, której się można uczyć, lub ją zapomnieć; a całą zasługą, lub winą jest tutaj jedynie większy, lub mniejszy zasób pozyskanych w tym przedmiocie wiadomości. To znaczy: uczeń będzie się uczył religii jak języka francuskiego, lub innego godzinę, lub 2 godziny tygodniowo, a po upływie 5 lat nie podoła czytać jakieś dzieło ze zrozumieniem, a tem mniej rozmawiać dotyczącym językiem. Stwierdza to życie codzienne, albowiem młodzieńcy po ukończeniu wszechnicy, zająwszy w społeczeństwie odpowiednie stanowiska o wiele niedokładniej znają religię i o niej o wiele niedokładniej sądzą, aniżeli niewiasty i lud pospolity.

Wobec codziennie, każdej niemal godziny wykładanych nauk pogańskich, kilkugodzinna w tygodniu nauka religii nie zdoła prawdziwie religijnego społeczeństwa wykształcić. „Czemże jest“ — zauważa słusznie ks. Possevin — „kilka kropel czystego wina, jeśli ono ma złagodzić całą beczkę octu?“ O wartości tego rodzaju nauki wyraża się pewnie niepośledni znawca Keratry: „Nie łudźmy się bynajmniej: nie obecność księdza (katechety) w oznaczonym dniu, chociażby to był ksiądz w wysokim stopniu czcigodny, wpaja w umysł dzieci usposobienie religijne, utrzymując się jakiś czas. Pozyskuje się ono jedynie przez nieprzerwany związek nauki, w którą prawo Boże jest niejako wlane. Toż i czysto umiejętne studya muszą doznać jej wpływu“. Cóżby się stało, gdyby się dogmat stał przedmiotem powątpiewania? Młodzieży potrzeba w rzeczach religii prawd niezaprzeczonych, gdyż wiara, której można w czemkolwiek zaprzeczyć, staje się dla niej wiarą — martwą. Dzisiaj w naukowych zakładach powszechnie uwydatniają i to tylko dzielni i świątobliwi profesorowie religią jedynie pośrednio, nie bez mozołu dla kontrastu i przeciwstawienia. Stąd wynika ta przewrotność, że pogaństwo stanowi tam właściwą biesiadę, a chrystyanizm jest tylko jej — wetami. Dalszem zaś następstwem jest mniej, lub więcej gruntowna znajomość pogaństwa, a o wiele większa nieznajomość chrystyanizmu, aniżeli ludzie ogólnie mniemają.

Od lat 300 tak się działo i tak się dzisiaj w szkołach jeszcze dzieje, pomimo gorliwości i cnotliwości naszych nauczycieli, którym wszelką wymierzamy sprawiedliwość. Po opuszczeniu szkoły umieliśmy na pamięć nazwiska, dzieje, atrybuty, przygody bogów i bogiń mitologicznych; znaliśmy: Danaidy i Parki, Ixyona i jego koło, Tantala i jego srogą karę, gęsi kapitolińskie i kurczęta Klaudyusa. Moglibyśmy byli napisać bez błędów życiorysy Minosa, Eaka i Radomanta, Kodrusa i Tarkwiniusa, Epaminondasa, Scypiona i Hannibala, Cycerona i Demostenesa, jak niemniej Aleksandra i Cezara, Owidego, Salustyusa, Wergilego i Homera. Lykurg, Sokrates, Pluto, Flaminy, igrzyska cyrku i amfiteatru, ofiary, uroczystości, komicye narodu „światowładnego“ — to były znane nam rzeczy. Słowem: posiadaliśmy wszystkę onę uczoność, której można było spodziewać się u wszystkich młodych mężów Rzymu i Aten, potomków Brutusa i Grachów, przyszłych ozdób forum, wielbicieli i desygnowanych kapłanów Jowisza i Saturna. Gdyby atoli nas był ktoś przypadkiem przeniósł w świat chrześcijański i zapytał o nazwiska dwunastu Apostołów, o ilość

napisanych przez nich listów, gdyby się dowiadywał o naszych Świętych i Męczenników, o nasze bohatery i ozdoby, o takich Złotoustych, Augustynów, Atanazyusów, Ambrożych — królów krasomowstwa i chrześcijańskiej filozofii, ojców nowego świata, nauczycieli w umiejętności życia, gdyby był zapytał nas, o ich dzieci — dzieci Kościoła i Męczenników: kiedy się oni urodzili, jakie staczali walki, jakie napisali dzieła, jakie czyny zjednały im podziw stuleci i cześć świata, natenczas te pytania byłyby dla nas mową — obcą. Mniej chwalebny rumieniec i upokarzające ubezwładnienie naszych ust obudziłyby politowanie u osób współczujących, odsłaniając równocześnie potworną niedorzeczność naszych studyów klasycznych. Te są dzieje naszej przeszłości, a może także dzieje i wielu innych.

A może ktoś powie, że ta smutna niewiadomość w sprawie religii później nastąpi? Proszę: a iluż znacie młodych ludzi, dojrzałych mężów w różnorodnych klasach społeczeństwa, którzyby po opuszczeniu szkół poświęcili na seryo studyowaniu religii bodaj dwadzieścia cztery godziny? Ile przeciwnie ludzi możnaby przytoczyć, którzy zamiast uzupełniania swych religijnych wiadomości — zasadnicze pojęcia katechizmu uronili i to uronili oddawna! Klasyczne pogaństwo przekazuje więc zasmucającym sposobem niezmierną większość wykształconych w wieczystej niewiadomości w sprawach religii.

Pogaństwo wydaje religią na łup pogardzie.

Nie zapominajmy, cośmy powiedzieli, że religia jest umiejętnością uniwersalną, alfą i omegą wszech rzeczy! Do niej można zastósować literalnie to, co o teologii orzekł św. Tomasz. „Umiejętność teologiczna panuje nad wszystkiemi innemi umiejętnościami, gdyż jest najwznioślejszą ze wszystkich. Pod jej rozkazami pracują one wszystkie; ona utrzymuje wszystkie w swej służbie, ponieważ jej zadaniem jest wprowadzanie ich w ruch — tak, że dążność, cel i treść każdej umiejętności są zawarte w celach religii i do nich przeznaczone, umiejętność religii musi panować nad resztą umiejętności i zastósowywać wszelkie ich nauki [1]).

Stąd wynika, że religia w myślach, studyach, poszanowaniu i podziwie każdego człowieka nie ma nic wyższego nad siebie, nic równie wzniosłego; że jej natchnienia, jej nauki, czyny, walki i tryumfy, jej ludzie, ozdoby i dzieła mistrzowskie są wyższe nad wszelkie porównanie. Jej samej przypada

---

[1]) St. Thomas: „Theologia imperat omnibus aliis scientiis tamquam principalis“ etc. etc.

stanowisko książęce; każde inne uwłacza jej godności. Jest ona królową, albo niczem — aut nihil, aut Cesar! Stawiając zatem pogaństwo i piśmienne, artystyczne, historyczne, umnicze i filozoficzne chrześcijaństwo w równej linii, dozwala się obojgu podzielić rządy w dziedzinie idei i przyznaje się im równy stopień w szacunku młodzieży. Gdy się zaś postawi pogaństwo wyżej nad chrześcijaństwo, natenczas przekazuje mu się berło idei i wyznacza honorowe miejsce w szacunku młodzieży — uwłacza się godności chrystyanizmu, niweczy je ile możności na niekorzyść podrastających pokoleń, gdyż pierwsze wrażenia tworzą ich istotę moralną, aż do zgonu.

Od XVI stulecia przemawiają profesorowie z katedry w szkołach do młodzieży: „Mili młodzi przyjaciele! w starożytności istniały dwa uprzywilejowane kraje, w których przez długie czasy i wyłącznie przemieszkiwały: geniusz wymowy, poezyi, historyi, filozofii, architektury rzeźbiarstwa, wszelkich sztuk i umiejętności. W tych krajach urodzili się najwięksi mężowie, jakich tylko świat poznał. Rzym i Ateny były ojczyzną najsłynniejszych bohaterów — Grecya i Italia widownią najwięcej pamięci i waszego studyowania godnych czynów: tam byli ludzie i sprawy — wszystko niepospolite“. Wyliczywszy następnie cały szereg słynnych nazwisk zachęcają profesorowie młodzież słowami: „Patrzcie na ich dzieła i czyny! Będziecie mieli szczęście studyowania jednych, naśladowanie drugich poczytywać sobie będziecie za obowiązek. Uczcie się myśleć, czuć, mówić jak oni, jeśli pragniecie należycie myśleć, należycie czuć i należycie mówić! Wypada nam tylko uprzedzić was, że ci wielcy mężowie nie byli chrześcijanami, lecz to nie czyni żadnej ujmy ani ich mistrzowskim dziełom, ani ich pięknym czynom“.

Zdziwiona młodzież wierzy słowom swych nauczycieli, podziwia za ich wskazówką i poczyna pogardzać wszystkiem, co tylko w piśmiennictwie, poezyi, filozofii, w historyi, umiejętnościach i sztukach nie ma początku pogańskiego. Tego rodzaju przesadne pochwały utwierdzają pogaństwo w wychowaniu chciwej wrażeń duszy młodzieży. A te zachwalenia powtarzane bywają codziennie w ciągu 8 lat, w których człowiek buduje podwaliny swego przyszłego życia!

Słusznie też zapytuje francuski dostojnik Kościoła [1]): „Moi panowie! czyliż nie przyznacie, że tego rodzaju lekkomyślnie

[1]) Ks. Biskup z Langres w liście do naczelnika i dyrektorów swego małego seminaryum.

i nieustannie udzielane nauki z czasem muszą osłabiać uczucie wiary i obudzać nieumiarkowaną dumę rozumu? Czyliż zuchwałem byłoby zatem twierdzenie, że podnosząc tym sposobem wszędzie dzieła człowieka na dotkliwą niekorzyść Objawienia, które jest szczególniejszem dziełem Boga, toruje się drogi bezwstydnemu racyonalizmowi, który jawnie tak daleko się posunął, że już tylko samego siebie ubóstwia?“

Pogarda religii — nieuniknione następstwo klasycznego pogańskiego żywiołu w wychowaniu w celu pojawienia się nie czeka bynajmniej na dojrzałe lata w życiu. Zdradza się ona już w szkole widocznym brakiem pobożności, głęboko zakorzenioną niechęcią wobec obowiązków chrystyanizmu i nauki religii, niedowiarstwem i zepsuciem moralnem. Dwojaki to trąd, który mlekiem pogaństwa karmiony, toczy generacye. Objawia się ona szczególnie w usposobieniu nauczycieli i wychowanków względem osoby, w której jest uosobiona religia. W ich oczach kapłan, chociażby jak najwięcej cnotliwy i utalentowany nie jest już mężem — niezbędnym, mężem, któregoby nauki u największej liczby sluchaczy budziły zapał, któregoby słowa nakazywały największą cześć i pozyskiwały najwięcej miłości. Bywa on dzisiaj kimś, kto nie znachodzi już żadnej nazwy w mowie podziwienia, a jeszcze mniej w mowie miłującego serca, ponieważ sama idea, której on jest przedstawicielem, zajmuje tylko bardzo podrzędne miejsce w poszanowaniu, nie znachodząc atoli wcale żadnego pomieszczenia w przywiązaniu otaczających go osób. Dla jednych bywa kapłan (o zuchwała zniewago!) — najemnikiem, udzielającym codziennie nauki za otrzymywaną zapłatę; dla drugich bywa on profesorem religii, nauczycielem moralności, który w oznaczonych godzinach naucza, starając się w duszach słuchaczy obudzić nie wiarę w święte prawdy, ale tylko oschłe i jałowe przekonanie podobnie: jak to czyni profesor algebry, rozwiązujący swe problematy.

Pogańskie nauki klasyczne w wychowaniu wydają wreszcie religię na łup sfałszowania.

Czemże to jest chrystyanizm? Jest on religią ducha, religią wierności. Obawę, pogardę i rezygnacyę wobec bogactw, zaszczytów i rozkoszy doczesnych, zaparcie siebie samego, umartwienie ciała w celu przywrócenia duszy jej prawowitego panowania: to głosi chrystyanizm od kolebki aż do wstąpienia na górę Kalwaryjską, od kolebki aż do grobu, od początkowej karty ewangelii aż do ostatniej. Błogosławieni pokorni, błogosławieni ubodzy, błogosławieni,

którzy cierpią! Biada bogaczom, możnym i szczęśliwym tego świata: te są zasady chrystyanizmu.

Czem jest chrystyanizm jeszcze? Jest on religią nadnaturalną, odrzucającą wszelkie ludzkie pobudki, wszelkie jedynie naturalne zamiary, a zatem i wszelkie cnoty, które nie wypływają ze źródła łaski (Bożej). Spełniajcie swe dobre dzieła, piękne czyny nie przed ludźmi, inaczej nie otrzymacie nagrody od swego Ojca, który jest w niebiesiech! Pozostawajcie przez miłość w zjednoczeniu ze swym Boskim, Pośrednikiem; jak jest zespolone grono z winną macicą, która je żywi i utrzymuje, inaczej mieć nie będziecie żadnych zasług; owszem będziecie drzewami, nie rodzącemi owoców, nieprzydatnymi sługami, którzy ze związanemi rękami i nogami zostaną wrzuceni w największe ciemności. Czystość zamiarów i uświęcająca łaska Boża: to dla chrystyanizmu dwa nieodzowne warunki cnót prawdziwych; bez nich nie zna on cnót — innych, nie nagradza cnót innych.

Czemże jest w końcu chrystyanizm? Jest on religią miłości, a więc prawdziwej wolności i równości wszystkich ludzi; jest on religią czułego lgnienia ku ubogim, ubogich ku bogaczom — jest religijnem poszanowaniem człowieka jednego względem drugiego, a osobliwie względem istot słabych: względem dziecka, niewiasty, względem ubogich, chorych, uwięzionych i sług. Będziesz miłował bliźniego jak siebie samego! Po tem poznają, że jesteście mymi uczniami, gdy się miłować będziecie wzajemnie — nietylko ustami i słowy, ale w prawdzie i przez rzetelne uczynki. Tem jest duch chrystyanizmu.

No, a czemże jest pogaństwo? Pogaństwo jest przeciwieństwem chrystyanizmu. Jest ono religią zmysłów, religią czasu — ubóstwieniem materyi, zamiłowaniem bogactw, zamiłowaniem zaszczytów i przyjemności. Błogosławieni są bogaci, błogosławieni możni, błogosławieni pławiący się na łonie rozkoszy: to opiewa pogaństwo, to ono miłuje, to wychwala przykładem swych ludzi i bożyszcz, głosem swych dziejopisów, swych poetów, swych mowców, artystów i tych wszystkich, których naszej młodzieży podaje się za wzory.

Czem jest pogaństwo dalej? Jest ono naturalizmem ze względu na cnotę. Uznaje ono cnoty, wypływające z zamysłów ludzkich, z chęci pozyskania sobie imienia, z kaprysu, charakteru i temperamentu — cnoty bez łaski uświęcającej, która sama jedna może je pożytecznemi uczynić dla wieczystego celu człowieka, — cnoty pozorne, spełniane dla „ludz-

kiego oka“, za które spełniający je szukają potajemnie odszkodowania. I dlatego to napotykamy dziejopisów, mowców, moralistów — ludzi jak Salustyusa, Senekę, Cycerona, prawiących wymownie o umiarkowaniu, którzy występują przeciw żądzy sławy i niemoralności, a przecie w swem życiu prywatnem ciągle wstydliwość, umiarkowanie i wszelkie cnoty naruszają.

Czem jest w końcu pogaństwo? Jest ono religią powszechnej nienawiści, religią niewoli i głęboko zakorzenionej pogardy człowieka względem człowieka, a osobliwie istot słabych, które ona nogami depta, albo czyni narzędziem najbrutalniejszych rozkoszy, — względem dziecka, które ona dozwala zabić, sprzedać, lub porzucić, względem niewiasty, którą skazuje na ohydną niewolę, względem ubogich, których swą pogardą ściga i nazywa nieczystem zwierzęciem, względem chorych, których na łożu boleści przekazuje wrzekomemu pielęgnowaniu Eskulapa, względem więźniów, których dusi, względem niewolników, których niżej ceni, aniżeli psa, który swego pana bawi, albo zwierzę juczne, które mu dźwiga ciężary. Tem jest pogaństwo w swych zasadach, w swym duchu i w swych postępkach.

Słowem: chrystyanizm jest uwielbieniem ducha, pogaństwo uwielbieniem ciała — z jednej strony spirytualizm, z drugiej sensualizm: ta jest przeciwna zasadnicza treść tego obojga religii.

To pogaństwo zaś naucza naszą młodzież, jego nauka jest tem skuteczniejsza, że jest wszędzie czynną, przyjmuje wszelkie postacie i wszelkim sposobem się wkrada, albowiem tchnie naturalnie jak woń z kwiecia z każdej książki, z każdej stronnicy, z każdego wyrażenia, które uczeń musi podziwiać, odczytywać, studyować, pojmować, tłómaczyć, uczyć się na pamięć i to codziennie, każdej godziny w ciągu dnia przez całe 8 lat!

A cóż stać się może pod tego rodzaju wływem z duchem chrześcijańskim? Ach, on popada w sfałszowanie, zwątlenie i gaśnie. Znika ład nadprzyrodzony — pozostaje sam naturalizm. Człowiek staje się tem, czem go czyni wychowanie — tutaj zatem pogańskim. Proszę też, popatrzeć: czyli sensualizm i egoizm nie rozpowszechniły się po całej Europie? Czyliż one nie wnikają mniej, lub więcej we wszystkie dusze, we wszystkie sztuki, we wszystkie umiejętności, we wszelkie życie od poczynającego się aż do zbliżającego się do końca?

Jeśli w tym duchu wychowana młodzież zajmie się przypadkiem polityką, wtenczas bywa konserwatywną pod rządami

monarchicznemi, a reakcyjną pod rządami republikańskiemi. Ci panowie należą do wielkiego stronnictwa ładu; są oni zdania, że religia jest konieczną dla ludu, jakkolwiek sami w nic nie wierzą; bronią oni rodzinę w ogólności, lecz swoją własną zasmucają swem lenistwem i rujnują ją później swem marnotrawstwem, bronią także i miłują własność, ale bez pracy. Są już ci wyjątki: — wiemy o tem — obudzają one zwykle pośmiewisko w swem otoczeniu. „W najwyższej szkole — wszechnicy, w tak zwanej szkole normalnej we Francyi była nauka filozofii przed niedawnemi czasy przedmiotem wszelkiej ambicyi; obecnie wzgardzona znajduje trudne i liche praktykowanie. I skądże to poszło? Wybierano ją niegdyś, ponieważ ona była pewną jak każda inna nauka; obecnie jest ona niebezpieczną i doznaje prześladowania — dzisiaj odwracają się od niej. A wy, moi młodzi towarzysze, powinniście się właśnie ku niej z zamiłowaniem zwrócić“ [1]. (Dokończenie nastąpi).

Kasy Raiffeisena

jako środek do podniesienia ekonomicznego włościan.

Nędza wśród ludu wiejskiego jest faktem powszechnie znanym. Różne się składały przyczyny na ten smutny stan ekonomiczny naszego włościanina, ale główną przyczyną jest bezsprzecznie wyzysk i lichwa, uprawiana przez żydów, do których włościanin w potrzebie uciekać się musi, nie mając gdzieindziej łatwego i przystępnego kredytu.

Dziś lud wiejski dużo bardzo ma przyjaciół, co go formalnie rozdzierają. Ludowcy pod egidą *Przyjaciela Ludu* i wodzów Stapińskich, Winkowskich i t. p. obiecują chłopu złote góry, X. Stojałowski ze swoją falangą w licytacyi idzie dalej jeszcze, a już socyaliści w obietnicach nie mają granic, rozdają chłopom grunta i lasy dworskie; wogóle każde stronnictwo obiecanką stara się miliony siermiężnego ludu zwabić do swego obozu; w pogoni za popularnością w ostatnim szeregu stoi konserwatysta-stańczyk, ale ponieważ on zjawi się chłopu i brata się z nim tylko przy wyborczej kiełbasie, więc traci wśród ludu mir na korzyść stronnictw ruchliwszych, których wysłańcy nie wychodzą ze wsi, stykają się z chłopem w chałupie, karczmie, na jarmarku i t. d.

[1]) Jaques, profesor filozofii w Paryżu.

Ale z tych wszystkich pięknych słówek, któremi się lud bałamuci na wiecach, dotąd przynajmniej żadnej chłop nie odniósł korzyści — pogłębiła się tylko zawiść kastowa — obiecanki zaś zostały obiecankami. Wybrani przedstawiciele ludowców, stojałowszczyków i socyalistów zamiast pracować dla dobra ludu — dopomogli tylko skutecznie do ubezwładnienia Rady Państwa.

Lecz nie miejsce tu zajmować się polityką, chcemy tylko powiedzieć, że prawdziwy przyjaciel ludu nie samemi obietnicami powinien lud ten karmić, ale powinien działać, przyczyniać się do podniesienia z nędzy i wyrwania chłopa z rąk lichwy. Kto się do tej zaprzągnie pracy, ten jest ludu przyjacielem.

Takim przyjacielem ludu był w Niemczech w okolicach nadreńskich Fryderyk Wilhelm Raiffeisen.

Ekonomiczny stan ludności wiejskiej w okolicach nadreńskich był równie rozpaczliwy jak obecnie ma się rzecz u nas. Lichwa tak się rozwielmożniła, że chłop nieraz i bydlęcia swego nie posiadał, i brał je od żyda lichwiarza na użytkowanie za wysoką dopłatą. Dodajmy do tego ciemnotę, lekkomyślność, bezradność, a będziemy mieli podobny do naszych stosunków wiejskich obrazek. Lud bezradny, uciskany przez lichwę, wyzbywał się ojcowizny i szedł za morza i w służbę, bo nie było co jeść, co siać, czem orać.

Raiffeisen, który był wtedy burmistrzem w Flammersfeld, długo rozmyślał nad sposobem przyjścia w pomoc sąsiadom i owocem tych rozmyślań było założenie pierwszej spółki pożyczkowej z celem zwalczania lichwy. Pierwszą działalnością tej spółki było udzielać rolnikom pożyczek na kupno własnego bydła, następnie na spłatę długów lichwiarskich, a wreszcie na poprawę gospodarstw.

Długo musiał Raiffeisen walczyć z obojętnością ludu, któremu chciał dopomódz, długie walki staczał z lichwiarzami, którzy uczuli, że im się grunt z pod stóp usuwa, którzy nawet posunęli się do denuncyacyi, przedstawiając filantropijną działalność Raiffeisena jako niebezpieczną dla państwa. Nareszcie pokonał zacny filantrop wszystkie przeszkody, a komisarz wysłany na śledztwo stwierdził nietylko pożyteczną działalność spółek pożyczkowych, lecz nadto oddał założycielowi ich najwyższą pochwałę, przytaczając słowa starego miejscowego proboszcza: „Zaręczyć Panu mogę, że spółka Raiffeisena przyczyniła się więcej do umoralnienia moich parafian, niż wszystkie moje długoletnie kazania“.

Rząd niemiecki przyszedłszy do przekonania, że spółki systemu Raiffeisena są znakomitym czynnikiem ekonomicznego rozwoju włościaństwa, zaczął je popierać moralnie i materyalnie i dziś całe Niemcy zasiane spółkami tego systemu.

Dla przykładu jak się tam system kas Raiffeisenowskich przyjął i jakie korzyści oddaje włościanom, przytoczymy cyfry Związku Generalnego w Neuwied za rok 1896.

Związek w Neuwied obejmuje 2445 spółek z 173043 członkami.

Przychody wynosiły . .	103,803.762	marek
Rozchody	98,570.329	„
Fundusz rezerwowy . .	3,152.980	„

Takich generalnych związków jest w Niemczech 4.

Za przykładem Niemiec poszły niektóre kraje austryackie jak Austrya wyższa i niższa, Czechy, Morawy, Śląsk, i widzimy obecnie w tych krajach cały szereg spółek Raiffeisenowskich z tysiącami członków z milionowymi obrotami, a wszędzie spółki te jednakowe błogą działalność swoją rozwijają, uwalniając chłopa od lichwy i wyzysku, dając tani a łatwy kredyt, podnosząc gospodarstwa włościańskie, a nawet pośrednicząc w sprzedaży i kupnie artykułów gospodarczych i płodów rolniczych.

U nas w Galicyi początek na tem polu również zrobiony dzięki inicyatywie ludzi dobrej woli — prawdziwych przyjaciół ludu. Kas systemu Raiffeisena mamy w kraju 15. Najstarsza w Czernichowie liczyła w r. 1896 członków 713 z rocznym obrotem kasowym 99.329 złr. Obecnie akcya celem zakładania spółek Raiffeisenowskich weszła na pomyślniejsze tory; Wydział krajowy przedłożył sejmowi sprawozdanie w tym przedmiocie z wnioskiem popierania zakładania tych spółek przez dostarczanie pieniędzy na koszta założenia i niewielkiego kapitału na pierwsze potrzeby spółki. Chodzi tylko, aby się w kraju znalazła odpowiednia ilość ludzi chętnych, którzyby się podjęli w pierwszym rzędzie zachęty włościan do zapisywania się na członków spółki, a następnie do prowadzenia interesów spółki.

Kto tu pierwszy stanie do roboty, nie cofając się przed obojętnością, uprzedzeniem, niechęcią i trudem, ten zyska sobie wdzięczność ludu, ten zyska wpływ na lud — oprócz własnego zadowolenia, że wypełnił święty obowiązek obywatelski, pomagając ludności do wydobycia się z zależności ekonomicznej, do podniesienia się ogólnego dobrobytu.

A teraz kilka słów o celu urządzenia spółek systemu Raiffeisena i sposobie manipulacyi.

Raiffeisen był człowiekiem nawskróś religijnym, a głęboka miłość bliźniego uczyniła go czułym na nędzę współbraci. To też spółki jego systemu noszą na sobie wybitne piętno humanitarnych instytucyj, bo założyciel żądał od członków kierowania się zawsze miłością bliźniego.

Ta miłość bliźniego stanowi nić przewodnią spółek i łączy zamożnych z ubogimi, żądając od bogatszych pewnej ofiarności na rzecz uboższych; bogatsi bowiem przystępując do spółki wzmacniają samem przystąpieniem podstawę spółki, bo ręczą solidarnie (jeden za wszystkich, wszyscy za jednego) swoim majątkiem, a nadto lokując swoje oszczędności w spółce dają jej potrzebny obrotowy kapitał. Bogatsi i inteligentniejsi stanowią także zwykle zarząd spółki bezinteresownie.

Celem spółki jest polepszyć stosunki członków pod względem moralnym i materyalnym przez uzyskanie pod wspólną gwarancyą środków pieniężnych dla udzielania pożyczek i dla tępienia lichwy.

Jakie lichwa spustoszenia szerzy wśród ludu naszego, nie potrzeba wspominać, a najskuteczniej zwalczy ją instytucya miejscowa, gdzie potrzebujący kredytu znajdzie go zawsze bez trudu, bez kosztów, a więc łatwo i do tego tanio.

Zadaniem więc spółek Raiffeisena jest w pierwszym rzędzie ratować tych, co popadli w kleszcze lichwy i zapobiegać, aby nowe ofiary lichwy się nie mnożyły.

Drugiem zadaniem spółki jest popieranie oszczędności przez przyjmowanie najdrobniejszych wkładek i ich oprocentowanie, a przez to wyrobi się w ludzie zmysł oszczędności, a zatem idzie większa moralność, pracowitość.

Spółki Raiffeisena obejmują małe okręgi, parafię lub jedną wieś. W małym takim okręgu znają się wszyscy dokładnie i zarząd ma zawsze pewne dane o stosunkach majątkowych, o moralnej wartości starającego się o pożyczkę i jego wierzycieli; tylko w tak małym okręgu wytworzy się pomiędzy członkami pewna łączność, troskliwość o siebie, co jest wielkim umoralniającym czynnikiem; tylko w małym okręgu prowadzenie zarządu bezpłatne nie pociąga za sobą zbyt wielkich ofiar, a nadto umożliwia lokowanie bez trudu i zachodu drobnych zwykle oszczędności. Warunkiem spółki jest poręka zwykle nieograniczona. Za nieograniczoną poręką przemawia to, że łatwiej jest uzyskać potrzebne kapitały do prowadzenia interesów, a choć na oko ryzyko członków większe, to doświadczenie uczy, że jeszcze żadna spółka Raiffeisenowska wskutek nieograniczonej poręki nie poniosła straty. Z uwagi jednak, że zarząd sam interesowany baczy na to, aby tylko tacy członkowie otrzymali pożyczkę, którzy tak swoimi stosunkami gospodarskimi jak i osobistym charakterem dają gwarancyę, że udzielonego im kredytu użyją dobrze; aby ręczyciele również posiadali odpowiednie warunki, zważywszy także na wzgląd, że dłużnik spółki jest przez wszystkich członków spółki niejako kontrolowany i w razie

wątpliwym może mu być pożyczka wypowiedziana z terminem 4-tygodniowym, to niebezpieczeństwo nieograniczonej poręki schodzi do minimum, a jak wspomnieliśmy, że w dotychczasowej praktyce nie było jeszcze wypadku, żeby którykolwiek z członków spółki Raiffeisenowskiej poniósł choć najdrobniejszą stratę z powodu nieograniczonej poręki.

Można tu zarzucić i przytoczyć przykłady, że wiele Towarzystw zaliczkowych, opartych na poręce nieograniczonej, upadło i pociągnęło za sobą ruinę członków; tak, ale to były bankowe przedsiębiorstwa o szerokim terenie działania, o tysiącach członków, gdzie kontrola trudna, gdzie członek rzemieślnik lub kupiec, nie mający stałego mienia, nie dawał żadnej pewnej gwarancyi pokrycia pożyczki, tu zaś w ograniczonem kółku, gdzie wszyscy się znają, gdzie wszyscy stowarzyszeni mają ziemię, na której wartości oparta pożyczka, o takiem niebezpieczeństwie nie może być mowy.

Każdy członek wpłaca pewny drobny udział najwyżej 5 złr., który może być rozłożony do wpłaty ratami; udział ten się procentuje.

F u n d u s z e spółki składają się z udziałów, z wkładek oszczędności i z pożyczek, zaciąganych na cele spółki. Udziały zwykle niskie, przeto kapitał z nich powstały nie bardzo zaważy na szali.

Wkładki oszczędności mogą tu główną rolę odgrywać, jeżeli się zachęci lud do lokowania swych oszczędności w kasie spółki. Lokować mogą swoje oszczędności wszyscy, członkowie i nieczłonkowie, przyjmować należy najdrobniejsze wkładki nawet centowe, i w ten sposób wdrażać zmysł oszczędności u ludności tak dorosłej jak i dzieci. Wkładki procentują się, osiągnąwszy pewną kwotę n. p. koronę. Większych wkładek, któreby zaraz w ruch nie mogły być puszczone, spółka przyjmować nie powinna.

Ważną rzeczą są pożyczki, zaciągnięte przez spółkę celem udzielenia pożyczek swoim członkom. Przy spółce o nieograniczonej poręce łatwo jest znaleść instytucyę lub kapitalistę, który udzieli żądanej pożyczki, ma bowiem pewną gwarancyę w solidarnej poręce członków i ich majątku. Sprawa ta o tyle się jeszcze uprości, że Wydział krajowy postawił już Sejmowi wniosek, aby corocznie wstawiać do budżetu 20.000 złr. na zasilanie kapitałem powstających kas Raiffeisenowskich.

Niewykluczoną rzeczą są także darowizny i subwencye, które fundusze spółki zasilać mogą, lecz się na nie, nie reflektuje.

Zyskiem spółki jest różnica między stopą procentową, którą płaci spółka od zaciągniętych pożyczek, względnie od udziałów

i wkładek oszczędności, a procentem, który od swoich dłużników pobiera.

Sprawami spółki zajmuje się: 1) Walne Zgromadzenie członków, 2) Rada nadzorcza, 3) Zarząd.

Zarząd składa się z kilku (5) członków i kasyera, wybranych przez Walne Zgromadzenie. Wszyscy z wyjątkiem kasyera, który prowadzi rachunki, urzędują bezpłatnie. Zarząd udziela pożyczek, przyjmuje wkładki oszczędności, zaciąga pożyczki, ściąga wierzytelności, składa Radzie Nadzorczej sprawozdanie z czynności i bilans obrotów kasowych.

Rada Nadzorcza z tyluż członków kontroluje czynności zarządu, szkontruje kasę, sprawdza bilans i przedkłada go Walnemu Zgromadzeniu.

Walne Zgromadzenie udziela absolutoryum — wybiera Zarząd i Radę Nadzorczą, ustanawia stopę procentową, wogóle decyduje o wszystkich sprawach spółki.

Szerszy zakres działania powołanych do Zarządu spółki czynników określa dokładnie statut wzorowy, który interesowanym Wydział krajowy lub Zarząd Kółek rolniczych udzielić może.

Pojedyncze spółki łączą się w Związki, a jak u nas projektowano, podlegać będą Wydziałowi krajowemu, jako Patronatowi spółek, którego zadaniem dbać o rozwój spółek i popierać skutecznie ich interesa.

Znający smutne stosunki wsi naszych przyznać musi, że powołanie do życia kas Raiffeisenowskich byłoby dla naszej ludności wiejskiej dobrodziejstwem; wydarłoby bowiem chłopa naszego z rąk lichwiarzy, dając mu w miejscu kredyt zdrowy, bo łatwy i tani, wpłynęłoby na podniesienie gospodarstwa, umożliwiając zapomocą taniej a dogodnej pożyczki czy pomnożenie inwentarza żywego, czy kupno maszyny gospodarczej, czy melioracyę gruntu, czy wreszcie kupno kawałka ziemi. Dodać tu trzeba, że spółki Raiffeisenowskie wzmogłszy się na siłach, obejmują i inne pola działalności ekonomicznej, a mianowicie pośredniczą w zbyciu płodów rolnych, w zakupnie nasion, maszyn, nawozów, w kupnie gruntów i t. p., oddając swoim członkom nieocenione usługi.

Dla dobra kraju, dla dobra ludu życzyćby sobie wypadało, aby przynajmniej każda parafia, jeżeli już nie każda wieś, posiadała własną kasę Raiffeisenowską, więc do dzieła ludzie dobrej woli — przyjaciele ludu!

Podnosząc lud ekonomicznie, podniesiemy go moralnie, bo nędza złym jest doradzcą; chłop nieuciskany lichwą, chłop ekonomicznie niezależny, nie łatwo da się unieść choćby najsłodszym

słówkom wysłańców radykalizmu, a przyjacielem swoim uzna tego, co mu wskazał drogę i dopomógł do dobrobytu.

Kto dla ludu pracuje — tego lud!

F. G.

Polacy na obczyźnie.

Stany Zjednoczone Północnej Ameryki. Z za oceanu nadchodzi smutna wiadomość, że między ludnością polską w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki zaczyna się szerzyć „baptyzm“, i że sekta ta znajduje dość zwolenników.

Jeszcze w roku 1897 czyli przed dwoma laty pojawił się w Buffalo „Podręcznik dla użytku polsko-baptyskiego Kościoła“, wydany przez księży (naturalnie apostatów) P. N. Jakimowicza i Józefa Antoszewskiego.

Czytamy w tym podręczniku w nagłówku „Kto są Baptyści“, że ci nie odszczepili się (!) nigdy od Kościoła rzymsko-katolickiego, bo są wyznaniem pierwotnych chrześcijan (!), że już wówczas nie zgadzali się jako pierwsi chrześcijanie z formami i duchem monarchicznym kościołów narodowych, że wierzyli w prostotę form i w życie duchowe, że zawsze byli ludem wolnym, niepotrzebującym duchowych ojców i panów, aby panowali nad nimi, że w średnich wiekach nieprzyjaciele ich przezwali mianem Anabaptystów (powtórnie chrzczących), że każdy baptyski Kościół jest zborem (stowarzyszeniem) samorządnym, niepodlegającym władzy ani ograniczeniu jakiejkolwiek organizacyi i w całem tego słowa znaczeniu gminowładnym czynnikiem.

Podane są następnie wszystkie rozdziały Biblii i ważniejsze artykuły wiary oraz obszerniejsza wzmianka o chrzcie. Zasadą ich wiary jest, że ceremonia chrztu winna się zasadzać na zanurzeniu w wodę, a nie jedynie na polewaniu wodą i stosować się jedynie do takich tylko, którzy rozumieją, co robią, przystępując do jakiego wyznania, a nie niemowląt i dzieci, którzy pojęcia nie mają o tem, co się z nimi dzieje, a więc i chrzczone właściwie być zupełnie nie mogą.

Najciekawszą jest podana w końcu forma rządu kościelnego. Jej podstawa jest, że kościół nie jest władzą prawodawczą lecz wykonawczą, albowiem prawa już zostały ustanowione przez Chrystusa w Nowym Testamencie. Nadzór Kościoła nie ma być wykonany przez jednę osobę lub kilka osób, ale przez wszystkich je-

dnakowo. Większość głosów rozstrzyga. Kościół może wybrać radnych (komitet) do pewnych spraw i włożyć na nich obowiązki pewne, a radni są odpowiedzialni przed Kościołem czyli zborem, gminą. Kościół ma się trzymać daleko od łączności z władzą świecką, nie ma przyjmować szczególnej opieki rządu ani używać jego pomocy, zmuszającej kogo do wyznania wiary. Urzędnikami gminy baptyskiej są Pasterz (proboszcz) czyli „kaznodzieja“, „Biskup“, „Starszy“ do pouczania i kształcenia wiernych, Dyakon, aby miał staranie o chorych i ubogich członków gminy i pomagał Pasterzowi, Sekretarz do trzymania ksiąg i korespondencyi, Kasyer do spraw finansowych. Niema żadnego pierwszeństwa godności między Pasterzami — wszyscy są na równym stopniu wyższości. Wszystkie dostojeństwa płyną z wyboru.

Członek może być przyjęty do innego społeczeństwa baptyskiego kościoła przez list polecający lub przez proste opowiedzenie się. Pożądanem jest, aby „wszyscy, a szczególnie dostojnicy, żyli w małżeństwie“.

Taka jest mniej więcej główna treść owego podręcznika. Nie tu miejsce na zbijanie tych niezliczonych kłamstw i bałamuctw, jakie się w nim mieszczą.

Niedorzeczności „baptystów“ są tak śmieszne, że chyba ten, kto zupełnie nie zna katechizmu i dziejów Kościoła, może w nie uwierzyć. Ale widać, że i w Ameryce między Polakami dużo jest takich ignorantów, skoro „baptyzm“ ma między nimi swoich zwolenników.

W Buffalo N. Y. czynią tamtejsi Polacy starania celem zaprowadzenia nauki języka polskiego jako nadobowiązkowego w szkołach publicznych miejskich. Niektóre polskie pisma występują przeciw temu, gdyż sądzą, że w razie urzeczywistnienia tej myśli — istniejące obecnie szkoły polskie parafialne stracą na znaczeniu i wpływie, a publiczne szkoły przyczynią się raczej do zanglizowania dzieci polskich.

Brazylia. Ambasadorem austro-węgierskim w Rio Janeiro mianowany został Polak p. Kuczyński, dotychczasowy minister-rezydent w Czarnogórze. Jest nadzieja, że licznie osiedli Polacy w południowej Brazylii znajdą w nim gorliwego opiekuna.

Stan Parana i sąsiednie stany. Jak donoszą z Kurytyby, przybywają z Europy prawie co tydzień gromadki naszych wychodźców i rozpraszają się po koloniach.

W okolicach Porto Uniao nad Iguassu zakłada inżynier miejski Baronsini, pełnomocnik senatora Teixeira, w olbrzymich dobrach tegoż nową kolonię polską „Villa Zulmira“ na następujących zasadach: chłop kolonista otrzymuje na własność 10 morgów ziemi,

dom, narzędzia rolnicze, a nadto dwuletnie utrzymanie — w zamian za to ma kolonista pracować przez te dwa lata po trzy dni w tygodniu na gruntach senatora. W ten sposób przyszedł właściciel łatwym sposobem do robotnika w dziewiczych lasach. Gdyby istniało polskie Towarzystwo kolonizacyjne, rodacy nasi nie potrzebowaliby zaprzedawać się w zależnosć.

W Kurytybie odbyło się dnia 2 grudnia z. r. w katedralnym kościele solenne nabożeństwo z powodu jubileuszu cesarza Franciszka Józefa I. Celebrował ks. Niebieszczański, proboszcz parafii polskiej Abranches w asystencyi ks. Kalinowskiego i ks. Alberta. Na nabożeństwie były obecne władze parańskie i cały korpus konsularny.

W Rio Negro istnieje od niedawna Kolegium amerykańsko-europejskie, w którem uczą również języka polskiego. Dyrektorem jest ks. Prałat Bronikowski.

Australia. W Nowej Zelandyi znajduje się kilka małych kolonii polskich. W parafii Stradford żyje 63 rodzin polskich, pochodzących z Prus zachodnich, w Inglenvod około 70 rodzin. Zajmują się one rolnictwem. W Masterton koło Welingtonu znajduje się 16 rodzin polskich, na południowej wyspie z Hobitika 7, a koło Christchurch 40 rodzin polskich. Koloniści uskarżają się na brak kapłanów narodowości polskiej.

Inne kraje. W Essen (Niemcy) odbył się w połowie grudnia r. z. wiec polski. Uchwalono poczynić odpowiednie kroki celem uzyskania opieki duchowej w ojczystym języku.

W Thale (w Saksonii) uskarżają się na brak księdza władającego językiem polskim.

W Bukareszcie (Rumunia) założone zostało Towarzystwo „Szkoły polskiej", które już otworzyło szkołę polską. *(Z gaz. h. geogr.).*

Przełom w ruchu ludowym.

Znamienny fakt zaszedł w początkach bież. roku. Nasz lud poczyna przychodzić do rozwagi i coraz więcej przekonuje się, że obecne rozdzielenie się stanu włościańskiego na liczne stronnictwa i grupy do niczego nie doprowadzi, a wzajemna walka redaktorów pism ludowych nie przynosi ludowi żadnego pożytku i szkodzi tylko oświacie.

Takie przejrzenie powinno było nastąpić już dawno, lepiej jednak choć później się stało, niż gdyby owo zaślepienie miało trwać jeszcze dłużej.

Pierwsi wystąpili z publiczną odezwą w *Obronie ludu* włościanie z powiatu jarosławskiego; snać najmądrzejsi, i w tej odezwie wyraźnie powiadają, że im bardzo przykro i bolesno, iż „gazety ludowe zamiast nawoływać do jedności i zgody, najczęściej pomiędzy sobą się wadzą — przez co sprawa ludowa zamiast rosnąć, upada, a nieprzyjaciele się cieszą, patrząc na to, jak stronnictwa ludowe żrą się nawzajem i kłócą".

„Dość tej walki", wołają dalej, „dość wojny, a gdy chcą wojny nasi posłowie i dotychczasowi przywódcy, to niech sobie walczą. Lud musi przeciwko temu wystąpić i silnie zaprotestować. Nam włościanom potrzeba zgody i jedności, aby wspólnemi siłami się bronić. Zgoda i jedność muszą zapanować między włościanami i stronnictwami w całym kraju".

„Aby więc kłótnię zgodzić i wojnę domową usunąć raz na zawsze i zjednoczyć cały lud w jedno wielkie stronnictwo potężne, trzeba się włościanom samym do tego zabrać, pojednać ze soba redaktorów, posłów i przyjaciół ludu, bo gdy oni z sobą jedność tworzyć będą, to sprawa ludowa odniesie świetne zwycięstwo".

W tym celu nawołują jarosławscy wieśniacy do urządzenia wielkiego wiecu ludowego, na którymby posłowie wszystkich stronnictw, posłowie i najdzielniejsi włościanie z każdego powiatu uradzili, co dla dobra sprawy ludowej jest potrzebne.

Całkiem podobną odezwę podał *Związek chłopski*, podpisaną również przez wielu włościan z tegoż stronnictwa. I tu skarżą się wieśniacy na rozdwojenie pośród ludu, pośród posłów włościańskich i redaktorów, i powiadają, że więcej patrzeć nie mogą na podobne rozterki i sytuacyę polityczną i ekonomiczną.

Więc, dzięki Bogu, nareszcie po tylu latach zaślepienia spada naszemu ludowi łuska z oczu, i ten lud widzi, że z tej całej walki nie ma żadnej korzyści ani moralnej ani materyalnej, a żal zato czuje w pierwszym rzędzie do swoich opiekunów, których dotąd uwielbiał i szedł na ich skinienie na ślepo, nie pytając się, czy dobrze czy źle robi, czy ci przyjaciele dobrze i szczerze, czy obłudnie i źle mu życzą.

Dotąd chlubił się wieśniak przed wieśniakiem, że ten do tego, ten do owego stronnictwa należy, jeden wychwalał swoje stronnictwo i pisma, drugi swoje, i o zgodzie ani mowy być nie mogło, bo wzajemną zawiść i niezgodę podsycały same pisemka. Walka, najczęściej osobista, nie o zasady, pomiędzy redaktorami, przeniosła się między lud i rozdzieliła go na wrogie stronnictwa.

Było to do przewidzenia, że kiedyś ten lud przejrzeć musi, bo trzeba chyba nie mieć żadnego rozsądku, aby nie poznać, jak

szkodliwe było i jest dla niego owo rozdzielanie się na kilka stronnictw, i jak go bałamucą różni opiekunowie.

Że się to stało teraz, właśnie w chwili, kiedy niektórzy jego przywódcy stanęli u szczytu swych marzeń, to tem lepiej dla ludu, bo jeszcze może się zwrócić z drogi, na którą go popchnięto, i zacząć poważnie nad sobą pracować.

I jeżeli lud sam o sobie myśleć zacznie, nie słuchając we wszystkiem swych przyjaciół, to dojdzie do czegoś, gdy atoli odda tę sprawę do rozstrzygnięcia swym opiekunom, to wątpić się godzi, czy będzie co z tego, gdyż żaden zapewne czy to z posłów, czy z redaktorów nie zechce ustąpić na rzecz drugiego, a tak walka dalej trwać może i będzie, dopóki lud całkiem się z ich jarzma nie uwolni i podziękuje im za opiekę.

Żale ludu skierowane są głównie przeciw pismom, które lud rozpolitykowały i zasiały po wsiach niezgodę. Dobra to więc sposobność do wykazania ludowi, jak błędną dotąd szedł drogą — o czem powinni pamiętać i skorzystać z tej chwili wszyscy życzliwi ludowi, a pragnący poprowadzić ten ruch w kierunku katolicko-demokratycznym.

Prawdopodobnem jest, że z obecnych stronnictw ludowych nie da się utworzyć jedno stronnictwo, czego tak gorąco pragną wieśniacy, ale możeby się dało stworzyć takie stronnictwo na nowych zupełnie podstawach i pod innem kierownictwem. Rzecz to godna zastanowienia.

Niepotrzebna konkurencya w naszej prasie ludowej.

Powiadają, że nasz lud jeszcze bardzo ciemny, że do czytania ochoty nie ma, a tu tymczasem prawie co tydzień powstaje nowe jakieś pismo ludowe, obiecujące więcej od drugiego.

W ostatnich czasach obok dawnych, powstał *Krzyż*, potem *Obrona ludu*, a oto donoszą, że ma się zjawić, czy może już się zjawił nowy opiekun pod nazwą *Przeglądu ludowego*. Chyba więc nasz lud garnie się codzień tysiącami do czytania pisemek, skoro one rosną jak grzyby po deszczu.

Takby się zdawać mogło nieznającemu stosunki galicyjskie; kto je atoli zna, ten rusza nad tem zjawiskiem ramionami, bo chociaż prawdą jest, że czytelnictwo po wsiach wzrasta, to jednak nie w tej mierze, w jakiej mnożą się pisma. Ztąd wynika, że żadne z naszych pism ludowych nie może sobie zdobyć tak poważnej liczby czytelników, jaką mają pisma ludowe na Śląsku pruskim

lub w Poznańskiem, a że każde nowsze pismo stara się dawniejsze prześcignąć w obietnicach, przez to więc lud coraz więcej bywa bałamucony, tak, że sam nie wie, kogo słuchać, za kim iść.

Pominąwszy *Wieńca*, *Pszczółkę* i *Przyjaciela ludu*, które istotnie cieszą się stosunkowo największą poczytnością z wiadomych powodów, reszta pism ledwo dycha, a niejedne po kilkomiesięcznem istnieniu upadły, bo upaść musiały z braku czytelników.

I nie trzeba się temu dziwić, gdyż wieśniaka naszego nie stać na prenumerowanie kilku pisemek, nie czuje on zresztą tego potrzeby, dlań wystarczy jedno pismo.

Wobec tego należało ze strony katolików i przyjaciół społecznego ładu, poprzeć pisma już istniejące, a nie zakładać nowych. U nas atoli tego nie chcą zrozumieć; dla dawniejszych pism, choć dobrych, funduszów nie mają, ale mają je na nowe wydawnictwa, które puszczają w świat, robiąc konkurencyę starszym pismom, przez co same nie wiele zyskują i rozbijają własny obóz i włościan na małe oboziki.

Jasna rzecz, iż przez takie rozdrabnianie sił oświacie się nie przysłuża i jedno silne stronnictwo, przeciwne stronnictwu rozkładowemu, złożyć się nie da.

Ludowcy mają jeden tylko organ i dlatego są silni; stronnictwo chrześcijańsko-ludowe ma już obecnie dwa organy, bo pisma ks. Stojałowskiego i *Obronę ludu*, przez co się zaczyna osłabiać, a jeżeli jeszcze przybędzie *Przegląd ludowy* — to rozpadnie się na trzy części.

Po drugiej zaś stronie jest pism kilka, prawie, że nie kilkanaście, żadne atoli z nich nie mogło utworzyć i nie utworzy silniejszej partyi, bo każde nowsze szkodzi starszemu.

Do tego przybywa jeszcze i ta okoliczność, że u nas nie zważa się na treść pisma, na jego udolność, tylko więcej na osoby. Jeżeli za pismem kryją się możne lub wysoko postawione figury, to się pismo prenumeruje, choć po cichu mówi niejeden, że szkoda na nie grosza. Pisma choćby najlepiej redagowanego dla ludu i prawdziwie pouczającego, nie popiera się, bo go nie wydaje spółka panów, lecz jakiś tam zwykły śmiertelnik.

Więc nawet i na tem polu, gdzie chodzi o oświatę ludu, niema się względu na pożyteczność pisma, ale na osoby wydawców, a herb szlachecki ma urok i dla tych, co z ludu wyszli, i po cichu mówią, że trzeba iść z ludem, a nie ze szlachtą.

Tak robią jedni, a drudzy, aby zbytnio kieszeni nie nadwerężać, prenumerują dla ludu co najwyżej jedno pismo, za to zaś dają wieśniakom do czytania gazety codzienne, przez co my-

ślą sobie, będzie wilk syty i owca cała. Czytelnictwo się popiera, a wydatków mniej.

Jak pojmuje lud niektóre artykuły i wyrażenia dzienników, to był tego dowód przy jednym z procesów o rozruchy przeciwżydowskie, prowadzonym w Krakowie. W *Głosie Narodu* była przedtem w czasie rozruchów wzmianka, że lud koło Sącza opowiada sobie bajkę, iż nadeszło od Cesarza pozwolenie na bicie i rabowanie żydów.

Jeden z robotników przeczytawszy to w *Głosie Narodu*, wziął to za rzeczywiste pozwolenie, jak sam potem przy rozprawie zeznał, a wierzył w to tem bardziej, że była na gazecie „pieczątka urzędowa“ t. j. zwykły stempel dziennikarski, i tak czytanie dziennika, nie zastósowanego do jego pojęcia, pchnęło go do gwałtu, a potem zaprowadziło do więzienia.

Ponadto, w dzienniku przeznaczonym dla sfer inteligentnych, znajdują się rzeczy, o których wieśniak wiedzieć nie powinien, jeżeli się chce, by pozostał ze swego stanu zadowolony i jeżeli się nie chce odbierać mu szczęścia z tego zadowolenia. Bywają tam także często i takie rzeczy, które łatwo mogą podkopać u wieśniaka wiarę, i osłabić lub obalić moralność, bo nie rozumiejąc dobrze znaczenia słów, gotów sobie niejeden przewrotnie wytłumaczyć.

A do tego wszystkiego trzeba i to dodać, że wieśniak otrzymując za darmo, jeżeli nie codzień, to choćby dwa lub trzy razy pismo codzienne do czytania, rozpolitykuje się jeszcze więcej, i więcej obchodzić go będzie sprawa Dreyfusa, niż jego własny kraj, własna gmina i własne gospodarstwo.

Oczywista, że wieśniak czytając częściej w tygodniu i to za darmo dziennik, traci gust do czytania pisma ludowego, rzadziej w miesiącu wychodzącego, bo te wiadomości, które podaje pismo ludowe, on już wyczytał dawno w dzienniku, a przez to traci na tem wiele prasa ludowa.

Nie piszemy tego ani przeciw sobie, ani *pro domo sua* — bo nasz *Pielgrzym polski*, jak to widoczne, i treścią swą i ceną nie jest pismem ludowem, lecz dla sfer szerszych przeznaczonem, a *Nowy Dzwonek* nie mieszając się wcale do polityki i agitacyi, i umieszczając tylko powiastki i artykuły naukowe, wcale konkurencyi innym pismom nie robi i nie szkodzi im. Szkodzą im atoli, jak powiedzieliśmy, te coraz n o w s z e pisma, które co chwila się zjawiają i wywołują niepotrzebną konkurencyę.

Stajemy tu tylko w obronie pism starszych, które mają za sobą już kilkuletnią przeszłość, jako tako się zasłużyły koło sprawy ludowej i wpływ poczęły zyskiwać. Te więc należało rozszerzać,

popierać materyalnie i moralnie, jeżeli istotnie chce się ludowi przysłużyć, a nie bałamucić go co trochę nowemi pismami.

Bojomir.

Katolicyzm w Brazylii.

Brazylia jest, jak wiadomo, państwem katolickiem t. j. że wszyscy jej mieszkańcy przyznają się do katolicyzmu z wyjątkiem pewnej części niemieckich kolonistów, zamieszkujących południowe strony państwa, i z wyjątkiem nieucywilizowanych jeszcze Indyan, przebywających w wnętrzu kraju, głównie w stanie Matto Grosso.

Inaczej jednak pokazuje się ten katolicyzm w rzeczywistości. Matto Grosso („Wielki las") jest największym z 21 stanów Brazylii, prawie 3 lub może 4 razy większy niż Włochy, liczy 200.000 mieszkańców, między nimi 130.000 katolikow (łącznie z nielicznymi już murzynami) i 70 do 80.000 pogańskich Indyan, którzy żyją rozprószeni w lasach dziewiczych. Jest to najbiedniejsza część Brazylii co do handlu i jego obrotu; brak jej rąk do pracy, a ospałość mieszkańców ma swoje źródło w gorącym klimacie i żyzności ziemi, która bez pracy plon dostateczny wydaje.

Owych 130.000 katolików i cywilizowanych uważać należy tylko z imienia za takich, bo nie mówiąc już nic o wielu zabobonnych zwyczajach, u nich zakorzenionych, żyje wiele rodzin, zwłaszcza w głębszych okolicach, zupełnie po pogańsku.

Większa część zna z religii tylko chrzest, a wielu zwykło odwiedzać kościół tylko dwa razy w całem życiu, t. j. przy chrzcie i przy ślubie.

Gdy mają wejść w związek małżeński, przedstawiają się osobiście kapłanowi, ale o artykułach Wiary św. nie mają żadnego pojęcia, czesto nie umieją nawet zrobić znaku Krzyża św.

Religijne praktyki, w których biorą udział mieszkańcy miast i większych osad, polegają na pompatycznych procesyach, w czasie których południowy Amerykanin sadzi się jeden nad drugiego, przy których spali się wiele ogni sztucznych, słucha się muzyki, patrzy się na różne widowiska, a ukończeniem bywa wspaniały bal. Ma to miejsce w dzień Zielonych Świątek, w dzień Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny i w dzień św. Benitusa.

W inne niedziele i święta widzi się po kościołach na Mszy św. nader mało osób, wystarczy powiedzieć, że w roku 1895 w Coyabá, stolicy Matto Grosso, mieście liczącem 20.000 mie-

szkańców (i to prawie samych katolików), przystąpiło do spowiedzi wielkanocnej zaledwie 3 mężczyzn i 40 kobiet.

Gdyby kto szukał przyczyny tego smutnego zjawiska, to ją znajdzie w nader wielkim braku kapłanów. Na 130.000 katolików, żyjących w rozprószeniu na przestrzeni 1,380.000 kwadratowych kilometrów, przypada zaledwie siedmiu kapłanów, z których dwóch znajduje się przy boku Biskupa w stolicy, a reszta siedzi po większych miastach, a i ci są to po większej części albo starcy, albo chorowici, tak, że raczej nie powinni być brani w rachubę. Wprawdzie w Coyabá istnieje coś nakształt seminaryum, które Biskup w r. 1876 założył i kilku alumnów przyjął, lecz z nader ważnych powodów nie mógł ich na kapłanów wyświęcić. W ciągu 22 lat mógł Biskup tylko jednego wyświęcić, a i ten przybył z innej dyecezyi. Niema też nadziei lepszej przyszłości bez pomocy z zewnątrz; przed dwoma laty było w seminaryum 18 alumnów, teraz jest ich pięciu, reszta ulotniła się.

Wreszcie po 10 latach prośby otrzymał Biskup kapłanów w osobach Salezyanów, którzy przybywszy na miejsce otworzyli kollegium i „oratorio festivo“, w którem w niedziele i święta zbierają się chłopcy i młodzież na nabożeństwo i nauki duchowne.

Salezyanie idą w tej pracy za słowami i zachętą swego założyciela ks. Bosco, który mawiał, że aby jaką miejscowość odrodzić, to najpotężniejszym na to środkiem są oratorya, gdzie młodzież bez przymusu i zupełnie swobodnie przyucza się do spełniania obowiązków chrześcijanina.

Od tego czasu wzrosło przyjmowanie Sakramentów św. tak pośród młodzieży jako i starszych, bo gdy, jak wyżej wspomniano, w roku 1895 tylko 3 mężczyzn wypełniło obowiązek spowiedzi wielkanocnej — to w r. 1897 było już takich mężczyzn 300.

Nadto utworzono misyę między pogańskimi Coroados'ami, nad których cywilizacyą rząd na próżno przez 18 lat pracował, a prezydent państwa nie mógł się nadziwić jej skutkowi.

Ruch chrześcijańsko-demokratyczny w Belgii

i podobny ruch u nas.

Nie od dzisiaj, ale od kilku już lat pragnie pewna część katolików belgijskich reformy socyalnej w duchu „chrześcijańsko-demokratycznym“, której opierają się wszelkiemi siłami katolicy z obozu „konserwatywnego“, dzierżący rządy kraju.

Obecnie dąży partya chrześcijańsko-demokratyczna do zaprowadzenia bezpośredniego i powszechnego głosowania i głosi, że jeżeli konserwatyści nie wejdą z nią w układy, to w tym razie zwróci się o pomoc nawet i do socyalistów.

Przywódcą stronnictwa „chrześcijańsko demokratycznego“ jest kapłan flamandzki X. Daens, znakomity agitator ludowy, którego rozkazów słucha lud belgijski z takiem samem, a może i większem zaufaniem, jak u nas X. Stojałowskiego.

W roku zeszłym polecił Biskup gandawski (nalegany do tego przez konserwatystów) X. Daensowi, by nie stawiał nadal swej kandydatury do Izby i by zaprzestał wszelkiej agitacyi politycznej. Pierwszemu z tych rozkazów X. Daens się poddał i nie wszedł wskutek tego do parlamentu; nie zastósował się jednak do drugiego rozkazu, prowadząc dalej agitacyę wśród oddanego mu ludu.

Wobec tego Biskup gandawski zakazał mu odprawiać Mszę św., a ks. Daens na to odpowiedział, że teraz widząc takie prześladowanie ze strony władzy kościelnej, pozostającej pod wpływem konserwatystów, rozpocznie na nowo swą dawną działalność parlamentarną i twierdzi, że władze kościelne nie mają prawa mięszania się do działalności księży w tym kierunku.

I właśnie skutek zakazów biskupich jest taki, że ks. Daens urósł w jednej chwili na wielkiego człowieka w oczach wszystkich przeciwników dawniejszego stronnictwa katolickiego.

Papież nie pomija na razie żadnej sposobności, aby nakłonić ks. Daensa do zjednoczenia się z konserwatywną partyą katolicką i poddania się władzy kościelnej; ale jak dotąd usiłowania Stolicy św. pozostają bez skutku, a ruch chrześcijańsko-demokratyczny zatacza coraz szersze kręgi.

Dziwny to zaiste znak czasu, że po niektórych katolickich krajach Europy równocześnie objawia się zwrot katolików do demokratyzmu, a ruchem tym kierują przeważnie księża, jak np. w Austryi i w Belgii.

Wiedeński kler stoi jak najwyraźniej po stronie chrześcijańsko-socyalnych demokratów i antysemitów, a i u nas w Galicyi podobny ruch się rozpoczął i część Duchowieństwa stanęła po jego stronie, grupując się jużto koło *Związku chłopskiego*, już też koło *Ruchu katolickiego* i stając w szeregach nowo-założonego stronnictwa katolicko-narodowego, którego organami ogłosiły się: *Ruch katolicki* i krakowska *Łączność* (dawniej *Grzmot*).

Co się tyczy *Związku chłopskiego* — to ten, wyjąwszy chwilowe umizgi do ludowców, chciałby może iść i działać w kierunku katolicko-demokratycznym, niema tam atoli zdolnej ręki, któraby umiała i potrafiła dzielnie nim kierować.

Nowe zaś stronnictwo „katolicko-narodowe“ zakreśliło sobie szerokie pole działania, bo chce objąć wszystkie warstwy narodu, a więc i szlachtę, i mieszczaństwo, Duchowieństwo i lud, lecz wątpić się godzi, czy mu się to uda, gdyż demokratyzm szlachty jest zawsze podejrzany, a zwłaszcza u tych panów, którzy to stronnictwo zawiązali, nie zrywając zupełnie z zaciętymi konserwatystami krakowskimi, co było koniecznem, a dla nich jest prawie niemożliwem.

Czy więc będzie z tej mąki chleb, czy ruch ten popłynie korytem katolickiego demokratyzmu, niosąc niezbędne reformy społeczne, czy też wtłoczy się w zamurszałe koryto konserwatyzmu, to przyszłość pokaże, w każdym atoli razie należałoby działać tak, aby jakaś zmiana na korzyść klas biednych nastąpiła, jeżeli się pragnie ukrócić agitacyę socyalistyczną i uniknąć katastrofy.

ROZMAITOŚCI.

Skutki kościelno-politycznych ustaw węgierskich nie są wcale pocieszające. I tak, według sprawozdania z r. 1896 zawarto w tym roku na Węgrzech 121 776 małżeństw, z czego tylko 109 955 kościelnych (50 507 rzymsko-katolickich, 14.602 grecko orjentalnych) na cywilne zaś małżeństwa przypada 11.834. Zdarzyły się też liczne zmiany wyznań mianowicie: z Kościoła rzymsko-katolickiego wystąpiło 787, wstąpiło 1206 (+ 429); z Kościoła grecko-katolick. wystąpiło 1019, wstąpiło 2557 (+ 1538); z Kościoła grecko orjent. wystąpiło 2600, wstąpiło 966 (— 1634); z luterskiego wystąpiło 783, wstąpiło 283 (— 450). Protestanci utracili nadto 2315 osób, które się ogłosiły bezwyznaniowemi. Najwięcej tedy dusz po Kościele grecko orjent. utracił protestantyzm. W całych Węgrzech było we wspomnianym roku 3990 bezwyznaniowców.

Jak mieszkają przewódcy socyalistów. Jedno z pism niemieckich tak opisuje willę „czerwonego Bebla“, sławnego jak wiadomo, przywódcy socyalistów niemieckich, a piorunującego dość często na bogaczów, którzy zamieszkują wspaniałe pałace. Willa Bebla leży w Szwajcaryi nad jeziorem Zurychskiem w uroczej okolicy. Jest to pałacyk o trzech piętrach, otoczony od frontu wspaniałym ogrodem poprzerzynanym szpalerem. Za willą znajduje się ulica z niezliczonemi winnicami najlepszych i najkosztowniejszych win. Wartość willi łącznie z ogrodem i winnicami taksują na milion marek.

Oryginalne zajęcia. W dziwaczności pomysłów, gdy idzie o zdobycie kawałka chleba, Anglia stanowczo przoduje wszystkim innym krajom. Najszczególniejszym z zawodów, jakim kiedykolwiek oddawały się kobiety, jest chyba tak zwana „*Dinner-taster*“ t. j. „Kosztująca obiady“. Wynalazczyni tego zajęcia spędza większą część dnia na wizytach w różnych domach, gdzie k o s z t u j e obiady. Tu da wskazówkę, tam coś sama przyprawi, owdzie podda kucharce nowy pomysł przyrządzenia potrawy, lub ozdobienia jej przy podawaniu. Że fach ten jest zyskowny, dowodem, iż pani „*dinner-taster*“ jeździ od domu do domu... własnym powozem.

Inna pomysłowa córka Ewy obrała sobie oryginalniejsze może jeszcze rzemiosło — oto „rozdeptuje“ nowe obuwie. Nosi buciki kilka dni, póki nie staną się zupełnie wygodnemi dla właścicielki. Zajęcie to nie jest tak lekkiem, jakby się wydawało, albowiem zdarza się niekiedy, że trzeba zmienić 36 par bucików dziennie.

Fałszowanie wina w Hegyalia. Jak donoszą z Szerencs, zarządził tamtejszy naczelnik sądu Stefan Pinter rewizyę piwnic firmy handlowej, Gutglass i Bendetz (żydów galicyjskich) w Mard. Przy rewizyi znaleziono wielką ilość win fałszowanych, które niesumienni handlarze wysyłali do Galicyi. Niech to będzie przestrogą dla amatorów win węgierskich.

Tołstoj o patryotyzmie. Znany aktor Lewinsky miał w ostatnich czasach dłuższą rozmowę z Tołstojem, z której zdaje sprawę w ostatnim numerze *Deutsche Rundschau*. Rozmowa toczyła się głównie około kwestyi patrotyzmu, które to uczucie uważa Tołstoj, jak wiadomo, za wielki *minus* w życiu ludzkości. „Nie posiadam żadnego patryotyzmu“, oświadczył Lewinsky'emu. Jest mi zupełnie obojętnem, co się stanie kiedyś z Rosyą lub z jakim innym narodem, gdyż to niema żadnego wpływu na „cel humanitarny“ tak, jak ja go rozumiem. Małe państwa są szczęśliwsze. W Holandyi już sześciu predykantów miewa kazania o militaryzmie w moim duchu... Chrześcianin nie może być żołnierzem. Patrotyzm wchodzi w kolizyę przeto z jego wiarą. Niedawno odbył się kongres socyalistów we Fryburgu i proponowano tam strejk jeneralny przeciw służbie wojskowej. Podniósł się wtedy Bebel i oświadczył, że Niemcy nie mogliby się na to zgodzić, ponieważ Francya wpadłaby zaraz do Alzacyi. Nie jest to droga, aby osiągnąć szczęście ludzkości... Porównałem niedawno Chiny do konia, który już otrzymał liczne rany. Przez długi czas bano się zbliżyć do zwierzęcia. Potem przyszedł pies, zwabiony przez krew, który się rzucił pierwszy na ranne zwierzę. Potem zbiegły się inne psy i rozszarpały go, chcąc uzyskać każdy dla siebie kawał mięsa“.

Najbogatszym człowiekiem świata jest — jak pokazuje się obecnie — Krezus nowojorski John de Rockefeller, król olejowy, któremu przepowiadają, że dojdzie do biliona majątku. Jego roczny dochód wynosi bagatelkę: 20,000.000 dolarów. Pan ten zgarnia latem 2 316·48 dolarów na godzinę. Karyerę swą rozpoczął Rockefeller jako buchhalter z płacą 50 dolarów miesięcznie! Żyje on obecnie w zupełnem odosobnieniu, jak cesarz chiński.

Co można znaleść w śmieciach. — W śmieciach Londynu znaleźli zamiatacze uliczni w czasie od 1 października 1897 do 1 października 1898 roku co następuje: 127 tysięcy 382 franków w monecie brzeczącej, 3550 franków w przekazach, 48.625 franków w papierach wartościowych angielskich, 125 tysięcy franków amerykańskich akcyj kolejowych, dalej 68 zegarków damskich, 6 mężkich, 212 pierścionków, 134 broszek, 618 bransoletek, 6 fałszywych szczęk (!), 98 lornetek i przeszło 18 tysięcy fotografii. — Tyle to nagubią ludzie w ruchliwej stolicy Anglii. Pieniądze i kosztowności zgubione przechowują się przez rok, a podobnież i... szczęki!

Stuletni starcy w Rosyi. Dokonany w roku zeszłym ogólny spis ludności w cesarstwie rosyjskim dowiódł, że w Rosyi znaczna bardzo liczba dochodzi do nader podeszłego wieku. W każdej gubernii bowiem — jak pisze „*Kijewlanin*“ znalazło się około 400 osób, liczących przeszło lat 100, są nawet starcy, którzy przeżyli półtora wieku. Obecnie do wszystkich tych osób rozsyłane są kwestyonaryusze, zawierające szereg zapytań, co do warunków ich życia, sposobu odżywiania się, rodzaju zajęcia i tp. czyników, które mogły wpłynąć na tak niezwykłą długowieczność.

W trzech dniach do Ameryki. Podróż z Europy do Ameryki będzie można na przyszłość odbywać nie w ciągu sześciu dni, jak dotychczas, ale, jak utrzymuje wynalazca nowego parowca p. Puniton w Pensylwanii, w ciągu trzech dni. Statek jego systemu ma być opatrzony dwudziestoma śrubami, umieszczonemi w różnych odstępach na bokach, przez co działanie ich będzie o wiele skuteczniejsze, a oprócz tego będą one zużytkowały ginącą dotychczas i bezpożytecznie siłę maszyny parowej. Rozmieszczenie śrub dokoła statku przyczyni się do utrzymania równowagi i nie pozwoli falom rzucać statkiem, a nadto daje mu tę wyższość, że uszkodzenie lub złamanie śruby nie wpłynie zupełnie na prawidłowy jego bieg. Wynalazek ten najnowszy będzie poddany próbom w Anglii i w Ameryce.

Co jest w człowieku? Trochę dobrego i dużo złego, wedle zdania moralistów: ni mniej, ni więcej, jak w kurzem jajku — powiadają chemicy. Jeden z nich, ma się rozumieć Niemiec, (bo któżby inny chciał sobie tyle trudu zadawać?), na podstawie czynionych

doświadczeń, twierdzi, że wszystkie części składowe człowieka, przeciętnej wagi 68 kilogr., znajdują się w białku i żółtku 1.200 jaj. Człowiek, zamieniony w stan płynny, dostarczyłby 9,8 metrów kubicznych kwasu węglowego i dostateczną ilość wodoworu do napełnienia balonu o sile wzlotu 70 klgr. W stanie normalnym człowiek zawiera tyle żelaza, że można by z niego wyrobić 7 dużych gwoździ; tyle tłuszczu, że starczyłoby go na 6 ½ kilogr. świec; z fosforu, w nim zawartego, można by rozniecić 820.000 zapałek. Wreszcie do tych ingredyencyj należy dodać: 20 łyżek kawowych soli, 50 kawałków cukru i 42 litrów wody.

Jednem słowem każdy człowiek jest sklepikiem korzennym na małą skalę.

Wystawa kotów została otwarta dnia 4 stycznia b. r. w Nowym Yorku. Nadesłano na nią ogółem przeszło 1 000 sztuk tych zwierząt, a są między niemi bardzo drogocenne okazy.

Najpiękniejszym jest kot „King Tab“ nadesłany z Francyi, oszacowany na 1.000 funtów szterlingów (10.000 rubli), dalej następuje „Black Agnes“ z Holandyi (200 funtów szterlingów) i prawdziwy kot syamski, za którego lubownicy kotów ofiarowują 100 funtów szterlingów.

Na wystawie znajduje się także kot „Cervera“, znaleziony na pokładzie krzyżowca „Cristobal Colon“ po bitwie pod Santiago.

Niezmierne skarby w morzu. Woda morska, jak stwierdziły najnowsze doświadczenia, zawiera w sobie złoto, a mianowicie jeden metr kubiczny wody ma 6 miligramów złota. Otóż jakiś uczony wyrachował, że w wszystkich morzach naszej kuli ziemskiej znajduje się złota za 7500 bilionów marek. Jeżeliby to złoto podzielono równo między wszystkich ludzi na ziemi, których obliczają 1600 milionów, każdy pojedynczy człowiek otrzymałby przeszło 4 miliony marek Oprócz złota znajduje się we wodzie morskiej srebro, które obliczają na 66 bilionów, z których znowu przy podziale każdy człowiek otrzymałby 400 tysięcy. Nie zabrakłoby tedy złota i srebra dla nikogo, sęk tylko w tem, jak je wydobyć z wody morskiej.

Kat Paryża czyli t. zw. *monsieur de Paris*, Deibler, po 20letniej działalności, otrzymał dymisyę na własne żądanie. Przez czas swego urzędowania dokonał 52 ścięć, na które państwo wydało 1 ¼ mil. fr. Następcą Deiblera będzie syn jego i dotychczasowy pomocnik Anatol.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

WŁOŚCIANIE W POLSCE.

Krótkie studyum historyczne.

Napisał I. P.

(Ciąg dalszy).

Sejm krakowski czyni jeszcze jawniejszem przywłaszczenie: kmieć, schroniwszy się do miasta mógł być schwytanym, a także i syn kmiecia, jeżeli pan na opuszczenie wsi nie dał zezwolenia; groziła bowiem jego zdaniem klęska posiadaczom ziemi, gdyż przez uchodzenie, przenoszenie się do miast, wielu szlachty, nie mając dosyć sług i robotników zaniedbuje koniecznych prac.

Sejm krakowski r. 1532. nakazuje chwytać wszystkich zbiegłych włościan: gdziekolwiekby się znajdowali, schwytani mieli pracować, pókiby właściciel swego włościanina nie odebrał — a to dlatego, że panowie przez złośliwość kmieci pozbawieni sług i robotników nie mogli swych ról uprawiać. Toż stan panujący zaraz tę „złośliwość" poskramiał skutecznemi ustawami.

Sejm w Bydgoszczy r. 1520 postanowił, że włościanin na zwykłe wezwanie pana bez pośrednictwa władzy sądowej musiał być wydany „bez hałasu prawa". To samo rozporządzenie obejmuje konstytucya z r. 1581, nosząca rozśmieszający napis: Sprawiedliwość około poddanych.

Konstytucya z r. 1667 o chłopie ziemi kaliskiej, grozi przechowującemu zbiegłego włościanina — wygnaniem, znaczącem u nas dawniej to samo, co wyjęcie z pod prawa! ostateczny wyrok nieodwołalny wydawał sąd grodzki. I jeżeli przechowujący szlachcic, zbiegłego nie wracał, miał moc starosta zwołania pospolitego ruszenia, wypowiedzenia wojny nieposłusznemu.

Konstytucya z r. 1593 o „hultajach" województwa poznańskiego stanowi: „wolno władzom miejskim, duchownym i szlachcie tych włóczęgów (t. j. kmieci i zagrodników, synów

i córki kmieciów, gdy dobrowolnie opuszczają ziemie) — więzić, uwięzionych zatrzymać, okowawszy ich, i przymuszać do pracy“.

Tę konstytucyą, dopełniającą przywłaszczenie włościan rozszerzono i na inne ziemie, mianowicie na województwa łęczyckie, sieradzkie, płockie, mazowieckie i bełzkie; a zjazd sieradzki rozciągnął jej moc na województwa brzeskie, włódzkie i pruskie, na ziemię dobrzyńską, łęczycką, chełmską i wieluńską.

Skoro tylko przez elekcye (wybieralnych królów) władza majestatu przeszła w ręce szlachty, natychmiast został włościanin wyjęty z pod prawa, a dysydencka konfederacya warszawska z r. 1573 oświadczyła, że nie ubliża żadnej zwierzchności nad poddanymi i tedy, jako zawsze było, będzie wolno i odtąd każdemu panu swego poddanego — nieposłusznego tak w rzeczach religijnych, jak i światowych ukarać według swego rozumienia.

Tą nieuczciwą ustawą nadała sobie szlachta władzę nad włościanami — już nietylko królewską, nietylko samowolną, ale taką, jaką wykonywała inkwizycya religijna!

Od tego czasu przez dwa stulecia głucho już w księgach prawnych o chłopach, bo oni przestali być osobami, a przeszli w liczbę rzeczy i własności. Jeśli kto o nich czasem wspomni, to czyni chyba wniosek: jak ich chwytać, jeżeli od pana uciekną.

Nieszczęśliwy włościanin widząc zamknione dla siebie miasta, znajdując po wsiach jednostajne — powszechne ujarzmienie i gdy umknął przed barbarzyństwem ciemiężyciela, wydawany czasami sądził, że poza granicami znajdzie przyjaźniejsze niebo, chrześcijańskie uczucia, że odetchnie powietrzem wolności.

Szedł przeto za granicę, ku Śląskowi, ku Czechom, wysuwał się na niezmierzone ukraińskie stepy, na dnieprowe Porohy — do Kozaczyzny i tu w końcu znachodził swobodę upragnioną, odsłaniał swą nienawiść względem ciemiężycieli, nasycał czasami zemstę, łamał karki swym ujarzmicielom — panował.

Odpychany, znieważany, nie mogąc nawet zwycięstwami zyskać usamowolnienia, powierzył w końcu siebie chytremu opiekunowi — Moskwie i zginął, ale do tej samej przepaści pociągnął i swoich prześladowców — szlachtę!

Owe uciemiężające ustawy uczyniły swoje. Włościanin, podobny roślinie powstawał, żył, pracował i znikał na jednej i tej samej ziemi. Swojemi myślami, swojem działaniem nie przekraczał nigdy widnokręgu swej niewoli. Wyrwano go gwał-

townie życiu umysłowemu, politycznemu i religijnemu. Nie miał on ojczyzny, nie miał współczucia — współmyślenia, ani przeszłości z drugiemi i złorzeczył dniom swoim. Nie przeczuwał przyszłości; grób tylko uważał za swe ostatnie schronienie, za schronienie swej rodziny przed odradzającymi się uzbrojonymi ciemiężycielami.

Wsie byłyz apełnione niewolnikami, obojętnymi, ożywionymi głuchą zemstą przeciw ujarzmicielom; miasta niemieckie pozbawione były ożywczego napływu wiejskiej ludności, bo bezrozumnemi ustawami urządzono rozdział przemysłu i rolnictwa, zniesiono wolne wspólnictwo miast i wsi, zniweczono wolną pracę milionów jednostek. Te są pierwotne przyczyny zubożenia i wyludnienia miast, zniknienie przemysłu, ubóstwa narodu, wewnętrznej obojętności, a czasem i niechęci, oto źródło naszego ujarzmienia. wytłómaczenie bezsilności naszej walki o usamowolnienie. Oto znaczenie okropne owych wyrazów ludu Rusi za czasów naszej wojny rewolucyjnej. „Polska szlachta jedzie na wojnę!“

Lud nie rozumiał tej wojny, założył ręce i patrzał tylko bezczynnie. Czy miał swych odwiecznych ciemiężycieli bronić? Czy go oni wezwali słowem miłości i wolności?

Stan panujący przykuł włościan do przywłaszczonej sobie ziemi. Włościanin nie miał dzieci, nie był ojcem; jego dzieci przechodziły na własność pana, nie miały wolności. Nieograniczona, zupełna niewola dotykała żyjące i przyszłe pokolenia, żadnej nadziei polepszenia, szczęśliwszej przyszłości! Wieczne, nieprzemienne ujarzmienie, bezwarunkowe odjęcie przyrodzonej, cywilnej i politycznej wolności!

Sejm piotrkowski 1496, stanowi, że tylko jeden syn kmiecy, uzyskawszy zezwolenie pana mógł wieś opuścić. Atoli po ukończeniu nauk, lub rzemiosła musiał jeszcze raz wracać do pana, musiał powtórnie uzyskać zezwolenie, a dopiero wtedy miał wolność pracy i zarobkowania.

Gdy atoli syn kmiecy był jedynakiem, nie mógł nigdy ziemi opuszczać. Gdy uciekł, mógł być schwytanym; wydanie musiało nastąpić bez „hałasu“ prawa.

Stan panujący uchwalił w r. 1503, że syn kmiecy, jeśli chciał, mógł przed 12 rokiem życia uzyskać zezwolenie pana na naukę. W przeciwnym razie, gdy umknął, mógł być schwytany, przykuty dozgonnie do ziemi, utracał prawo dziedziczenia nędznej ruchomości.

Ujarzmienie musiało być skończone, toż urządzono je z wielkim sprytem i przenikliwością ducha.

Włościanin, syn włościanina nie mógł opuszczać ziemi, jeśli nie uzyskał pozwolenia, gdy je uzyskał, skończywszy nauki nie przestawał być niewolnikiem, własnością swojego pana.

Włościanin nie używał opieki prawa: nie mógł pozywać, ani być pozywanym. Jeśli mu co skradziono, jeśli go skrzywdzono, zamordowano, tylko pan pozywał, brał wynagrodzenie za uszkodzenie, za zniweczenie swej rzeczy, swej własności.

Włościanin nie mógł być urzędnikiem, nie piastował ani obywatelskich, ani politycznych godności, nie mógł nosić oręża, nie był panem swej osoby, swej pracy, swej wolności; był nieprzerwanie przywiązany do ziemi, na której odebrał nieszczęsny dar istnienia.

Mógł on być zabitym, więzionym przez pana ziemi, nieodpowiedzialnego za swoje zbrodnie. Był przeto niewolnikiem, oddany niczem nieograniczonej dowolności pana, zupełnie wyłączony ze społeczeństwa.

Kościół katolicki nie odmawiał opieki i chluby uciemiężonemu ludowi. Często na zachodzie i południu Europy niewolnik na wsi, mieszczanin, przyodziany mniszym (zakonnym) habitem, biskupią infułą, kardynalskim kapeluszem, rozkazywał swoim ciemiężycielom, łamał dumę panów, stąpał po karku cesarzów.

Kościół katolicki w wiekach średnich był ożywiony jednem natchnieniem, otwierał najwolniejszy przystęp: zasłudze, nauce, nie odpychał wzniosłego zastosowania chrześcijańskiej miłości i równości, dążył do usamowolnienia wszystkich warstw społecznych.

Lecz nasi ojcowie zniesławili niestety! katolicyzm. Nieszczęśliwy włościanin nie mógł być obywatelem chrześcijańskiej społeczności, członkiem królestwa niebieskiego na ziemi.

I tam wsunął swe ujarzmiające panowanie stan panujący, nie pozwolił on być włościanom synami Chrystusa na ziemi, zniósł równość i świętość chrześcijańskiego społeczeństwa.

Przezorny sejm radomski, przewidując „niezgody i bunty“ stąd, że osoby niskiego stanu brały godności duchowne, ogłasza, że godności katedr i kolegiat tylko szlachta może piastować, że jeśliby nieszlachcic uzyskał je podstępnie, traci majątek, ponosi wygnanie.

Nie dosyć na tem. Utrata majątku i wygnanie dosięgnąć ma jeszcze krewnych, opiekunów, pomocników, wszystkich wspólników tej winy.

Ten sam nakaz, te same kary ponowiły sejmy: krakow-

ski 1510, piotrkowski 1538 i 1550, i uzupełniły na koniec najzupełniejsze ujarzmienie włościan, jako ludzi, jako obywateli i jako chrześcijan. Toż słusznie pisze Herburt w 14 stuleciu, że „włościanie są uważani za nic, nie są osobami prawnemi, nie są nawet ludźmi“. (Ciąg dalszy nastąpi).

Ustrój przyszłego państwa socyalno-demokratycznego i jego wady.

Napisał F. G.

(Dokończenie).

Trzeciem głównem zadaniem państwa socyalnego jest wypośrodkowanie ogólnego wyniku zarobku.

Zestawienie bilansu porządnego gospodarstwa jest konieczne, a wiemy jak trudnem jest zestawienie bilansu w wielkiem przedsiębiorstwie, o wieleż trudniejszem będzie zestawienie bilansu w państwie socyalnem, obejmującem wszystkie gałęzie przemysłu.

Bilans zaś zestawić można po pewnym przeciągu czasu, po roku, po kwartale; aż do zamknięcia bilansu wynik gospodarstwa nie jest znany, jakże wobec tego oznaczyć udział współproducenta, który aż do wypośrodkowania ogólnego zysku żyć musi. Naturalnie tu państwo pomagaćby sobie musiało zaliczkami, z przezorności nie suto obliczanemi. Gdyby się bowiem okazało, że ogólny wynik gospodarki na pokrycie zaliczek pobranych nie starczy, kto i w jakiej wysokości pokryłby nadebrane zaliczki? Może o wysokość tę zmniejszonoby udział następnego peryodu?

Są gałęzie przemysłu, które lata całe nie dają dochodu, są wynalazki, których przeprowadzenie pochłania ogromny zasób pracy i materyału, lecz całe ubiegają lata, nim dają realne korzyści. Są przedsiębiorstwa, które zaledwie wydatki własne pokryć są w stanie. Kto więc będzie płacił robotników przy takich nierentujących się przedsiębiorstwach? Dziś płaci ich właściciel przedsiębiorstwa, dopóki mu starczą jego środki; państwo socyalne na takie rzeczy nie może mieć zarezerwowanych kapitałów, a więc robotnicy przy takich nierentujących się

gałęziach pracy musieliby być wynagradzani z zysków, które przynoszą rentujące się gałęzie z krzywdą pracowników przy innych gałęziach produkcyi, którzy już nie byliby stosownie do swej pracy wynagradzani. Jest to złamanie zasady kollektywnego gospodarstwa, gdyż każdy powinien mieć udział w zyskach swej tylko gałęzi produkcyjnej, a nie innej.

Teraz zachodzi pytanie, jakie wynagrodzenie dać tym nieszczęśliwym, których praca nie przynosi dochodu i które przedsiębiorstwa, w jakiej wysokości mają tam partycypować. Państwo na te cele kapitałów składać nie może i nie powinno ze względów zasadniczych, gdyż obalając gospodarkę kapitalistyczną, samoby je napowrót wprowadzało i gromadząc kapitały oszczędzone na wynikach pracy teraźniejszości, składałoby je dla pokolenia przyszłego, co idea socyalna zupełnie wyklucza. Czy więc dla robotników przedsiębiorstw nierentownych — bo im coś trzeba dać — przeznaczyć dniówkę, czy zapłatę akordową, czy wreszcie jałmużnę? Ale te trzy rzeczy nie istnieją w państwie socyalnem, tam jest tylko udział w wartości produkcyi — jakiż oni udział dostaną, skoro ich produkt wartości nie ma?

Zdarza się w życiu praktycznem, że takie nieszczęśliwe przedsiębiorstwo nagle po latach kilku zakwita i daje ogromne zyski. Czyż ci, co przedtem żyli na łasce innych przedsiębiorstw, mają teraz w pełnej mierze korzystać z ogromnych udziałów, jakie im daje ich zajęcie, czy też z tych udziałów mają im być ściągane pobrane od innych przedsiębiorstw w latach ubiegłych zapomogi; komu i w jakiej wysokości zwrócić je należy? Takie pytania nasuwają się mimowoli, a odpowiedź na nie trudna.

W wielkich fabrykach zdarzają się peryody, że ruch produkcyjny ustaje, czy to z powodu większych reperacyj wskutek elementarnego uszkodzenia, czy wskutek zmiany systemu produkcyi, a w takim razie potrzebne są siły fachowe do uskutecznienia potrzebnych adaptacyj. Jakże traktować tych nowych robotników? Do udziału w tej gałęzi, do której fabryka należy, prawa nie mają, chociaż dla niej pracują, udział ich zresztą dopiero po latach z przyszłych zysków fabryki mógłby być obliczony, a tymczasem w jaki sposób praca ich byłaby bonifikowana?

Na te pytania dotąd ze strony socyalnej-demokracyi odpowiedzi niema, a majaczący w umysłach prowodyrów plan sprawiedliwego podziału wspólnego zarobku, jest w rzeczywistości tylko fantazyjnem fata morgana.

Dziwnem się wydawać musi, że wśród mas socyalistycznych nikt sobie trudu nie zadaje nad rozwiązaniem postawionych tu pytań, ale tłómaczy się to tem, że przywódcy na zgromadzeniach ze świadomością nie poruszają tych drażliwych zagadnień. Zresztą człowiek zawsze wierzy w to, do czego dąży, a obraz łudzący przyszłego eldorado socyalnego biorą masy z porównania z dobrze urządzoną fabryką, dającą właścicielowi znaczne zyski, przyczem przeceniając własną pracę, współudział właściciela, jego energię, zdolności administracyjne, spryt w wyzyskaniu konjunktur handlowych i kapitał oceniają za nisko. O niekorzystnych warunkach nic wiedzieć natomiast nie chcą, tak samo jak nie dostrzegają sprzeczności życia praktycznego z teoryą.

Dzisiejsze spółki przemysłowe i akcyjne nie mogą być dowodem powodzenia kollektywnego gospodarstwa, choćby tylko z tego powodu, że spółki są nieograniczonym właścicielem swego procederu i nie obliczają swoich udziałów w zyskach na podstawie osobistej pilności, lecz na podstawie złożonego do spółki kapitału, i że partycypują tak w zyskach jak i stratach przedsiębiorstwa.

Przypuśćmy jednak, że wszystkie te trudności dałyby się usunąć i sprawiedliwy rozdział udziałów pomiędzy współproducentów i urzędników dałby się przeprowadzić, to nastręcza się znowu trudność, a mianowicie, że armia urzędnicza musiałaby być nieproporcyonalnie wielką, a nadto do swego olbrzymiego zadania uzdolniona odpowiednio.

Przypatrzmy się zakresowi działania urzędników. Oprócz tych gałęzi administracyi, które dziś w państwie widzimy, a które wymagają już całej armii urzędniczej, przybywa w państwie socyalistycznem znacznie większa liczba urzędników, których wymaga socyalna organizacya środków produkcyjnych z dzialalnością wnikającą w życie każdego obywatela począwszy od dzieciństwa.

Dziś już skarżymy się na całą powódź nowych coraz praw i rozporządzeń. Ileżby takich rozporządzeń, ustaw, przepisów i t. p. musiało powstać w państwie socyalnem dla tylu najróżnorodniejszych gałęzi produkcyi, dla obliczenia zysku, udziału.

Urzędnik, chcący jak należy wywiązać się z tego zadania, musiałby naturalnie znać te wszystkie przepisy. Studyum prawa w państwie przyszłości byłoby nadzwyczaj utrudnione, a szczególnie los kierowników nawy państwowej, np. ministrów zmuszonych rozstrzygać zażalenia, wnioski do zmian obowią-

zujących urządzeń, odpowiadać na interpelacye naturalnie na podstawie istniejących setek tysięcy paragrafów. Los takiego dygnitarza byłby wcale nie do pozazdroszczenia.

Przedstawmy sobie nadto, jakiej bezwzględnej sprawiedliwości wymagać trzeba będzie od urzędników państwa socyalnego, szczególnie przy szacowaniu pracy i wymiarze udziału, a gdzie rękojmia tej sprawiedliwości? Przykazania Dekalogu pójdą w zapomnienie, a jakiemi przykazaniami natomiast zwiąże państwo socyalne swoich ohywateli, zaszczepi w nich zasady uczciwości i namiętności okiełza? Ludzkie prawa mniejszą mają powagę od Boskich.

Dla urzędników państw dzisiejszych istnieją zakłady naukowe, dające im stosowne fachowe wykształcenie, tak samo dla każdego zawodu istnieją specyalne zakłady i kursa, które umożliwiają przyswojenie sobie wykształcenia w obranym zawodzie.

Według głoszonych zasad na zgromadzeniach socyalnych demokratów, wszystkie dzieci przyszłości musiałyby jednakie pobierać nauki, tak chłopcy jak dziewczęta. Ponieważ jednak część tylko uczącej się młodzieży przeznaczonąby była do objęcia funkcyj urzędniczych, reszta zaś przeznaczona do zawodów praktycznych, przeto cała ta część w razie obowiązującego dla wszystkich wyższego wykształcenia, straciłaby na niepotrzebnych jej w przyszłym zawodzie studyach lat kilka i dopiero w wieku lat 20 lub więcej, musiałaby zmuszona uczyć się np. szewstwa, kowalstwa, pracy na roli i t. p. Czy jednak z chęcią, czy z pożytkiem dla dobra ogółu i dla odnośnej produkcyi — to wielka kwestya, tem więcej, że przy nauce szkolnej fizyczne siły nie wyrabiają się odpowiednio do zawodu praktycznego i trudniej z 20-letniego terminatora wykształcić tęgiego w zawodzie pracownika, jak z malca, który np. od 14 roku w pewnym pracuje zawodzie.

W przeciwnym razie, t. j. gdyby obowiązującym był typ szkoły niższego poziomu, skąd wziąć materyału na milionową armię urzędników, która przecież potrzebuje koniecznie odpowiedniego naukowego i fachowego wykształcenia. Może jednak państwo socyalistyczne wbrew zasadzie równości ustanowi dwa typy szkół; jeden dla ogółu pracowników, drugi wyższy dla przyszłych urzędników i postanowi, że ci, którzy w szkole niższej wybitniejszemi zdolnościami się odznaczą, przechodzą do szkoły wyższej i ci będą przyszłymi urzędnikami; to pominąwszy już okoliczność, że nie zawsze trafnie ocenić się da talent trzynastoletniego chłopca, toorya taka doprowadzi najpierw do

arystokracyi naukowej, następnie do dziedzicznej arystokracyi urzędniczej, bo ojciec urzędnik starać się będzie wszelkiemi siłami, by syn jego również po tej samej szedł drodze, jako lżejszej może i intratniejszej od losu towarzysza współproducenta. A przecież to tak wprost przeciwne zasadom socyalno-demokratycznym!

Czy urzędnicy państwa socyalnego będą mieli odpowiednią powagę, tak potrzebną do skutecznego rządzenia? Samym przymusem, samemi karami rządzić trudno. Powaga dzisiejszych urzędników tak dla publiczności, jak i dla podwładnych urzędników płynie z uznania wyższości naukowej, z rutyny fachowej tychże, do czego także wiele dodaje wyższe urodzenie. W państwie socyalnem, gdzie wszystko do jednego poziomu będzie zniwelowane, czem wywalczy sobie wyższy nawet urzędnik tę powagę? Każdy towarzysz uważać się będzie za zupełnie mu równego, a w poczuciu tej równości będzie lekceważył jego zarządzenia.

Im więcej państwo socyalne potrzebować będzie tęgich, fachowych, uczciwych, sprawiedliwych i posiadających należytą powagę urzędników, tem mniej z biegiem lat będzie ich posiadać, a za tem nastąpić musi rozluźnienie całej maszyny i jej ostateczna stagnacya.

Zastanówmy się dalej, jak się wiążą stosunki produkcyjne w socyalno-demokratycznem społeczeństwie. Po przejściu na rzecz państwa wszystkich produkcyjnych procederów powinna ustać wszelka walka konkurencyjna. W jaki jednak sposób dojść do tego celu?

Przedstawmy rzecz na przykładzie. W pewnej miejscowości znajduje się 10 przędzalni. Jeżeli każda z tych przędzalni tworzyć będzie osobne przedsiębiorstwo, które swoimi dochodami obdziela własnych tylko pracowników, to powrócą dzisiejsze stosunki i konkurencya zakwitnie na nowo. Od zdolności i energii kierownictwa, od pilności i zręczności robotników zależeć będzie powodzenie i rozkwit interesu i większe zyski z produkcyi, podczas gdy druga fabryka zysków żadnych nie da. Robotnicy więc jednej branży, w jednej miejscowości, będą nierówno uposażeni; jedni mogą opływać w dostatki, inni cierpieć nędzę. Aby temu zapobiedz, trzeba będzie wszystkie przedsiębiorstwa jednej gałęzi produkcyjnej, znajdujące się w pewnej miejscowości uważać za jedno przedsiębiorstwo, sumę zysków obliczyć i na tej podstawie wymierzać współproducentom udziały.

W ten sposób i dla tych samych powodów powstanie

konkurencya pomiędzy jednoimiennemi fabrykami, rozrzuconemi w całem państwie. A więc należy jednogatunkowe przedsiębiorstwa całego państwa uważać za jedno przedsiębiorstwo i z ogólnych dochodów wymierzać sprawiedliwe udziały. Co za straszna praca! Ale i na tem nie koniec. Fabryki np. żelaza stoją dobrze i dają swoim pracownikom wystarczające udziały; natomiast fabryki innych gałęzi nie prosperują i nie dają robotnikom dostatecznego utrzymania. Co wtenczas? Czy kwitnące przedsiębiorstwa mają świadczyć na rzecz nierentujących? Ale na jakiej podstawie, w jakiej wysokości, za zwrotem, czy bezzwrotnie? Czy może państwo ma wkroczyć z pomocą? Ale państwo kapitału nie posiada i posiadać nie powinno.

Jedno więc tylko wyjście, a mianowicie wynik gospodarki wszystkich gałęzi produkcyjnych całego państwa zebrać w skarbie państwa; z ogólnej sumy uzyskanych dochodów potrącić, co potrzeba na kierownictwo państwa, na urzędników, na rezerwy potrzebne dla utrzymania środków komunikacyjnych, budowli i t. p., a pozostałą resztę dopiero rozdzielić sprawiedliwie pomiędzy miliony współproducentów całego państwa, w miarę wydatności ich pracy. Co za straszne zadanie, co za ogrom ich pracy — poprostu niemożebność!

Brak zupełny kapitału w państwie socyalistycznem wnet zemściłby się na samem państwie. Przeciw kapitałowi i kapitalistom zwracają dziś socyaliści głównie swoje gromy, po części słusznie; jednak zapoznawać dobroczynnej działalności kapitału w życiu społeczeństwa nie można. Cóż jest głównym motorem ducha wynalazczego, jeżeli nie kapitał? Czy bez kapitału możebneby były wielkie wynalazki w dziedzinie pary, elektryczności? Jeżeli z jednej strony kapitał lichwiarski rujnuje wyzyskiem, to znowu ten sam kapitał w kasach oszczędności, bankach i t. p. ratuje położenie ekonomiczne. Usunięcie kapitału zupełne, byłoby niedźwiedzią usługą dla całego społeczeństwa.

Szary tłum socyalistów sądzi powszechnie, mimo że przywódcy sprawę już dość jasno postawili, że udziały pojedynczych współproducentów wypłacane będą w brzęczącej monecie, tak jak dziś zarobki tygodniowe, że tych udziałów będzie każdy mógł, według swego widzimisię, użyć na własne potrzeby, że wreszcie będzie mógł z nich robić oszczędności. Ale sprawa w oświetleniu przywódców inaczej się przedstawia. Pieniądz będzie zupełnie zniesiony, bo pozostawiając pieniądz, otwarłoby się na oścież bramę powrotowi kapitalizmu, wyzy-

skowi jednych przez drugich i sprowadziłoby na nowo materyalną nierówność. Przedstawmy sobie to na przykładzie. Robotnik, przepraszam, współproducent zarabia dziennie 2 złr., które mu w gotówce bywają wypłacane. Na swoje potrzeby wydaje tylko 1 złr., pozostaje mu dziennie 1 złr., co na rok robi 365 złr., po dziesięciu latach 3650 złr.; inny natomiast robotnik, pobierający taki sam udział, wyda na swoje potrzeby wszystko, czasem nawet mu zabraknie podczas choroby lub z innego powodu. Pójdzie może do towarzysza mającego pieniądze z prośbą o pomoc. Czy ją otrzyma bezinteresownie — pytanie? Jeżeli ten zażąda procentu, jest już wyzysk, jest bogacenie się jednego kosztem drugiego, jest zależność, jest gospodarstwo kapitalistyczne. A więc precz z pieniądzem!

Udziały obywateli państwa socyalistycznego nie w pieniądzach, ale artykułach potrzebnych do życia będą rozdzielane. Sposób ten wprawdzie wyklucza powrót panowania kapitału, ale równocześnie zmniejszy zadowolenie jednostki z pracy zawodowej, osłabi jego energię, zabije talent, bo pozbawi go tego, co jest nagrodą pracy, wolnego rozporządzania swoim zarobkiem, uprzyjemnienia sobie życia w sposób dowolny. Może to jednak nie prawda. Wszak według głoszonych teoryj, państwo socyalistyczne ma zaspokajać wszystkie potrzeby i życzenia swych obywateli. Brzmi to bardzo ładnie i zachęcająco, ale przypomina nam bajkę słyszaną w dzieciństwie o kraju, gdzie pieczone gołąbki rosną na drzewach, gdzie rzeki płyną mlekiem, winem, piwem i t. p.

Rozliczne są potrzeby człowieka, chcąc więc potrzeby te zadowolnić, należałoby każdą miejscowość, gdzie ludzie żyją, a więc tak wielkie miasto jak i małą osadę wiejską zaopatrzyć w magazyny państwowe, posiadające na składzie wszystkie artykuły potrzebne do życia i wygody mieszkańców. Magazyny wydawałyby na żądanie obywatelom potrzebne artykuły, a do tego musiałyby być wyznaczone pewne dni. Powstałaby stąd niewygoda, w takim dniu wydawania musiałby w magazynie zapanować ścisk niesłychany.

Zresztą co to musiałby być za magazyn, któryby mieścił w sobie wszystko, czego w ogóle człowiek zapotrzebować może.

Byłoby pewnem ułatwieniem, nawet koniecznością, aby każdy konsument naprzód zgłosił, czego mu potrzeba. Wieleby to trzeba pisaniny, by zanotować zgłoszone potrzeby setek klientów, jakiej korespondencyi dla sprowadzenia zapotrzebowanych artykułów, jakich kosztów sprowadzenia, a ilu urzę-

dników! Chcąc uprościć proceder wydawania, musiałoby państwo i tu wkroczyć ze swoją powagą i ograniczyć potrzeby, a właściwie zachcianki swych obywateli, zwłaszcza w artykułach zbytkownych. W każdym razie dzień wydawania z magazynu byłby dla zawiadowców dniem strasznym, wywołałby całą masę pomyłek, niezadowolenie. Jakiż to kontrast z dzisiejszym dniem wypłaty, gdzie wszystko załatwia się spokojnie i w krótkim czasie.

Niełatwiejszem byłoby dostarczenie mieszkania; wolny wybór byłby i tu wykluczony, a przeznaczenie mieszkania byłoby czynnością urzędników, którzy stosownie do zatrudnienia, do miejsca pracy, wyznaczaliby pojedynczym obywatelom mieszkania, których wartość naturalnie w przypadającym udziale musiałaby być zarachowaną. Nie da się zaprzeczyć, że byłoby i tu setki niezadowolonych Ten, któremu przypadło w udziale mieszkanie na wsi, zazdrościłby mieszkańcowi miasta, dającego szersze pole do uprzyjemnienia sobie życia.

Niezadowolenie rosłoby tem bardziej, że raz wyznaczone mieszkanie zmienioneby być nia mogło, a przeświadczenie to zbrzydziłoby i uczyniłoky więzieniem prawie ten kącik, przeznaczony na odpoczynek i wytchnienie.

Niezadowolenie rosłoby tem bardziej, że raz wyznaczone mieszkanie zmienioneby być nie mogło, a przeświadczenie to zbrzydziłoby i uczyniłoby więzieniem prawie ten kącik, przeznaczony na odpoczynek i wytchnienie.

Wspomnieliśmy, że wszechpotężne państwo socyalistyczne musiałoby ograniczyć wolny wybór artykułów. Przypuśćmy bowiem, że jakiś towarzysz, pijak, bo nie sądzimy, aby w państwie socyalistycznem byli ludzie bez namiętności — zażądał zamiast środków żywności na oznaczony termin, zamiast potrzebnego mu na zimę ciepłego ubrania, wódki, piwa i wina w nieproporcyonalnej ilości, czyby na to państwo pozwoliło? Bezwarunkowo nie, bo taki pijanica nie byłby po użyciu otrzymanego quantum alkoholu zdolny do pracy, nie odżywiając się należycie straciłby potrzebne siły. Musiałoby państwo oznaczyć, że w pierwszym rzędzie na rachunek udziału należy wydawać artykuły żywności w odpowiedniej ilości, ubranie, obuwie, a dopiero, o ile udział ten pozwala, artykuły wygody i zbytku. Nowe więc ograniczenie indywidualnej wolności. Systemizowanie pewnych dni na wydawanie z magazynów np. raz na tydzień, również jest niedogodne. Przedmioty jak: chleb, mięso, mleko ulegają zepsuciu, więc przy takim systemie obywatele państwa socyalnego musieliby w końcu tygodnia jeść spleśniały chleb

i śmierdzące mięso, a wątpimy, czyby im to smakowało. Wydawanie więc tych artykułów codziennie jest koniecznością, przedstawia jednak ogromne trudności w wydawaniu samem, stratę czasu i pociąga za sobą ogromnie skomplikowaną rachunkowość.

Lecz nastręcza się jeszcze jedna trudność. Może się ktoś znaleść zdala od wyznaczonego mu magazynu, a jest głodny lub spragniony. Wstępuje więc do najbliższego magazynu i żąda wydania potrzebnych mu artykułów; odmówić mu nie można, więc mu dają, co potrzeba; naturalnie zawiadomić o tem należy przynależny magazyn celem zanotowania wypadku. A jeżeli udział jego już wyczerpany, kto zwróci tę nadwyżkę? By temu zapobiedz, musiałyby być o wysokości udziału wszystkich obywateli zawiadamiane wszystkie magazyny przynajmniej w jednej miejscowości. Coby to zaś pracy, pisaniny, rachunków kosztowało, jakąby należało urządzić kontrolę, to chyba zbytecznie mówić.

Przywódcy socyalistyczni wspominają wprawdzie o certyfikatach pracy, któreby nadużyciom zapobiegały i kontrolę ułatwiały. Taki certyfikat zawierałby wysokość udziału w artykułach, przypadających właścicielowi, a każdy magazyn notowałby na certyfikacie wydane artykuły; umożliwiłoby to również w zaopatrywanie się w potrzeby życia o każdej porze, niekoniecznie zaś w dniach obrachunku lub wydawania — natomiast zwiększyłoby nadmiernie pracę biurową; miliony certyfikatów poszłoby w kurs, miliony przeprowadzeń rachunkowych trzebaby uskuteczniać, a gdzie rękojmia przed fałszerstwem? Certyfikaty te jednak czyli asygnaty na produkta spożywcze będą niczem innem, jak tylko papierami wartościowymi, niejako państwowemi konsolami, czy zapisami długu państwa.

Znosząc jednak kapitał, pieniądze, wyklucza socyalna demokracya tem samem wszelkie papiery wartościowe — a przez zaprowadzenie certyfikatów pracy z asygnacyą udziału w produktach zaprowadza sama nowy typ papierów państwowych, z tą tylko różnicą, że nie opiewają one na pieniądze, lecz na artykuły spożywcze. Przeszkodzić obiegowi tych papierów nowych nie będzie można i znowu stać się może, że jaki towarzysz potrafi zgromadzić w swem ręku znaczniejszą liczbę tych papierów i stanie się kapitalistą.

Ponieważ jednak papiery te nie opiewają na pieniądze, obieg ich będzie więcej utrudniony. Słowem, w żaden sposób nie może państwo socyalistyczne przeszkodzić powrotowi kapitalizmu, gdyż w tym murze ochronnym, otaczającym państwo

przyszłości, znajdzie on zawsze wyłom, którym wtargnie, a sprzymierzeńców znajdzie w armii socyalistycznej, w towarzyszach, pełno

Zresztą zupełne zniesienie pieniędzy, wyrzucenie ich z obiegu sprowadziłoby w zarządzie państwa socyalistycznego olbrzymią niedogodność. Dziś na całym świecie pieniądz jest miarą wartości. Coby zaś miarą wartości było w państwie socyalistycznem? W jaki sposób sporządzanoby bilans państwowy! W jaki sposób obliczałoby się koszta produkcyi i wartość wyprodukowanych przedmiotów i czysty zysk z produkcyi? Coby tu służyło za miarę wartości, jeżeli pieniądz zniesiony?

Na to usłyszymy odpowiedź przewódców socyalistycznych, że miarą wartości w przyszłem państwie będzie dzień roboczy. W praktyce jednak zastosować dzień roboczy jako jednostkę wartościową — chyba bardzo trudno.

Bierzmy przykład. Dziś mówimy, że fabryka przyniosła zysku 200.000 złr., w państwie socyalnym zysk ten wyrazi 100.000 dni roboczych, ktory ma być rozdzielony pomiędzy 300 towarzyszy.

Jaki jednak dzień roboczy ma być wzięty za miarę, skoro dni różną mają wartość? Następnie trzebaby obliczyć wartość każdego przedmiotu na dnie robocze i tak np. wartość funta chleba = $^1/_{10}$ dnia roboczego, pary butów = 2 dni roboczych i t. d. Dziś przy systemie pieniężnym wartość przedmiotów łatwo oznaczyć — przy systemie dnia roboczego o wiele trudniej.

Przedstawmy sobie teraz kolosalne obrachunki dla milionów towarzyszy, pobierających artykuły wyrażone w wartości ułamków dnia roboczego; przedstawmy sobie kontrolę, jakaby istnieć musiała, aby kto więcej nie otrzymał jak mu się należy, przedstawmy sobie wreszcie potrzebę coraz to nowego szacowania artykułów, które przecie wartość swą zmieniają — a przekonamy się, że powstanie tu tylko chaos, zamieszanie, z którego nikt wybrnąć nie potrafi.

Jeżeli jednak — co nieprawdopodobne — państwo socyalne rozwiąże szczęśliwie kwestyę usunięcia pieniędzy w stosunkach wewnętrznych, to w jaki sposób uregulują się stosunki z zagranicą? Przecie z zagranicy sprowadzać musi państwo potrzebne dla konsumcyi produkta, a nawzajem za granicę wywozić nadmiar swych artykułów. Czyżby miano powrócić napowrót do handlu zamiennego, praktykowanego jedynie w stosunkach handlowych z najdzikszemi plemionami Afryki? Zresztą ruch pocztowy musiałby być koniecznie z zagranicą

utrzymywany, więc potrzebną byłaby marka, a marka to pieniądz.

Ludność nadgraniczna bezwarunkowo wchodziłaby w stosunki z ludnością państwa ościennego, niesocyalistycznego, posiadającego system pieniężny.

Niechby więc kontrola była najdokładniejsza, zakazy najsurowsze, nicby to nie przeszkodziło, żeby obywatele państwa socyalnego przedmiotów jako udział otrzymywanych na razie zbędnych nie sprzedawali za pieniądze zagranicznym sąsiadom. W ten sposób pieniądz wtargnąłby napowrót do państwa, z pasu granicznego dostałby się w środek kraju i powoli objął swe panowanie.

Jedynym sposobem zapobieżenia temu byłoby zniesienie pieniędzy i w ościennych państwach — a cóż, jeżeliby się na to nie zgodziły? Chyba wojna! Ale tu także słaba strona państwa socyalistycznego. Państwo socyalistyczne znosi armię stałą, a w danym razie powołuje pospolite ruszenie. Wypowiedzenie wojny zależy od ludu, nie od kierownictwa. Gdyby więc na wojnę państwa soc. z ościennem mocarstwem się zaniosło, to rezultat łatwy do przewidzenia. Zanim zgromadzenia ludowe uchwaliłyby wojnę, nieprzyjaciel stałby już uzbrojony na granicy, zanimby wydano rozkazy do zbierania pospolitego ruszenia, armia nieprzyjacielska zajęłaby już znaczną część państwa, a zebrane oddziały pospolitego ruszenia bez wprawy, lub mało wprawne w rzemiośle wojskowem, bez fachowych wodzów, choćby nawet liczne, co znaczą wobec armii wyćwiczonej, dowodzonej przez generałów i oficerów fachowo wykształconych?

O sztuce, poezyi, o filozofii, w ogóle o wyższych umiejętnościach mowy w państwie socyalnem nie ma. Dla malarzy, rzeźbiarzy, muzyków, dla poetów, filozofów, historyków i t. p. wybrańców geniuszu z nastaniem państwa socyalistycznego ostatnia wybije godzina, bo gdzież może być mowa o ideale w społeczeństwie, które tylko życie ziemskie i jego uciechy ma na celu.

Porzućmy jednak te krainy ideału i przejdźmy na pole realniejsze i zapytajmy się, jak urządzi państwo socyalne zakłady miłosierdzia, szpitale, przytułki dla kalek i starców?

Starców do pracy niezdolnych, kalek, epileptyków dość zawsze w każdem społeczeńtwie. Kto ich ma utrzymywać? Na stare lata przy skreślonym systemie nikt nic nie oszczędzi i musi spaść w starości ciężarem dla społeczeństwa. O indywidualnem miłosierdziu w państwie soc. mowy być nie może;

religia bowiem zniesiona, a w religii jedynie miłosierdzie czerpie swe źródło; wychowane w socyaliźmie pokolenie, które nie słyszało już nauki miłości bliźniego, które nie słyszało: „Błogosławieni miłosierni“ — a wzrosłe w materyaliźmie, będzie wolało brać jak dawać. Nie przeczę, że państwo musi się postarać o przytułki dla chorych, kalek i niezdolnych do pracy i środki utrzymania obmyśleć im musi. Jedynym sposobem będzie tu okrawanie udziałów towarzyszy na rzecz przytułków. Lecz nie do pozazdroszczenia będzie los prebendaryuszy w tych państwowych zakładach, uważanych za ciężar społeczeństwa, niepotrzebnie zjadających owoce pracy zdrowych obywateli. Najstraszniejsza to będzie jałmużna rzucana biedakom przez społeczeństwo zimno, z pogardą, a pewnie skąpo.

O zakładach, będących wynikiem filantropii prawdziwych serc chrześcijańskizh, jak np. Lubomirskich i Helclów w Krakowie, jak Skarbków i Bilińskich we Lwowie, w państwie soc. mowy być nie może. I sądzimy, że z czasem w państwie socyalistycznem mogłoby przyjść do tego, że na wzór niektórych ludów starożytnych zabijanoby noworodki nierokujące fizycznego rozwoju i kaleki.

Również kuleć będzie w socyalnej republice wymiar sprawiedliwości. Bo z wprowadzeniem rządów socyalistycznych nie pozbędą się ludzie namiętności, a dopóki ludzie będą pod wpływem namiętności, tak długo nie zniknie zbrodnia, tak długo będzie miało społeczeństwo do walczenia ze złodziejami, mordercami, podpalaczami itd. Nie przesadzimy może, twierdząc, że socyalistyczne państwo, bez religii, bez powagi Boskich przykazań, bez wiary w życie przyszłe, daleko więcej liczyć będzie zbrodniarzy, niż dzisiejsze społeczeństwo, bo braknie mu moralnego hamulca, który daje wiara i religia.

Czyż może ustawy państwowe więcej będą miały powagi, niż Boskie prawa Dekalogu? Jeżeli więc będą zbrodniarze, będą i sądy. Winny dobrowolnie się nie przyzna do zbrodni; stwierdzenie winy zależy od zeznań świadków. Jak niechętnie ludzie stawają przed kratkami w charakterze świadków, przytaczać zbytecznie, jak z obawy zemsty lub innych powodów zeznają fałszywie, przykłady pouczają.

Dzisiejsze sądownictwo ma przysięgę, która zmusza do zeznania prawdy — przysięgę, która jest aktem religijnym, gruntującym się na wierze, a mającym nadzwyczaj doniosłe znaczenie. Sądownictwo państwa socyalnego będzie tego środka pozbawione, bo tam nie będzie wiary, nie będzie religii, a więc i przysięga miejsca tam mieć nie będzie.

Zajmowaliśmy się dotąd stosunkiem jednostki do państwa socyalnego, przejdźmy teraz na jedno z najważniejszych pól życia społecznego, na życie rodzinne.

Według teoryj przywódców, święty, nierozerwalny związek małżeński, wiążący mężczyznę z kobietą do śmierci, jest tylko niegodnym przymusem, nienaturalnem ograniczeniem wolności i hamulcem w pełnem używaniu życia; jeżeli więc dzisiaj teorya tak wygląda, o ileż smutniej ukształtuje się w praktyce? Kościoła, któryby pobłogosławił związek między mężczyzną a kobietą nie będzie — będzie tylko państwo, które, nie krępując woli „ludzi wolnych", pozwoli jednostkom różnej płci łączyć się z sobą i rozłączać według upodobania. A więc gdy szał zmysłowy minie, przy pierwszej lepszej sprzeczce opuści mężczyzna kobietę, kobieta mężczyznę, szukając nowych związków, równie trwałych jak pierwsze. Gdzie zaś niema małżeństwa, tam niema życia rodzinnego. Kilkotygodniowe pożycie mężczyzny i kobiety, przy obopólnej wolności porzucenia się wzajemnego, wyklucza zupełnie pojęcie życia rodzinnego. Gdzież będzie przytułek dla dzieci, jak skonstatować kto ich ojcem? I owszem, zmateryalizowany nawskróś mężczyzna, który w kobiecie będzie widział jedynie narzędzie zaspokojenia swej chuci, wyprze się ojcowstwa i cały ciężar wyżywienia dziecka zostawi kobiecie, która ze swej strony — by pozbyć się tego ciężaru niemowlę porzuci.

Pominąwszy potworność takich stosunków, które koniecznie w społeczeństwie bez Boga, bez wiary, bez żadnego moralnego hamulca wytworzyć się muszą, nie możemy pominąć tej okoliczności, że w ten sposób państwo socyalne wyludniać się będzie i zabraknie mu z czasem materyału roboczego dla jego zakładów produkcyjnych.

Z powodu ekonomicznych trudności w republice socyalnej małżeństwa nawet nie mogłyby istnieć. Małżeństwa w państwie soc., mając utrzymanie tylko w udziale przypadającym za dnie pracy, bez względu czy bezdzietne, czy liczną obarczone rodziną, miałyby równe dochody, które pierwszemu wystarczałaby najzupełniej, drugie skazywałyby na niedostatek. Zarobek uboczny, posiadanie realności itp. całkiem bowiem wykluczone będą.

Chcąc utrzymać rodzinę obarczoną dziećmi, musiałoby państwo takim rodzinom dawać pewne dodatki, naturalnie z krzywdą i uszczerbkiem dla nieżonatych, dla niemających dzieci, coby wywołać musiało szemranie i niezadowolenie — nie

mówiąc nic o rachunkach, które, jak widzimy, każda podniesiona kwestya utrudnia i komplikuje.

Jedynem rozwiązaniem tej kwestyi byłoby wprowadzenie w życie teoryi Francuza Fouriera, według której dzieci, niepotrzebujące już piersi matki, umieszczanoby w państwowych zakładach wychowawczych, co przyjmują wszyscy teoretycy socyalni.

Ale konsekwencyą tego systemu byłoby zniszczenie zupełye stosunku między dzieckiem a rodzicami, zupełne zniesienie rodziny i życia rodzinnego, dającego ludziom najczystsze rozkosze, pobudzającego serca do najwyższych poświęceń i najszlachetniejszych porywów. Wychowane w publicznych dzieciarniach dziecko nie będzie znało ani ojca, ani matki, ani siostry, ani brata, a nawzajem ojciec i matka nie pozna swego dziecięcia w tłumie publicznych wychowanków. Czy pozbawienie tego stosunku serdecznego, tych najprymitywniejszych uczuć wyjdzie społeczeństwu na dobre — wątpimy.

Od dawna przyjęto za pewnik, że rodzina jest podstawą państwa, jest podstawą społeczeństwa. Z życia rodzinnego wytworzyły się organizacye państwowe, nawet u ludów mniej cywilizowanych, z uczucia miłości rodzinnej zrodziła się miłość Ojczyzny i posłuszeństwo dla państwa, bo ono obejmuje wszystko, co nam drogie. Ale bez miłości, samym przymusem i martwą literą ustawy, skleić się nie da na długo społeczeństwo.

Państwo, pozbawione głównej swej podstawy małżeństwa i rodziny, choćby przyszło do skutku, rozpaść się musi.

Skreśliwszy w krótkości urządzenia państwa socyalistycznego na polach życia społecznego, dochodzimy do konkluzyi, że w razie zwycięstwa idei socyalnej-demokracyi i wprowadzenia w życie państwa socyalistycznego, państwo to się nie ostoi i ostać się nie może.

Nie da bowiem obiecanej większej wolności, przeciwnie ograniczy zupełnie wolność jednostki, spowijając człowieka w więzy niewoli od kolebki aż do grobu, niewoli gorszej od znanej kiedykolwiek w dziejach ludzkości — nie zapewni ludziom sprawiedliwego i lepszego korzystania z owoców pracy, przyciwnie zniszczy zadowolenie zawodowe, ubezwładni ducha przedsiębiorczego i wynalazczego i podkopie dobrobyt społeczny; nie zwiększy sumy uciech życia, przeciwnie zrodzi nudę i niezadowolenie, stwarzając monotonne jednostajne warunki życia, nie stworzy rozumnego ładu społecznego, przeciwnie pogrzebie wszelki ład powoli, zabije cywilizacyę, mozolnie przez ducha

ludzkiego przez wieki stworzoną — a na zewnątrz przedstawi się bezradnym, pozbawionym siły i odporności organizmem, czyli, że takie państwo upaść samo przez się musi.

Wpływ nauk klasycznych

na religię, rodzinę i społeczeństwo.

(Dokończenie).

Porzućmy szkoły i zapuśćmy badawczy wzrok w społeczeństwo! I gdzież w niem dzisiaj napotykamy chrześcijańskiego ducha ofiarności i poświęcenia? Gdzie widzimy pogardzanie z zasady bogactwami, zaszczytami i przyjemnościami? W jakim to czasie panowały trzy walne żądze z większym despotyzmem i rozpowszechnieniem nad światem? Czyliż pieniądze nie są bożyszczem naszego czasu? Czyliż przyjemności nie są jedynym rajem, do którego ludzie zdążają? Czyli pogański dogmat szczęścia doczesnego i szczęścia przez bogactwo nie stał się podstawą dzikich teoryj, które obecnie doznają przerażającego poparcia? I o czemże tutaj jeszcze mówić? Czyli dzisiejszy świat nie obfituje w mowców, mężów, uczonych we wszystkich umiejętnościach, rozprawiających za przykładem swych „klasycznych“ wzorów wymownie o cnocie, w którą, okazuje to ich brudne życie — nie wierzą? Czyliż w końcu nie widzimy dookoła nas powstające stowarzyszenia, które podobnie: jak to i poganie czynili, twierdzą, że wystarcza jedynie być uczciwym, oraz, że i bez chrystyanizmu można być szczęśliwym?

Proszę zbadać, od kiedyto poczęło się to straszliwe poniżenie ducha w Europie, nie zapominając, że tutaj wszystko zawisło od wychowania, a niezawodnie z zawartemi oczyma wskażecie, Łaskawi Czytelnicy, na porę wskrzeszenia nauk klasycznych czyli pogańskich w wychowaniu!

Niechaj nam przeciwnicy w celu osłabienia powyższych faktów i wywodów nie nadmieniają, że pogańskie klasyczne dzieła doznały moralnej puryfikacyi, lub expurgacyi, a tem mniej i to w celu sprzeciwienia się żądanym przez nas reformom w wychowaniu, że one mogą przecie doznać jeszcze staranniejszej korekty i expurgacyi! Czcze i płonne to argu-

menty! Korekcye i expurgacye, zatuszowania w tym względzie usunęły w najlepszym razie „grube“ niemoralności, namacalne błędy, albo mogą je usunąć; nie zmienią zaś one niczego w samym duchu pogaństwa, którym, rzecz to nie uniknionia, tchną [1]) dzieła autorów pogańskich. A właśnie przecie tutaj tkwi niebezpieczeństwo! To właśnie pojmowali doskonale wszyscy Ojcowie Kościoła, całe wieki średnie.

Kiedy tacy Hieronimowie, Augustynowie, Grzegorze potępiali tak energicznie klasyczne pogaństwo w wychowaniu, wykazując z taką wymową jego niezmierne niebezpieczeństwo: czyż sądzicie na seryo, że oni to czynili z obawy, iżby świat chrześcijański przypadkiem nie powrócił do kultu Jowisza, Wenery i Merkurego? Nie: bożyszcza olimpijskie runęły z swych ołtarzy, aby się już na nie nie wydostać nigdy. Pogaństwo było w swej postaci materyalnej martwe, całkowicie martwe, ale jeszcze żyło w swym duchu. A ten duch utrzymał się w pogańskich książkach, które w rękach młodzieży wywierają tak potężny wpływ, iż tego ducha wlewają w serca chrześcijańskich pokoleń, a przez nie w społeczeństwo. Tutaj tkwiło zawsze niebezpieczeństwo, tutaj ono jeszcze tkwi i zawsze tkwić będzie.

Trzeba się mieć na baczności: nadejdzie czas, jeśli on już nie nadszedł, w którym będzie już niemożliwem zażegnanie tego niebezpieczeństwa. Pewien uczony mąż XVI wieku wypowiedział w obliczu Europy: „Od kwestyi i zastósowania pogaństwa, lub chrystyanizmu w wychowaniu, zawisło zbawienie świata“.

*
* *

Poszanowanie powagi rodzicielskiej, nierozwiązalność małżeństwa, prawo ojcowskie wobec swych dzieci, to są podwaliny rodziny chrześcijańskiej: stowarzyszenie zaś domowe utrzymuje się równie jak polityczna społeczność poszanowaniem praw, które je tworzą. Stąd płynęły w ciągu 15 stuleci: głęboka cześć ludów chrześcijańskich względem nauk rodzicielskich, zwyczajów i obyczajów, stąd religijna piecza w przekazywaniu dzieciom, jako najkosztowniejszą cząstkę ich dziedzi-

---

[1]) Niegdyś mówiono: „Graecum est, non legitur. To greczyzna; tej się nie czyta!“ Dzisiaj, zdaje się, odmienne panuje zapatrywanie: „Graecum est — non reprehenditur. — To niesmaczne, sromotne — ale to — greczyzna!“ (Przyp. aut.).

ctwa, świętej wiary przodków. Tak działały wszystkie rodziny historyczne, tak działały wszystkie rodziny wielkie, które jaśnieją w dziejach świata.

To prawo zachowawcze jest tak naturalne, owszem śmiemy powiedzieć: żywiołowe, że je narody pogańskie doskonale znały i z osobliwszą wiernością wypełniały. Rzym, na który się zwykle tak chętnie powołujemy, wzkazywał zawsze na swe piorwotne zwyczaje i obyczaje. Zasady ich ojców były zasadami świętemi, a cześć, jaką Rzym otaczał imiona swych nauczycieli, dochodziła prawie do ubóstwiania. W tem głębokiem i powszechnem poszanowaniu związki familijne znajdowały swe zachowanie. A te nienaruszalne związki familijne, przez które Rzym zawsze jednakim pozostawał, stały się źródłem jego potęgi, tajemnicą jego trwałości i podstawą jego nieograniczonej władzy.

A czemże jest obecnie klasyczne pogaństwo? Jest ono szkołą pogardy wobec rodzicielskiej powagi. Zniewagi, oszczerstwa, wyszydzania i urągania, jakich doznają nasi przodkowie, stanowią ujemną stronę nauk klasycznych w wychowaniu młodzieży.

Wyniósłszy aż pod obłoki w pochwałach ludzi, zakłady, stowarzyszenia pogan, rzucają się zwolennicy nauk klasycznych na naszych biednych przodków, na ich zwyczaje, zakłady, na wszystko, co oni byli uczynili, tak, że ich dzieci, potomkowie niemal się wstydzą takiego pochodzenia. Niczego nie uszanują: pierwotni chrześcijanie są ich zdaniem, fanatykami i głupcami stulecia, w których oni żyli, są wiekami barbarzyństwa, wieki średnie epoką żelazną ludzkiego rodu, czasem powszechnego letargu. Wiarę naszych przodków nazywają bydlęcą głupotą, ich religijne praktyki zabobonem, ich cnoty fanatyzmem, ich papieży chciwymi sławy, ich królów tyranami, ich książąt złodziejami, ich panów rabusiami, ich prawa kodeksem okrucieństwa i głupoty, ich dzieje legendami, nauki dzieciństwem, piśmiennictwo barbarzyństwem, ich umiejętności niewiadomością, sztuki parafiańszczyzną, ich stan socyalny niewolą i nędzą. Słowem: od przeszło 300 lat przedstawiają nam naszych przodków jako rabusiów, żyjących z łupu i oddających się wszelkim występkom, jako dzikich, zaledwo umiejących chodzić na własnych nogach, jako kretynów, których dziecinna i naiwna wiara zdolną była uważać za prawdę, że „osły latają w powietrzu również jak jaskółki [1]).

[1]) Tego wyrażenia drastycznego użył umyślnie dla dosadności ujemnego sądu w swej książce ks. Gaume.

Rycerskie cnoty naszych przodków, ich wzniosłe poświęcenia nazywamy fanatyzmem, przesadą, a na jakąż nazwę zasługuje nasze samolubstwo? Oni budowali kościoły i klasztory, my budujemy teatra i więzienia. Gdy oni dopuścili się zbrodni, prosili publicznie Boga i ludzi o przebaczenie; my czynem zbrodniczym raczej się chełpimy. Zagrożeni lub dotknięci chłostą niebios, oni się kajali, my zaś bluźnimy. Gdy ich nawiedziło jakie wielkie zmartwienie, natenczas oni się modlili, dzisiaj ludzie życie sobie odbierają. Mówimy o ich nieświadomości, a gdzież nasza oświata? Czy to w owych czasach rzekomej ciemnoty, albo też w naszych wiekach oświeconych napotykamy najrzetelniejsze pojęcie prawa, powagi, własności, dobrego i złego?

Wychwalamy piękność naszych nowych języków, oni je utworzyli. My odkryliśmy parę i elektryczność, oni kompas, sztukę drukarską i wynaleźli proch strzelniczy. Opiewamy naszych wielkich mężów w dziedzinie wojowania, umiejętności i sztuk, a one czyli istotnie były tak barbarzyńskiemi, jak śmiemy mówić, owe wieki, które wydały w sztuce wojennej takiego Karola Wielkiego, Dugueslina, Gotfryda z Buillonu, w umiejętnościach politycznych Alcuina, św. Grzegorza VII., św. Ludwika i Sugera, w teologii św. Bonawenturę i św. Tomasza, w wymowie św. Bernarda, św. Antoniego z Padwy, św. Wincentego z Ferary, w filozofii św. Anzelma, w poezyi i literaturze Dantego i Petrarkę, w naukach przyrodniczych Gerberta i Bakona? Czy to byli dzicy i bracia dzikich, którzy strzałki naszych kościołów wyrzucili aż pod obłoki, wszystkie ich części tak misternie wyrzeźbili, ich dzwony i galerye zaludnili tłumem figur, dzieje doczesności i wieczności ażurowemi głoskami wypisali na ścianach i oszkleniu swych przepysznych budynków?

Zresztą nie powinniśmy się łudzić; ta pogarda, te bluźnierstwa dosięgają powagę — wyższą! Zaprzysiężony wróg chrześcijaństwa okazuje klasyczne pogaństwo względem wieków średnich taką pogardę i nieprzyjaźń, ponieważ one były epoką wiary. Ożywczy duch Kościoła przenikał do głębi instytucye, obyczaje i zwyczaje, sztuki i mowę tej epoki: dyskredytując je, dyskredytuję się widocznie Kościół; obwiniając je o zabobon, nieświadomość i barbarzyństwo, zwala się te wszystkie obwinienia na Kościół. To jest ostatnie słowo nierozsądnej i zawziętej walki, jaką trzy ostatnie wieki wiodą przeciw wiekom średnim. Powinni byli to zrozumieć zresztą dobrze myślący ludzie, którzy się okazywali fanatycznymi wielbi-

cielami klasycznego piśmiennictwa pogańskiego, objawiając przy tem namiętną pogardę względem naszej epoki prawdziwej wiary.

Ponieważ nowatorowie XV stulecia przedewszystkiem owe wieki obwiniali o największą ciemnotę, obrzydły zabobon i moralne zwyrodnienie, więc też upatrywali przyczynę w tem, że Kościół uronił był część pierwotnej prawowierności tak, że jego naukę należało oczyścić ze szpecących go przymieszek i naleciałości, że należało zarzucić wszelkie tradycye i powrócić do czystego słowa Bożego. Odważono się też na ten krok i nastała — reformacya!

W towarzystwie apostołów klasycznego pogaństwa w wychowaniu pojawili się: Luter, Kalwin, Teodor Beza; po sekciarzach i nowatorach nadeszli. Bayle, Argens, Bolingbroke, Diderot, Russeau i Wolter z całą filozoficzną armią. Wszyscy oni brali broń przeciw religii z tej samej zbrojowni, z której ją brali heretycy XVI stulecia, mając na celu już nie zaszczepianie pojedynczych prawd, ale zniweczenie całej budowy chrześcijaństwa. Dogmaty, tajemnice, przykazania, powagi, zwyczaje nazywają oni jednogłośnie wytworem niewiadomości i głupoty barbarzyńskich stuleci. Im samym, jak ich uczniom pozostała tylko jedyna rzecz do podziwiania — pogaństwo. W istocie widzimy, jak niebawem osławieni mężowie roku 93 postanowili odnowić świat za pomocą idei Sparty, Aten i Rzymu.

Podniesienie pogaństwa, a pogardzanie wiarą naszych ojców, przodków, stało się od przeszło 300 lat nieuniknioną podstawą publicznego wychowania w Europie. Nie jestże to zbrodniczem naruszeniem zachowawczego prawa familijnego: „Czcij ojca i matkę twoją, abyś długo żył, aby się ci dobrze powodziło na ziemi?“ Ale to jeszcze nie wszystko. Chrystyanizm zapewnił rodzinie jedność i nierozwiązalność związków małżeńskich, jako też święte prawa rodzicielskie względem dzieci. Przez pięćset lat czerpała Europa życie z tego świętego zdroju moralnego, któremu ludy chrześcijańskie zawdzięczają swą obyczajność i siłę. Daleką od nich i godną pogardy była myśl o rozwodzie i wielożeństwie; toż nie ma nic tak rzadkiego, jak napotkanie przykładów naruszenia tej familijnej zasady w dziejach Europy, nic nie obudza większej niechęci i głębszego wstrętu jak ono. Z drugiej strony nie przestrzegają ówcześni ludzie niczego z większą wiernością jak słusznej i uświęconej rodzicielskiej powagi.

A skądże to poszło, że od początku XVI stulecia znowu się pojawiają wielożeństwo i rozwody, upoważnione przez głowy reformacyi? Skąd to pochodzi, że one aż do naszych dni znachodzą nieprzerwany szereg obrońców pośród uczonych trzech ostatnich stuleci w Niemczech, Anglii i Francyi? Skąd pochodzi, że po krótkotrwałych protestacyach, rozwody stały się obecnie w połowie Europy prawem państwowem? Skąd to pochodzi, że ludzie dzisiaj prawami rodziców względem swych dzieci pogardzają i poniekąd depcą nogami? Skądże nowsze społeczeństwo zaczerpnęło pojęcia, sprzeciwiające się zupełnie wszelkim pojęciom chrystyanizmu? Jak wytłómaczyć ową łatwość, z jaką te pojęcia przeszły w ustawy i publiczne obyczaje?

Mój Boże: wszak ta smutna wrzekomo tajemnica sama się przez się tłómaczy! Stało się to drogą wpojonych nauk i wychowania młodzieży w duchu klasycznego pogaństwa. Wzorem do naśladowania, zakonodawcą i nauczycielem w tym zawodzie był Lykurg i jego ustawy... Filozofowie, prawodawcy i uczeni nowszych czasów, wierni w szkołach odebranym wrażeniom zachwalali, współzawodnicząc z sobą w swych dziełach ustawodawcze zasady rodziny lacedomońskiej; toż nie zaniedbano niczego, iżby te zasady familii pogańskiej w zastósowaniu przenieść na rodzinę chrześcijańską!

Namiętny wielbiciel Lykurga chwali go wymownie, powiadając, że „ten mąż nieśmiertelny umiał cnotę w życie wprowadzić środkami, które się jej zdają sprzeciwiać“. Bolingbroke, Potter, Helvetius, Collins, Tindal, Russeau, wszyscy encyklopedyści prawią jakby wyrocznia ustawodawstwa, wszyscy wychwalają kolejno idee Lykurga i nalegają na ich urzeczywistnienie dla uszczęśliwienia ludzkiego rodzaju. Ich wywody są doprawdy! pouczające.

Lykurg nie uznawał religijnego charakteru małżeństwa; oni odrzucają Sakrament, który je uszlachetnia, gdy je uświęca.

Lykurg nie przyjmuje nierozwiązalności związku małżeńskiego; oni wielbili „dobrodziejstwa“ rozwodu i wcielili go w ustawodawstwo.

Lykurg godzi się na konkubinat; a oni twierdzili, że go ganić nie należy, o ileby był stałym.

Lykurg usprawiedliwia wolne cielesne spółkowanie; oni utrzymywali, że wielożeństwo jest tylko sprawą rachunkową.

Lykurg odrzuca celibat i panieństwo (dziewiczość); oni je okrzyczeli i ośmieszyli.

Lykurg odmawia powagi rodzicom; oni to czynią w wyższym stopniu, twierdząc: „Żaden śmiertelnik nie otrzymuje od przyrody prawa rozkazywania drugiemu; ale my je sami udzielamy temu, od którego spodziewamy się dobrobytu... Przez ojca wykonywane rządy w rodzinie, zasadzają się jedynie na korzyściach, jakie on jej zamyśla udzielić".

Będąc uczniami pogańskich filozofów i prawników, wielbicielami pisarzy sensualistycznych uważają nowatorowie europejscy, u schyłku ostatniego stulecia za obowiązek sumienia i rozsądku przeszczepianie idei pogańskich na współczesną rodzinę. Doszedłszy do władzy przystępują oni do dzieła, pozbawiają związki małżeńskie wszelkiego religijnego charakteru, postanawiają rozwód, wyznaczają niezamężnym matkom publiczne nagrody, znoszą wszelkie śluby, wypędzają wszystkich zakonników i zakonnice z ich klasztorów, uszczuplają w swym kodeksie karnym, ile tylko mogą, władzę rodzicielską i wznawiają przez Raóaut Saint Etienne'a dosłownie zasadę Lykurga, że dziecko należy pierwej do państwa, aniżeli do rodziny. „Miejmy odwagę", — oświadczył niegdyś znany polityk Thiers — „powiedzieć stuleciu, które z siebie jest dumnem, że starożytność jest rzeczą najpiękniejszą na świecie!" My tego bynajmniej nie widzimy, wcale się z tym sądem nie godzimy. Pomimo najgruntowniejszego studyowania społecznego urządzenia Sparty i Rzymu widzimy w nich jedynie: gwałty, niesprawiedliwości, oszustwa, nieustanne wojny, niewolę, ohydę, politykę fałszywą, fałszywą moralność i fałszywą religię. Co wy podziwiacie, tem my brzydzimy się i pogardzamy.

Chrześcijaństwo jest zakonem powszechnej miłości bliźniego. Uczy ono: Szanować drugich i dla nich się poświęcać. Zdobywszy świat miłością, będąc zwierzchnikiem nieograniczonym wychowania w ciągu tysiąca lat, przeniknęło ono swym duchem narody Europy, żywiąc ożywczym nektarem swych nauk młode pokolenia i, o ile to dozwala ludzka słabość, przekształciło społeczeństwo według swego wizerunku. Dlatego w ciągu całych wieków średnich powszechna wojna pośród chrześcijańskich narodów, była prawie zupełnie nieznaną, dlatego wojny domowe były więcej ograniczone i mniej okrutne, aniżeli w starożytności; dlatego istniał patryotyzm katolicki, który uważał religię za powszechną ojczyznę, a wszystkich chrześcijan na świecie za braci, za których należało składać złoto i krew przelewać, pod jakiemkolwiekby podniebiem cierpieli. Dlatego też ujawniał się duch rycer-

ski, który bezinteresowną moc szlachetnych i silnych istotom słabym przekazywał do rozporządzenia.

Stąd wypłynęła nieograniczona, przez wyższą powagę religii w należytych granicach utrzymywana władza, która w ciągu tego czasokresu wydała więcej przykładów świątobliwości na t r o n a c h, t. j. bohaterskiego poświęcenia dla dobra narodów, aniżeli ich widziano we wszystkich czasokresach historyi. Dlatego istniały gminne i prowincyonalne wolności, nieporównanie wyższe nad wszystko, co dotychczas znano w tym kierunku, aniżeli wszystko, co później widziano. Dlatego istniała wreszcie nieograniczona wolność Kościoła, który był matką i dozorczynią wszelkiej wolności, Kościoła, którego nikt nie myślał uważać za obcego przybysza, albo współzawodnika, który natomiast miłowano, szanowano i wszelkim sposobem w jego społecznej działalności wspierano.

Dzisiaj napotykamy przeciwieństwo tego obrazu.

Charakterystycznem znamieniem Europy od 300 lat jest... n i e n a w i ś ć. „Nienawiść Boga“: chcianoby nietylko Jego religią usunąć, ale także Jego imię. „Nienawiść księży“: oczerniają ich, szydzą z nich, uciska się ich w wypełnianiu ich czynności, i już ogłaszają niektórzy ludzie na nich wyrok banicyi. „Nienawidź królów, szlachtę, istniejące urządzenia, nienawidź w s z e l k ą p o w a g ę, nienawidź p r a w a, które tłumieniem namiętności utrzymują pokój, nienawidź z w i e r z c h n o ś c i, które utrzymują prawa w mocy!“ Nienawiść w p a ń s t w i e, nienawiść w r o d z i n i e, ogólna nienawiść objawia się rokoszem, mordami i szalejącą żądzą burzenia — niszczenia.

W czysto politycznym kierunku głównemi objawami tej w wiekach wiary nieznanej nienawiści są:

Prawie nieustające zewnętrzne i domowe wojny, dzikie zamiłowanie wolności, gniewem pałający patryotyzm, brutalny despotyzm, przechodzący naprzemian z rąk pospólstwa w ręce jednostek.

Pogardy godny serwilizm.

Widoczne dążenie do komunizmu i zagłady.

I cóż zrodziło ten stan anormalny, co go utrzymuje? Skąd się wzięły te pojęcia, tak przeciwne pojęciom chrześcijańskim? Jak one wniknęły w społeczeństwo? Dlaczegoż się one pojawiają od 300 lat w Europie, z której w ciągu tysiąca lat były wyrugowane? Na to odpowiada nam publiczne wychowanie młodzieży słowami: „Od 300 lat jestem pogańskie: zamiast miłować, uczę ja nienawidzieć, według własnego wizerunku

ukształtowałem mych wychowanków, którzy to, co otrzymali, przekazali swym potomkom, i tą drogą stało się społeczeństwo pogańskiem, pośród którego panowała nienawiść“.

Atoli wojny zewnętrzne stanowią tylko część widowiska, jakie nastręcza młodzieży klasyczne pogaństwo; obraz uzupełniają zapasy wewnętrzne. Cóż to widzieliśmy w wewnętrznych dziejach Sparty, Aten, a szczególnie Rzymu, z którym nas jak najstaranniej zapoznawano? Oto nieustanne spory klas niższych społeczeństwa z wyższemi, przerażenie królów przezwanych „tyranami“, zakorzenioną nienawiść plebejuszów względem patrycyuszów i odwrotnie, zawichrzenia na forum, ustąpienie na „Górę świętą“, ustawy rolne, pośrednictwo trybunów i popularność spiskowców, ciągle odnawiające się waśnie, fakcye, gotowe do starcia się wręcz każdej chwili, krew obywateli, plamiącą ulice i place miast i ostracyzm, skazujący zwycięzców na wygnanie, jeśli nie zawsze byli równie szczęśliwymi!

Piękne to zaiste! przykłady, wzniosłe „wzory“, kosztowny zasiew dla młodocianej duszy... I jakież są polityczne następstwa tego rodzaju wychowania? Z jednej strony całkowite sfałszowanie prawdziwego pojęcia władzy, z drugiej zachwalanie i wykonywanie teoryj przewrotowych.

Wieki chrześcijańskie głosiły za św. Pawłem, że wszelka władza pochodzi od Boga. Powiedzcie zaś dzisiaj Europie, wychowanej w duchu pogaństwa, że wszelka władza pochodzi od Boga i od Jezusa Chrystusa, Króla nad królami, Pana nad panami daną bywa jako lenne, sprzeciwcie się pogańskiemu dogmatowi wszechwładzy narodu, a zobaczycie ilu się znajdzie pośród wrzekomych mędrców, którzyby wam inaczej odpowiedzieli, aniżeli uśmiechem politowania! Czytajcie, proszę, przemowy uroczyste, mowy poniekąd narodowe, tronowe, wywody mowców parlamentarnych i uważajcie: czy tam na każdej stronicy nie napotkacie nazwy nacyi, nazwy narodu, nazwy kraju, które w Europie uchodzą za najwyższą podstawę prawa i władzy! Skądże to tak częste powstawanie tych nazw zamiast nazwy Boga, jeśli nie stąd, że powaga, którą one wyrażają, jest wszechmożną, jedynie możną i uchodzi sama jedna za źródło władzy w dzisiejszym świecie politycznym?

Rezultatem wzmiankowanego wyżej wychowania młodzieży, jest zachwalanie i wychowywanie teoryj przewrotowych pogaństwa. Czytajcie, proszę, prawników, znawców prawa, filozofów nowszej Europy, wychowanych w duchu „pięknych“ klasyków starożytności, a cóż tam napotkacie? Powiedzą oni wam, że społeczeństwo jest umową, że rząd, jeśli ma być pra-

womocnym, musi być ugruntowanym na dobrowolnej zgodzie poddanych, gdyż inaczej jest tylko gwałtem, przywłaszczeniem, rabunkiem! Powiedzą wam, że wszelka władza pochodzi od narodu, który jest jedyną władzą, nie potrzebującą usprawiedliwiać swych postępków, a nauka, że książęta posiadają swą moc od Boga, jest przez duchowieństwo wymyśloną zasadą, stawiającą królów tylko dlatego nad naród, aby w imieniu Boga módz samym królom rozkazywać, a więc tylko żelazne okowy utrzymują cały naród pod nogami jedynego człowieka. Powiedzą wam wreszcie, że naród jest jedynym nieograniczonym władcą, posiadającym prawo sądzenia królów, których mandat zależy od jego woli i, jeżeli go oni naruszą, traci znaczenie — a insurekcya jest jedną z najświętszych powinności.

Ten naród podniósł też rokosz od jednego krańca Europy do drugiego i odbył sąd nad „tyranami“ i igrał koronami jakby dziecko piłką... I widzieliśmy: jak on w krótszym czasie od lat 50 pokruszył pięćdziesiąt dwa trony, a ich krwią zbryzgane szczątki w błoto uliczne pozawlekał. Pojawiły się też pieśni tryumfalne dla morderców królewskich, jakie niegdyś krążyły „na cześć“ Scewoli, Brutusa, Makrona i t. d.; a społeczeństwo, ciągle tam i sam potrącane pośród stronnictw, przechodzi naprzewian od najsurowszej tyranii do najsromotniejszego serwilizmu! Najdziksi Brutusowie r. 93 stają się najpodlejszymi sługami szczęśliwego żołnierza, który ich szwy ozłaca.. Ot, tak daleko zaszliśmy! Ponieważ świat wskutek swego przewrotnego wychowania powrócił do pogaństwa, więc musiał także koniecznie wejść w społeczne stosunki pogaństwa: w antagonizm, anarchią, despotyzm, serwilizm, w niestałość, rewolucye.

Wypada nam wyjaśnić jeszcze jeden owoc drzewa pogańskiego wychowania.

„Prawdziwy postęp“ — powiada pewien słynny hiszpański publicysta [1]) — „polega na poddaniu pierwiastku ludzkiego, niweczącego wolność pod pierwiastek Boży, który ją uszlachetnia. Społeczeństwo obrało odmienną drogę, oświadczając, że panowanie wiary ustało; a ponieważ zaprowadziło panowanie rozsądku i woli ludzkiej, przeto uczyniło złe względne, wyjątkowe i przypadkowe złem — absolutnem, powszechnem i koniecznem“. Ten czasokres szybkiego cofania się wstecz rozpoczęła Francya przywróceniem pogaństwa w naukach,

---

[1]) Donoso Cortes.

które kolejno sprowadziło za sobą przywrócenie pogaństwa w filozofii, religii i polityce. Obecnie znajduje się swiat w przededniu ostatniej z tych restauracyi t. j. przywrócenia pogaństwa socyalistycznego.

O, tak: zagrażający nam socyalizm jest owocem nauk klasycznych w wychowaniu! Uczą go autorowie, których słowa zachwalane bywają pokoleniom Europy jako wyrocznia, a ich teorye społeczne jako rzecz „najdoskonalsza i najpiękniejsza, jaka na świecie istnieje“.

Socyalizm narusza familią i własność w ich podstawach i stara się zniweczeniem wolności indywidualnej na korzyść państwa urzeczywistnić najrozglejszy, najohydniejszy i najokropniejszy despotyzm, jaki kiedykolwiek świat uciskał.

Pogaństwo, które nam w szkołach każą podziwiać, uczy i praktykuje socyalizm w familii i komunizm, które się u progu przyszłości wznoszą jakby złowrogie olbrzymy — potwory przed oczyma bolesnem przeczuciem zatrwożonego świata. Lykurg i Plato prawodawcy wojowniczych narodów uznają, że rodzina mogłaby wojskowe poświęcenie osłabić. Sami to czujemy, gdyż zabraniamy żenić się naszym żołnierzom. Mimoto nie powinna się ludzkość pomniejszać. I jakżeż ten problemat rozwiązać? Jakże go rozwiązali Plato w teoryi, a Lykurg w praktyce? Przez wolne cielesne spółkowanie. I dlategoto przyuczają nas wymawiania nazwisk Platona i Lykurga tylko z „czcią“ bałwochwalczą!

Sam Rzym, godny wychowanek Grecyi uznawał konkubinat i rozwody. Co większa: w starożytnej rodzinie pochłania socyalizm wolność kobiety i dziecka na korzyść ojca podobnie, jak same państwo pochłania wolność ojca na swą własną korzyść.

Brutus Saint Just nazywa wyraźnie pracę — hańbą, a komunizm jedynym środkiem do nadania ludziom obyczajów. „Ręka ludzka“ (mówi on) „jest stworzona jedynie do uprawy roli i noszenia broni; toż rzemiosło nie nadaje się prawdziwemu obywatelowi. Gdyby były obyczaje, poszłoby wszystko dobrze; potrzeba też urządzeń do ich oczyszczenia“.

Lecz dosyć tych wywodów! Naszkicowany obraz społeczeństwa wystarcza do przekonania każdego: jak strasznemi i zgubnemi są skutki nauk klasycznych w wychowaniu. Im to zawdzięcza społeczeństwo Europy, iż się stoczyło na krawędź ziejącej otchłani, której głębi i niebezpieczenstw nikt ani zmierzyć, ani ocenić należycie nie zdoła.

DWIE KOLEŻANKI.

(Obrazek z czasów rewolucyi francuskiej.)

I.

Ostatnie słowa hymnu *Salve Regina*, jak i ostatnie dźwięki organu przebrzmiały pod gotyckiem sklepieniem opactwa Saint Pous w Awignonie; zakonnice w długich płaszczach, w czarnych welonach poważnie opuszczały swe stalle, nowicyuszki szły za niemi, a młode pensyonarki pod dozorem mistrzyń spokojnie w szeregach postępowały; lecz skoro z kościoła wyszły, swawolna ich gromada jak stado ptasząt na wielkim trawniku się rozpierzchła. Dwie tylko dzieweczki, wziąwszy się pod ręce, poszły do altanki, bzem i jaśminem osadzonej, i ze łzami w oczach na ławeczce usiadły. Starsza zaledwie ośmnaście lat licząca, w czarnej sukni, rysy miała regularne, twarzyczkę białą i różową, piękne ciemne włosy pod batystową przepaską ukryte; a wdzięk godności i dziewiczej skromności w układzie jej rozlany, wszystkie serca ku niej pociągał.

Cecylia de Combeault wysokiego rodu, pobożna i nie majętna, przeznaczoną była do zakonu, i miała rychło przyjąć sukienkę świętego Bernarda w opactwie Saint-Pous. Towarzyszka jej wesoła i ożywiona, kwitnąca urodą, gustownie ubrana, Aurelia Roger, ze smutkiem, ściskając rękę swej przyjaciółki, rzecze do niej:

— Więc musimy się rozstać! Ja wychodzę a ty zostajesz!...

— Żebyś wiedziała jak mi boleśnie nie widzieć tego kochanego klasztoru, tych zakonnic, które tak dobre dla mnie były, naszych kochanych towarzyszek, a szczególnie ciebie, moja droga Cecylio, wyrazić tego nie umiem... Zdaje mi się, że serce pęknie...

— My też ciebie bardzo żałujemy; jednakże, droga Aurelio, wracasz do domu, będziesz z twoim stryjaszkiem, który cię tak kocha, będziesz mogła usługiwać mu, pocieszać go...

— To prawda; a przytem dom stryjaszka otwarty jest... ale tem gorzej... smutno mi będzie pomyśleć, że ja żyję w zabawach, a ty, moja Cecylio, sama jedna tutaj!

— Kto się Panu Bogu oddaje, nie jest ani smutnym ani opuszczonym, odpowie dzieweczka.

— Doprawdy? Ty nie żałujesz świata? Ty byś nie chciała wrócić na świat?

— Ta świątynia jest moim domem, i nie chcę znać innego, odpowie Cecylia z uśmiechem. Nie mam więcej krewnych oprócz mojej ciotki, opatki i tak jak ona z radością serca na służbę Panu Bogu się oddaję. To najlepsza cząstka moja na wieki.

— Pocieszasz mię Cecylio, więc ty masz powołanie, jak mówią zakonnice... Ja nie jestem tak doskonała jak ty, dodała Aurelia figlarnie chwiejąc główką, ja chcę trochę świata obaczyć... ale i was bardzo kocham!... O! żebym się mogła podzielić między klasztorem a domem stryja mego!...

— Będziesz nas często odwiedzać; tyś dziecko klasztorne, będziesz mi opowiadać o twojem życiu, o twoich czynnościach i zabawach... a potem pójdziesz za mąż, synowica i dziedziczka najbogatszego przemysłowca w Awignonie, będziesz wielką panią, bogatą, dobroczynną, szanowaną...

— A ty — Cecylio — będziesz jak twoja ciotka opatką, będziesz nosić pastorał i pierścień z wielką powagą i godnością.

Obie dzieweczki parsknęły ze śmiechu...

— Jakie zamki na lodzie! — zawołała Aurelia.

— Oddajmy naszą przyszłość w ręce Opatrzności! dodała Cecylia.

— Nie zapomnisz o mnie, Cecylio? — rzecze Aurelia po chwili milczenia.

— Bądź pewna, że cię nie zapomnę; ale oto — na dowód, że myślę o tobie, ofiaruję ci tę robótkę — na pamiątkę przyjaźni naszej...

I Cecylia oddała swej towarzyszce woreczek gustownie haftowany, na którym ich cyfry w girlandzie polnych kwiatów razem się splatają.

— Jakaś ty dobra! zawołała Aurelia, ty o wszystkiem pamiętasz; a ja nie mam nic, cobym ci dać mogła... Ach, mam i wyjmując bogatą broszkę, którą wstążka jej była przypięta, podała ją przyjaciółce, mówiąc:

— Moja matka tę broszkę nosiła, zachowaj ją na pamiątkę odemnie.

— Zapominasz, że mam rychło ślubować ubóstwo — rzecze z uśmiechem Cecylia — twoja broszka zbyt kosztowna do zapinania welonu ubogiej zakonnicy.

— Więc nic ci dać nie mogę? rzecze smutno Aurelia.

Czyż mi tu pamiątki potrzebne? Wszędzie gdzie tylko pójdę do kościoła, do ogrodu, wszędzie będę myśleć o tobie.

— A ja na świecie nigdy cię nie zapomnę; bo nigdzie nie znajdę tak dobrej jak ty przyjaciółki.

Wtem siostra konwerska nadeszła:

— Stryj twój — panienko — czeka na cię; a Wielebna matka Agata zaleca, żebyś się spieszyła.

— Więc trzeba się nam pożegnać!... módl się za mnie Cecylio!... rzecze Aurelia, rzucając się w objęcia przyjaciółki... jutro cię nie obaczę!

— Odwagi! — kochana Aurelio — bądź szczęśliwą i o nas pamiętaj!

— Zawsze! — zawsze! — Bądź zdrowa, droga Cecylio!

II.

Dwa lata upłynęły. Było to w 1792 roku podczas terroryzmu, kiedy tryumfująca bezbożność ogniem i mieczem Francyą pustoszyła. Echo wypadków paryzkich dosięgło aż do klasztornego zacisza. Śluby zakonne były zniesione, bramy opactwa Saint-Pous przez władzę wykonawczą otworzone... ale niewidzialny, a potężny ślub klauzury, lepiej niżeli zamki i rygle zatrzymał w świętym przybytku oblubienice Chrystusowe. Jednakże wielkie zamieszanie panowało w tem dotąd spokojnem miejscu; i zakonnice trwożliwym krokiem, rzucając około siebie niespokojne spojrzenia, zgromadziły się do sali, gdzie na nie przełożona oczekiwała.

Wielebna matka Gertruda de Combeault, ciotka Cecylii, odznaczała się w tych burzliwych czasach taką powagą i godnością, jak kiedy przewodniczyła wielkim zgromadzeniom zakonu, albo gdy wymierzała sprawiedliwość licznym poddanym swojego opactwa. Rysy jej twarzy wyrażały jednostajną słodycz i dobroć; ale zapał męczenników w oczach jej płonął.

— Córki moje — rzecze do zakonnic — bezbożna władza ośmieliła się targnąć na śluby, samemu Bogu uczynione; otworzyła drzwi klasztorne, — te drzwi, któreśmy same, dla uniknienia zepsucia świata, za sobą zamknęły... Ale dzięki Bogu! żadna się z was nie cofnęła, — żadna nie zrzuciła słodkiego jarzma Chrystusowego, dla korzystania z haniebnej wolności, jaką wam świat ofiaruje. Patrzę około siebie, i znajduję was wszystkie, siostry moje, towarzyszki, drogie dziatki moje, czyste oblubienice Syna Bożego! Nieprawdaż, że nigdy się nie zaprzecie dobrowolnych ślubów które was do ołtarzów Pańskich wiążą? Odpowiedźcie mi... Będziecie-li wierne ślubom waszym aż do krwi wylania, jeżeli tego zajdzie potrzeba?

— Będziemy! będziemy! odpowiedziały z zapałem wszystkie zakonnice.

— Dobrze siostry moje — przyjmuję wasze obietnice; ani w czasie ani w wieczności, córki świętego Bernarda rozdzielone nie będą. Ale są pomiędzy wami takie, które jeszcze ślubów nie uczyniły. Siostro Otylio, siostro Hildergardo, siostro Angelo zbliżcie się tu.

Trzy młode dziewice w białych welonach nowicyuszek stanęły przed opatką.

— Moje dzieci, wyście jeszcze wolne; i ten klasztor który nie może wam dać opieki, nie ma prawa was zatrzymać. Rodziny Wasze chcą was zabrać; wracajcie do nich i pamiętajcie na świecie, żeście liberyą Chrystusową nosiły. Krewni wasi czekają na was u furty; — żegnam was córki moje.

Dzieweczki uklękły, przyjęły błogosławieńsiwo opatki, i uścisnąwszy wszystkie siostry, płacząc wyszły.

— A siostra Cecylia? rzekła nieśmiało jedna z zakonnic.

— Cecylia jest ostatnia ze swej rodziny, nie ma oprócz mnie innych krewnych, ona los mój podzielać będzie odpowiedziała ze smutkiem opatka. — Wróbel znajduje sobie domek i synogarlica gniazdo, gdzieby położyła pisklęta swoje...

— Mojem schronieniem są ołtarze Twoje, Panie Zastępów, Królu mój i Boże mój!... odezwie się świeży i czysty głos, kończący wiersz psalmu.

Opatka odwróciła się, Cecylia stała wsparta na jej fotelu.

— Tak, — biedna gołąbko — tyś obrała sobie tutaj schronienie: ale jastrząb chce cię ztąd wygnać!... Niech się dzieje wola Boża!...

W tejże chwili siostra kołowa, blada i przerażona, wbiega do sali:

— Wielebna matko — rzecze — komisarz, który kazał bramy klasztoru otworzyć, wszedł na dziedziniec z ogromną tłuszczą strasznych, uzbrojonych ludzi. Co Wasza Wielebność czynić rozkaże?

— Niech całe zgromadzenie idzie do kościoła, pójdźcie za mną — córki moje— nasze miejsce w świątyni Pańskiej.

Opatka uklękła przed ołtarzem, zakonnice zajęły w stalach zwyczajne swe miejsce.

Słychać było po schodach, na korytarzach kroki gromady ludzi, nareszcie drzwi świątyni z trzaskiem się otwierają i wchodzi wysokiego wzrostu mężczyzna z brutalną miną, a za nim ogromna tłuszczą obdartusów z kijami, z toporami, między którymi widać było mnóstwo tych strasznych ohydnych twarzy, co podczas zaburzeń krajowych jakby straszne poczwary z pod ziemi wyłażą... Godny wódz tej wrzaśliwej bandy, zbliża się do opatki, która stojąc spokojnie na stopniach ołtarza, zapytuje:

— Czego chcecie — wchodząc tak zuchwale do domu Bożego?

— Chcemy kluczów od skarbca; oddaj nam klucze a będziesz wolna z twemi mniszkami; W przeciwnym razie...

— Skarb mi powierzony jest własnością zgromadzenia; ja nie mam prawa niem rozporządzać; oddam go w ręce moich duchownych przełożonych, od których go wzięłam: a teraz rozkazuję wam, żebyście natychmiast z kościoła wyszli.

— Patrz-no jaka harda — zawołał komisarz, ale zaraz będziesz inaczej śpiewać... Klucze od skarbca — jeszcze raz mówię — albo rozpuszczę moją psiarnię po klasztorze!

— Niech mię Bóg broni, żebym naczynia święte w ręce wasze oddała!...

— Nie trzeba tak wiele gadać — rzecze pewien człowiek z bandy — tam w cyborium jest puszka, kosztująca dziesięć tysięcy talarów jak jeden grosz... to w całym kraju wiadomo.

Opatka spojrzała na oskarżyciela: był to jeden z dzierżawców klasztornych, któremu ona nie raz w latach nieurodzaju całą należność darowała.

— Nieprzyjaciele człowieka są domownicy jego — rzekła z westchnieniem.

Komisarz spojrzał z chciwością na ołtarz; w tej chwili promienie słońca oblały go światłością, a złote lamy, tabernakulum pokrywające, tęczowym blaskiem jaśniały... Oczy bandyty zaiskrzyły się chciwością... wyrwał siekierę z rąk swego towarzysza i podskoczył do ołtarza krzycząc:

— Dostaniemy skarbu bez kluczów!

Zakonnice przerażone upadły na kolana, głośne łkania modlitwy mieszały się z wyciem zajadłej tłuszczy; opatka nieustraszona stała na stopniach ołtarza; święta zgroza zarumieniła zawsze blade jej lica: oczy jej w górę wzniesione zdawały się w Niebie szukać obrony.

Stój bezbożniku! zawołała do komisarza — póki ja żyję nikt Świętego-Świętych nie dotknie!

— A więc umieraj!

Siekiera błysnęła w powietrzu i opatka z Saint-Pous śmiertelnym ciosem rażona na ziemię upadła. Cecylia z jękiem rzuciła się do niej. Umierająca ściągnęła ku niej rękę:

— Módlmy się za nich! — szepnęła z cicha... — i mężna, i spokojna, jak zawsze, Bogu ducha oddała.

Szczęśliwe oczy, które na zawsze zamknięte, spustoszenia miejsca świętego nie oglądały! Szczęśliwe uszy, które bluźnierstwa bezbożnych nie słyszały! Szczęśliwa jej dusza, w morzu

niebiańskich pociech zanurzona, nie widziała zniszczenia tego wszystkiego, co serce jej czciło i kochało na ziemi!... W jednej chwili kościół zrabowano, zakonnice przestraszone uciekły, jedna Cecylia niechybnej śmierci czekając, przy zwłokach ciotki została, a jej modlitwa wśród tego zamieszania jak wielka pochodnia, której burza zagasić nie zdolna, ku niebu się wznosiła. Postrzegł ją komisarz i kazał iść z sobą.

— Iść z wami? a dokąd?

— Dokąd? Do więzienia... a potem...

— Cecylia zaraz powstała, i tłumiąc boleść w sercu, poszła odważnie i spokojnie wśród tej wrzaskliwej bandy, jak rzymskie męczennice pośród liktorów... Wyszła na ulicę, napełnioną tłumami wzburzonego motłochu... Jej zakonny ubiór, biały welon, różaniec u Boku wiszący, znaki wtenczas wyśmiane w nieszczęśliwej Francyi, wszystko to uwagę wichrzycieli na nią ściągało. Gdy przyszli na miejsce, gdzio było więzienie, wrzaski się podwoiły: To zakonnica z Saint-Pous — wołano — to arystokratka, to nieprzyjaciel narodu. Niech umrze! Zabij ją! zabij! — Śmierć zdawała się niechybną... gdy w tem tłumy się rozstępują... młody mężczyzna w mundurze wojskowym silnym gestem odtrąca morderców wołając do nich:

— Co wam złego zrobiła ta młoda panienka? Nie wstyd że wam rzucać się na bezbronne dziecię?

— To nieprzyjaciel narodu — niech zginie!

— Nieprzyjaciel narodu! młoda dzieweczka, która nigdy z klasztoru nie wyszła! — i zwracając się do Cecylii:

— Zaufaj mi, pani — rzecze — a nie bój się; pierwej umrę, niż pozwolę ci co złego uczynić. — I wziąwszy ją za rękę prowadził dalej. Widząc stanowczą śmiałość młodzieńca, tłumy się rozstąpiły — ale nie rozpierzchły... ucieczka była niepodobną... Tak przyszli do więzienia.

— Pani! rzecze nieznajomy — kiedy nie można inaczej, więzienie jest schronieniem, jak się drzwi zamkną, na kilka dni będziesz spokojną; a ja tymczasem będę się starał o twe uwolnienie. Imię twe Pani?

— Cecylia de Combeault. A pana, żebym go przed Bogiem wymienić mogła?

— Estewe Gorzaz. Wejdź Pani, i nie bój się.

Drzwi były otwarte; Cecylia za komisarzem przeszła długi gotycki korytarz i znalazła się w małej izdebce, którą jej na więzienie przeznaczono.

III.

Nigdy sen nie był tak zmiennym i tak strasznym, jak krwawa scena, która odebrawszy Cecylii jedyną jej opiekunkę, wygnała ją ze świętego zacisza, gdzie jej młodość ubiegła, i z pewnością rychłej śmierci do okropnego więzienia ją wrzuciła. Cecylia upadła na kolana.

— Boże, Stwórco nieba i ziemi! Ojcze nasz najłaskawszy! zawołała ze łzami. Ty zasmucasz, Ty pocieszasz; w Twojem ręku są losy człowieka... Oddaję się w ręce Opatrzności Twojej... Niech się nademną spełni najświętsza wola Twoja.

Wspieraj mię — o Jezu! prowadź mię... daj mi łaskę i męstwo, abym krzyż mój za Tobą dźwigając, z chórami Aniełów wielbiła Cię na wieki.

Pokrzepiona tą modlitwą uczuła się spokojniejszą. Spojrzała około siebie: ubogie łóżko i dębowy stołek były jedynym sprzętem tej ciasnej izdebki, małem wysokiem okienkiem oświeconej. Na nagich ścianach nie było żadnego obrazu; ale Cecylia miała przy sobie hebanowy różaniec i krucyfiks, a w kieszeni znalazła na pociechę swoją małą książeczkę o Naśladowaniu Chrystusa Pana. Przeczytała z niej jeden rozdział, jakby list z nieba do niej pisany; pomodliła się jeszcze i spokojnie zasnęła, nie tykając wieczerzy, którą jej żona dozorcy więziennego przyniosła.

Nazajutrz wstała bardzo rano, modliła się — jak zwykle z prawdziwą gorącością ducha, dzień spokojnie jej upłynął. Oddalona od wrzawy ulicznej, w grubych murach swej celki, Cecylia mogłaby mniemać, że jest od całego świata zapomnianą, gdyby jej trzy razy na dzień lichego pożywienia nie przynoszono.

Trzeciego dnia żona dozorcy więzienia, która grzeczną dla niej była, zachęciła ją, żeby się trochę po wolnem powietrzu przeszła. Cecylia, choć niechętnie, była posłuszną. Przyszła na wielki smutny dziedziniec, gdzie się wszyscy więźniowie przechadzali. Mężczyźni czytali gazety, kobiety, siedząc na ławeczkach, smutno rozmawiały ze sobą. Wszyscy z uszanowaniem przywitali Cecylię, która usiadła przy jednej wiekowej damie, bardzo zbolałej i płaczącej... gdy z nagła usłyszała imię swe wymówione...

— Cecylio! ciebież to tu znajduję? zawołał dobrze znajomy głos.

Aurelia była przy niej, ściskała ją w swych objęciach płacząc i śmiejąc się z radości.

— Aurelio! Kochana Aurelio! rzecze nareszcie Cecylia, tyś tu? mój Boże! co za okropne czasy! spotykamy się w więzieniu! Gdzież jest twój stryjaszek?

— Zamordowali go! rzecze Aurelia — na to wspomnienie łzami się zalewając. Miał on nieprzyjaciół, a raczej miał zazdrosnych z powodu swej wielkiej majętności... a że on nie podzielał opinii radykałów, więc go zabili. O mój stryju! mój kochany stryju! Ileż on ucierpiał!... Jam mu w niczem pomódz nie mogła... a żem bardzo płakała, jeden z zabójców tu mię przyprowadził. Czegoż w tem więzieniu nie ucierpiałam! We dnie drżałam jak listek — wszystkiegom się bała... w nocy, okropna scena śmierci stryja stała mi ciągle w oczach... Mój Boże! takem pierwej była szczęśliwa! A ty — droga Cecylio — a twoja kochana ciotka? niestety! nie śmiem się nawet o nią pytać...

— Umarła! — odpowie Cecylia, wznosząc oczy w niebo; jak świątobliwie żyła, tak świątobliwie umarła... Obie straciłyśmy opiekunów naszej młodości; Ojciec nasz niebieski zastąpi ich.

Cecylia opowiedziała przyjaciółce bolesne wypadki swoje, lecz gdy wymówiła imię Estewa Gorzaz, nagły rumieniec okrył bladą twarz Aurelii. Estew Gorzaz! powtórzyła... znaliśmy go dobrze, jest to syn notaryusza, bardzo zacny i wykształcony człowiek, często bywał w naszym domu; ale że w tych czasach zaburzenia obrał zawód wojskowy, mój stryj nie chciał go więcej widzieć.

Gdy minęła godzina przechadzki, Cecylia poszła do stróża więzienia i otrzymała pozwolenie przyjąć Aurelią do swej celki. To połączenie osładzało im niewolę. Podróżując razem na statku blizkim rozbicia, tuliły się jedna do drugiej, i im więcej cierpiały, tem więcej się kochały. Wzajemnie też do cierpliwości się zachęcały. Cecylia pobożnością, poddaniem się woli Bożej, wzmacniała duszę swej przyjaciółki; Aurelia promyczkiem swej dawnej wesołości czasami uśmiech na usta swej towarzyszki sprowadzała. Ale te chwile rzadkie były: zbyt ciężki to był krzyż dla biednej Aurelii, do pociech i pieszczot świata przyzwyczajonej. Okropna scena śmierci stryja, której była obecną, głębokie w jej umyśle zostawiła wrażenie, ztąd po krótkich chwilach wesołości, zwykle następowały śmiertelne trwogi, smutek, zwątpienie i rozpacz... Wtenczas płakała w objęciach Cecylii, pragnęła życia, pociech — szczęścia, które się jej wymykały...

W tych chwilach rozpaczy, Cecylia czytała w głębi duszy swej przyjaciółki, i usposobienie jej serca dobrze zrozumiała... sama spokojna, Bogu oddana, mężniej nieszczęście swoje znosiła. Cecylia nie bała się śmierci, bo ciągle nicość życia rozważała;

bo dla miłości Bożej wyrzekła się wszystkich ziemskich przyjemności, a wszystkie gorzkości przyjęła.

IV.

Dziesięć dni upłynęło. Pewnego poranku, gdy Aurelia jeszcze spała, strażniczka z cicha zawołała na Cecylią:

— Czekają na cię u kraty — panienko — rzecze do niej — młodzieniec ten ma pozwolenie; nie trzeba go zatrzymywać.

— Jaki młodzieniec?

— Ej! tak, młody wojskowy oficer... Idź; idź, panienko — to pewno dobre nowiny.

Cecylia zeszła do kraty. Młody mężczyzna czekał na nią; poznała w nim Estewa Gorzaz; przywitała go i usiadła.

— Pani — rzecze do niej — chwile są krótkie, pozwól, że szczerze mówić będę. Przyrzekłem wybawić cię z więzienia, i od tej chwili ciągle się starałem o to, alem niczego nie dokazał... odmówili mi! Wiem, że będziesz wezwana przed ich bezbożny trybunał, a to się równa wyrokowi śmierci. Umrzeć! w dwudziestej wiośnie życia! — umrzeć! kiedy jeszcze szczęśliwą być możesz!... I jakaż to śmierć — o Boże!... Panno Cecylio! — dodał — jeden tylko jest sposób uratowania się od śmierci... i na kolanach błagam cię, abyś go przyjęła! Oddaj mi rękę twoją, a w tej chwili wyjdziesz ztąd wolna i swobodna. Daj mi prawo do bronienia cię; chcę cię tylko z katowskich rąk wyrwać, chcę ci życie moje poświęcić i szczęście twoje zapewnić... A jeżeli tak nie chcesz; bądź siostrą moją, dopełnij czczej formalności wobec rządu tylko, potem wyjedziesz za granicę, we Włoszech łatwo otrzymasz uwolnienie od tego kontraktu. Cecylio, zlituj się nad sobą; jam gotów wszystko cierpieć, żebym cię tylko od śmierci wyratował.

Młoda dziewica, głęboko wzruszona, spojrzała na niego i rzekła:

— Wdzięczna jestem Panu za jego dobroć i poświęcenie się dla mnie; niech to Pan Bóg stokrotnie mu wynagrodzi; ale nie mogę przyjąć ofiary pańskiej, nie mogę być wiarołomną Bogu mojemu. Pan nie wiesz, że ja nie należę do siebie; żem ślubami zakonnymi związana.

— Jeszcześ ich nie uczyniła — Cecylio jeszcze wolną jesteś.

— Czyżbyś w chwili niebezpieczeństwa chciał twój sztandar opuścić?

— Pewno że nie?

— Otóż mój sztandar — rzecze anielska dziewica — ukazując swój krucyfiks; chorągiew to Króla Niebieskiego; pod tym

sztandarem przysięgłam żyć i umierać, bom już śluby święte sto razy w sercu mem uczyniła! Od dzieciństwa Panu Bogu się oddałam, do niego należę, i teraz proszę, aby ostatnie dni życia mego przyjąć raczył. Tak, o Panie! — mówiła z zapałem krzyż w górę wznosząc, przyrzekam Ci czystość, posłuszeństwo i ubóstwo; przyjm Ty sam śluby moje, jeżeli ich nie mogę u stóp ołtarzy w ręce kapłanów Twych złożyć.

Estew krzyknął z rozpaczy i drżący wsparł się o kratę.

Cecylia klęczała; oczy jej niebiańskim ogniem płonęły, lica żywym jaśniały rumieńcem... nigdy piękniejszą nie była, jak kiedy dla miłości Chrystusowej młodość i wdzięki swoje na srogą śmierć wydała.

— Cóżeś uczyniła? rzecze Estew z boleścią — czemu tak nienawidzisz życia twego? Cecylio! nieszczęsne dziecię!

— Ja tylko to krótkie i nędzne życie na wieczne a szczęśliwe zamieniam. Ale posłuchaj mię, Estew, a przyjmij ostatnią prośbę moją. Mam siostrę, przyjaciółkę, pozwól, że ją tobie powierzę.

— Gdzie ona jest?

— Tu w więzieniu jak ja, na to samo niebezpieczeństwo narażona... Ona przywiązana do życia, ona pragnie szczęścia. Ach! dałby Bóg, żeby to ona była przedmiotem twego szlachetnego poświęcenia się! życzenia twoje byłyby spełnione. Od pierwszego słowa twego Bóg mię natchnął tą myślą i chciałabym widzieć Aurelią przez ciebie wybawioną i z tobą szczęśliwą...

— Aurelię!

— Tak, Aurelię Roger, towarzyszkę z lat dziecinnych, przyjaciółkę i siostrę moją. Znasz ją — wiesz, ile wdzięków w niej jaśnieje.

— Jam jej nie wybrał... Nic mię to tego nie zmusza...

— A jeżeliby ona chciała cię za towarzysza życia swego wybrać, miałżebyś serce pod miecz katowski ją rzucić? Estew! przyjmij ostatnią prośbę moją! niech mam przy śmierci tę pociechę, żeście oboje szczęśliwi!

Młodzieniec zwyciężony upada na kolana.

— Tyś istny anioł z nieba, Cecylio! — co rozkazujesz, stać się musi... przyjmuję Aurelio!

Cecylia złożyła ręce, a zły radości twarz jej zalały.

— Zaraz ją przyszlę — rzecze — zabieraj ją natychmiast... Bądź dla niej ojcem, opiekunem, bratem! Bądź dobrym dla niej. Żegnam cię, Estew, ostatnia modlitwa maja za was będzie.

Estew jęknął z boleścią... Cecylia pożegnała go — i wyszła

V.

Aurelia z niecierpliwością na swoję przyjaciółkę oczekiwała. Cecylia uścisnęła ją i powiedziała tylko:

Pan Gorzaz czeka na ciebie u kraty; zdaje mi się, że to są dobre nowiny.

Aurelia zarumieniła się — wyjąknąwszy słów kilka... Cecylia uścisnęła ją dla dodania jej odwagi... i strażnik drzwi otwierając krzyknął:

— Pójdź że prędzej — panno — kapitan Gorzaz nie będzie miał cierpliwości długo czekać. On jest w dobrych stosunkach z władzą i ma pozwolenie widzieć się z naszymi więźniami.

Cecylia ścisnęła jeszcze raz na pożegnanie rękę Aurelii... potem drzwi się zamknęły — zgrzyt rygli dał się słyszeć i Cecylia została sama.

Godzina upłynęła; godzina niepewności — oczekiwania, która dla niej wiekiem się zdała... Nareszcie strażniczka wbiegła, wołając:

— Oto już Panna Aurelia wyszła! Kapitan Gorzaz poprowadził ją do swej matki, i mówią, że ją rychło zaślubi... Tak, to ona wolna... ma się rozumieć żona kapitana! Ale jednakże biedaczka — bardzo płakała; mówiła, że chce wrócić do was — Panno Cecylio! że nie chce cię samą zostawić... Pan kapitan mówił: — my ją znajdziemy — my ją wybawimy... a sam — jak na pana młodego — bardzo był smutnym... Och! jaki był blady!...

— Franciszko, — przerwała Cecylia — proszę cię o jedną łaskę: Jeżeli ja tu umrę — rozumiesz mię? zanieś do Aurelii ten krucyfiks, różaniec i książeczkę; zostawię je na stoliku; ona ci będzie wdzięczną i nagrodzi cię. Bądź zdrowa Franciszko! Niech ci Pan Bóg za twoją dobroć dla mnie hojnie wynagrodzi!

Franciszka wzruszona płacząc wyszła.

Cecylia obejrzała się około siebie, jakby żegnając samotną i milczącą celkę; potem rzecze do siebie:

— Wszystko skończone, Aurelia wybawiona... będzie szczęśliwa... mnie pozostaje tylko umrzeć i Pan Bóg mi dopomoże.

Cecylia usiadła: dzielna robotnica, dokonała swej pracy, czekała na zapłatę; i nie długo czekała. Tegoż wieczora, pomimo największego starania Estewa, wezwano ją przed zbrodniczy trybunał. Podejrzana i fanatyczka, wysoko urodzona, zakonnica, wszystko to u tych obłąkahych ludzi oskarżeniem było: wyrok zatem wydano. Przyjęła go spokojnie mężna dziewica, jak wonna

lilia ofiarująca się Chrystusowi na ołtarzu krzyża, — jak Anioł ulatujący do Nieba.. Duchy błogosławione pospieszyły na spotkanie oblubienicy Chrystusowej, która wieńcem dziewictwa i męczeństwa uwieńczona, w światłości chwały króluje.

Jakie było wychowanie synów Jakóba Sobieskiego, ojca króla Jana.

Z przodków króla Jana chlubnie dzieje narodu wspominają dziada jego Marka, wojewodę lubelskiego i ojca Jakóba, krajczego kor., wojewodę bełzkiego, dalej ruskiego, na rok przed zejściem swojem kasztelana krakowskiego. Obydwaj ci mężowie zasłużyli się ojczyźnie. Marek Sobieski z cudów męstwa i wytrwałości w bojach znany, szanowanym był od króla Stefana i Zygmunta III., tak, iż pierwszy rzekł o nim, iż gdyby miał los całego państwa na jeden harc wystawić, tedyby nikogo do tego nie wezwał, jak Marka Sobieskiego; drugi rady jego często używał i na niej polegał.

W ślady ojca wstąpił wcześnie syn Jakób, któremu do ćwiczenia się w sztuce wojennej często porę nastręczało panowanie Zygmunta III. i Władysława IV.; pod ostatniego rządami nietylko niebezpieczeństwo wojen dzielił z monarchą, ale cztery razy (1623, 1626, 1629 i 1632) sterem obrad narodowych, jako marszałek poselski, kierował, czterykroć sterem urzędu sprawiedliwości, jako marszałek trybunału koronnego władał, i w imieniu króla i Rpltej traktat westfalski, jako poseł, podpisał.

W każdem urzędowaniu, tak w kraju, jako i za granicą, przenikły rozsądek, zręczny obrót z cnotliwą rzetelnością jednocząc, szczególniej z gładkiej wymowy słynął, której dowody w mowach publicznych tak na sejmach, jako i przy obchodach weselnych i pogrzebowych, nas doszły. Dwa razy śluby małżeńskie zawarł, pierwszy z Maryą Wiśniowiecką, księcia wojewody ruskiego, Konstantego córką, drugi z Teofilą Daniłowiczowną, z której miał dwóch synów Marka i Jana, króla.

Jak troskliwym był Jakób Sobieski ojcem, tak z wszystkiem tem, co do dobrego wychowania należy, dokładnie obe-

znany, pokazuje się z instrukcyi jego, danej p. Orchowskiemu, z synami do szkół do Krakowa wyjeżdżającemu.

Jest to nauka, dana synom na piśmie, obejmująca to wszystko, na co przy kształceniu się uwagę mieć trzeba. O sposobie myślenia Jakóba Sobieskiego w tej mierze, przekona się łaskawy czytelnik z wyjątków niektórych, jakich mu z rzadkiej tej książeczki [1]) udzielamy.

W części pierwszej, poleciwszy synom nabożeństwo codzienne, odwiedzanie domów Bożych i świątobliwe przyjmowanie Sakramentów św., przechodzi do zdrowia, tak o niem mówiąc:

„To conservatur victus ratione, lubo ja niechciałbym, aby się papinkowato i pieszczenie chowali, i owszem życzę, aby zawczasu żołądek ich przywykał grubym potrawom, których się im, da Bóg, na wojnach zażywać przyda: a mnie to samemu zepsowano żołądek, że mnie z młodu nazbyt, jako to jedynaka, co się ojcu memu nie chwali, nazbyt pieszczenie chowali.

Mają obydwa to, że podlegli są temu, iż im krew często ciecze; przeto trzeba, aby się violenta exercitia strzegli, a mianowicie lecie, a dadzą się też panu Orchowskiemu paciorki doświadczone i od nich samych już, na krwi ustanowienie.

Ad conservandam valetudinem są exercitia corporis bardzo potrzebne, których tak zażywać mają: Lecie hora recreationis i zimie, niech sobie piły grają, albo niech jaką grę wymyślą, coby choć po sieni motum corporis mieli. W święta zaś i w niedziele, niech na rekreacye bieganiem, z łuków strzelaniem, które się im przysposobią na to. Zimie zaś niech sub tecto odprawują exercitium, niech się do dalszych kościołów, lub po obiedzie przechodzą.

Uchowaj Boże choroby na nich, principiis obstandum, zaraz się udać do doktorów co przedniejszych, a nam nie dawać znać, ażeby co periculosum było: uchowaj Boże, bo mogą oni interim ozdrowić, nimby tu wiadomość przyszła, a cobyśmy się nadaremno nafrasowali, toby było w zysku.

We środy, z mięsem dla nich gotować, ani przeciwić się im, co więc tu ryby jadali, które mianowicie młodszemu nie w pomoc idą, bo siła ma flegmy. W piątek jednak, w wigilie niech poszczą, i w sobotę zwykli tu byli suszyć, jeśli tam

---

[1]) Instrukcya Jakóba Sobieskiego, kasztelana krakowskiego. ojca króla Jana III. dana p. Orchowskiemu, z strony synów z manuskryptu przedrukowana. W Warszawie, 1784, 8.

tož zechcą czynić, i owszem nie bronić im tego, niech się Najświętszej Pannie zawczasu i tą małą rzeczą przysługują.

Ma to Kraków, że frukty ma lepsze, smaczniejsze et in majori Copia, niż tu nasze kraje, na które młodzi osobny swój miewają apetyt; strzedz tego, żeby moderate et non gulose ich zażywali, bo stąd najprędsza do gorączek i biegunek okazya bywa.

O obyczajach tak pisze: Te są kawalerowi każdemu dziwnie potrzebne u nas i wszędzie, i słusznie w naszej Polsce śmieją się z takich, co po łacinie mądry, a po polsku głupi, a ono to oboje być pospołu bardzo dobrze może.

Przestrzegać tego pan Orchowski będzie, aby przystojne bezpieczeństwo mieli między ludźmi, jakie teraz z łaski Bożej mają, i z jakim stąd wyjeżdżają.

Dawno powiedziano nietylko o naukach, ale i o obyczajach: disce domi, qualis esse debeas foris. Doma tedy trzeba przestrzegać, żeby się nie murzali, aby się pięknie kłaniali, żeby się u stołu niezamyślali, skoro się co postrzeże, zaraz napomnieć, i strofować, i żadnej okazyi do tego nie opuścić. A jeżeliby często napomnienia i strofowania niesłuchali, czego o nich nierozumiem, niech mi da znać pan Orchowski, a ja będę wiedział, co z tym rzec: jest pręt do tego, pod którym młodzi rosną.

Jeśliby zaś w gościnie co tak sobie nieobyczajnego postępowali, lub i doma przy ludziach, ażeby tego pan Orchowski postrzegł, zaraz im dać znać, albo przez znaki, albo przez chłopca, że się to niepodoba, i że trzeba inaczej czynić.

Gdy ich na bankiet jaki będą prosić, albo na posiedzenie, kędy białogłowy będą na miejsca poczciwe, i owszem niech idą, niech zdrowi tańcują. Castis omnia casta. Nie chcę ja, żeby po łacinie tylko byli mądremi, ale żeby po polsku też byli grzecznymi: wszak się nie do kapicy tylko i sutanny ćwiczyć się będą, a jeśliby też i do tego stanu, którego z nich Pan Bóg powołał, to im wokacyi Boskiej non impediet.

Kiedy ich gdzie będą lub na wesela, lub na bankiety prosić, lub to panowie, lub poczciwi mieszczanie, lub też panięta i condiscipulowie, niech pan Orchowski tylko przy nich zostanie, a chłopiec jeden, a potem kiedy będą mieli pójść, to po czeladź wszystkę posłać, żeby ich prowadziła do gospody.

Względem miłości braterskiej takie daje przepisy: Tej najbardziej przestrzegać będzie pan Orchowski, żeby się za młodu bracia miłowali, bez zazdrości, bez swarów: Młodszy niech starszego szanuje, a starszy niech młodszego miłuje, jeśli

co bynajmniej pan Orchowski postrzeże, niech ich napomni i zgromi, a jeśli, strzeż Boże, zagęszczałyby się między niemi poswarki, niemiłość, niech mi o tym da znać, bo takim rzeczom, trzeba zawczasu zabiegać.

Konwersacyą, nauki i języki tak zaleca: Przez tę, droga się ściele, strzeż Boże, albo do złego, albo do dobrego, boć nie darmo to powiedziano: cum bono bonus eris, cum perverso perverteris.

Trzeba tedy przestrzegać panu Orchowskiemu, aby z ledajakim nie konwersowali, z chłopiętami cudzemi i z kondyscypułami swemi takiemi, choćby też i panięta byli, coby byli swawolni, pletliwi, nauk nie pilnujący, bo i najlepsza owieczka od parszywej owce, wnet się i niechcący zarazi.

Jako ich wszelkiemi sposobami od pychy odwodzić trzeba, bo niemasz przed Panem Bogiem brzydszego nad to grzechu, i u nas w Polsce brzydzą się takiemi ludźmi i miasto poszanowania w przysłowiu i w pośmiewisku, u drugich bywają: tak zaś z drugiej strony, życzę, aby przy ludzkości i układności przeciwko każdemu animusz swój szlachetny mieli, według urodzenia i fortuny swojej, trzeba, aby stanu, w jakim ich Pan Bóg chciał mieć, dygnitatem przestrzegali, mianowicie kiedy z swemi kondyscypułami z drugiemi paniętami, lub w kościele, lub na inszym miejscu gdzie będą, żeby miejsce swe wiedzieli, i posiadać się nie dawali nigdzie, i prawej ręki sobie brać, jedno wyższym wojewodzicom, niż oni. Teraz nie masz tam w akademii wyższego wojewodzica i senatorskiego syna nad nie, jedno pan wojewodzic Sieradzki, to tego przed się puszczać mają. A że z domem J. M. panów Sieniawskich, taka jest moja miłość ścisła, niech więc kiedy z panem Sieniawskim będą, lubo nie jest wojewodzic, tylko syn chorążego, niech mu Jaś przed sobą rękę i miejsce puszcza wszędzie, ale Maraś nie; niech go więc biorą między sobą w pośrodek, w gospodzie zaś swojej, niech każdemu panięciu i szlachcicowi, który ich nawiedzać będzie, prawą rękę i pierwsze miejsce dadzą, przeciwko każdemu aż do drzwi niechaj wychodzą, kiedy ich panięta nawiedzać będą, i każdego więc aż do drzwi niechaj wyprowadzą. W szkołach zaś, tam nie masz primos accubitus według urodzenia, ale według nauk, jak ich tam posadzą, tak niech siedzą.

Plotkom doma żadnym, strzeż Boże! szerzyć się nie dać, i gdzieindziej w żadne się plotki niech nie wdawają, tak dzieci same, jako i czeladź, bo więc w szkołach zagęszczają się te plotki często, stąd zaś zwady bywają, i między ich starszemi,

i między ich czeladzią. Nie dopiero pana Orchowskiego znając stateczność, pewienem tego, że temu będzie zabiegał.

Tego też przestrzegać będzie pan Orchowski, aby się z swemi wyrostkami, których będą mieć trzech in nimiam familiaritatem, w żadne szepty synowie moi nie wdawali, i w żadne sekreta. Aczci nie rozumiem o tych młodzieńcach nic złego, ale przecie djabeł kusi i najlepszych, a też niechaj będzie znać pana od sługi, a sługę od pana.

Rozumiem, że każdy z tych paniąt, co tam są, ci przedniejsi, pan wojewodzic Sieradzki, pan wojewodzic Bracławski Potocki, pan Koniecpolski, kasztelana Sieradzkiego syn, pan Czarnkoski, nawiedzą wprzód syny moje, jako goście: każdemu z tych paniąt, co ich nawiedzać będą, trzeba żeby oddali wizytę.

Z J. M. panem Sieniawskim jeśli będzie w Krakowie jeszcze, aby familiarissime żyli, ponieważ tak blisko stać siebie będą, niechby z sobą do kościołów w święta i niedziele chodzili, i na przechadzki, jeśli będzie J. M. pan Sieniawski w tym korzystował, o czem nie wątpię. Także będą tam ich m. panowie Ostrorogowie synowie naszego JP. podczaszego, i z temi także niech familiarissime żyją, wszak wiedzą w jakiej ja konwersacyi i w jak ścisłej braterskiej przyjaźni żyję z ojcem ich JM. panem podczaszym.

Brata stryjecznego mego rodzonego, Jezuitę, a stryja swego, jeżeli jest jeszcze w Krakowie, niech go przyjechawszy zaraz nawiedzą, i jeśli w Krakowie pod mieszkanie ich i on będzie mieszkał, ile razy u św. Piotra u Jezuitów zdarzy się im być w kościele, niech go w kollegium nawiedzą.

Przyjacioły moje, wielkie ludzie, niechaj wizytują, kiedy się do Krakowa ukażą, jako to: J. M. księdza biskupa krakowskiego, J. M. pana wojewodę krakowskiego, J. M. pana wojewodę sieradzkiego. Z powinnych zaś swoich: ciotkę rodzoną JMość panią Koniecpolską, która więc tam często bywa, ile razy będzie w Krakowie, niech ją nawiedzą; także J. M. pana Wojnickiego, J. M. p. miecznika koronnego, i synów jego, J. M. pana starostę lanckorońskiego i nowomiejskiego, także J. M. księdza referendarza, J. M. księdza sekretarza wielkiego, jeśliby był w Krakowie, temu się niechaj prezentują, niech się zawczasu uczą szanować powinnych starszych.

Ustawicznie tam mieszka J. M. pan Jerzyna podstarości, a teraz już i ziemski pisarz krakowski, i tego potrzebna przyjaźń mieszkającemu w Krakowie dla różnych, strzeż Boże! przypadków; a do tego, że to też jest mój wielki przyjaciel,

poznać się i z tym, i umyślnie go prosić do siebie i podpoić go dobrze.

O nauce daje takie zdanie:

O tej nie trzeba wiele pisać, bo tam po to samo jadą, aby się uczyli, a głupiemi szlachcie starożytnej, w jakiejkolwiek u ojczyzny swej ekspektacyi, szpetnie zgoła być. Nauka wszędzie człowieka zdobi, i na wojnie i u dworu, i doma i w Rzpltej; widzimy to, że ludzie więcej sobie ważą chudego pachołka uczonego, aniżeli pana wielkiego, a błazna, co go sobie palcem więc ukazują.

Co się tknie nauk, w tych o instrukcyę udać się do J. M. księdza Opatoniusza, który jeszcze moim bywał preceptorem, tego o instrukcyę wierną, życzliwą i dostateczną prosić, której wiem, że non denegabit, ja swoją ręką do niego piszę. prosząc go o to, i posyłam mu konewkę srebrną pozłocistą, którą mu synowie niech odemnie oddadzą.

Niech mu jednak p. Rożenkiewicz aperiat mentem meam, iż ja życzę, aby żadnych inszych prywatów przez ten rok nie mając, uczyli się w klasach, a to dla samej emulacyi z drugimi, z którymi się uczyć będą: a emulacya, czegom i sam doświadczył, wielki to bodziec do nauk.

Trzeba, żeby byli in Examine u Imci księdza Opatoniusza; którego bardzo prosić, aby im w tem nie podchlebował; niechaj ich dyryguje do tej classem właśnie, do której rozumie być obu godnych jednej szkoły, niech tak będzie; jeśli też rozumieć będzie aby starszego do wyższej, a młodszego do niższej klasy obrócić, ja judicio jego w tej mierze acquiescam. Po roku, da Bóg, obaczymy progressum ich, i zatym obstalują się i Magistri privati.

A to też summum et praecipuum, i to ma być jako cynozura zabaw ich i nauk, politior literatura, to jest Stilus codzienny Oratorius, Historici, Moralis Philosophia, dyalektyki życzę, aby tylko tak słuchali, żeby im do retoryki pomocna była, także potym i fizykę, aby im czytano, Compendium Jacobi Carpentarii. W logiki, w metaefizyki, aby się nie wdawali, omnino nie chcę, bo te nauki są hominum otiosorum, albo tych, co się do teologii biorą, a ich trzeba ad capessendam Republicam ćwiczyć. Potrzebna im będzie potem i Mathesis, ale o tem szersza się instrukcya da, za ich laty, i za ich progresem tegorocznym w naukach. Teraz ten rok niech mere in classibus strawią, i tego się niech tylko uczą, co uczyć będą in istis clasibus, w których będą.

O to też prosić Jmi księdza Opatoniusza p. Rożenkiewicz

imieniem moim będzie, żeby ich narażano dla bezpieczeństwa i dla acquirendam oratoriam actionem na publicos actus, i na publicas declamationes, tak jednak, żeby sobie nie brali czasu siła tym, drugim naukom ordynaryjnym.

Dowiedzieć się, jeśli w klasach mistrzowie darmo uczący, są salariati od tych, których uczą, czyli też pamięta im tylko ex gratia particulari honoraria dają co rok? i jak wiele? i co za honoraria? trzeba, żeby się o tem wszystkiem dostatecznie dowiedział p. Orchowski, i mnie wcześnie o tem dał znać, aby się też i moi synowie akomodowali zwyczajom tamecznym.

List odemnie będą mieć do p. rektora, którykolwiek będzie na ten czas, a gdy się będą w album akademi wpisywać, parę portugałów od wpisywania dadzą p. rektorowi, które się już na to stąd wezmą. Tegoż też dnia, kiedy się wpiszą, p. rektora prosić do siebie dniem przedtem, i kilku profesorów z nim co przedniejszych, jako to księdza Opatoniusza, księdza Piotrowickiego, księdza Witeliusza, i kogo tam będzie rozumiał mistrz pp. Rozrażewskich, to prosić; owo zgoła na kilku profesorów co przedniejszych, żeby ich było z rektorem, z sześć, z ośm; umyślnie uczynić convivium tego dnia, kiedy się wpisywać będą. Jedno i rektora i tych profesorów trzeba będzie wcześnie prosić, nie tego dnia, kiedy będzie obiad.

Wiem, że kiedy się będą wpisywać, to ich i bedelli nawiedzą, tym trzeba będzie dać, co będzie rozumiał p. mistrz pp. Rozrażewskich, i z nim się tam będzie, i koło tego bankietu, i koło tej ceremonii, kiedy się wpisywać będą, znieść potrzeba p. Orchowskiemu, ba i w inszych rzeczach znosić się z nim confidenter, jako z swoim, i z strony tych honoraria in Classibus. Tego dnia, kiedy się wpisywać będą, Mszy świętej czytanej o Duchu świętym u św. Jacka grobu, słuchać będą.

Jeśli o co, tedy o to jestem sollicitus, aby w językach się ćwiczyli. Co jako rzecz jest potrzebna kawalerom i ludziom zacnym, na dworach monarchów, et in administranda Rep. bawią się, codzienna experentia uczy.

Łacińskiego języka uczyć się będą w szkole, et stilum exercendo, ale do tego trzeba i łacińskiej konweracsyi, bo wszystkich języków najprędzej konwersacya nauczy. Przeto doma u siebie, lub gdy obcych nie będzie (bo tego kapłana, który z nimi będzie jadał, za obcego mieć nie trzeba), przy obiedzie i doma inszych godzin, kiedy gości nie będzie, będą mówić z p. Rożenkiewiczem p. Wydżgi synem, który kilka lat już słuchał retoryki u Jezuitów w Sandomierzu. Pewienem też

tego, że w szkołach, in Classibus ex praescripto samych mistrzów nie będą inaczej mówić jeno po łacinie.

Niemiecki język, jest Polakom bardzo potrzebny, którego, gdyby się w Krakowie nie nauczyli, przeciwko mojej woli i przeciwko mojej intencyi, musiałbym ich dlatego samego do Niemiec posłać, w czemby mi bardzo skonturbowali koncept, który mam o ich, do Bóg, peregrynacyi. Dlategoż proszę bardzo pana Orchowskiego, aby tego pilno dozierał, żeby się serio et ex proffesso uczyli po niemiecku. Gdyż, jako mam wiadomość, niektórzy z Polaków osobliwy progress w tym języku wzięli w Krakowie, jako to znać pan Głębocki: ma tam być jeden człowiek, który uczy ex professo tak po niemiecku, jako i po łacinie, i pod tym słyszę profecit p. Głębocki. O tego, albo jeśliby ten w Krakowie nie był, o drugiego takiego, starać się koniecznie trzeba, i żeby miał pewną swoję na dzień godzinę, albo jeśliby to być mogło, drugą, poranną i poobiednią, żeby czytał im niemczyznę, to jest, żeby w gramatyce ich niemieckiej informował, dawał im także versiones i argumenta, jako w łacinie czynią; i żeby im autora jakiego explanował. A co się zaś tknie praxim po niemiecku, żeby także i przy stole bez gości, i doma u siebie nie mówili inaczej z panem Zdarowskim, jeno po niemiecku, dozierać tego ma pilno p. Orchowski i o takiego się mistrza starać wszystkim sposobem, by też nań nie wiem jaki koszt łożyć, bo niech wie pan Orchowski, że mi jest tak bardzo cordi, aby się tego języka w Krakowie nauczyli. O co i synów ojcowsko proszę i napominam: wszak z łaski Bożej pamięć mają dobrą i chęć do tego, a niech też odemnie wiedzą, że zacnych kawalerów tych wieków nic bardziej zdobi, jak umiejętność różnych języków, przyda się to i w wojsku, na dworach monarchów, przyda się to i do legacyi, które co wiedzieć, jeśli też i oni nie będą mieć na sobie swego czasu. Piękna to rzecz, kiedy oni z kawalerami różnych narodów i różnych dworów mówić będą. Dlatego się obszerniej o tym punkcie pisze, aby smakować im jako najbardziej i ustawicznie wiadomość obcych języków, żeby i tu się w Krakowie po niemiecku pilnie uczyli, i zawczasu smak brali do inszych w peregrinacyi swojej języków, jako to: francuskiego, włoskiego etc.

Turecki język, jeśli komu, tedy nam potrzebny, a zwłaszcza szlachcie, która tu na Rusi mieszka w tem od nich sąsiedztwie, i w tych ustawicznych poselstwach, wojnach i kłótniach, które się z niemi dzieją, że ta ściana nasza ruska od nich jest obtoczona. Życzyłbym z serca, żeby za tą okazyą

tak aliud agendo (jak mówią) od tego Francuzika, przejęli cokolwiek języka, jedno potrzeba, żeby się ten Francuzik po łacinie mówić wprawował, żeby go tym sposobniej, nietylko o wokabuły, ale też i o phrases et verborum coniunctiones pytać mogli. A jeśliby też Francuzik do języka prędzej przywykł polskiego, niż łacińskiego, to go po polsku pytać, alebym wolał, żeby pierwej przywykł językowi łacińskiemu, boby i łacińskiego języka z nim synowie moi tym częstsze exercitium mieli. Rozumiem jednak, aża i łaciński język prędko pojmie, umiejąc po francusku i trochę po włosku, bo te języki bliżej daleko accedunt do łaciny, niż nasz; na tem wszystko zależy, aby p. Orchowski przestrzegał, żeby in conversatione, po turecku ich uczył, posługując im, grając z nimi i biegając: jeślibym postrzegł, żeby synowie moi jakikolwiek w tym języku progres mieli, nie ciężkoby mi koszt ważyć i potem, a zaciągnąć z Carogrodu jakiego lub Greczyna, lub Włocha ad ulteriorem usum i bieglejszego w tym języku, żeby potem i na peregrynacyą jechał do cudzej ziemi z synami moimi, aby non intermittant, exercitium języka tego, czego serdecznie życzę.

To niech pan Orchowski inkulkuje synom moim odemnie, jeśli się chcą nauczyć języków, aby konwersując, nie wstydzili się, co źle rzeką, bo milczeniem żaden się żadnego języka nie nauczy. A też dawno powiedziano: qui nunquam male, nunquam bene.

O stole nawet synów, i ekonomicznem urządzeniu ich pensyi nie zapomniał troskliwy ojciec, gdy pisze:

Jako we wszystkiem, tak i w jedzeniu, nie życzę, aby się synowie moi marnotrawstwa i luxum uczyli, jednak tego chcę, aby przecie według stanu swego, w którym ich Pan Bóg mieć chciał, żyli non sordide, gdyż i tu, u mnie w domu jeść się, chwała Bogu, po ludzku nauczyli. O nowalią, o zwierzynki tam nie trudno, jako to o rozmaite ptaszki, niech to zdrowi jedzą, kiedy będą mieć tego commoditatem.

Bankietniczkami też nie chcę ich mieć, bo tam do szkoły dla nauk jadą; nie chcę jednak, aby jako pustelnicy bez ludzi żyli, i jadali; w święta i w niedziele, i we dni od nauk wolne, chcę, aby nigdy bez jakiego profesora nie jadali, alternatim biorąc to tego, to owego, skoro się z nimi poznają, to raz z mniejszego, drugi z większego Collegium.

Ksiądz Piotrowicki, widzę, to jest człowiek omnium ore et laude celeberrimus, i życzę, aby go sobie familiarissimum uczynili zawczasu, pozyskując afekt jego, że gdy da Bóg ex

classibus wynidą, będą też mieć za jednego swego prywata praeceptora; on jest commensalis Imci Pana Sieniawskiego, kiedy się im trafi Imci Pana Sieniawskiego prosić, a to może być często in tanta familiaritate, to też zawsze brać tego księdza Piotrowickiego, nie wielka rzecz do ordynacyi, przyczynić półmisek drugi i trzeci.

Stryja też swego Jezuitę, a brata mego, jeśli w Krakowie będzie mieszkał, niech w miesiąc któregokolwiek dnia, u siebie z raz mają. Ksiądz Prowincyał Jezuicki teraźniejszy, ks. Rudnicki, a mój dawny i dobry przyjaciel, kiedy się trafi do Krakowa, tam wizytując, tedy umyślnie do niego posłać, prosząc na obiad przez Zdarowskiego, albo p. Rożenkiewicza, a to gwoli memu bratu Jezuicie.

Paniąt tych, którzy tam będą, po razu też prosić do siebie na obiad w święta, albo w niedziele, obrawszy czas wolny od nauk.

Z razu nakupić będzie korzeni na pewny czas, oliwy, octu, co wszystko niech będzie w szkatułce, pod zawiadywaniem i zachowaniem p. Orchowskiego.

Życzę tego, aby gdy ci profesorowie pojedynkiem bywać będą, także i w powszednie dni choć bywać będą, żeby przy stole nie o lada błazeństwie gadano, ale jakie dyskursy do nauk, synom moim pożyteczne, i ad praxim rerum akkomodujące się bywały. Insza przy obcych gościach kiedy będą; ale alias nieradbym, aby ich obiady na lada jakich rozmowach trawić się miały. Dyskursy przy obiadach, ludzi wielkich, stanęły więc za dobrą szkołę zawsze, czego p. Rożenkiewicz niech przestrzega i sam niech będzie powodem okazyi szukać do tego.

Wróżby Edisona.

Jedno z czasopism angielskich, mianowicie *Illustraded Magazine* przyniosło niedawno artykuł pisarza P. Lathrop, poświęcony działalności największego wynalazcy 19 wieku, Edisonowi.

Z tego artykułu dowiadujemy się, że Edison. obok niespożytych zasług, jakie położył dla cywilizowanej ludzkości, ma jeszcze dla niej cały szereg niespodzianek, które staną się jej sukcesem, nie zaraz, lecz dopiero za jakieś... 100 lat!

Wróżby Edisona, zapowiadające owe „rozkoszne niespodzianki“ bardzo się podobają Jankesom, to tylko ich martwi, że urzeczywistnienie tych wróżb ma nastąpić dopiero za sto lat.

Jednak niektórzy z Amerykanów pocieszają się nadzieją, iż nie w tak dalekiej przyszłości sam Edison z pewnością się udobrucha i przyspieszy ziszczenie przynajmniej kilku tych niespodzianek. A najwięcej im chodzi o ułatwienie podróży do którejbądź z gwiazd... co Edison w swych wróżbach bynajmniej nie zalicza do niemożliwości.

Niektóre z tych wróżb, mniej fantastyczne, a polegające na szerszem zastosowaniu wynalazków obecnego wieku, można już sobie teraz w wyobraźni przedstawić.

Według przepowiedni Edisona, po upływie stu lat, nie będzie żadnych a żadnych miast w dzisiejszem pojęciu. Będą natomiast tylko drobne wioski i osady, rozsiane wśród bardzo pięknych krajobrazów, ożywionych balsamicznem powietrzem!

Tu pracować będą wszyscy wedle woli i potrzeby, i wszyscy będą zupełnie zdrowi. No, no, co za rozkosz! Raj istotny na ziemi!

Jakkolwiek Edison nie tłómaczy, w jaki to mniej więcej sposób nauka zapewni dla całej kuli ziemskiej „balsamiczne powietrze“ i usunie wszelką chorobę a nawet jej obawę, to jednak Jankesi, nie pytając się nawet Edisona o bliższe wytłómaczenie tej zagadki, sami ją sobie rozwiązują. W krainie humbugu, wszak wszystko możliwe.

A więc dowcipni Amerykanie twierdzą, że za sto lat zaprowadzone będą sztuczne „rozpylacze“ samych tylko balsamów, tamujących wszelkie wybryki aury. By zaś uwolnić ludzkość od najlżejszych nawet... katarów, na to znajdzie już sposób „chemia przyszłości!!“

Mniej fantastyczną wróżbą i możliwie prawdopodobną, jest twierdzenie Edisona, że książki i przedstawienia teatralne dostarczane będą wprost do domów — drogą urzędową. Zamiast książek rozsyłane będą płytki, lub walec do fonografów, a te podawać będą głos samego autora.

W redakcyach dzienników wszystko się też zmieni, bo wszelkie wiadomości podawane będą przez redakcyę abonentom wprost przez ulepszony telefon łącznie z fonografem.

Zwolennicy koncertów, odczytów, przedstawień teatralnych i tym podobnych rozrywek, nie będą potrzebowali wychodzić z domów i gnieść się po salach pełnych wyziewów. Będą bowiem takie przyrządy, łączące domy ze salami zabaw, że za pomocą nich można będzie w domu wszystko słyszeć i widzieć, co się tam w sali zabaw dzieje,

Do szybkiego przewożenia ludzi z miejsca na miejsce służyć będą pociągi elektryczne i okręty powietrzne. W przeciągu jakichś 8 godzin można będzie odwiedzić nawet... mieszkańców Marsa. Ta podróż szczególnie się Amerykanom podoba i proszą Edisona, by ów wynalazek przyspieszył, a oni się już zgodzą i na dłuższą niż ośmio godzinną jazdę.

Dalej opowiada Edison, że przy takim stanie rzeczy nie będzie już wojska, a wódki i wogóle napojów wyskokowych, nikt pić nie będzie. Ludzkość przyszedłszy do rozumu, takiego nabierze wstrętu do alkoholizmu, że podawać go będą tylko przestępcom jako największy stopień kary.

Z tem, co prawda, nie wszyscy się zgadzają, a zwłaszcza ci, dla których alkohol nie jest wcale wstrętną rzeczą, i twierdzą, że pod tym względem Edison... przeholował.

Wreszcie wielki wynalazca zapowiada zupełnie inny sposób odżywiania się ludzkości, twierdząc, że chemia wynajdzie potrawy bardziej przypadające smakoszom do gustu, biednych zwierzątek nikt już jadać nie będzie, nie będą też one służyły do dźwigania ciężarów, i będą jako człowiek, szczęśliwe.

Widzimy więc, że sędziwemu wynalazcy nie zbywa wcale na bujnej fantazyi. Zapewne, że i obecne już wynalazki przy szerszem zastosowaniu wiele zmienią na ziemi, nawet przed upływem 100 lat, lecz bardzo jest wątpliwem, czy one zdołają zapewnić człowiekowi „całkowicie szczęśliwy“ pobyt na ziemi.

Marzenia takie chyba zawsze... pozostaną marzeniami.

Katolicyzm w pamiętnikach Bismarka.

Żelazny kanclerz był nietylko mistrzem w polityce, ale był także znakomitym stylistą, o czem świadczą jego pamiętniki, które spisywał, usunięty wbrew swej woli w stan spoczynku.

Z wyjściem tych pamiętników oświadczyła prawie cała prasa, że w nich niema nic nowego, że co ważniejsze, ogłosili już dawniej Busch, Hahn a nawet sam Bismark.

Ale publicyści muszą pracować szybko, więc pobieżnie, i nic dziwnego, że w pamiętnikach Bismarka uszło ich uwagi nie jedno, o czem ani biografowie żelaznego kanclerza ani on sam pierwej nie pisali; szczególnie zaś w sprawach polityki kościelnej. Znane zdanie biskupa Kettelera, że każda kwestya polityczna wiąże się nierozerwalnie z religią, znajduje w pamiętnikach Bismarka potwierdzenie. W każdej prawie omawianej przez pamiętnik sprawie

czysto politycznej natury, jest mowa o katolicyźmie, księżach, Jezuitach, wolnomularzach itp. Ponieważ jednak z drugiej strony pamiętniki Bismarka nie zawierają takich szczegółów, o których wiemy z jego dawniejszych wynurzeń albo od jego powierników, przeto pamiętnik ten nie może być uważany jako wyraźne źródło historyczne. Oto przykład:

Groźny redaktor Kreutz-Zeitung p. v. Nathasius-Ludom pisząc o powodach walki kulturnej mówi, że sam Bismark oświadczył, iż czuje się od Boga posłanym do „szerzenia ewangelii" tj. luteranizmu. Po bitwie sedańskiej uważał za stosowne przystąpić do wykonania tej uwagi. „Jeżeli opanujemy katolicyzm; osłabną tem samem romańskie narody".

Ale o tem wszystkiem w pamiętnikach niema wzmianki, co też nie trudno pojąć. Wiemy bowiem, że rezultat walki kulturnej smutny był dla Bismarka i że nie tylko nie opanował katolicyzmu, ale nawet ten tak potężnie protegowany protestantyzm nie pozwolił mu się panować; przeciwnie gmach protestantyzmu wznoszony tak troskliwie przez lat 300 zaczął się rysować od góry i dołu — od góry szarpany przez teorye racyonalistycznych profesorów, od dołu wstrząsany przez socyalną demokracyę. A tymczasem katolicyzm wyszedłszy z walki zwycięsko, stał się tem silniejszą moralną potęgą. Po rzuconych w przystępie buty słowach: „do Canossy nie pójdziemy" — nic dziwnego że Bismark genezę walki kulturnej w pamiętnikach pomija milczeniem, choć przyznać mu trzeba, że wobec parlamentu miał odwagę przyznać się do popełnionego błędu.

Ale choć pod tym względem w pamiętniku jest pewna luka, to z drugiej strony rzucają one na całą sprawę nowe światło, a mianowicie przy końcu rozdziału traktującego o walce kulturnej pisze Bismark, że nie wiemy, aby modus vivendi zawarty z Rzymem w r. 1886/7 był trwały, gdyż albo może jaki wojowniczy następca Leona XIII. zburzy sam to dzieło pokoju, albo tak partya centrum jak i Polacy z nienawiści do protestantyzmu wywołać mogą nową walkę kulturną, zresztą walka między królami a księżmi jest stara jak świat.

Z tym paradoksem łączy Bismark także argument, którego nie miał może odwagi za życia wypowiedzieć, a który charakteryzuje jego pojęcie o istocie katolicyzmu i który zdaje się głównym był motywem walki kulturnej. Jako ostatni powód dlaczego pokój zawarty w r. 1886/7 nie ma być trwały — przytacza Bismark, szerzenie przez katolickie duchowieństwo zabobonów wśród ludu. Zdawałoby się, że Bismark uważa tu jako powinność państwa zwalczanie „zabobonów" i konieczność złamania pierwej czy później tego modus vivendi przez państwo; — ale nie, Bismark i tu w Ko-

ściele katolickim widzi burzyciela pokoju; w tym zabobonie leży właśnie pokusa dla Kościoła, aby nową walkę z państwem inscenizować. Jako dowód na poparcie twierdzenia o „zabobonach" katolickich przytacza Bismark okoliczność, że w częstych swych wycieczkach do Kissingen zauważył nawet u oświeceńszych chłopów wiarę, że ksiądz odmawiając absolucyi w chwili śmierci, skazuje na piekło grzesznika, że przeto i w polityce musi być katolik tego samego zapatrywania, co i ksiądz; w polskich dzielnicach jeszcze gorzej pod tym względem, bo nieoświeconemu chłopu ksiądz wpaja przekonanie, że luter a niemiec to jedno pojęcie — tak jak katolik a Polak.

Z pamiętników wypływa jasno, że katolicyzm a zabobon — to jedno, natomiast protestantyzm to światło. Naturalnie, że „zabobonem" zakażone być mają tylko niższe klasy społeczeństwa katolickiego, czy jednak książe Bismark rozróżniał i w protestantyzmie tę podwójną religię, inną dla siebie a inną dla swej służby luterskiej — nie wiemy. A jednak z przebiegu walki kulturnej mógł poznać Bismark, że katolicki Kościół ma tylko jedną naukę tak dla maluczkich jak i wielkich i że to, co on nazywa zabobonem, stanowi wiarę tak dla książąt jak i chłopów. To co książe Bismark o chłopach z Kissingen opowiada, dowodzi tylko, że jego lutersko-teologiczna wiedza nie sięgała tak daleko, aby pojąć wiarę bawarskiego chłopa, i nie sięgała tak daleko, aby wiedzieć, że mocy prawa „wiązania i rozwiązania" danego przez Chrystusa Apostołom i ich następcom, to, co ks. Bismark zabobonem nazywa, a w tym wypadku wezwania kapłana do umierającego, jest prawem Boskiem, a nie wymysłem wojowniczego Papieża lub Biskupa. Tej nieznajomości przepisów Kościoła katolickiego możemy przypisać słowa kanclerza, że ksiądz może grzesznika posłać wprost do nieba lub do piekła, bo żaden chłop który tylko trochę katechizmu się uczył w taką nie wierzyłby bajkę, gdyż wie, że sąd należy tylko do Pana Boga.

Obecność zaś kapłana przy łożu umierającego — absolucya dana mu w imię Boga i opatrzenie umierającego Św. Sakramentami jest tylko pomostem, po którym dąży człowiek do swojego celu — do Boga. Takim pomostem jest: Sakrament Chrztu świętego i wierzymy, że dziecko ochrzczone, jeśli umrze, także do nieba, przez kapłana udzielającego Chrztu św. posłane zostało. A przecież i Luter pozostawił Chrzest jako Sakrament a nawet w pierwszych początkach swej apostazyi uznawał sakramentalny charakter spowiedzi, względnie pokuty.

Okazuje się z tego, że ks. Bismark pojęcia konfesyjne, wszczepione mu w młodości przechował do końca życia. A chociaż wy-

chowany w świetle protestantyzmu hołdował zabobonom w większym stopniu jak ci, którym zabobon imputuje i tak: w trzynastu nie usiadł nigdy do stołu, w piątki nie rozpoczynał żadnej sprawy, a dzień bitwy pod Jena i Hochkirch uważał za dni feralne. Nie jestże to zabobon?

Jakich środków zaś używał do zwalczania katolickiego zabobonu, wiadomo, nie cofnął się nawet przed związkiem z zecerem drukarskim, który mu zdradzał autorów manuskryptów biskupich. W końcu musiał ks. Bismark uznać, że nie oceniał należycie potęgi moralnej Kościoła katolickiego i za przykładem Henryka IV. poszedł do Canossy — ale przyznając się do porażki nie mógł przenieść na sobie, aby swemu zwycięzkiemu przeciwnikowi nie rzucić w oczy „zabobonem“.

Książe Bismark nie rozumiał katolicyzmu, czy wyznawali go książęta i ministrowie, czy chłopi; prawie wszystko, co mówi o katolikach, mówi z uprzedzeniem protestanta, patrzy jedynie przez protestanckie okulary, które zaciemniają jego pod innym względem tak światły umysł, jeżeli tylko chodzi o sprawy katolicyzmu.

Tajnemu radcy dr. Krätzigowi nie mógł nigdy darować, że jest katolikiem, twierdząc, że on jest urzędnikiem Papieża a nie cesarza; nie mógł pojąć tego, że co cesarskie cesarzowi, a co Boskie Bogu.

Lektora królowej Augusty nie mógł ścierpieć dlatego tylko że był katolikiem i nazywał go szpiegiem francuskim, i wreszcie za to, że był korespondentem najwięcej legitymistycznej „Gazette de France“ — wyrzucił go z zajmowanej posady. A zresztą czyż za złe mu można było brać jego patryotyzm, kiedy był francuzem a stał w służbie cesarzowej Augusty jeszcze w czasie, kiedy o wojnie francusko-pruskiej nikt nie myślał?

Podejrzenia rzucone przez Bismarka na cesarzową Augustę świadczą o braku rycerskości; również nie cieszyła się względami żelaznego kanclerza żona cesarza Fryderyka. Obie te cesarzowe wiedziały dobrze, że Bismark chce dla swej rodziny stworzyć dziedziczność kanclerstwa, starały się temu przeszkodzić, ztąd ta nieprzyjaźń. Okoliczność, że cesarzowa Augusta otaczała się przeważnie katolikami, gniewała coraz więcej Bismarka, pchała go do intryg przeciw tej dostojnej pani.

W ogóle w każdym wierszu pamiętnika przebija się niechęć a nawet nienawiść do katolicyzmu.

Na pochwałę zaś Bismarka powiedzieć można, że starał oponować wpływowi masonów; a nawet pracował usilnie nad tem, aby Wilhelma I. wyzwolić z pod wpływu wolnomularstwa i wy-

raźnie pisze, że dworskie intrygi wolnomularzy zmuszały go do ciągłej walki i przyprawiły go o nerwowość.

Papież Pius IX. nazwał zaś Bismarka nowym Atyllą, bo nie tylko prowadził on krwawe wojny, ale stokroć straszniejszą wojnę kulturną.

Lecz jak sto lat przedtem Fryderyk II. chcąc zaszczepić w Prusach wolteryanizm, przyczynił się tylko do wzrostu katolicyzmu, tak i Bismarka usiłowania zgnębienia lub zdegenerowania, lub choćby upaństwowienia katolicyzmu, wydały owoc wręcz przeciwny, pomogły katolicyzmowi do okazania całej swej potęgi, która przetrwać zdolna burze nawet sroższe jak bismarkowskie prześladowania.

ROZMAITOŚCI.

Wywar fasoli ma tę własność, że z każdej tkaniny, bez szkody dla koloru, wywabia wszelkie plamy. Dobrze wysuszone ziarna białej fasoli należy ugotować, ale bez soli. Gdy fasola jest już na miękko ugotowana, zlewa się wodę, ostudza się i nasyca się nią materyał, do czyszczenia przeznaczony, lub też poprostu miejsca splamione, które się następnie lekko w wodzie pierze. Mydła do tego prania nie używa się. Wszelkie plamy atramentowe, jeżeli nie są zbyt stare, lub jeżeli atrament nie zawiera zbyt gryzących własności, plamy tłuste, plamy z czerwonego wina i t. p., znikają zarowno z białych jak i z kolorowych tkanin zapomocą tego środka. Tak jedwabne, jak wełniane i bawełniane tkaniny, czarne lub kolorowe, jeżeli są prane według tego przepisu w lekko ogrzanym wywarze białej fasoli, odzyskują zupełną świeżość Zwyczajnie do jednego funta fasoli używa się cztery litry wody. Po wypraniu należy materyał wypłukać w letniej wodzie, wyżąć i wysuszyć.

Sądy nieznane są Eskimosom. Nie posiadają ani policyi i magistratury, nie słyszeli o adwokatach i prokuratorach. Nie idzie jednak zatem, aby wśród Eskimosów nie było sprzeczek. I owszem; lecz załatwiają je pomiędzy sobą, znajdując, że kłótnia sama przez się jest rzeczą tak przykrą, że niepotrzeba tej przykrości zwiększać, wydatkami.

Gdy Eskimos poróżni się z drugim, układa na niego wiersze satyryczne i śpiewa je z odpowiednią mimiką wobec zgromadzonego plemienia. Strona przeciwna odpowiada w ten sam sposób; proces wygrywa ten, kto zdoła rozśmieszyć słuchaczy. Obaj zapaśnicy wychodzą z tego turnieju wyszydzeni, częstokroć podrapani, lecz przegrywający ma przynajmniej tę pociechę, że został pokonany darmo, a zwycięzca — że sobie tylko, nie zaś adwokatowi zwycięstwo zawdzięcza.

W Krakowie, czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

SYNOD KLECHÓW.

Niema nic nowego pod słońcem, czytamy w Piśmie św. i istotnie, to co się dziś nam zdaje nowem, to było i dawnej, a dziś tylko w innej formie się powtarza.

A już skargi ludzi na biedę, to są stare jak świat. Dziś prawie każdy się skarży na swą niedolę, a czy dawniej może inaczej było? Tak samo!

Jednym było dobrze na świecie, drugim źle, bo takie już są losy ludzkości. Do tych skarżących się na swoją niedolę w dawnych czasach, należeli nietylko wieśniacy lub robotnicy miejscy, ale także i służba kościelna, która się dzieliła na różne klasy.

Byli przy kościołach d z w o n n i c y, k a n t o r z y, o r g a n i ś c i i k l e c h y. Organiści, kantorzy i dzwonnicy tworzyli klasę niższej służby kościelnej, wyższą zaś tworzyli k l e c h y, których zwano także „rektorami, mistrzami i seniorami".

Z duchowieństwem byli klechy, w ciągłych zatargach, a jakie mieli pretensye do księży, to pokazuje się z pisma pod nazwą S y n o d u s, które wyszło z druku w roku 1607. Czy istotnie taki synod klechów się odbył, napewno nie wiadomo. Autorowi „Synodu" chodziło, jak się zdaje, nie o rzeczywisty opis tego zebrania klechów, lecz chciał barwnie przedstawić ich charakter, ich biedę i życie.

Wspomniany synod miał niby się odbyć 20 stycznia 1607 roku na Kaźmierzu pod Krakowem. Kilku zapaleńszych z klechów rozesłało przedtem do swych kolegów uniwersał po łacinie, zapraszając ich na wspólne narady.

Gdy nadszedł dzień oznaczony, mimo chłodu i śniegu, mimo bosych nóg i wydartych grzbietów, zebrało się na Kaźmierzu z półtorasta klechów, dziwacznych postaci, w których się malował stan ich, życie i nędza. Byli tam młodzi i starzy, bosi i obuci, i prawie nadzy, zgrzybiali i niedorosłe chłopięta.

Poczęli synod nabożnie od pieśni: *Veni Sancte Spiritus*, którą odśpiewawszy, dopiero się do narady mieli. Na jednego tylko uważano, że nie śpiewał.

— Czemużeś nie śpiewał frater?" (bracie) zapytał starszy.

— Ba, albowiem mało za to plag nabrał, żebym jeszcze i tu na nie zarabiał," odpowiedział; bito mnie w szkole, ucząc tej pieśni; nie tknę się jej!

A gdy się wszyscy z biedaka śmiali, ktoś tam przebąknął: niech najpierwszy radzi.

— Radź waszmość, radź — wołano ze wszystkich stron.

— A dajcież mi pokój! ofuknął się im. Radźcie sobie, a ja się na wszystko zgadzam. To mówiąc, podparł się na kiju, poprawił czapki i miał się do słuchania. Wystąpił tedy najstarszy wiekiem klecha i mowę miał taką:

„Fratres carissimi! (Bracia najdrożsi) Kiedyśmy się tu dzięki Bogu, zebrali, nie traćmyż czasu. Oto naprzód niech każdy swoje, co mu boli, przełoży; potem rady koleją dawać będziemy, jako nam dalej życie prowadzić, bośmy dziś jak exules, advenae i włóczęgi. Nigdzie nam domu, ledwie się nie przyjjdzie do szpitalów uciec.

Nie mamy wyznaczonego stale myta, na księży pracujem, a za nic nas nie mają. Nie wielka nam chluba, że księdza zastąpim, bo każdy zna co ksiądz a co klecha; żebym ja w ornacie siadł na ołtarzu, powie drugi: nie księdześ, a ksiądz i w lesie księdzem.

Księdzu każdy dzień coś przyniesie i dziesięcina i Msze i grunta trzymają a sieją, a nam i chleba kawałka nie dają, a gdy narzekamy, to się z nas naśmiewają. Ogródki nam nadane pobrali, petycye zagarniają, myta nie dają, klerykatury nie wydrzeć z ich rąk.

Chłop też nie da, bo za co ma dać? On mówi, a robię ja panu, a robię ja księdzu, a żywię ja żołnierza, a płacę ja pobór, a po jakiegoż jeszcze dyabła żywić klechę. Próżno człek chodzi z kropidłem i święconą wodą po chatach, tylko pośmiewisko zbiera. I z opłatkami w adwencie nie przyjmą, bo i o opłatek nie dbają. Chyba jaka tam białogłowa czaruje niemi, i krowom daje, żeby się bydło wiodło.

Przyjdą żniwa i petycya nasza snopkowa! Ale ba! któż ją da? księża swoją dziesięcinę tylko wybiorą. Z kwesty, czwarcizny ksiądz nie puści jako żywo, woli sam psałterz odprawić na pogrzebie, aby i to wziąść, co się nam godzi. Co już grosza mówić, gdy i sukna i płótna mizernego z pogrzebowego nie dadzą. Potem jeszcze chwalą: oj! życie zaczęto

szczęśliwe! Piskorz za piskorzem w gębę, takie życie znać na łokciach i na piętach bosych braciszkowie. Drudzy już poszli u heretyków chleba szukać, drudzy za hajdamaków na wojnę przystają, inni za kluczników przy dworach, i tym lepiej, niż nam.

Jeden z naszych od młodych lat kawęczał nad chorałem, tu w krakowskiem, służył w niezłej plebanii, pięć lata myta nie widział, zachorzał, nie miał o czem żyć i obwiesił się. Otóż pięknie dla parafii, kiedy jej się rektor obwiesił z głodu. Za żywota czynił on dobrze ludziom, jemu po śmierci nikt.

Drugi, Matyasz, mało się nie utopił z biedy, tylko dziesiątek groszy mając całego myta (zapłaty). Trzeci, Walenty, cierpiał, aż też z głodu katem został. A cóż było począć, kiedy żołądek woła chleba, a tu go niema.

A sławny ów Stefan, stary klecha, umierając, poszedł na mary bez koszuli. Tak ci to, tak, na starość i grosika nie przybierać. Kto za dwanaście groszy w rok służy, a jakże ma co zaoszczędzić, kiedy i trzewiczyska za to nie kupi.

Nieraz, Panie Boże odpuść, człek i w kościele nieraz łzami się zaleje, śpiewa i łzy połyka, a zamknąwszy kościół, idzie po wsi żebrać, bo w ogrodzie pusto, w komorze pajęczyna. Był ci zwyczaj obiad u księdza w święto, ale ten ustał, choć z nowych graduałów uczą kirye, jeść jednak nie dają. Oj! gdzież to oni głowy mieli, co fundacye robili, wszystko dali na kościół, a my jak psi tułamy się bez grosza.

O toż idzie, bracia, aby i o sobie i o dziatkach poradzić, bo dalej, dalej gorzej będzie. Co głowa, to rozum, jeden nie da rady jak wielu. Poczynajcie więc seniora wasze vota, a dalej młodzi w kolej, aż do końca“.

Powstał na te słowa stary i obłysiały Adam klecha, ale ten gwarzył, jako i pierwszy, narzekając ogólnemi słowy. Za nim votował Blasiusz, też stary i zgarbiony, a na kiju podparty:

— Jestem Podgórzanin, braciszkowie, rzekł grubo, i wy Podgórzanie, a wiecie, co nam tego licha nawarzyło, oto te przeklęte mazurzyska, co się tu do naszych księży, ze swemi partesami rekomendują.

Aby ich tylko przepędzić byłoby lepiej, a niechby księża co godzina to nowina nie wymyślali. Człek się cały wiek uczył, a teraz oduczać i przeuczać musi. Namnożyło się ksiąg, chorałów, graduałów, a to nam starcom na złość tylko, bo się te księgi rzadko dwie zgodzą, a księża, aby się człek tylko poślizgnął, zaraz wypędzą, byle tylko pozór. Oj! księgi te nowe a Mazury, byłoby nam dobrze bez nich.

Poczem obejrzał się i siadł na ziemi, a zaczął podrzemywać.

Obok niego Jan klecha siedział; ten powstał, rękę po gębie przesunął, krząknął i zająknął się:

— Nie wyganiać nam Mazurów, nie łajać na książki, rzekł, jednychby kochać, drugichby się nauczyć, a nie próżnować! oto moja rada. Dixi (rzekłem). I głową kiwnął.

Spiesznie chciał po nim Matyasz głos zabrać, ale się zachłysnął brzydko, i ledwie język ustatkowawszy, począł:

— Nam kantory szkodzą, rzekł, klechom teraz lada kantor przewodzi, wielkiego myta żąda od rektorów i połowy petycyi. Oni to plotki noszą, próżnują, a do pracy ich napędzić, to ci jeszcze powie: Jam nie lada rodu! patrzaj go! kantorów wypędzić, co nam po nich!

— Bo na co nam te szkółki, rzekł Laurenty, lepiej się jakiem rzemiosłem bawić, niż szkółkę trzymać. Jaka z nich korzyść? Jak nie będzie szkół, nie pouczym żaków, niedopłacą się nas księża, będziemy w cenie.

Następowała kolej na Stanisława, który w długiej bekieszy, ciepło odziany, schyliwszy się na kiju, rzekł:

— A mnie dobrze na świecie, mości bracia, i nie pójdę od kościoła nigdy, chociaż już i w księgach niewiele widzę i niewiele wydzwonię, bo mi ręce drżą. Jednak na pamięć śpiewam, chmury i grady modlitwą odpędzam. Ludzie mi radzi przy kościele, co niedziela śpiewam im Bogarodzicę, to się zrzucą na mnie, a mnie i mała czego dosyć.

— Moja rada, rzekł powoli Christophorus, nie ruszać się z miejsca. I mnie źle, i mnie nędza dokucza, kilka lat myta nie widziałem na oczy. Ale nie chce mi się na starość włóczyć, a komu z was śmierdzi szkoła, zróbcie jak ja, wyprowadźcie się ze szkoły na cmentarz. Ot moja rada.

Aż po nim czupurny jakiś klecha, krępy a tęgo odarty, ze słomą w butach a pierzem na czapce, ozwał się:

— A kiego licha mam cierpieć, pójdę do zboru luterskiego, nie zostałem księdzem, będę łatwiej mistrzem, i chleb będzie i sława; znają mnie blisko heretycy, a gdyby nie oni, dawnobym już zdechł.

Na te słowa ogromny się wrzask podniósł między klechy, wołali, społem podnosząc pięście do góry:

— Idź do dyabła, kiedy chcesz!

Precz z między nas, żebyśmy się z tobą razem nie spodlili!

Na starość za kawałek chleba piekło kupuje!

Alboż to nam lepiej jak tobie!

Precz, precz!

Nie zmięszany tem bynajmniej obdartus, poprawił się:

— Ten błogosławiony, bracia, kto ma chleba kawałek, a przeklęty, kto go niema. Muszą być błogosławieni, kiedy im dobrze. Jeszcze jałmużnę dają, czego nasi nie czynią. Oni będą zbawieni, oni lepsi.

Wszczął się na te słowa nowy krzyk i nowa wrzawa, żwawsza jeszcze między klechami.

— Aj! damy my ci, damy, tylko bełkotaj jeszcze!

Idźże precz, ani się pokazuj!

A toć niecnoto! młodzi cię słyszą i gorszą się!

Precz, precz, idź, ogryzaj kości z heretyków stołu! precz! precz!

Nie było co odpowiedzieć, Piotr minę pogardliwą zrobił, milczkiem wyszedł z koła. Długo jeszcze potem wrzawa trwała i wotowanie ustało, aż powstał Paweł i rzekł z cicha:

— Jam tu obcy, nie waszyniec, a słyszałem przysłowie: że każdy Piotr szalony, i dziś się przekonywam, że prawda. Ja nigdy wiary dla chleba nie oddam, co mi ją nanusiek z macierzą wpoili. Pierwsza to rzecz wiara, a głód do zbawienia nie wadzi.

I zamilkł. Po nim jeszcze stary Józef się odezwał:

— Chwalebne zdanie P. Pawłowe, kolej na młodych, niech pokażą, co myślą.

Zerwał się tęgi parobek w łatanym giermaku, i zaraz począł, rozpuściwszy gębę:

— Oj starzy, starzy! wszystkichby was wytopić. Dziady, brodacze, wszyscyście ladaco. Wam to rozkosz jeszcze, wam; płaszczycie się księżom ze strachu, aby was nie powypędzali; nad grobem stoicie, ni do ziemi, ni do nieba niezdatni. Bodajeście z głodu pozdychali, bo się wy z nami młodymi źle obchodzicie. Co wam Mazury wadzą, że z partesów śpiewają? Zazdrość wam tylko, zazdrość, że wy z babami ledwie Bogarodzicę odbeczeć potraficie. Ni wy do prawa, ni do kościoła, ni do Boga, ni do ludzi, ni do nieba, ni do ziemi. Niewarto wam i chleba dać na starość.

Zająkliwy Piotraszek mu przerwał:

— Czego ty na starych krzyczysz? Dobrzy i oni, dobrzy i my. Ot lepiej radźmy razem, a wyprawmy kogo do JMci księdza Biskupa z listem i przełożeniem skarg naszych, niech każe opatrzyć kościoły. U Rusi przecie Diaki przynajmniej jedzą z księżą, niechby tak i u nas.

— A dobra rada, dobra, krzyknął Bartłomiej, do Biskupa na nich! Pracy wiele, chleba mało, księgi nowe, a głód stary. A po jakiegoż licha cierpieć? Lepiej zasię u heretyków, bo

tam jedne kantyki śpiewają, a chleba po uszy. Choć ja ich nie chwalę, ale u nas praca wielka, a pożytek mały.

— Ej, wara od Biskupa, rzekł Mikołaj, bo i posły jeszcze po grzbiecie oberwą. Poradźmy sobie lepiej, oto tak, rzućmy na jaki czas te szkoły i idźmy na żołnierski chleb. Teraz pono wyprawa, potrzebni pachołkowie i piechota, niechaj sobie księża jak chcą radzą bez nas, jak obaczą się, to potem lepiej nas ufundują, a jak ludzie zobaczą pustki przy kościele, ubędzie im i dziesięciny nie od jednego. Wszystkich się obróciły oczy, gdyż wielki Albertus, ów to klecha, żołnierz, sławny wołoską wyprawą, już był gębę szeroką otworzył, i tylko jeszcze votum nie mogło się przez nią przecisnąć, aż nareszcie jakoś je wykrztusił.

— To dobra rada, zawołał, siła na nią przystanie. Byłem ci i ja na wojence, a lepiej mi z tem teraz. Niema jak żołnierski chleb. Jest i zdobycz czasem. Aby się co ochotnika zebrało, to i ja z wami.

— I ja, rzekł Szymon, wolę służyć panom bratom, niż księżom i klechom. Trudnoby człek chciał zostać księdzem bez sukni na grzbiecie i grosza w kieszeni. A mam być złym księdzem, wolę być dobrym symplakiem. Teraz to lada klecha wyjdzie na księdza.

— Ja też chcę być żołnierzem, odparł Kaspar; porucznik stacyą wyszuka, a nie, to ją sobie człek i sam wydrapie, nie tylko od chłopa, ale i od plebana, za te jego wszystkie krzywdy. Aj, jakby to zdrowo było, księdzowskiego wołu z duchownej obory zjeść!

— I ja, i ja! krzyknął Walenty, pozabieram stare książki z zakrystyi, skleję z nich kaftan, ponakładam blachą, co opadła z kopuły, i kto mnie potem przestrzeli? Kopię od chorągwi z kościoła odejmę, z starych błon naleję kul i damże im dam! Nie będę z biesiagami chodzić po wsi i prosić, wolę z dardą dziesiątek swój wodzić, wolę się zwać panem dziesiętnikiem, niż klechą, partaczem, albo i co gorszego.

Ukazała się wtem z za pleców Walentego tchórzowata fizys pana Tomasza, który przez cały czas, gdy o żołnierce prawili, głową tylko na wszystkie strony kiwał.

— At! rzekł, dobrze mi jeszcze przy kościele i lepiej i śmielej pod chorągwią u ławek, niż pod hetmańską. Uszykuję sobie dzieci wśród kościoła, nikt mnie za to nie obije, ani marszałek laską, ani hetman buławą. Nie boję się cięcia i strzału, na deszczu nie zmoknę, pod dachem się wyśpię, na wojnie drżeć nie będę. Jeśli wam idzie koniecznie o bitwę,

ręczę, że w karczmie, gdy się chłopi popiją, to tak dobrze tłuką, jak na wojnie.

— Nie pięknie to panie Tomaszu, że od nas odstępujecie, przerwał drugi, dlatego, że tam teraz u was kilka snopków. Zobaczycie no, na czem skończycie. Żyto nie urodzi, pleban się pogniewa, i ostatnie kilka groszy minie, będziesz na starość chłopom gąsięta i cielęta pasł; a może na tem lepiej wyjdziesz, bo przynajmniej na św. Marcin swoją miarkę odbierzesz. Oddaj ty dyabłu szkołę, idź z nami do wojska, a jak skoro po św. Wojciechu, powędrujem na wyprawę.

— A nie pójdę, na śmierć Matya, odpowiedział Tomasz, nie pójdę. Idź ty do licha, kędy chcesz! Wolę ja tu po wsi psy bić i kromki chleba zbierać, niż się gdzieś tam włóczyć.

— Co ja! rzekł pięknej postawy i rumianej twarzy Hieronim, nie pójdę z wami też; kłaniam się. Ja mam pilniejszą sprawę, muszę się tego roku ożenić koniecznie. Zeschłem z głodu, zeschłem; nareście jużem sposób znalazł, miałem księdzem zostać, i jestem już akolytą, ale lepiej jeno się ożenić! Wabi mnie matka i z córką bardzo. Matuchna da jej dziesięć grzywien, obiecała pościel, suknie, dwie krowy, a reszty tom i zapomniał, wszak ci musi tam coś być dodatku. Oj, tam to, tam, życie u pani matki! jak dadzą jeść, to jak na Wielkanoc święcić, taki dostatek! Daj no Boże za to się wypłacić. Dałem ci już stary żupan mojej dziewce na przyodziewek, a ona mi kołnierzyk z podartą koronką i chustkę ku temu obiecała. Oj będęż żył, będę żył jak prałat.

Nikt nic na to nie odrzekł, bo niektórzy się śmiali, inni gwarzyli. Szła kolej na Serafina, który w krótkich słowach zamknął mowę:

— Ja sobie kupię zagon jaki. Żonę mam prawda złą, ale ją też biję.

— Ja pójdę choć do szewca służyć, odezwał się następny.

Wesoły i rubaszny Marcin nastąpił:

— Czego wam u licha źle, że się wszyscy skarżycie? zawołał, pytajcie się mnie, com zawsze wesół i śpiewam, czy i mnie też złota dola na świecie. A jednak śpiewam i nie zasępię się, bo mi moja Kachna dodaje dobrej myśli. Bodaj to zalecanki, to wesołe życie; na co mi to wasze nabożeństwo! Dobre ono dla starych; ja póki żyję, będę się tylko zalecał.

Ale wtem poskoczył ku niemu sowizdrzał i począł go hamować.

— Aj Marcinie! co gadasz? Alboż to ty nie widzisz, że umrzeć potrzeba, śmierć za pasem, a ty o zbawieniu nie myślisz?

— Daj mi pokój ze swoją śmiercią, rzekł Marcin, bo cię naprawdę ożogiem chlapnę.

— A jeżeli tak, róbże sobie co chcesz, a mnie dość na tem, żem cię przestrzegł.

Przybliżył się Andrzej zniecierpliwiony.

— Ja widzę, rzekł, że tu z wami sprawy dojść nie można; bajecie plotki, każdy się tylko na swoją biedę skarży. A już ledwie na rok grzywnę wysłużę, jeszcze z tego muszę i kantora wychować. Ha! a cóż robić? tak Bóg dał, trzeba pokutować do czasu. Ja wam radzę: siedźcie spokojnie, i nie odchodźcie kościołów; Pan Bóg się też kiedyś nad nami zmiłuje. Można się i z księdzem zgodzić, kto zechce, i posłużyć mu czasem lepiej, niźli się panu najmować z cepem. Radźmy bracia, jak się poprawić w żywocie, a Bóg o nas pomyśli, bo są między nami łotry, kuglarze, pijanice, i za nich nas Pan Bóg karze. A chcecie, żeby wam lepiej było, postanówmy kary na złych, i obwarujmy, żeby się poprawili.

Oburzyło to i jakby ukłuło sąsiada Franciszka, który wziął mowę Andrzeja za przymówkę do siebie i odpowiedział mrugając:

— Ale czy to nam kogo sądzić i hamować i poprawiać. Sam Pan Bóg na świat nie dla sprawiedliwych przyszedł, ale dla największych łotrów, i między nimi wisiał na krzyżu i z nimi żył, a jednak ich tak bardzo nie karał. Na co to o tem myśleć, chyba nas chcecie Jezuitami porobić.

Ale drudzy przypadli, i zaczęli mu mowę przerywać.

— Co ty bajesz? znać po tobie niecnotę.

— Łotrem się być nie godzi, zwłaszcza nam sługom Bożym przy kościele, trzeba dać dobry przykład.

— Alboż nie wiesz, jak Pan Bóg łotrów chłostał biczem w kościele. Trzebaby i ciebie powrozem zacząć nawracać, jak widać.

— No, no, a zatem koniec, krzyknął Chrystophorus; powiedzieliście co chcieli, i wszystko dobrze.

Lecz starszyzna zebrała się jeszcze na ostateczną radę.

— Słyszeliśmy, — rzekł Valentinus, — wszystkie wasze skargi. Prawda to, że ucisk, ale dla tego kościołów opuszczać niepotrzeba. Siedźcie tylko cicho, nie czyńcie ekscesów, nie uczęszczajcie do karczem, nie kłóćcie się z księżmi. To potrzeba uchwalić i wydrukować. Niema tylko czem drukarza opłacić.

— Damy mu, przerwał drugi, każdy po kiełbasie na kolendę, a będzie ich miał parę fas i będzie mu dość.

A zatem siedli starsi, i takie ustawy dla klechów spisali:

Ustawy walnego synodu klechów podgórskich:

1. Uchwalony pobór na potrzebę pospolitą od klechów po groszu, a od kantora po pół grosza.

2. Zakazujemy klechom uczyć dzieci gramatyki i śpiewu, żeby nie były mędrsze od nas i na starość nas ze szkół nie wycisnęli.

3. Aby żaden klecha za klerykaturę nie służył.

4. Aby żaden nie służył za dwanaście i za pietnaście groszy myta, tylko najmniej po kopie za kwartał, oprócz legumin.

5. Z heretyki aby się żaden nie ważył dysputować o wiarę.

6. Aby żaden nie porzucał księdza, pókiby kucharce księżej nie wyrządził złości, bo choć im dany godny urząd, ale na nieszczęście nasze.

7. Aby klecha albo kantor nie bywał w karczmie na biesiadzie, dla zgorszenia ludu prostego, a ile razy by był, tyle groszy winy da do skarbu.

8. Z orężem żelaznym aby nikt nie chodził, tylko z laską, a z kijcem za pasem.

9. Po huzarsku, po kozacku, albo w kurcie, aby nikt nie chodził, pod karą, żeby w krakowskiej zamkowej bularni między dziady jednę noc przeleżał, stanie to mu za kurtę.

10. Ktoby u koszuli miał wyszywany pstro kołnierz (oprócz koronków), ma za karę siedzieć u św. Gertrudy na wale w kunie dzień jeden.

11. Ktoby pił albo tańcował we wstępną środę, gdy mu będzie dowiedziono, ma za karę obejść pięćdziesiąt kościołów krakowskich, nasypawszy tatarki w trzewiki, pod bose nogi.

12. Któren gra w karty, odjąć mu pół myta, i dać do kościoła na księgi, a on niech się wygraną kontentuje.

13. Któryby Cisioianus nie umiał, Tertrini, Alleluja, Dorsa eorum, nie ma być klechą.

14. Ktoby w graduale podpisał text inny pod nuty, grosz do karbony da.

15. Ktoby antyfony, albo śpiewy chorałowe do swego kościoła przepisywał z innego, da groszy pietnaście do karbony.

16. Ktoby żebrał mąki do kościoła, da grosz winy.

17. Aby się żaden nie ważył czarownikom dawać z kościoła wosku, strzępków, wody chrzcielnej, mchu z dachu, kości trupich, rdzy ze dzwonów, oprócz wody święconej, kropidła i ziela bylicy, bo tamtych rzeczy używają na złe, na na zepsucie dobytku, na pokłócenie małżeństw, osypywanie

dziewek i młodzieńców. Także stuły do opasywania się brzemiennym nie godzi się dawać, ani w chrzcielnicy przeglądać się od żółtaczki.

18. Klechy umarłego brata powinni pochować bez pieniędzy.

19. W grzechu śmiertelnym niechaj się nikt nie odważy wchodzić do kościoła, a publiczny grzesznik niech publicznie pokutuje.

20. Ktoby się nie spowiadał o Wielkiejnocy, ma być wyłączony z między nas, wyjąwszy ważne przyczyny.

21. Czas odstawania i przystawania ma być wedle umowy, najlepiej na wielkanocną niedzielę po nieszporze. A którzyby się godzili o św. Michale, mają śpiewać Mszą tam, gdzie przystają.

22. Co się tycze petycyi, do tej ksiądz żadnego nie ma prawa, bo to nasza jałmużna, krom zapłaty należna.

23. Aby nikt nie odstawał bez świadectwa, ani bez niego bywał przyjętym.

WŁOŚCIANIE W POLSCE.

Krótkie studyum historyczne.

Napisał I. P.

(Ciąg dalszy).

Pośród ogólnego uciskania włościan w 17-tem stuleciu wyróżnił się chlubnie, kiedy cały ciężar srogości przygniatał chłopa, szlachcic sandomierski Jan Lipiński. Okazał on bowiem przynajmniej uczucie ludzkości i zapisał na wsi Janowice podówczas dosyć znaczną kwotę 15 tysięcy złotych. których odsetki miały służyć ubogim komornikom, chałupnikom i zagrodnikom powiatu sandomierskiego na zapłacenie podatków.

Piękny to był zaiste czyn miłości bliźniego; szkoda tylko, że w gronie szlachty nie znalazł naśladowców.

Aby pojąć ten ucisk chłopów — całą ich niedolę, które ich często z rodzinnej ziemi wyganiały szukać w obcych stronach, za granicą, wytchnienia i swobody, wypada nam zliczyć wszystkie obowiązki, jakie swawola i chciwość zysku wyciskały z chłopa, kiedy on jęczał już w ostatniej toni.

Robocizną — w różnych stronach wraz z zacięgami lub szarwarkami, byli włościanie powszechnie przeciążeni.

Za łan (ślad) t. j. kawał ziemi, którą można było obrobić parą wołów, musiał włościanin pracować dworowi najmniej 3 dni w tydzień ręcznie i jeden dzień sprzężajnie. Taki chłop zwał się półślednikiem, t. j., że miał połowę roli czyli pół śladu. Posiadający cały ślad zwał się zwyczajnie chałupnikiem i odrabiał jeszcze raz większy zaciąg. Posiadający 2 ślady, otrzymał nazwę kmiecia, który dawniej oznaczał włościan — właścicieli swoich gruntów.

Atoli ten podział włościan zaciężnych był najzwyczajniejszy tylko w Wielkopolsce; inne okolice miały inne nazwania i inne robocizny.

Na zaciągu zwyczajnym nigdy chłop nie kończył, ale miał oprócz tego mnóstwo powinności oprócz zaciężnych, tak zwanych „darmoch — tłuk — próżnic — gwałtów".

Był we wielu miejscowościach obyczaj, a raczej we wszystkich większych gminach, że na posługę do kuchni dworskiej — jakby w wojsku na ordynans — musieli gospodarze wysyłać codziennie dwie dziewki i jednego parobka.

Narąbanie drzewa, naniesienie wody, opatrzenie bydła, dopilnowanie drobiu w pańskiem podwórzu — to wszystko było ciężarem gminy. Czyszczenie kominów dworskich, pranie bielizny, pielenie chwastów w ogrodach i t. p. czynności liczyły się do robocizn we dworze obok zaciężnych.

Nie pozostawiono włościanom pokoju nawet w święta, gdy byli w nie zobowiązani roznosić listy, zwozić z miasta mięsiwo i t. d. Zwało się to drogami niedzielnemi i pieszemi, lub sprzężajnemi.

Zasianie lnu, jego opielenie, moczenie, suszenie, tarcie, czesanie, należały także do powinności włościan. Najszkodliwszem było to dla włościanina, że jego żona dostawała len do domu, z którego czasem tylko przędzę, a czasem nawet już zrobione i bielone płótno, powinna była oddawać dworowi.

Tym sposobem nie mając czasu do domowych zatrudnień musiała swoje własne dzieci zaniedbywać, patrzeć obojętnie na dziury w odzieży własnej i mężowskiej, a ostatecznie do tego nieładu przywyknąć i popaść w nałóg niechlujstwa.

Włościanin, pozbawiony własności, siedział w chałupie pańskiej, na pańskiej roli, miał pańskiego konia, wołu, krowę, a nawet stół, stołek, miskę i łyżkę. To wszystko było nie jego; więc też ze wszystkiem obchodził się jak nie ze swojem — niedbale.

Dlatego się mu dom walił na głowę, rola przerastała chwastem. Konie w zimie były tylko skieletami, bydło musiano dźwigać.

Z takiej gospodarki wynikała nędza i dla wieśniaka: dzieci marły mu ze zimna, wilgoci w chatach, tudzież ze złego, niedostatecznego pokarmu. Na przedżniwku głód trapił czasem całe okolice; wieśniacy zaczęli jadać jarmuż z lebiody, młodych pokrzyw — puchnęli z tego i umierali...

Jużci — gdzie pan sam rządził wsią i był zamożny, tam już dla własnego interesu zapomagał włościan ze swego spichrza i utrzymywał przy życiu. Atoli w dobrach, w których siedzieli źli zastawnicy, dzierżawcy, podstarościowie, albo gdy właściciel jednej wioski źle się rządził, zboże wcześniej wysprzedał, tam chłopi padali marnie z głodu.

Stawały na zaciągach — powiada pewien pisarz — kości, obciągnięte tylko skórą, a za nimi włodarz z kijem w ręku i ekonom z batogiem.

Tak uciemiężony niewolnik — rozumie się — nie pracował z ochotą na swego ciemiężyciela. Jego bydlę ledwo samo łaziło: jakże mogło co uciągnąć? Stąd też praca zaciężna była tylko marnowaniem czasu.

Chłop, pogrążony w ucisku, nie widząc sposobu, aby nawet przez pracowitość, przez gromadzenie zysku i dorobek mógł pozyskać jaką wolność, nie dbał już prawie o nic. A że tęgie napoje wprawiają umysł człowieka w pewne swobodne, uciesżne uniesienie, więc i włościanin zapragnął być chociaż na chwilę uczestnikiem przynajmniej urojonego uszczęśliwienia.

Pił więc chciwie gorzałkę — upijał się jak najczęściej i przepijał wszystko. Tę zaś gorzałkę sprzedawał mu żyd w karczmie, sam uciemiężony, a przez to spodlony w swym charakterze. Toż dla grosza był gotów zgubić — choćby całą ludzkość. Pobudzał on jeszcze chłopa do większego opilstwa, oszukiwał, potem zdzierał z jego żony chustkę, brał dzieciom piernat — umierającemu z pod głowy poduszkę wyrywał, aby za pobraną gorzałkę mieć zapłatę.

Gdzie w długim szeregu lat utrzymywały się stany: szlachecki, miejski i włościański, tam zawsze stan wyższy od niższego brał zasiłek w ludziach; mieszczanie stawali się szlachtą, chłopi mieszczanami.

Ponieważ w Polsce każdy z mieszczan, który się zasłużył krajowi, lub dorobił majątku, zostawał szlachcicem, a chłop jako niewolnik, nie mógł się wykierować na mieszczanina, przeto miasta brały rzemieślników, kupców i wogóle cały za-

siłek z zagranicy, lub zaludniały się tylko samymi żydami — stąd istniało bardzo mało miast — prawdziwie czysto polskich.

Owa murowana Polska za Kazimierza Wielkiego, kiedy to chłop jeszcze doznawał opieki prawa, stała za królów elekcyjnych (wybieranych), gdy chłopa uciemiężano, jako skielet niegdyś świetnego kraju.

Pomiędzy borami rozciągały się pola, na nich chatki, zbudowane z mniejszą starannością, aniżeli ją w tem u bobrów napotykamy, bez dachów, bez dróg bezpiecznych, z połamanymi płotami i ludźmi biednymi.

Te wioski przegradzały miasteczka, różniące się od wsi tylko tem, że miały większą liczbę rozwalających się chat, że brudniejsze od chłopów uwijały się po nich żydy. A tego wszystkiego była jedna główna przyczyna: ucisk pracowitych włościan — tej najliczniejszej i najpożyteczniejszej klasy ludzi w narodzie!

*
* *

Nie zwalajmy przecież winy na naszych przodków bezwarunkowo! Odczuwali oni dobrze ucisk ludu włościańskiego i byli cnotliwi i sprawiedliwi — pojedynczo: tylko nie umieli poruczyć władzy najcnotliwszym.

Władza przynosiła i zapewniała zyski i darli się do niej chciwi. Wreszcie ta niewola stanu włościańskiego dostała się do nas razem z oświatą z zachodu, a trwała tylko dlatego u nas dłużej, ponieważ się później, niż gdzieindzieej rozpoczęła.

U Mazurów (na Mazowszu) przechował się najdłużej i najwydatniej pierwotny układ Polanów — najoporniejszy wobec zachodnich wpływów i przemian. Temu wstrętowi przyjmowania natchnień z zewnątrz zawdzięczają Mazurowie nazwanie „ślepych“.

Nowego światła poniekąd widzieć nie chcieli. Dziejopis Górnicki nie bez głębokiej przyczyny nazwał ich mądrymi.

Najdawniejsza ustawa, dotycząca włościan zapadła w roku 1377, a ostatnia roku 1540. Są pomniki z r. 1297, rzucające światło niespodziewane na położenie kmieci. Ustawa pisana zachowała z małemi może zmianami starożytne polskie urządzenia.

Prawo, zdaje się, nie przypuszczało żadnej pomiędzy mieszkańcami stanowczej różnicy z wyjątkiem swobód politycznych, niepewnych znaków wyższości, ciemnych zarysów stanów. Była dla wszystkich równość przed prawem i jeden sąd, jedne obo-

wiązki. Możnaby wnioskować, że nawet żydom nie odmówiono równości.

Ustawa z r. 1426 zakazała więzić kogokolwiek przekonanego o mniejsze, lub cięższe winy. Kogokolwiek! Miano więc słuszny wzgląd na włościan, którzy skazani wyrokiem, nie mieli płacić wyższej kary nad 40 groszy.

Bolesław, książe ziem mazowieckich zniósł pewne kary pieniężne, które odtąd i na włościan wkładane być nie miały, zniół zdzierstwa, popełnione przez poborców przy składaniu czynszów należących się księciu. Oswobodzenie, opiekę główne włościan miał na uwadze. Opłaty, znane pod nazwą „pytne“ i „jednane“ zniknęły roku 1421 i 1482, a zniknęły również i dla kmieci, nawet po wydanym pozwie, jeżeli się strony pojednały, sąd żadnych opłat nie mógł wymagać. Pomiędzy szlachcicem a mieszczaninem żadnej nie czyniono różnicy, nawet w r. 1482. Kmieć i ten, którego najniewłaściwiej nazywano „panem“, zawierali umowy jako osoby niepodległe, niezależne.

Ogólnie, wszelki stosunek, jaki zachodził pomiędzy panem a włościaninem, wynikał z prawa umowy, albo z tego, co uprawniał obyczaj ziemi, który zobowiązywał jako prawo pisane.

Poczęto się jużci wyłamywać z tej równości, która obrażała rodziny zamożniejsze. Szlachta uboga — „chodaczkowa“ stała często niżej kmieci, utracała szlachectwo, nie posiadała żadnej własności, znosząc przykre nazwania „obłomków“ — „hołoty“ — „golizny“.

Ustawa z r. 1482 nakazywała każdemu pozwanemu stawienie się przed sądem. Szlachta nie chciała być pozywaną przez kmieci, jednak równość przed prawem jeszcze przeważała. Kmieć np. u pana dług zaciągnął, jeżeli na czas nie oddał, jeśli prawnie i sądownie przekonany nie zapłacił, albo nie dał rękojmi zaspokojenia wierzyciela, mógł być uwięzionym i wydanym powodowi.

Takie „zawieszenie“ osobistej wolności czekało każdego, a nawet i szlachcica. Z tej wierzycielowi przyznanej władzy powstały nadużycia — w końcu zupełnie utrata osobistej wolności.

Jeśli zadłużony włościanin umknął, miał być wszędzie chwytany i na grunt zwracany: dopókiby zobowiązań nie dopełnił. Ten to niewinny początek sprowadził w następstwie przytwierdzenie włościan do gleby, własność.

Ustawa z.r. 1472 chciała, iżby kmieć nad 4 kopy nie zaciągał pożyczki. Wierzyciel dający więcej, utracał wszystko.

Za dawniejszych czasów, w pierwszych wiekach istnienia Polski, wzajemność, odpowiedzialność prawna jednoczyła wszystkich mieszkańców włości. Ustawa wiślicka zachowała wspomnienie tej wspólności.

Na Mazowszu (w r. 1408) jeżeli kmieć podatku książęcego na św. Marcina nie uiścił, musiała za niego odpowiadać włość — gmina. Pan, wójt, albo i sama włość grabili mienie kmiecia, a jeśli go nie posiadał, przytrzymywali go i przedstawiali poborcy.

Wypada oddać sprawiedliwość szlachcie, która — rozszerzając swobody, nie zapominała i o kmieciach, odejmując im stopniowo przykrzejsze ciężary.

Cały podatek stały, obowiązujący kmiecia wynosił 2 grosze za łan oprócz podatków, jakie sejm wszystkim mieszkańcom, a więc szlachcie i kmieciom nakazał.

W stuleciu 15-tem wyłączeń stanowić nie śmiano; przeważała jeszcze równość, chociaż nadpsuta. Szlachcic — pan, nad kmieciem nie miał żadnej władzy, nie wykonywał żadnej zwierzchności. Jeden nad drugim nie panował. Ograniczenie — zaprzeczenie swobody włościanom było wznowieniem, nierównie późniejszem.

Prawo najtroskliwiej broniło osobistej wolności kmieci, dawało może daleko posunięte rękojmie. Jeżeli kmieć nie dopełnił zobowiązań, jeśli popełnił czyn zbrodniczy i umknął za granice Księstwa, nie miał być poszukiwany, chwytany i na grunt, który opuścił, zwracany.

Mógł on przecie, gdy chciał, powrócić, ale naówczas musiał dopełnić swych zobowiązań, wynikających z umowy, albo z prawa ziemi. Jeśli kmieć tych zobowiązań dopełnił, wychodził, gdzie chciał, wynosił swoje mienie. Pod żadnym względem nie ulegał panu osobiście, majątkowo był bezwarunkowo niepodległy, nie potrzebował żadnej rękojmi.

Prawo powstrzymywało nadużycia urzędów, orzekając: „jeśliby jakikolwiek urzędnik mieszkańca jakiegokolwiek stanu, a zatem i włościanina pod pozorem przestępstwa uwięził, taki urzędnik winien zapisać swoje posiadłości jako rękojmię; dopóki sąd sprawy nie rozpoznał. Jeśli nie dowiódł winy, wynagradzał.

Słuszna to opiekuńcza zasada, której nie zna prawodawstwo europejskie 19-go stulecia! W ustawach są niezbite dowody, że na początku 15-go wieku u tych mądrych Mazurów, pan, szlachcic — a dawniej zapewne naczelnik gminy, nie miał żadnej nad kmieciem władzy.

Skoro kmieć był wołany przed sąd ziemski, byłoby niedorzeczne przypuszczenie, żeby nie miał prawa pozywania drugich — pana włości. Mazowsze nie stanowiło wyjątku; i wolno wnioskować, że swobody kmieci mazowieckich posiadali kmiecie całej Polski, przynajmniej we wcześniejszych wiekach.

Z postępem czasu włościanie utracali społeczne znaczenie, a szlachta zaczynała budować opłakane przywłaszczenie, stanowiła prawa samowolnie bez kmieci i przeciw nim. Obieralny naczelnik, urzędnik pierwotnej słowiańskiej gminy, został jej naczelnikiem niejako samowładnym — nieodpowiedzialnym.

Nastąpiło wahanie się ustaw, ziemskich zwyczajów — przyjaznych prawnej niepodległości włościan, z uznanemi, wybranemi. Taki stan wątpliwy okazuje nam ustawa z r. 1540.

Czasami pozywał sam kmieć; a pan, nazwany obrońcą (wyręczycielem — pośrednikiem)*) nie rozwijał wpływu i działania. Czasami kmiecie pana i obrońcę sami pozywali: o rany, o mord, o gajowe. Czasami sam pan jako obrońca, jako wyobraziciel kmiecia pozywał, szczególniej jeżeli skarga dotyczyła czci, a obżałowanym był szlachcic. Po r. 1540 samemu kmieciowi o pewne przedmioty szlachcica pozywać wzbraniano. Pozywał pan jako obrońca, wyobraziciel.

Co do kary: za tenże sam czyn w r. 1540 wprowadzono odróżnianie, chociaż kmiecia zupełnie poniżyć nie śmiano. Niewolę — nieznacznie, poniekąd zdradziecko wprowadzono.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PALEC BOŻY.

OPOWIADANIE Z WOJEN NAPOLEOŃSKICH.

Było to, ile sobie przypominam, na kilka marszów przed bitwą pod Sommo-Sierra. Korpus marszałka Victor, do którego należeliśmy, a gdzie i cesarz się znajdował, ciągnął z Burgos ku Madrytowi. Nieprzyjaciel spędzony ze wszystkich ważniejszych stanowisk, nigdzie nam prawie nie ukazywał pola; małe tylko gromady złożone po większej części z kontrabandzistów wieszały się nad wojskiem w trudniejszych przeprawach, niepokoiły oddziały wysłane za furażowaniem, lub napadały na maroderów.

---

*) Po łacinie: defensor, intercessor.

Owóż tak, nie doznając wielkiej od nieprzyjaciela przeszkody, zajęliśmy miasto Lermę; część armii rozłożyła się pod murami — bo w Hiszpanii, trzeba wiedzieć, nie gnieżdżą się ludzie tak jak u nas, gdzie się komu podoba; ale otaczają się murem, zamykają bramami, jakby ustawicznie obawiali się złodziei. Naszemu pułkowi przypadło stać w mieście, na placu pięknie wysadzonym drzewami, który to plac zowią po tamtejszemu: Alamada, czyli miejsce przechadzki.

Rozmunsztukowawszy konie, napoiwszy i nakarmiwszy, jaki taki poszedł oglądać się po mieście. Zdziwiła nas nieco posępna ponurość ulic: okienice pozamykane, drzwi do domów zabite, jakby już sto lat się nie otwierały; żywego ducha z porządniejszych mieszkańców nie widać, tylko hołota z kawałkiem płachty na plecach, którą się obrzuca jak najparadniejszym płaszczem, a z pod dziurawego kapelusza ciska wzrok jaszczurczy.

Wszakże niedługo przekonaliśmy się, że to była tylko udana cisza, pod którą knuła się szkaradna zdrada. Piechota bowiem zająwszy przed nami inną część miasta, rozbiegła się tu i owdzie, a zwyczajem piechurskim wścibiając nos w każdy zakątek, a najbardziej w piwnice, gdzie mogły być składy wina, poczęstowaną została przez zaczajonych Hiszpanów sztyletami, a nawet, jak mówiono, że z poza muru i kilka strzałów wypadło; stąd ogromny zrobił się skweres, i my, kiedyśmy w kupie poszli zwiedzać miasteczko, trafiliśmy na sam najgorszy upał, gdyż żołnierstwo rozjuszone mszcząc się śmierci towarzyszy, rzucało się na domy: wybijając drzwi i okna, rabując sklepy i nie przepuszczając żadnemu Hiszpanowi, jeśli się gdzie na oczy nawinął.

Postrzegłszy nadbiegających kilku starszych oficerów, rozumieliśmy, że porządek przywrócą, bo szli z dobytemi szpadami: ale się pokazało, że i oni pałali zemstą i zamiast wstrzymywać, jeszcze pobudzali żołnierza; jeden nawet, com na własne uszy słyszał, wrzeszczał na całe gardło: że sam cesarz pozwolił rabować przez całą godzinę na ukaranie buntowniczych mieszkańców.

Na takie słowa cała zgraja huknęła: Niech żyje cesarz! Śmierć Hiszpanom! i jeszcze wścieklej rzuciła się burząc wszystko, co tylko stawiło opór. Żołnierze nasi usłyszawszy o takim rozkazie dziennym, zawyli jak stado wilków; pierwsza to bowiem trafiła się im gratka! dotąd o takiem szczęściu żołnierskiem słyszeli tylko z podań, schwycić zaś kurę lub gęś na maruderce, było to bardzo pospolite szczęście, niemogące iść w porównanie z urzędowym rabunkiem. Jaki taki, co jeszcze w domu zachwycił słuchem o wielkich bogactwach w Hiszpanii, marzył, że jeśli

go kula nie sprzątnie gdzie za Piryneami, wróci z jedną i drugą bryłą srebra i złota; byli bowiem tacy, co żegnając się z kochankami, solennie im obiecywali upominek nie mniejszej wartości. Możecie więc sobie wyobrazić, jak ślinka szła naszym Mazurom, gdy tu i owdzie postrzegli Francuza wynoszącego jaki strzęp bogate ze złupionego sklepu; ledwiem miał czas obejrzeć się, już żadnego nie było koło mnie.

Zostawszy sam jeden, wolnym krokiem przebiegałem ulicę przedstawiającą widok wielkiego spustoszenia, zrazu pocieszałem się tą żołnierska myślą, że w wojnie inaczej być nie może, że każda zaczepka odpłaca się odwetem, że sztyletowanie pokątne hańbi naród, choćby najbardziej pobudzony do zemsty; — ale kiedym poszedł dalej i ujrzał wśród stosu połamanych sprzętów, porozrzucanej pościeli, leżącego na wznak trupa mężczyzny z rozpłataną głową, a na nim kobietę zamordowaną z małym chłopczykiem — mimowolnie stanąłem, zimny dreszcz mię przeszył całego... skrzyżowawszy ręce na piersiach, jakbym się bał, by je nie rozsadziła myśl rozpaczna, cofnąłem się pamięcią w dawne lata — w strony ojczyste; kiedym takie same drobne chłopię, siedział pod strychem naszego dworku na Pradze [1]), a matka moja niespokojna o ojca, który bił się na szańcach, wybiegła dowiedzieć się, czy żyje? Kilka godzin mijało, a nie było jej widać — tymczasem na ulicach rozlegały się strzały, dzikie wrzaski, szczęk broni... Pamiętając na zakaz, bym się z miejsca nie ruszał, nie śmiałem nawet wyjrzeć dymnikiem — aż w końcu, kiedym się znudził długiem czekaniem, kiedy mi głód dokuczył, domyślałem się, że matka, pewnie na dole zajęta gospodarstwem, zapomniała o mnie; spuszczam się więc po schodkach: ani żywej duszy; sprzęty powynoszone i pogruchotane, powybijane szyby: Matko! wołam — Matko!... nikt się nie odzywa. Wybiegam na ganek: na niebie świeciła krwawa łuna, myślałem, że to dzień wschodzący i chciałem biedz dalej, gdy wtem... ach, jeszcze mrowie mię przechodzi, choć to lat tyle minęło, gdy wtem spostrzegam na schodkach dwa ciała leżące, zaglądam: to był mój ojciec, tak samo jak trup Hiszpana z przerąbaną czaszką; to była matka moja, jak owa Hiszpanka, przeszyta bagnetem w plecy, chciała zapewne zasłonić męża...

Tutaj opowiadający uciął na chwilę i otarł rękawem dwie duże łzy, które jak groch spłynęły po twarzy i zatrzymały się na dużych wąsach.

---

[1]) Przedmieście Warszawy. Mowa tu o rzezi dokonanej na mieszkańcach Pragi przez moskiewskiego generała Suworowa w r. 1794.

— Przeszłość moja — mówił dalej — odbiła się jak w źwierciadle w tym widoku trzech trupów... gorzko westchnąłem nad ich nieszczęściem i pomyślałem, czyniąc zwrot ku sobie: że dusze rodziców zamordowanych na Pradze, cieszą się może w raju, gdzie ich zaprowadziła śmierć męczeńska, widokiem syna, którego Opatrzność ochrania na tym padole, aby się modlił za nich... Kiedy tu, biedne dziecię! padło pod tem samem pchnięciem co matka!

Zemsta u Hiszpana przekazuje się jak najdroższa spuścizna; a tu, nawet i mściciel nie został. Przez podobieństwo nieszczęścia serce żołnierskie wzruszyło się we mnie, choć to nie była chwila szlachetnych wzruszeń: przypomniałem sobie, że w dniu zaciągnięcia się w szeregi, poszedłem był do kościoła pomodlić się i prosić Boga, aby mi w tym nowym zawodzie dopomógł, ślubując w duchu nigdy bezbronnego nie skrzywdzić, ale owszem zastawić go własną osobą, gdyby był napastowanym. Teraz, choć w nieprzyjacielskim narodzie, zdarzała mi się sposobność wywiązać się z ślubu; dobyłem szabli, postanawiając z narażeniem życia bronić od gwałtów. Ktoś mógłby ten krok nazwać dziwactwem, ale młode serce nie rozumuje; uczucie jest u niego przekonaniem. Biegłem więc w stronę, gdzie się rozlegały największe krzyki: przypadam... a tu około beczki wina bije się kilkunastu grenadyerów. Trunek niechaj się leje, pomyślałem, byle nie krew; dalej rozrywano postawy sukna i sztuki jedwabnych materyi; mniejsza o to! i choć mię wołają do spółki, zatykam uszy i lecę dalej... W tem z narożnego domu dolatuje mię jęk przeraźliwy, jakby miał być ostatni... jęk kobiecy... wpadam — długi, ciemny korytarz prowadzi mię do izby, kędy zastaję dwóch opitych rabusiów wydzierających sobie śliczną, może trzynastoletnią dziewczynę... Hiszpanka kawałkiem sztyletu broni się, czepia stołów, łóżek, zębami jak hyena kąsa ich w ręce... ale już biedna coraz omdlewa... Gdym stanął na progu, myślała, że nowy napastnik i padła na kolana wznosząc oczy do nieba... i niebo ją wysłuchało. Dwa ogniste płazy jak grom, sypnąłem na plecy rabusiów; zgłupieli... a tymczasem pochwyciłem maleńką na ramię, wyskoczyłem na ulicę i pytałem: gdzie cię schować, abyś była bezpieczną? «Alla iglesia»; i wskazała rączką na klasztór, który czernił o paręset kroków. Puściłem się więc jak szalony do Pańskiego przybytku, pewny, że tam znajdzie schronienie; zdawało mi się, że najzaciętsza wojna powinna te miejsca szanowac. Ale jakże zawiedliśmy się oboje! drzwi przedsionku były już wysadzone, — na korytarzach leżało dwóch mnichów, broczących się we krwi, a z głębi kościoła dochodził nas

łoskot i wrzaski. Gdzie cię schronić? pytałem. «Tu zostanę» i zsunęła się z moich ramion. Kościół pełen żołnierzy? «Znam miejsca, gdzie ich niema» i wskazała na ziemię. Zrobiłem co mogłem, niechaj Pan Bóg cię strzeże! «A ciebie Madonna del Carmen!...» to rzekłszy zdjęła ze szyi obraz Najświętszej Panny, malowany na złotej blaszce. «Noś go mój wybawco i wspomnij na Mariettę».

Pamiątkę przyjąłem z wdzięcznością, ona tymczasem znikła gdzieś za filarem. Patrzcie — tu major otworzył koszulę na piersiach i pokazał duży medalion — nosiłem go przez wszystkie kampanie i mogę powiedzieć, że mię chronił od wielu niebezpieczeństw; bo kiedy koło mnie jak muchy padali ludzie, mnie i włosek nie spadł... Czy podobna, mówiłem do siebie, aby miejsce święte, jak kościół, jeszcze katolicki, zostało zgwałcone! Pewnie to panowie Francuzi, którzy niedawno wyparli się byli Boga, bezczeszczą przybytek Pański, źle pójdzie nasza sprawa, żeśmy się z tymi djabłami związali...

Tak rozmyślając, wbiegam przez zakrystyę... Jakiż mnie widok uderza?!... Kilkudziesięciu żołnierzy, a wszyscy prawie z naszego pułku na piękne rabują: jedni wiszą na gzymsach ołtarzy i ściągają Apostołów; owi ze Świętych zdzierają sukienki; odpruwają galony z firanek; szablami krają ornaty, któryś świętokradzką ręką otworzył cyboryum i rękojeścią pałasza zbija w bryłę złoty kielich, wysypawszy na ziemię komunikanty; inny to samo robi z monstrancyą!... Osłupiałem, zdawało mi się, że sklepienie kościoła runie na bezbożnych... Chciałem krzyczeć, język mi przyrósł do podniebienia... Nie wiem jakie wrażenie zrobiła na nich postać moja skamieniała i ręka z wzniesionym pałaszem, i bladość śmiertelna twarzy, czułem bowiem, że wszystka krew ubiegła mi do serca...

Nie wiem, lecz to dobrze pamiętam, że, jakby w nich piorun uderzył, jakby ozwało się piekło sumienia, pospuszczali oczy i żaden nie kończył, co zaczął. Była to chwila krótka, ale nie do opisania. Rozmyślając nad tem nieraz, przekonałem się, ile może dokazać niema potęga ducha; o, wtenczas byłem duchem wyższy nad wszystkich: w milczeniu mojem, w postawie uroczystej, groźnej, czytali wyrok swej zbrodni; nie jeden może przypomniał sobie kościółek swojej parafii, gdzie się dzieckiem modlił, gdzie pierwszą przyjął Komunię, gdzie rodziców pogrzebał.... Chciałem już ogromnym głosem zawołać: Precz stąd! ręce wam pousychają, nogi przyrosną do tych ołtarzy; żaden z was ziemi swojej nie ujrzy... ale, nimem usta otworzył, jeden z tych, co zalazłszy na chór, kamieńmi odbijali klejnoty i perły z bogatej

sukienki Najświętszej Panny, obaczywszy mię, zawołał: «Panie wachmistrzu! a chodźże pomóż nam, rady sobie dać nie możemy, patrz, jakie perły duże, by orzechy!» To jego piekielne ozwanie się zniszczyło cały urok wrażenia; ze wszystkich bowiem stron zaczęli na mnie wołać: «Spóźniłeś się, ale nic to, podzielę się z tobą: na ci kawałek srebrnego lichtarza; pół ornata dla ciebie wachmistrzu; przełamię się z tobą kawałkiem patyny, wyborne złoto, miękkie jak papier...» Zatknąłem oba uszy, a potrząsając w górę pałaszem, wołałem na rany Boga ukrzyżowanego, toć ogień niebieski was spali, pierwsza kula nie minie, i toż wy dzieci Bożego kościoła?... Bodajeście nigdy nie byli się rodzili na hańbę naszego narodu!... Już nie pamiętam, co tam dalej mówiłem, wiem tylko, żem krzyczał na całe gardło, żem klękał, wyciągał do nich ręce i zaklinał na wszystkie świętości... Gdy tak przemawiam, porucznik, wolę zamilczeć jego nazwisko, szalona pałka, zeskoczył z ołtarza, a przypadając mi do twarzy z dwoma pięściami: «Co ty tu sobie rozumiesz, młokosie», wrzeszczał pieniąc się od złości, «morały schowaj dla siebie i dla tobie równych, a nas nie ucz, cośmy więcej prochu wąchali...»

Natarczywość jego odbiłem zimną pogardą i rzekłem z przekąsem: Piękny mi przykład... «Do kroćset batalionów, wachmistrzu, trzymaj język; czy wiesz, co subordynacya?...» Przed frontem, ale nie na rabunku, odpowiedziałem. Porucznik się zmięszał, poczerwieniał, zagryzł wargi i odstąpiwszy dobył szabli, chciał mię ciąć przez głowę, alem sparował. «Aresztuję waćpana! odebrać mu pałasz!» krzyczał obracając się do żołnierzy. Wspólnicy rabunku już się podsuwali i kto wie czyby nie byli utłukli, a winę na Hiszpanów zwalili, gdyby szczęściem odgłos bębna nie rozległ się po murach i adjutant marszałka Bessiers, nie wpadł z rozkazem, aby pod karą śmierci przestano rabunku. To mię uratowało; żołnierstwo co tchu uciekało z kościoła, ciesząc się z tem, co który urwał, porucznik zaś krzywem okiem mię zmierzył i pogroził: «Zjesz djabła, jak ci to puszczę płazem!... alem drwił z tych pogróżek, bo sumienie nic mi nie wyrzucało; a choćby i stołka mógł przystawić, to dla takiej sprawy cierpieć większa zasługa.

Wyszedłszy z klasztoru za innymi, postrzegłem ulice ożywione mnóstwem różnego żołnierstwa, którzy podobni do żeńców na obrzynku, używali teraz owoców pracy; zbiegowisko to miało minę niby karnawału, niby święta narodowego, niby bandy rozbójników bankietującej w lesie... Tutaj Holender wyskawiwał z kręgiem sera i z dzbanem wina, nawieszawszy na biały mundur kręconego tytuniu; owdzie Francuz dobrze ścięty objuczył

plecy sukniami kobiecemi i lezie mi w oczy, abym co kupił dla mojej belli; Badeńczyk zgiął się pod ciężarem kiełbas i szynek; w rynsztoku tarza się pijana markietanka; znowu ulicą ciągnie zgraja, rycząc przypomnioną sobie pieśń, poprzedzana zataczającym się grajkiem, który brzdąkał na skradzionej gitarze.

Tyle scen to śmiesznych, to wzbudzających przykre uczucie, przewijało się przed mojemi oczyma, że prawie odurzony wróciłem do naszego stanowiska, gdzie zastałem większą część żołnierzy, którzy obłowiwszy się teraz puszczali w handel różne kosztowności, sprzedając najczęściej za manierkę gorzałki, rzecz wartającą kilkanaście dukatów, albo też na rozpostartym płaszczu zgrywali się w karty do jakiegoś spekulanta, co bank założył. Czy tym, czy owym sposobem na to, który został przy zdobyczy, wszystko jak było marnie nabyte, tak zbyte; tylko na dobitek wielu pościągało na siebie karę Boską w następnej bitwie w sposób bardzo widoczny i przekonywujący, — tylko nie dla wszystkich, gdyż wielu, którym zwracałem na to uwagę, nie chcieli wierzyć, składając na zwyczajną kolej bitew i stosując przysłowie: że gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą....

Dalszy nasz pochód odbywał się jak zwykle śród drobnych utarczek z bandami powstańców; żadna większa siła nie ukazywała pola; wiedzieliśmy bowiem, że niedobitki hiszpańskie zbierały się w górach, chcąc nam zamknąć przejście do Madrytu. Na dwa dni przed zdobyciem Sommo-Sierry, przednia nasza straż dościgła piechotę hiszpańską w wąwozie Buwierka; rozprawa była krótka, a zwycięstwo przy nas.... Odtąd szliśmy już wciąż górami — aż dnia 29-go listopada cały korpus marszałka Victor zebrał się u stóp skał, które przed nami wznosiły się stromo, przepaścisto, niby mur jakiej olbrzymiej twierdzy. Zajęliśmy stanowisko przy jakiejś wioseczce na pół zrujnowanej: nie kazano nam ruszać się od koni, ale pozwolono rozpalić ogniska; tem bardziej, że zimno wilgotne na wskroś przejmowało, a i posiłek potrzebny był wojsku — przeto każdy sobie warzył, co miał w zapasie; — ja zaś, pamiętam, raczyłem się z kolegami wyborną czekoladą, w którą się jeszcze w Lermie zaopatrzyłem. — Obóz hiszpański, będący naprzeciw, gdy się ściemniało, przepiękny widok nam sprawiał tysiącem ognisk, które jak lampy migały zawieszone na ciemnem tle tych skał nagich, pomiędzy któremi wił się wąski gościniec madrycki — jutrzejsza nasza droga do sławy lub śmierci.... Zapomniałem jeszcze napomknąć, że dnia tego z kolei szwadron nasz był na straży przy cesarzu, która to okoliczność tem bardziej utwierdzała nas w mniemaniu, że jutro może i nie dobędziemy pałasza.

Bardzo więc długo i wesoło gawędziliśmy w obozie, prawiąc różne historyjki, przypominając sobie to dawniejsze lata, to różne znajomości i stosunki familijne; jaki taki westchnął za domem, za rodzicami, za braćmi, a każdy pytał: kiedy też da nam Bóg wrócić na nasze zrazy i kaszę?... W końcu ożywiona ta biesiadka zeszła na smętne tylko przypomnienia; jakaś tęsknota, wróżka złego przeznaczenia osiadła czoła wiarusów; pospuszczali wąsy — ja zaś, sam nie wiedząc, dlaczego byłem ochotszy niż kiedy; żarty mi się nie przebierały tak dalece, że niektórych ten dobry humor obrażał, i jeden, jakby na przestrogę mruknął z pod nosa:

— Ej wachmistrzu, za nadtoś dziś szalony, żebyś jutro nie beczał!

Zmilczałem, alem w duchu rzekł sobie: chyba nad wami! I prawda, płakałem ich przy jutrzejszem ognisku, gdyśmy się i połowy towarzyszy dorachować nie mogli.... W kampanii, jak to sami zapewne doświadczyliście, snopek słomy i suchy kawałek ziemi, jest rozkoszą, która wszystkie inne przewyższa, — wyspać się dobrze to prawdziwe szczęście. Owoż tej nocy, tak się zdarzyło, żeśmy obozowali blisko jakiejś posady, czyli karczemki, ale tak zniszczonej, że nawet dach nie został; — tam, rozlokował się na noc nasz rotmistrz Kozietulski z kilkoma oficerami i mnie się też dostał, jako wachmistrzowi szwadronowemu, kątek suchy i miękki snopek.... Możecie sobie wyobrazić, żem zasnął twardo i smaczno; zrazu żadne marzenie nie kłóciło spoczynku i wszelkie czucie było mi odjęte z zapomnieniem trosk i niepokojeń tego życia, których wszakże najmniej doświadcza żołnierz na linii bojowej.... dopiero, jak wnoszę, nadedniem, ujrzałem się w domu mego stryja, przy którym mieszkałem po stracie rodziców.

Był prześliczny ranek majowy.... biegałem po ogrodzie między grządkami kwiatów, takich woniących, takich barwistych, jakichem nigdy w życiu nie widział... Oko moje zachwyciła szczególniej jedna lilia piękniejsza nad wszystkie wielkością korony, srebrnym połyskiem liścia. — Stanąłem nad nią i wpatrywałem się jak oczarowany, jak kochanek w oczy kochanki, przez które czyta w jej duszy miłość i nadzieję.... Mnie się zdawało, że lilia ma duszę, że w niej czytam głęboką jakąś tajemnicę.... potem, jakbym dostał zawrotu, jakby dziwna ogarnęła mię trwoga, ukląkłem. — Aż oto z kielicha wypływa śliczna postać niewiasty: jasne jej czoło otacza wieniec z promyków, biała szata nadzwyczajnej miękkości spływa do stópek, któremi zaledwo dotykała liści liliowych.... Na to zjawisko zacząłem mó-

wić: Błogosławionaś między niewiastami!... i złożyłem ręce do modlitwy.... Wtem postać przemówi cichym a dźwięcznym głosem: Wachmistrzu, czytaj apel!... usłuchałem komendy, sięgnąłem za nadrze i wyjąłem listę.... — Czytaj! powtórzyła. Czytałem więc od początku do końca, a ona przy niektórych nazwiskach pokazuje palcem i mówi: połóż krzyżyk ołówkiem.... Gdym skończył i podniósł oczy, już znikło widzenie.

W tej chwili głos trąbki zadzwonił mi w uszy; zerwę się na równe nogi — spojrzę — jeszcze szaro na dworze — mgła gęsta w powietrzu, ale od strony wschodu świt zaczynał rumienić niebo.... Aż tu i rotmistrz przypada: Wachmistrzu! każ stawać do apelu; cesarz za moment będzie przejeżdżał; piechota już się uciera, czy słyszysz strzały? — W rzeczy samej głuchy odgłos ognia karabinowego rozlegał się po górach. — Ależ to dziwny sen miałem panie rotmistrzu! — mówię zajęty mojem marzeniem. — Potem o tem; a teraz spiesz się.... odrzekł, wołając niecierpliwie na ordynansa, by mu konia podawał.... Nie długo stałem przed uformowanym szwadronem, i czytałem apel, pamięć dochowała mi wiernie nazwiska, oznaczone krzyżykiem we śnie; dlatego przy czytaniu porobiłem też same znaczki — najwięcej mnie uderzyło, iż wszyscy, których widziałem na rabunku w Lermie, dostali krzyżyk...

Gdym skończył — po szeregach przeleciał głuchy szmer: Cesarz! cesarz!... i kilkudziesięciu jeźdźców przegalopowało przed nami. Poznałem go zaraz po szarej kapocie, po trójgraniastym kapeluszu i po tem oku, co wlepione w tę masę skał, już naprzód wytknęło drogę zwycięstwu. — Kozietulski zakomenderował: Czwórkami! kłusem! i szwadron kopnął się za Napoleonem.

Po drodze napotykaliśmy różne pułki, to piesze, to konne, to artyleryę, zajmujące stanowiska. Patrząc na niezdobyte prawie stanowisko Hiszpanów, którzy na wązkim gościńcu wykutym w skałach, ustawili byli działa i ciągły sypali ogień — wróżyliśmy krwawą rozprawę, ale nam nigdy i przez myśl nie przeszło, aby kawalerya miała zdobywać ów wąwóz. Jednak cesarz tak w swojej głowie uradził i dokazał swego — inny pospolity generał byłby odszedł z kwitkiem.

Widzieliśmy, jak piesze pułki coraz więcej wysyłały tyralierów, ale nic wskórać nie mogli, bo Hiszpanie palili jak z za muru, a wdzierających się spychali na dół bagnetami.... Mgła powoli rozedniała w dolinie, a szczyty gór jaśniały już dziennym blaskiem. Cesarz stanął na jednym pagórku i przez lunetę patrzał, — myśmy się również zatrzymali, przeto mógłem go śledzić w każdym ruchu: — po wężykowatym kierunku jaki na-

dawał lunecie, poznałem, że duch jego biegł tym krętym gościńcem, najeżonym działami; w drgnięciu niespokojnem ręki, wyczytałem jakąś tajemną obawę, która musiała w końcu nastąpić z myśli, bo uderzeniem dłoni, gdy zesunął członki lunety, taki wzrok rzucił ku górom, jakby chciał wyrzec: głupcyście! Niema ta scena tyle mnie zajęła, żem nawet nieuważał, jak kule gradem obsypywały nas, dopiero, gdy Dziowanowski zginął, poznałem, na co to się zanosi i mówię do rotmistrza stojącego obok mnie: Zaczynają dogrzewać.... — Nie tak tu jeszcze będzie — odrzekł kiwając głową — dajno wódki wachmistrzu, coś chłodno.... do ciebie!... Ledwie mi oddał manierkę, gdy adjutant cesarski przypadł z rozkazem, ażeby nasza konnica poszła do ataku na górę. — Wiara! pokażmy co umiemy! — krzyknął Kozietulski. — Naprzód, marsz, marsz!...

Odtąd już nie jestem w stanie opowiedzieć, co się tam działo koło mnie, nademną, podemną. Wiem, żeśmy się darli jak na piec.... Kartacze jak stada szpaków spadały na nas, granaty pękały nad nogami — cała góra, by wulkan w ogniu, zasypywała nas lawą pocisków.... nie wiedziałem już, kto tam padał, kto nam zastępował — nie wiedziałem, czym był na koniu, czy pieszo, bo pęd masy mnie unosił ciągle naprzód, ciągle pod górę, przez działa, przez trupy zrąbanych kanonierów.... Tylko to pamiętam, że mi ustawnie w oczy zaglądały paszcze dwóch dział — jak mora, która cię dusi, którą odepchniesz na chwilę, a ona znowu powraca.... Było tego, już nie wiem wiele razy, zapewne tyle ile par dział musieliśmy zdobywać na każdym zakręcie — później liczyliśmy, było ich szesnaście. Ośm więc razy biedny nas szwadron wytrzymywał tę piekielną łaźnię.... Jużeśmy docierali prawie do końca.... obejrzę się.... ledwie kilkunastu gwardyaków kręci się przy mnie, ale za to długi pomost koni i trupów ciągnie się aż do podnóża góry.— Szukam oczyma dowódzcy.... a oto on opodal za nami leży pod koniem i woła wyciągając rękę: Bracia ratujcie honor Polski! Naprzód! Naprzód!...

Nie było już komu iść naprzód.... Hiszpanie na naszą garstkę sypnęli z wierzchołków skał nieustający ogień.... Jedna kula trafiła mię w słońce na kaszkiecie, inne płaszcz podziurawiły, a trzy ugodziły w piersi — czy uwierzycie? wszystkie odbiły się o medalion z Najświętszą Panną.... pokażę wam znaki. — Widząc co się dzieje, jaki taki choć żal mu było ginąć daleko od ojczyzny, jednakże postanowił drogo sprzedać życie Hiszpanom, tem bardziej, że niestworzone rzeczy wyrabiali z jeńcami. Czekaliśmy tedy na nich z rezygnacyą i podniesionemi szablami....

Opatrzność zrządziła inaczej: nie wyszło i trzy Zdrowaś Marya, kiedy wąwozem rozległ się okrzyk: Hurra! Serce nam zabiło nadzieją.... i oto Krasiński z Dotankurem sadzą na czele pozostałych trzech szwadronów gwardyi.... Odtąd już się przeważyło zwycięstwo zupełnie na naszą stronę: opanowaliśmy szczyty gór — nieprzyjaciel wszędzie tył podawał, rzucał chorągwie, działa, bagaże, a myśmy wsiadłszy mu na karki, jechali na nim aż do Buitrago.... Zwycięstwo to okryło nas nieśmiertelną sławą. Napoleon z radości trzy razy zażył tabaki i zatarł ręce powtarzając: to djabły nie ludzie!... Z tem wszystkiem gdyby Hiszpanie byli choć jeden zasiek zrobili na gościńcu, i djabły nicby nie wskórali.... Nie darmo to bystre oczko Napoleona zaraz dostrzegło tę chybę, skoczył do głowy po rozum i posłał jazdę. Każdy inny byłby forsował piechotą.... Znajdźcież drugiego Napoleona!!...

Opowiadający zamyślił się, a raczej skończył.... Obecni mieli oczy weń wlepione, jakby czegoś jeszcze się spodziewali; aż jeden najmłodszy z nich, zniecierpliwiony milczeniem majora, zagadł: Pan dobrodziej nic nam nie mówisz o sprawdzeniu się przepowiedni; czyż wszyscy ci zginęli, co dostali krzyżyk?... Wszyscy, co do jednego! odparł major z westchnieniem. — Przed apelem pokazywałem listę kilku kolegom, naliczyliśmy pięćdziesiąt siedm krzyżyków; po apelu podałem w raporcie pięćdziesięciu siedmiu zabitych.

L. S.

I jak tu nie być antisemitą?

To pytanie natrętnie nasuwa się na myśl, jeżeli się bacznie rozglądniemy w stosunkach ekonomicznych czy wsi, czy miasta, czy weźmiemy na uwagę stosunki rolnicze, czy przemysłowe, czy handlowe i t. d.

Równouprawnienie otworzyło żydom wrota do wszystkiego, i wszędzie się oni wciśli; za złe im tego brać nie można — ale za złe im brać trzeba, że każde pole pracy na które wstąpili, zdeprawowali — niesumienną i na wyzysk obliczoną konkurencyą

Żyd, to nomada koczujący; spasa okolicę, w której się osiedlił, a gdy już jego stado nie znajdzie pożywienia, bez żalu opuszcza wyniszczone łany, przenosząc się gdzieindziej, by znowu w swój rozbójniczy sposób eksploatować.

Tem się też tłumaczy okoliczność, że żydzi nigdy się nie z asymilują z żadnym narodem wśród którego żyją. Nasi polscy żydzi klną się, że są Polakami, dopóki po za granicę kraju nie wyjrzą, ale ten sam żyd, co u nas był Polakiem, niech tylko pojedzie do Wiednia, a jest już Niemcem i w łamach *Nowej Pressy* ochydzi kraj, co go wychował i potem pracy autochtonów utuczył. Żydzi nie mają żadnej ojczyzny; wprawdzie w Krakowie nazywają się Polakami, w Wiedniu Niemcami, w Pradze Czechami, w Paryżu Francuzami i t. d., ale kto w ich patryotyzm wierzy, ten buduje na lodzie — oni zawsze i wszędzie pozostaną tem, czem są, żydami, czychającymi na zgubę i wyzysk gojów, dążącymi do zgromadzenia w swem ręku największego bogactwa i co za tem idzie do panowauia nad światem.

A w tej pogoni wszyscy biorą udział bez wyjątku, począwszy od handełesa i szynkarza wiejskiego a skończywszy na milionowych bankierach stolic — i pracują wytrwale, solidarnie, a wszystkiem kieruje potężna „Alliance izraelite“.

Lecz do rzeczy.

Rozglądnijmy się w stosunkach wiejskich i przypatrzmy się roli żyda w stosunku z chłopem i szlachcicem.

Kto nie zna naszych karczem i naszych szynkarzy, kto nie zna ich zgubnej i demoralizującej roboty?

Karczma we wsi, w której tradycyjnie siedzi żyd, to nie jest sobie zwykły wyszynk wódki i piwa. Karczma jest w naszej wsi wszystkiem, bo obok szynku, jest zarazem sklepem towarów wszelkiego rodzaju, trafiką, bankiem, a w wielu wypadkach miejscem posiedzeń Rady gminnej

W karczmie żyd chłopa nietylko rozpaja, demoralizuje, ale i niszczy materyalnie.

Mortko lub Szmul jest nadzwyczaj usłużny; że nie doważy lub nie domierzy, to za to usłuży kredytem, zborguje chętnie i dług zapisze podwójną kredką.

Zamiast pieniędzy przyjmie kurę, kilka jaj, cielę — a choć to policzy poniżej połowy wartości, to przecie on musi za zrobioną wygodę mieć jakiś zysk. W takiem wygodzeniu ludziom bierze udział cała rodzina. Mortko robi interesa z gospodarzami, Sura obchodzi chałupy i wyłudza od gospodyń co się da za darmo lub za pół darmo, a mały Jojne sprzedaje chłopakom papierosy, wódkę i za to bierze skradzione ze spichlerza zboże lub złapane na podwórku kurczę.

W razie potrzeby karczmarz gospodarzowi służy pożyczką na niewielki procent, ot 4 od sta albo 5 — ale na miesiąc — a oprócz tego trochę jaj, trochę masła i t. p.

Cóż dziwnego potem, że chłop, który tyle dobrodziejstw od Mortka doświadcza, traci gospodarstwo na rzecz swego dobrodzieja i sam potem idzie do niego na służbę, albo za resztę mienia emigruje do Ameryki.

Cóż dziwnego, że demoralizowany od maleńkiego przez Jojnę chłopak, wyrasta na nicponia i pijaka.

To zakres działania karczmarza i jego rodziny. Szczęśliwa wieś, co tylko jednę taką pijawkę posiada, ale syny Izraela tak się na pulchnej glebie galicyjskiej rozrodziły, że niema wsi, by w niej nie mieszkały 3, 4 i więcej rodzin żydowskich, które nie orzą, nie sieją, a przecie żyją, niszczą chłopów, wykupują ich gospodarstwa, a potem na nich dawny właściciel jako żydowski parobek pracuje.

Ustawa o lichwie zrobiła żyda nieco ostrożniejszym, ale go nie poprawiła, świadkiem procesy tu i owdzie *in flagranti* połapanych lichwiarzy, a śmiało twierdzić można, że każdy żyd operujący wśród chłopów to lichwiarz, tylko ma to szczęście, że jego działalność nie doczekała się komentarza przed kratkami sądowemi.

Skradzione kapitały żydowskie znalazły jednak inny sposób legalnego rozboju lichwiarskiego.

W każdej prawie mieścinie powstał żydowski banczek, Towarzystwo zaliczkowe (nie mówimy tu o powiatowych lub miejskich instytucyach tego rodzaju), które na zasadzie swoich statutów prowadzi lichwę na wielką skalę, pobierając od interesantów wysokie koszta administracyjne, procenta zwłoki i t. d.

Żyje również dobrze w pamięci błoga działalność Banku włościańskiego, który tysiące rodzin chłopskich wyzuł z mienia i pochłonął setki tysięcy lokowanych w nim kapitałów. A była to instytucya czysto żydowska!

Idźmy dalej!

Pośrednikiem handlu na wsi jest żyd. Chłop czy co chce kupić, czy sprzedać, zawsze się spotka z żydem.

Czy zboże, czy bydlę wywiezie na targ, nikt nie kupi tylko żyd; żyd jest regulatorem ceny na targach miasteczkowych, oferuje co chce, bo nie ma konkurenta, oczywiście ciągnie z tego jak naj większą korzyść, a chłop sprzedać musi, bo trzeba grosza to na podatek, to na odzienie, to na buty

Chce wieśniak co kupić, to znowu tylko u żyda; w małem miasteczku rzadko gdzie handel katolicki, a choć i jest, to stale bywa przez lud wiejski pomijany, tradycyjnie ciągnie chłop do żyda, bo z nim się i wykłocić i wytargować można, co w chrześcijańskim handlu nie uchodzi, a że żyd i na wadze lub miarze

oszuka, że weźmie wyższą cenę jak katolik, a da towar lichy, tego trudno wpoić naszemu chłopu.

I jak tu nie być antisemitą?

Jak nie dziwić się, że ten wyzyskiwany na każdym kroku chłop nie jest antisemitą, że dotąd spokojnie znosi wyzysk i arogancyę żydowską?

Spokój jego chyba jednak nie potrwa w nieskończoność, jeśli tak dalej pójdzie — świadkiem rozruchy ostatnie krwawe na frysztackim rynku, zakończone latami więzienia uczestników. Antysemityzm chłopa wywołany wyzyskiem żydowskim i żydowską arogancyą będzie straszny.

Spychano przyczynę rozruchów na jakichś nieznanych agitatorów, choć żadnego nie ujęto; tu nie było innych agitatorów oprócz samych żydów i jedno może słowo podchmielonego chłopa antysemity wywołało na ogromnym szmacie kraju rozruchy, które dopiero bagnetem i sądami doraźnymi trzeba było uspokajać.

Wypadki te powinny być przestrogą z jednej strony dla władz. by seryo wzięły się do ukrócenia lichwy żydowskiej, gdziekolwiek ona się objawia, a z drugiej dla samych żydów, by zbytnio przez nich naciągana struna nie pękła, bo przyszły wybuch nie skończy się pewnie na betach i szybach żydowskich.

Nie w lepszych stosunkach znajdnje się szlachcic — i jego lichwa żydowska otula w swe powijaki, i on choć inteligentniejszy, choć zasobniejszy padł ofiarą żydowskiego wyzysku i rok rocznie stale w coraz więcej dworach i dworkach rozsiada się żyd — nie dawno karczmarz lub pachciarz.

Odsyłamy czytelników do znakomitych nowelek Junoszy, który z gorzkim humorem kreśli z jednej strony lekkomyślność szlachty, ż drugiej wyrafinowane oszustwa żydowskie.

Sprzedaż zboża na pniu, terminowe dostawy to zwykły interes żydowskich spekulantów miasteczkowych, na którym szlachcic grubo traci a żyd grubo zyskuje. Ale najwięcej rolnictwo niszczy giełda zbożowa — a kto rej wodzi?

Żydowscy bankierzy. Oni ustanawiają ceny, jakie im się podoba, oni są panami rynku. Za podyktowaną cenę rolnik musi sprzedać swoje ziemiopłody, a że rok rocznie traci, to tych panów nic nie obchodzi, i wszem zbliża ich do celu, bo jeden bankrut chrześcijański więcej, to nowy żyd zajmujący jego miejsce we dworze i majątku.

Rolnik chrześcijanin pracuje, a żyd z tej pracy zysk do kieszeni chowa, czy to jako kupiec, czy jako pośrednik.

I jak tu nie być antysemitą?

Jak się nie dziwić, że ten wyzyskiwany szlachcic nie jest jawnym antysemitą, że nie szuka jeżeli już nie przez wzgląd na siebie, to na swoje potomstwo, na kraj, drogi ratunku, że trzyma dalej żyda pachciarza, karczmarza i bez faktora żyda się nie obejdzie.

Nie chcemy bliżej zajmować się kwestyą, jak wygląda majątek ziemski — gdzie żyd właścicielem, jak się tam mają chłopi, jaka tam moralność między ludem, bo to był bardzo przykry obraz, a niestety w skorowidzu dóbr tabularnych na każdej prawie kartce wyczytać można takie szlacheckie nazwiska jak: Rachmit Kanarek, Juda Rubel, Katzenellenbogen i t. d.

Największe spustoszenia sprowadzili żydzi w naszych małych miasteczkach. Rojne niegdyś od zamożnego a dość butnego mieszczaństwa, nasze miasteczka zżydziały po prostu. Rynek i główniejsze ulice miasteczek są w posiadaniu żydów, chrześcijanie tulą się po przedmieściach.

Ale przypatrzmy się rzeczy na przykładzie. Znam jedno miasteczko w zachodniej Galicyi od lat przeszło 40, bom się w nim urodził i wychował.

Jak sięgnę pamięcią, znałem tam 4 rodziny żydowskie, a tylko dwa domy były w posiadaniu Izraela, nie było tam jeszcze ani bóżnicy, ani cmentarza żydowskiego.

Mieszczanie nosili siwe długie kapoty, baranie czapki, mieszczki ubierały się malowniczo; każde rzemiosło miało swoich przedstawicieli, a dobrobyt wśród mieszczan był widoczny. A dziś? Ludność w miasteczku w połowie większej żydowska, większa połowa domów w ręku żydów, mają piękną bóżnicę, w Radzie miejskiej zajmują połowę krzeseł, wszystkie sklepy w ich ręku, a ludność chrześcijańska? Kilku silniejszych ekonomicznie jeszcze się trzyma, reszta goni ostatkami. Większa część dawnych mieszczan nie mając już podstawy do egzystencyi, wysprzedała ojcowiznę i poszła do Ameryki.

Nasz małomieszczanin jest zwykle rzemieślnikiem (wprawdzie lichym) i rolnikiem. Rzemiosło i rola składały się na jego utrzymanie, dziś pozostała mu sama rola, bo rzemiosło tak w naszych miasteczkach upadło, że prowadzenie warsztatu poprostu się nie opłaca.

Było za mojej pamięci w miasteczku kilku krawców, wszyscy mieli dość roboty i działo im się nieźle, póki mieszczanie nosili czamary i kapoty.

Dziś małomieszczanin kupuje ubranie od żydów tandeciarzy zalewających targi tygodniowe starzyzną kupowaną w miastach większych, a inteligencya swoje potrzeby zakupuje w magazynach miast większych, znikli więc z horyzontu małomiasteczkowego krawcy. Znikli i tkacze, bo pocóż uprawiać len, prząść, dawać do tkania a potem bielić płótno, skoro w sklepach żydowskich tyle bawełnianych tkanin cienkich a tanich — choć złych i słabych?

Liczba szewców zaopatrujących w obuwie okoliczne wioski zmniejszyła się do połowy, bo znowu tandeta zabrała im połowę roboty, a zmonopolizowany w ręku żydowskim handel skórą i t. p. oddaje rzemieślnika na łaskę i niełaskę żyda, zwłaszcza, jeżeli rzemieślnik potrzebuje kredytu. I tak z każdem rzemiosłem.

Przemysł fabryczny zabił rzemiosło, odjął źródło zarobku drobnemu rzemieślnikowi, z tego wyciągnął korzyść żyd handlarz, który zagarnąwszy w swe ręce handel wszystkiem, resztę niedobitków trzyma w kleszczach kredytu lichwiarskiego.

Słynęły pewne okolice w naszym kraju z przemysłu domowego, dziś przemysł ten upadł; tu i owdzie zaczyna się dźwigać wsparty pomocą krajową lub energią jednostek; n. p. sukiennictwo w Rakszawie, powroźnictwo w Radymnie, tkactwo w kilku miejscowościach, ale są jeszcze okolice, gdzie przemysł ten rodzimy jęczy w żydowskiej niewoli.

Sławny był niegdyś Andrychów wyrobem drelichów, i dziś setki tkaczów dycha tam jeszcze zaprzągnięte do kieratu żyda G..., który cały zysk pracy tych setek zgarnia do swojej kieszeni.

Samoistnego tkacza tam nie ma, G. daje przędzę, ordynuje roboty, naznacza cenę robocizny, jemu tkacz odnosi gotowy towar, on go sprzedaje, naturalnie że cały zysk zostaje u niego. A takich G. mamy w każdym miasteczku.

Śmiało twierdzić możemy, że nasz rzemieślnik małomiasteczkowy pracuje wyłącznie prawie na podobnych wyzyskiwaczy, a oplątany ich siecią z niewoli tej wydobyć się nie może.

Istnieje n. p. w miasteczku handel chrześcijański, to solidarne dzieci Izraela potrafią konkurencyą niesumienną i innymi im tylko właściwymi sposobami tak dogodzić jego właścicielowi, że albo musi zbankrutować, albo sam zwija interes, by jeszcze resztki mienia ocalić.

Oto stosuuki naszych małych miasteczek!

I jak tu nie być antysemitą?

Najlepszem polem do operacyj żydowskich są jednak miasta większe. Tu wygodnie i po cichu można przygotować od dawna

zamierzone bankructwo, po cichu wynieść towar ze sklepu do swojego szwagra, a potem ogłosić niewypłacalność. Że na tem chrześcijańscy fabrykanci stracą, cóż to obchodzić może żyda, kiedy on zarobił kilkanaście tysięcy na tym interesie, a że na parę tygodni w najgorszym wypadku pozna się z kryminałem, to przecie nie wieczność.

Tymczasem jego szwagier w tak piękny sposób zdobytem towarem handluje, a dając towar po cenie nader niskiej, robi skuteczną konkurencyę gojom.

Drobny rzemieślnik w mieście większem, to prawdziwy żydowski niewolnik. Materyał bierze od żyda na kredyt, płaci mu lichwiarskie procenta, więc mizerny swój zarobek dzielić musi z lichwiarzem, a w domu głód i bieda. Zresztą żydowskie zakłady konfekcyjne, zapełnione wszelaką tandetą fabryczną już i tak zadały śmiertelny cios drobnemu przemysłowi rzemieślniczemu.

W miastach większych jest zwykle siedziba władz wyższych garnizonów wojskowych, co za śliczne pole działania dla kapitalisty żydowskiego, i ile to procentu przyniesie na rok setka puszczona w ruch między urzędników lub oficerów na 12 procent miesięcznie. Ile to samobójstw, ile defraudacyj sprowadziła lichwa żydowska wśród sfer urzędniczych i oficerskich. A złota młodzież — to prawdziwa kopalnia złota dla kapitalisty wybranego narodu.

Wszak dość przykładów, że złoty młodzieniec po to tylko stawał się pełnoletnim, by majątek swój oddać lichwiarzowi za weksle podpisywane, gdy jeszcze majątkiem rozporządzać nie mógł.

Rajfurstwo i domy rozpusty, nocne kawiarnie, tingl tangle to prawdziwy żydowski sport, gdzie chrześcijanie tracą zdrowie, pieniądze i moralność, a żydzi zbierają pełnymi garściami złoto lekkomyślnie wydawane.

Specyalnością żydowską są także agentury; dziś żaden kupiec bez agenta towaru nie sprowadzi; płaci więc fabryce, względnie producentowi za towar, agentowi za pośrednictwo, a agentami sami żydzi.

Agent żydowski więc ani nie sprzedając, ani kupując, zarabia grube sumy ze szkodą tak dla fabryki, dla kupca i dla konsumenta.

Gdzie szkoły średnie, tam pewnie znajdzie się kilka żydowskich antykwarń. Nie byłoby to złem, bo nie każdego ojca stać na kupno nowych książek, ale żydowski antykwarz sieje demoralizacyę wśród młodzieży szkolnej, kupując od malców książki w każdym czasie, naturalnie za niemożliwą niską cenę.

A skutek? Chłopak nie mając książki zaniedbuje się, uzyskane za sprzedaż książki centy trwoni, przyzwyczaja się do szynku, a gdy

wszystkie książki powędrowały już do żyda, zabiera książki kolegom. A na co taki chłopak wyrośnie? to już zasługa żydowskiego antykwarza.

Nie mówię już o bankach żydowskich, które uprawiają legalizowaną lichwę, ale doświadczenie uczy, że kto raz do żydowskiego banku po kredyt się zwrócił, ten może mówić o szczęściu, jeżeli tylko dobrze, a nie całkiem oskubany, z tego interesu się wydobył.

Oto krótki szkic działalności żydowskiej na polu ekonomicznem.

I jak tu nie być antysemitą?

Z rekapitulacyi wynika, że żydzi niszczą rolników i rolnictwo, handel i przemysł chrześcijański podkopują, lichwą niszczą wszystkie stany, słowem usiłowanie ich, to zdobycie na chrześcijańskiej ludności największego majątku, zubożenie gojów, aby potem nad nimi zapanować siłą kapitału.

Niegdyś urzędnik lub adwokat żyd był rzadkością; dziś połowa adwokatów żydów, połowa lekarzy żydów, w notaryacie znaczna liczba żydów, cisną się do urzędów, na katedry uniwersyteckie, do kolei, wnosząc z sobą swoją przewrotną etykę, którą już od ławy szkolnej nasze młode pokolenie przez koleżaństwo zatruwają.

I jak tu nie być antysemitą?

Nie lepszą rolę odgrywają w polityce i w życiu społecznem.

Niema partyi, gdzieby nie było żyda, są oni członkami partyi konserwatywnej, liberalnej, demokratycznej, a między socyalistami wodzą rej, a wszędzie potrafią z sukcesem bronić swoich interesów, wszystkich wyzyskać i siebie zasłonić — siedzą na dwóch stołkach. Kłócić partye, siać nienawiść narodową czy partyjną to ich sztuka, gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci — żyd — zyskuje.

Społeczeństwo nasze dobrze czuje zmorę żydowską, co je ciśnie, ale cóż robi dla swej obrony. Prawie nic. Są prawda ludzie dobrej woli, co zakładają sklepiki chrześcijańskie, Kółka rolnicze, starają się lud obronić przed zalewem żydowskim — ale to jeszcze mało.

W przeczuciu grozy niebezpieczeństwa, które dla naszych dzieci gotuje żydowską niewolę, powinien świat chrześcijański wziąść się do walki z żydowskim molochem.

Nie kupujmy nic od żydów — tem ich pobijemy, wspierajmy chrześcijański handel i przemysł a podniesiemy się materyalnie. Tu apelujemy do naszych pań, aby się nie kierowały maksymą fałszywą, że u żydów taniej, bo choć taniej na oko, to drożej w rzeczywistości, bo towar lichy a często kradziony. A do tego pamię-

tajmy, że każdy grosz dany żydowi, to środek w ręku żyda do ujarzmienia nas i naszego potomstwa.

Nie przeczę, że między żydami są także uczciwe jednostki, ale te stanowią wyjątek.

Czy wobec tego możliwem jest, aby społeczeństwo nasze nie stało się antysemickiem? Nie. Lepiej więc będzie, jeżeli uprawiając antysemityzm obronny, popieraniem przemysłu i handlu chrześcijańskiego, odbieraniem żydom opanowanych przez nich pól pracy i zarobku, usuniemy widmo wybuchu, który kiedyś musiałby nastąpić, jeżeliby społeczeństwo przyprowadzone do nędzy i skazane na służbę żydów, straciło nareszcie cierpliwość

Upadek protestantyzmu w Anglii.

Powszechnie już wiadomo, że katolicyzm szerzy się i rozwija olbrzymio pośród ludności angielskiej. W Londynie wznosi się już wspaniała katedra katolicka, a na prowincyi budują się kościoły setkami, tworzą się bractwa, parafialne instytucye, katolickie spółki, seminarya, klasztory.

Ruch ten zrazu powolny i prawie niedojrzany, stał się w ostatnich czasach niepowstrzymany, i katolicyzm staje się z dniem każdym potęgą, z którą rachować się trzeba.

Na razie byłoby może i niedorzecznością przypuszczać, że cała Anglia pewnego pięknego poranku ogłosi się katolicką, bo u wielu jeszcze tysięcy Anglików tkwi nienawiść do Kościoła, którego nienawidzą od 300 lat, ale coraz widoczniejsze są znaki, że to kiedyś nastąpi, i ta chwila jest coraz bliższą.

Coraz więcej bowiem przychodzi do wewnętrznej rozterki między protestantami starego autoramentu, a tak zwanymi „rytualistami“, którzy stanowią niejako prawe skrzydło kościoła anglikańskiego a coraz więcej od niego się oddalają, zbliżając się równocześnie do katolicyzmu. Rytualiści stanowić będą pomost do powrotu na łono Kościoła katolickiego.

Istotnie bowiem w zewnętrznych obrzędach i niektórych wewnętrznych urządzeniach, rytualiści już niczem prawie się nie różnią od katolików, tylko tem, że nie uznają jeszcze Papieża za Głowę Kościoła, że ich duchowni nie żyją w celibacie.

W ich kościołach atoli coraz więcej obrzędów katolickich. Oddają już cześć Matce Boskiej, duchowni odprawiają Msze św. wy-

stawiają Najśw. Sakrament, urządzają procesye, a nawet widać już i konfesyonały, u których wielu klęka dla odbycia spowiedzi.

Drażni to wielce zatwardziałych protestantów, więc zwołali niedawno wielki wiec za inicyatywą sir Wiliama Harcourt'a i zażądali aby królowej przedłożono petycyą w celu skłonienia bisku pów anglikańskich o tłumienie rytualistów i utrzymanie prawdziwego protestantyzmu

Z tego wywiąże się, jak łatwo przewidzieć kwestya brzemienna w skutki, bo jeżeli biskupi anglikańscy (protestanccy) zaczną prześladować rytualistów, to bez wątpienia wielka ich część przejdzie na katolicyzm, i szeregi katolickie od razu olbrzymio się zwiększą, co daj Boże jak najrychlej!

Odbudowanie Polski.

Autor bezimiennej broszury, wydanej w Berlinie pod tytułem: „Przyszła Polska jako droga do pokoju w Europie“, przemawia za odbudowaniem Polski, jako jedynym środkiem ustalenia pokoju w Europie. Polska ta odbudować się ma ze zgodą Rosyi i na podstawie wyrzeczenia się Rusi i Litwy, a mianowicie Rusi, która z powodów religijnych i wyznaniowych ciąży i ciążyć musi do prawosławnej Rosji tak dalece, że nigdy, zdaniem autora, porozumienie Rusi, czy to prawosławnej czy unickiej, z Polską nie będzie możebnem.

„Granice nowej Polski byłyby następujące;

Zaczęłaby się od Przerowa północnego, wzdłuż rzeki Piany do Dymina, potem Pianą po jeziora, ztamtąd po pod Trentów stary i Szczecin do Odry, potem Odrą, następnie przecięłaby Odrę przy zetknięciu się z granicą Brandeburgii — niegdyś Braniborza; ztamtąd popod Starogród, Pyricę do Krzemienia nad Drawą, wpadającą do Noteci, Notecią do Warty, Wartą do wpadnięcia jej do Odry, Odrą do Żegania, ztamtąd prostą linią przez Rozborek do Szymberku i gór Krekonoskich. Potem do Bystrzycy, następnie przez Morawską Ostrawę, szlązką granicą po pod Mistek do Beskidu, potem teraźniejszymi granicami Galicji od Węgier — górami Karpackiemi do źródeł Oporu, wpadającego do Stryja, Stryjem do Dniestru, wodną linią do Buska i Brodów, ztamtąd teraźniejszą linią graniczną od Rosji aż do Kowna i Niemnem do Bałtyku. W ten sposób nowa Polska posiadałaby linię morską od północnej Przerowy aż do ujścia Niemna i miałaby zatem możność zbytu

swoich produktów we własnych portach, a dowóz do nich odbywałby się Wisłą i Sanem. W takim stanie, jak są dzisiaj trzy podziały, żaden nie posiada własnych centrów handlowych i dróg dowozowych wodnych. Przez Wisłę Prusacy zagrodzili drogę do morza Bałtyckiego, a w Galicji San, Wisła i Dniepr przecinają granice Rosji“.

Dla Polski tej liczy autor 23 milionów mieszkańców i nazywa ją państwem „małem, nie mogącem szkodzić nikomu“,

Ale jak dojść do takiej Polski? Autor apeluje o pomoc do Rosyi, która w zamian za wyrzeczenie się przez Polaków ziem ruskich i litewskich wydałaby wojnę Prusom pod pozorem gnębienia żywiołu słowiańskiego, sprowadziłaby je do rzędu małych państewek i odbudowałaby Polskę etnograficzną. Austrya mogłaby wedle autora być nagrodzoną za ustąpienie Galicyi jakimś nabytkiem na Bałkanach, coby jej wyszło na dobre, gdyż pozbyłaby się kraju, który ją ze względów strategicznych drogo kosztuje i stałaby się całością bardziej naturalną. Jak więc widzimy, cała operacya odbyłaby się głównie na skórze Prus, które autor nazywa „najbardziej zbójeckim państwem, jakie kiedykolwiek istniało“. Co do wyrzeczenia się przez nas Litwy i Rusi powiada autor, że najpierw: o unji krajów z Polską decydowała niegdyś szlachta, a lud nie ma obowiązku dotrzymywać takich umów, powtóre: Ruś zwłaszcza jest kulturalnie bliższa Rosyi, potrzecie: trzeba się zdecydować na taką operację tak, jak często decydujemy się na ucięcie ręki dla ocalenia całego organizmu.

Wszystko to są oczywiście fantazje i życzenia pobożne, na których urzeczywistnienie na razie nie zanosi się. Podobnie, jak autor, my wszyscy wierzymy głęboko, że ludzkość, doskonaląc się etycznie, prędzej czy później zastąpi przemoc sprawiedliwością i wtedy Polską, która zresztą ciąży ustawicznie nietylko na sumieniu, lecz na kieszeni mocarstw, zostanie odbudowaną. Lecz sprawy tej naprzód nie popchnie żadna broszura, dlatego też nie przywiązujemy wagi do projektu berlińskiego anonima.

Uderzającem w jego publikacyi jest co innego: oto, że władze pruskie pozwoliły ukazać się swobodnie broszurze, która jawnie nazywa Prusy „państwem zbójeckiem“ i podnosi myśl zniszczenia ich przez Rosyę. Ta tolerancja Prusaków jest tak dziwna, że mimowoli nasuwa się pytanie: czy właściwym twórcą tego projektu odbudowania Polski nie jest po prostu hakatyzm, poszukujący nowego pretekstu prześladowania Polaków, jako wrogów państwa? Moralność pruska na wszystko może się zdobyć.

Wnet po ukazaniu się powyższej broszury, wyszła druga. Oto niejaki Fritz Freiherr v. Guhlen, wydał świeżo broszurę pod napisem: *Sprengung des Dreibundes.*

W tej broszurze rozprawia o niezrównanej przebiegłości dyplomacyi rosyjskiej i że ta dyplomacya jest dla Niemiec daleko groźniejsza, niż armia rosyjska. Niedowierza także Austryi i nazywając ją przeniewierczą, doradza nie przedłużać przymierza. W razie wojny z Rosyę, na zaszachowanie tej Austryi, radzi ofiarować Węgrom niepodległość. A gdyby i to zbuntowanie Węgier przeciw Austryi nie skutkowało, radzi odbadować Polskę.

Pisze bowiem wyraźnie: „Gdyby środek tek zawiódł, jeszcze nie koniec z nami. Podział Polski uszczęśliwił nas podarkiem Danaów. Od stu lat Polacy są nam kulą u nogi. Czemuż nie mielibyśmy im dać terminatki pod warunkiem, że w interesie odbudowania samodzielnej Polski zwiążą się z nami przeciwko Rosyi? U Polaków, co prawda, tkwi we krwi nienawiść słowiańskiej rasy do Niemców; ale przypuszczać nie można, żeby nie mieli pójść na ten lep. Koszula polska bliższą okazałaby się ciału, jak surdut panslawistyczny.

A Rosya, postawiona wobec zbuntowanej Polski, przestałaby być wojowniczym czynnikiem dwuprzymierza, zwłaszcza gdyby równocześnie Turcya na naszą korzyść prawdopodobnie zrobiła demonstracyę. Stratę Poznańskiego tem łatwiej możnaby przeboleć, że odbudowanie Polski nie byłoby dla nas (Niemców) połączone ze szczególnemi niebezpieczeństwami. Polak po dziś dzień został Polakiem. Oddany sam sobie, natychmiast powróciłby do „polskiego gospodarstwa“. Pomagaliby mu w tem najgorliwiej nawet bracia, którym pod panowaniem pruskiem przyswojono pewne poczucie porządku. A gdy nam się zdawało, że nie możemy spokojnie przenieść [straty terytoryów i ludności, cóżby nam przeszkadzało po zwycięskiej wojnie odszkodować się w niemieckiej Austryi? Potrzebowalibyśmy tylko otworzyć ramiona, a tak nierozważnie przez dynastyę habsburgsko-lotaryngską zrażeni współplemiennicy nasi rzuciliby się nam na szyję gromadnie“.

Oczywista rzecz, że głos bar. Guhlena przebrzmi bez echa, że na jego radę żaden Niemiec się nie zgodzi. Gdyby takie rady mogły mieć przystep do umysłu niemieckiego i do rządu pruskiego, wówczas postępowanie rządu i społeczeństwa niemieckiego musiałoby się zmienić i z nienawistnie wrogiego stać się przynajmniej obojętnem. Ale o tem ani mowy być nie może.

Nam zdaje się, że powodem do napisania tej broszury był nietylko fakt niespożytej siły odpornej żywiołu polskiego, opierającego się o lud w zaborze pruskim, a więc zwątpienie w skute-

czność środków grębienia, ale i strach, że w razie wojny między Niemcami a Rosyą, Polacy zaboru pruskiego staną po stronie Rosyi.

Niema w tem nic nowego, bo cała przez Bismarka inaugurowana względem Polaków polityka eksterminacyjna, która i po jego śmierci statecznie się praktykuje, wynikła właśnie z tego strachu w zazie wojny z Rosyą. Fundusz 200 milionowy na wykupienie ziemi polskiej i wszystkie administracyjne środki germanizowania zmierzają do tego celu, aby żywioł polski wygubić pierwej, nim przyjdzie do rozprawy z Rosyą.

Sztuka kucharska w Polsce.

Gdy jeszcze przodkowie nasi żyli w stanie pierwotnej prostoty, pożywieniem ich był kawał ugotowanego lub upieczonego mięsa, ziarno z początku surowe, później prażone lub gotowane, na wzór znanej po dziś dzień kutji, mąka przyprażona i ukropem zlana, placki zwane podpłomykami i tym podobne inne, zdrowe choć niewybredne potrawy.

Dzisiejsze potrawy naszego ludu wiejskiego, barszcz, żur, polewka, kluski, pierogi, rozmaite kaszy, jarzyny, grzyby, pochodzą także z bardzo dawnych czasów; niegdyś nawet możny szlachcic poprzestał na nich, z tą tylko różnicą, że na stole jego skromne te potrawy bywały dobrze okraszone omastą, podczas gdy chłopek poprzestawał na postnych i że główną część obiadu szlachcica stanowiła zwierzyna, najczęściej własną ręką gospodarza ubita, chłopek zaś jadał mięso bardzo rzadko i to tylko w największe uroczystości.

Lud wiejski z dawnymi zwyczajami aż dotąd przechowywał potrawy, jakich przed wiekami używał, ale u wyższych stanów sztuka kucharska doskonaliła się, postępowała i w nie zbyt długim lat okresie doszła do wyższego stopnia.

Kucharz na dworze znakomitego pana w Polsce była to nie lada figura; miał patent napisany złotemi literami na pargaminie, wystawiony przez najsławniejszych mistrzów sztuki kucharskiej, ci zaś, dbając o swój honor, patentu takiego nie udzielali byle komu. Chcąc go uzyskać, trzeba było długie lata wycierać kąty po rozmaitych kuchniach, dla większego wydoskonalenia, odbywać podróże za granicę, a nareszcie kończyć edukacyę w kuchni królewskiej, a przynajmniej prymasowskiej. Wyzwoliny nakoniec poprze-

działa uczta, którą kandydat musiał sam zarządzić i przyrządzić, a do tej uczty zasiadali ci właśnie najbieglejsi kuchmistrze, co mieli wydać wyrok i wystawić patent.

Wielcy panowie rokrocznie ogromne sumy wydawali na kuchnie. Do przyprawiania potraw, prócz miodu, maku, octów, soków i ziół przeróżnych krajowych i zagranicznych, używano z wielkiem upodobaniem korzeni i to w takiej wielkiej ilości, że nie jeden ze znamienitych dworów zakupywał je naraz za kilkanaście i kilkadziesiąt tysięcy złotych. Prócz tego woda różana, złoto malarskie, piżmo, niezbędnym były artykułem. W aptekach sprzedawano różne drogie olejki i esencye, w domu przysposabiano rozliczne ekstrakty i buliony. Szpiżarnie bywały bardzo obficie zaopatrzone, i to, co się tam zwykle znajdowało, z łatwością mogło było na rok cały dla kilku rodzin wystarczyć.

Wspomnimy tutaj niektóre potrawy, używane w dawnych wiekach przez stany średnie i wyższe. Wiele z tych potraw, a mianowicie krajowych i tylko wydoskonalonych, przechowało się aż do naszych czasów, niektóre widujemy na naszych stołach pod innem nazwiskiem, inne wreszcie zaginęły.

Barszcz burakowy z rurą, postny lub zabielany, kapuśniak, krupnik z perłowemi krupami, rosół, zupa grochowa i szczawiowa, chołodziec litewski, zupy z piwa, z owoców, z pomidorów były w Polsce od wieków powszechne. Z tych barszcz, równie jak i dziś najbardziej bywał ulubionym. Dobrze przyprawiony zwano królewskim, która to nazwa przechowała się dotąd. Robiono także zupy z krwi gęsiej, wieprzowej, z jarzyn, buliony zaś z Francyi przeniesione, dopiero później nastały.

Po zupie dawano zwykle kiełbasę, potem różne mięsne potrawy, a najprzód sztukę mięsa, wołową u uboższych, z bawołu, tura, żubra, łosia, u panów. Z mięsnych potraw wiele zaginęło już bez śladu, a między temi gęś w czarnej jusze, do której sos robiono ze słomy palonej. Frykasy, pulardy, pasztety, przybyły do nas z zagranicy. Pasztety ubierano figurami przedstawiającemi zwierzęta, z których były robione, a figury te były złożone, lub też własnemi piórami, albo sierścią odziane i wyglądały jak żywe.

Pieczyste przyrządzano z grubego zwierza, jakiego już wcale nie mamy, z ptactwa domowego i dzikiego. Skowronki były także jadane. Za przysmak poczytywano łapy niedźwiedzie i chrapy łosie, a skopowina nie śmiała pokazać się na znamienitszym stole. Do pieczystego dawano kondymenty czyli sosy, a bywały one przeróżnego smaku i koloru, jedne lepsze od drugich.

W dnie postne głównym daniem były ryby. Dla smaku gotowano je w winie, a że przodkowie nasi byli bardzo skrupulatni

w zachowywaniu postów, nie przyprawiano ich z masłem, lecz z oliwą lub olejem; pomimo to jednak przyznawali cudzoziemcy, że w żadnym kraju nie umiano tak smacznie ryb przyrządzać jak w Polsce. Było kilku panów, co w pewnych razach, nie spuszczając się na kucharzy, sami gotowali ryby w srebrnych rądelkach.

Aby mieć zapas ryb na każde zawołanie, bywały po dworach dobrze urządzone sadzawki, osobne na szczupaki, osobne na karpie. Te ostatnie przyuczano przybiegać do brzegu na odgłos dzwonka i karmiono z upodobaniem. Lubiono także i karmiono raki. Bobry do ryb liczono i w dnie postne robiono z nich kiełbaski i potrawki. Plusk, czyli ogon bobra, najbardziej był ceniony.

Wysoko postąpiła także u nas sztuka przyrządzania rozmaitych legumin, zacząwszy od pospolitych kaszy ze Szwedami aż do najwyszukańszych antypacików. Do pospolitszych należały śliwki, kluseczki makiem zatarte, kołduny litewskie, makarony polskie i włoskie, pempuchy czyli pączki; więcej delikatne były andruty, płaskury czyli opłatki, bliny robione z mąki lub prosa.

Jarzyny i ogrodowiny dziś używane, znane już były w Polsce, za Zygmunta III. Marchew zwano naówczas karotą, rzepę kolmikiem lub bytomką, kapustę ogrodową brzoskwią, a groch włoski cieciorką Najpóźniej przybyły do nas ziemniaki, za to upowszechniły się bardzo prędko i w krótkim czasie stały się głównym kmiotka pokarmem. Sprowadzili je do Polski koloniści sascy, których August III osadzał w dobrach królewskich. Polacy z początku brzydzili się ziemniakami i uważali je za szkodliwe zdrowiu, ale w końcu panowania tego króla, były już dobrze znane we wszystkich prowincyach, a wkrótce i wódkę zaczęto z nich wyrabiać. Jaja stanowiły zawsze jeden z najważniejszych artykułów w sztuce kucharskiej, a używane były nietylko jaja zwykłego drobiu, ale także pawie i łabędzie, rozumie się na pańskich stołach. Potrawy z jaj miały rozmaite, dziś już nieznane nazwiska, jako to: fryty, pertuty, tretowany arumszmalc, szarpanina, omlet itd.

Z użyciem mleka robiono przesławne melchmusy, rosiaty, arkaty, bianki. Za największy przysmak i arcydzieło sztuki kucharskiej uchodziła bianka z mleka słodkiego, migdałów, cukru, rosołu, opiekana w formach z wodą różaną i innemi pachnidłami, tudzież z marcypanem. Co dziwniejsza, wchodziły do niej także i wędzone ozory. Potrawę tę dawano na stołach królewskich; za Zygmunta III tylko 3 razy podczas największych uroczystości.

W Krakowie, czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

WŁOŚCIANIE W POLSCE.

Krótkie studyum historyczne.

Napisał I. P.

(Ciąg dalszy i dokończenie).

Szlachcic, morderca kmiecia, jeśli natychmiast nie był schwytany, jeżeli umknął, płacił rodzinie 8 kup, a panu jako obrońcy, a może tylko jako wynagrodzenie utraconych czynszów także 8 kup groszy. Jeśli był na samym uczynku schwytany — szlachcic, morderca, dawał gardło.

Lecz kmieć, morderca szlachcica: czy na uczynku schwytany, czy umknął, śmierć ponosił. Szlachcica wywyższano, a kmiecia poniżano.

Pan towarzyszył kmieciowi na sąd — radził, działał, występował jako obrońca, pierwotnie jako urzędnik gminy, jej wyobraziciel na zewnątrz i jako obrońca pobierał wynagrodzenie. Była to rzecz dosyć znacząca, że za owych czasów występki pieniężnie karano. Pana tylko kopy zajmowały, a skoro je odebrał, zostawiał kmieciowi wolność dochodzenia należącej się mu kary.

Toż ustawa z r. 1531 nakazuje: pana zaspokoić kopami; a kmieć sam przez siebie, dochodził swojej krzywdy. Pan jako obrońca nie był potrzebny, nie miał tedy (jak mylnie niektórzy twierdzą) władzy, mocy sądzenia.

Atoli z tych istotnie pięknych urządzeń rozwinęły się później ujarzmienie — prawie niewola włościan, a samowolne panowanie szlachty.

Z urzędników, obrońców powstaje władza życia i śmierci nad tymi, którzy małoco przedtem używali opieki prawa, zupełnej osobistej swobody — równi szlachcie!

Bywało, pan naznaczał sąd, może pierwszy stopień pojednawczy, zanim spór przed sąd ziemski wytoczono, jeśli pan sędziów nie mianował, opierał się; jeśli kmiecia przed sądem nie stawił i sam na sąd nie przybył, za kmiecia płacił winy pieniężne — a zawsze musiał sąd naznaczyć, zwołać. Jednak sam nie zasiadał, nie sądził.

Dziejopis Przyłuski wyjaśnia bliżej (1553 r.) tę sprawę. Pan, jeśli kmieć był pod polskiem prawem, wyznaczał ze szlachty sędziów, podsędka i pisarza; a jeśli kmieć był na prawie niemieckiem, mianował sołtysa i ławnika. Taki sąd musiał zachowywać zwyczajne sądowe przepisy. Byłto pierwszy stopień sądownictwa.

Stronom służyło prawo odwołania się przed sąd ziemski, albo przed wyższy sąd niemiecki. Sam pan sprawiedliwości nie wymierzał, nie wykonywał, był tylko przytomny, występował jako obrońca — i łatwo rozumieć: przez jaki wzgląd — odbierał grzywny, albo „kopy“ jako wynagrodzenie.

Atoli około r. 1573 zaczęli sądzić i karać kmiecia według swego rozumienia, samowolnie. Dawniej był odmienny układ społeczny, przyjazny, sprawiedliwy włościanom. Przed prawem, przed sądem włościanin nie uchodził za niższego od pana.

Zmiana pewnych stosunków weszła i do mazowieckiej ziemi; poniżenie kmieci; wywyższenie szlachty, srogość dla pierwszych, łagodność dla drugich. Stopniowo odejmowała szlachta kmieciom swobody, nie pozostawiła im prawie żadnej; prawo zastąpiła swojem rozumieniem.

Szlachcie, pozwany przez kmiecia, jeśli przeczył, zaprzysięgał i był czysty — żadnej nie ponosił kary. Atoli kmieciowi nie dozwolono przysięgi: musiał dowodzić świadkami.

Ustawa z r. 1472 dowodzi dumy i obaw szlachty, tudzież ujarzmienia kmieci, którym zabroniono nosić oręż, nawet w podróży. Przeciw napaściom nie mieli żadnej obrony.

Gdy ich schwytano z orężem, tracili broń i byli uwięzieni przez 3 dni, szlachta lękała się, iżby kiedy orężem nie zechcieli odzyskać dawnych swobód... Obawa nakazała rozbroić włościan; atoli niechęć, tłumiona na Mazowszu przeniosła się w inne strony — do Kozaków i wydała (wiemy to z dziejów naszych) skutki nieszczęsne: upadek i rozbiór Polski.

Panowie zaczynali swoje nadużycia przeciw kmieciom.

Ustawa z r. 1540 zakazuje im więzić kmieci zamieszkałych, osiadłych, używających dobrej sławy. Samowolne uwięzienie kmiecia pociągało 3 kopy groszy kary wynagrodzenia.

Panowie pożyczali kmieciom, a nie mogących się uiścić z należytości więzili jako dłużników. Ustawa z r. 1540 tylko 8 kup groszy dozwalała wypożyczać kmieciom, pożyczona nadwyżka przepadała, nie mogła być dochodzoną sądownie. Pożyczka 8 kup groszy nie rujnowała kmiecia. Dowodzi to ich znacznej zamożności, która w 100 lat później po wprowa-

dzeniu rozpowszechnieniu pańszczyzny zaczęła upadać i znikła całkowicie.

Pan — pod pozorem zmyślonym, albo i rzeczywistym że kmieć długu nie zapłacił, albo nie dopełnił innych zobowiązań, ograniczał wolność kmiecia, nie pozwalał mu oddalić się, a nawet go więził — i to był początek przytwierdzenia do ziemi, zniweczenia osobistej wolności.

Toż kmiecie opuszczali wszystko, co tylko mieli, umykali gromadami, bo przez to unosili z sobą przynajmniej wolność. Prawo chętniej przypuszczało, że kmieć miał słuszne powody do opuszczania włości.

Rozdział Mazowsza na księstwa ułatwiał włościanom przenoszenie się z jednych do drugich. Kmiecie mogli nadużywać swobody. Ich niespokojności, ich rzucanie się na wszystkie strony miały swoje powody. Zaczynali oni odczuwać pierwsze trwogi i boleści niewoli tem dotkliwszej, że jej przedtem nie znali. Zdawało się, że się lękali tej ziemi, która niedługo, z ich ciałem niejako się zróść miała!

Wieś miała rozmaitych mieszkańców i tak: k m i e c i posiadaczy wieczystych ziemi — pierwotnie narodowej, nadanej przez wiece pod pewnymi warunkami, k m i e c i-d z i e r ż a w c ó w, r z e m i e ś l n i k ó w, różnych innych mieszkańców, a byli oni wszyscy wolni, niepodlegli — prawdziwe prawne osoby. Dopełniali obowiązków, nakazanych przez prawo ziemskie, albo wynikających z dobrowolnej umowy. Tylko ziemskie prawo panowało nad nimi. Kmiecie też, którym ustawy nawet 16 wieku nie odmawiały osobistej wolności, bronili jej troskliwie i zbawiennie. W roku 1573 ustawodawcy ośmielili się już niestety! twierdzić: jakoby według dawnych ustaw posiadali moc karania kmieci wedle swego rozumienia!

Żaden kraj europejski w 14 i 15 stuleciu obszerniejszej włościanom i rzemieślnikom nie zapewniał swobody. Uciekali też do Polski ze swej ziemi tłumnie Niemcy — później tyle niewdzięczni.

Była u nas szlachta wolna, włościanie wolni, rząd łagodny. „To powody, dla których różne ludy dobrowolnie wcielały się w polską jedność, błagały o przyjęcie jako o najwyższe dobro. [1])

Przekonujemy się więc, że ustawy mazowieckie dokładnie, troskliwie ubezpieczały wolność kmieci, ludności, oddanej różnej pracy. Kmieć-dziedzic czyto posiadacz wieczysty pierwotnie

---

[1]) Zaznacza to nasz historyk K r o m e r.

narodowej ziemi, rzemieślnik, jakikolwiek czasowy mieszkaniec nazywany „gościem“, roczny najemnik — wszyscy oni używali wolności, skoro tylko dopełnili obowiązków, wynikających z dobrowolnej umowy albo z prawa ziemskiego.

Pan nie miał nad nimi żadnej władzy, nie był panem w znaczeniu późniejszem: dziedzicem, właścicielem ani włości, ani jej mieszkańców, którzy byli jemy równi.

Atoli mogły być, zaczynały być nadużycia, bezprawia ze strony tych panów; a nowy kierunek bywał mocniejszy nad samo prawo. Nawet szlachta uboga „chodaczkowa“ (zagonowa) doznawała poniżania, gwałtów, przechodziła na kmieci, zapominała politycznej swobody, popadała w niewolę.

Pańszczyzna, nieznana wcześniejszym urządzeniom w Polsce, nałożona niebawem na polskich kmieci samowolnie — bez ich wiedzy, lub zezwolenia zaczynała plamić ręce szlachty.

Pewną ochronę znajdowali włościanie w tak zwanym rękojemstwie, które określiła r. 1421 ustawa Konrada, księcia na Czersku.

Jeżeli kmieć chciał opuścić włość, (a miał więcej sposobów prawnych do opuszczenia gruntu), przedstawiał trzech poręczycieli. Gdy pan odmawiał zezwolenia do wydalenia się włościanina, szli rękojemnicy przed sąd, który nakazywał wypuszczenie włościanina ze wszystkiem, coby posiadał. W razie sprzeciwienia się wyrokowi sądowemu, tracił pan, widocznie zawiadowca wsi, cokolwiekby się mu należało od kmiecia i płacił 2 kary pieniężne: jedną sądowi, a drugą poręczycielowi, który występował jako obrońca i pobierał wynagrodzenie. Rozkaz sądu był bezwarunkowy; nawet bez względu na zobowiązania musiał być kmieć wypuszczony. Trudno podobno dokładniejszą wynaleść rękojmię osobistej wolności włościanina!

Wyznaczono też dokładnie czas rękojemstwa, które mogło mieć miejsce od św. Marcina do śś. Szymona i Judy. Jeden rękojemca mógł oswobodzić 3 kmieci, jeśli tylko dał rękojmię że tenże dopełni zobowiązań, że obrał sobie pewne mieszkanie.

Ustawa z r. 1531 odsłania jeszcze ważniejsze przeznaczenie rękojemstwa. Oto jeżeli pan ukrzywdzał, prześladował kmiecia, jeśli przeszkadzał mu w prawnem opuszczeniu włości, natenczas miało zastósowanie rękojemstwo. Sąd wydawał rozkaz bezwarunkowego uwolnienia.

Urząd rękojemczy także mocno ubezpieczono. Kto rękojemcę, albo posła sądowego [1]) znieważył, uderzył, płacił kary:

---

[1]) Po łacinie: muntius.

księciu 10 kop groszy, sądowi 5 kop, za zranienie rękojemcy 30 kop, a za zamordowanie kop 60.

Kmieć, opuszczający wieś płacił czynsz roczny, naprawiał dom i gospodarskie budynki, zasiewał grunt, który opuszczał „według zwyczaju ziemi“.

Pan miał obowiązek przed świętem Szymona i Judy, kiedyto rękojemstwo prawnie mogło być oznajmione, oświadczyć sądownie, że kmieć nie dopełnił obowiązków. W przeciwnym razie tracił wszystko, a kmieć odchodził zupełnie swobodny.

Mazowsze po wcieleniu do Korony nie ocaliło niestety! tych zbawiennych swobód, zaręczonych prawnie kmieciom — zapomniało mądrości i sprawiedliwości swych praojców. Spodobał się mu nowy obyczaj inych województw, szkodliwy i nieprzyjazny dla włościan.

Na sejmie w r. 1576 zniesiono rękojemstwo, a wydalających się włościan przezwano zbiegami. Kmieć, rolnik, sługa, któryby cechy swego pana nie okazał, nie był usamowolniony, nie mógł być nigdzie przyjętym, a przyjmujący go płacił kary 100 grzywien, wynagradzał szkody. Tej ustawie nadano nawet działanie wsteczne: dozwolono poszukiwać włościan, zbiegłych dawno (nawet i niewiasty); a to było powodem wielu nadużyć i pokrzywdzeń.

Ustawa z r. 1576 wprowadziła stanowcze odróżnienie szlachty i włościan. Sam szlachcic odtąd poszukiwał włościanina jako rzeczy, jako swojej własności, jako — niewolnika.

Co do pańszczyzny — to ustawy mało- i wielkopolskie Mazowsza i Łęczycy jej nie znały; toż nie znano tutaj i dworskich łanów rozległych, które bez pańszczyzny nie mogłyby być uprawiane. Ustawa mazowiecka wymienia mieszkańców wsi, którzy wskutek rocznej umowy zobowiązywali się uprawiać cudzą ziemię. Byli to najemnicy, a ich robota nie miała znaczenia pańszczyzny. Taki najemnik był wolny.

Pierwsza pańszczyzna powstała w r. 1421 na Mazowszu, gdzie też panowała najdłużej najrozleglejsza swoboda włościan. Na owym wiecu w r. 1421 kmieci nie widziano. Szlachta stanowiła samowolnie o nich, bez nich i przeciw nim w ustanowieniu: „Za zezwoleniem Księdza Biskupa odtąd wszyscy i szczególnie mieszkańcy, posiadające całe łany, albo połowy łanów we wsiach naszych, albo świeckich, za każdy uprawiany, albo zasiany łan tygodniowo jeden dzień, a za pół dnia tygodniowo, kiedybykolwiek przez pany swoje byli wezwani, koniecznie i wiecznie pracować mają tymże samym sposobem jako i sobie pracować zwykli“.

Było to przywłaszczenie sobie cudzej pracy, której nie wynagradzano, okazuje się, że zwyczajny obszar przez kmiecia posiadanej ziemi wynosił jeden łan. Były i mniejsze, ale były i większe k m i e c e udziały, najwięcej łanów dwa.

Żądza posiadania coraz liczniejszych łanów, nakazała zmniejszać włościanom posiadłości. A ponieważ do uprawy zapotrzebowano coraz więcej rąk robotników — wymyślono pańszczyzny.

Dotychczas wolni, a teraz uciskani włościanie, którym prawo niejednokrotnie dozwalało opuszczać ziemię i wieś, oburzeni niesprawiedliwym ciężarem wychodzili gromadnie w inne okolice, w której na mocy istniejących praw ziemskich, mogli nabywać grunta w posiadanie wieczyste bez obowiązku pańszczyzny.

Wzburzenie i gromadne wynoszenie się ze wsi włościan podały szlachcie jeszcze gorszą myśl ograniczenia osobistej wolności włościan ustawą w r. 1573. Wmówiła poniekąd w siebie szlachta i uwierzyła, że osoba i grunt włościanina zdawien dawna i na zawsze do niej należały i orzekła, że włościanin jest d o g l e b y p r z y k u t y.

Wzór Mazowsza w 100 lat później przyjęła także i Korona.

Stan włościan na Mazowszu aż do połowy 16 stulecia, można poniekąd tak oznaczyć: włościanin osobiście wolny przechodził dokąd tylko chciał, dopełniwszy obowiązków, nałożonych przez ziemskie prawo. Grunt posiadany przez kmiecia był posiadaniem dziedzicznem, a może dzierżawą wieczystą piezwotnie narodowej ziemi — urządzenie polskie słowiańskie najstarożytniejsze.

Panom pod żadnym względem nie służyło prawo odebrania gruntu włościaninowi, wydalenia go ze wsi. Nie był on przeto właścicielem włościańskiej roli. W tem niema jakiejkolwiek niepewności. Kmieć ulegał prawu ziemskiemu — sądom ziemskim. Był więc równy panu, z wyjątkiem prawa politycznego, które włościanin wcześnie utracił i o niem zapomniał. Panowie sądzili sprawy kmieci, ale mniejszej wagi, jednakże nie sądzili sami, ale w obecności książęcego posła. Pańszczyzna, robota przymusowa bez wynagrodzenia, powstała dopiero w r. 1421, przez samowolę szlachty. Kmiecie na nią nie dali zezwolenia. Niebawem zaczęto pańszczyzny zwiększać, a łany zmniejszać — wszystko samowolnie.

Przyszedł czas, w którym się starano wymierzyć więcej sprawiedliwości, włościanom i polepszyć ich dolę. Ustawa rządowa z r. 1791 orzeka: „Lud rolniczy, z którego ręki płynie

najobfitsze bogactw krajowych źródło, który najliczniejszą w narodzie stanowi klasę, a zatem i najdzielniejszą siłę kraju, tak przez sprawiedliwość i ludzkość i obowiązki chrześciańskie jako i przez własny nasz interes dobrze zrozumiany pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmujemy, stanowiąc, iż odtąd jakiebykolwiek swobody, nadania lub umowy dziedzice z włościanami dóbr swoich autentycznie [1]) ułożyli, czyliby te nadania, lub umowy były z gromadami, czyli też z każdym z osobna wsi mieszkańcem zrobione, będą stanowiły wspólny i wzajemny obowiązek podług rzetelnego znaczenia warunków i opisu, zawartego w takowych nadaniach i umowach, podpadający pod opiekę rządu krajowego.

Takowe układy i wynikające z nich obowiązki, przez jednego właściciela gruntu dobrowolnie przyjęte, nietylko jego samego, ale i jego następców, lub nakywców prawa tak wiązać będą, iż ich nigdy samowolnie odmieniać nie będą mocni. Nawzajem włościanie jakiejkolwiekbądź majętności od dobrowolnych umów, przyjętych nadań i z niemi złączonych powinności usuwać się inaczej nie będą mogli, tylko w takim sposobie i z takiemi warunkami jak w opisach tak nowo przybywających jako i tych, którzyby pierwej oddaliwszy stę z kraju, teraz do ojczyzny oddalić się chcieli, tak dalece, że każdy człowiek do państw Rzeczypospolitej nowo z którejkolwiek strony przybyły, lub powracający, gdy tylko stanie nogą na ziemi polskiej, jest zupełnie wolnym użyć swego przemysłu jak i gdzie chce; wolny jest czynić umowy na osiadłość, robociznę, lub czynsze, jak i dopóki się umówi; wolny jest osiadać w mieście, lub na wsiach, a wolny jest mieszkać w Polsce, lub do kraju do którego zechce, powrócić, uczyniwszy zadosyć obowiązkom, które dobrowolnie na siebie przyjął".

Gdyby więc ustawa rządowa była przyszła do urzeczywistnienia byłby, zdaje się, na podstawie przytoczonych postanowień los włościan o tyle złagodzony o ile to zamierzył był Zamoyski.

Dawniej t. j. mniej więcej do połowy 16 stulecia byli włościanie dosyć szczęśliwi. Ich sumienie zachowało ciemne, ale rzetelne poczucie dokonanej na nich niesprawiedliwości. Kmieć polski, niegdyś wolny właściciel, tęskni do przeszłości. Włościanin we Francyi i Niemczech, niegdyś niewolnik nie żąda przeszłości i uczuwa względem niej słuszny wstręt. Jak

---

[1]) Tyle znaczy, co: prawdziwie.

ogromna różnica pomiędzy temi dwiema społecznościami! Jakże dziwny, jak szkodliwy błąd zachodzi u pp. Szajnochy i W. A. Maciejowskiego, którzy mniemają, że wszystkie nowsze polityczne urządzenia podobnie jak społeczne miały nam przynieść Skandynawcy — Niemcy — wówczas, kiedy Polska kwitnęła, barbarzyńcy i niewolnicy! Kazano im przecież być cywilizatorami Polski, owszem całej Europy... *Sua si bona norint!*

Włościanie polscy uzyskali w końcu, chociaż jeszczę nie wszędzie to, co niegdyś posiadali, uzyskali nawet więcej. Wolni i właściciele, a przynajmniej wieczyści posiadacze gruntów narodowych pierwotnie dostąpili w końcu i politycznej godności, ale dostąpili przez dar pierwotny. Włościanie powinni, bądź co bądź, miłować co posiedli, a panowie, szlachta, nie żałować tego co stracili, raczej pozornie, aniżeli rzeczywiście. A czego by jeszcze mogło nie dostawać, tego należy chętnie i rychło ustąpić przez rozum, przez obowiązek narodowy. Dalsze pojednanie należy zostawić czasowi, postępowi wyobrażeń, a najwięcej rozbudzeniu się braterskich chrześciańskich uczuć pośród synów jednej ojczyzny.

* *
*

Nasz historyk Lelewel znał bez wątpienia ustawy łęczyckie (z r. 1418—1419), lecz rozciekawiony niemi orzekł o nich: „Bardzo zajmujące!“ i na tem poprzestał. Nie śmiał, czy nie był usposobionym do ich ocenienia, przypatrzenia się im dokładniej, jak na to zasługiwały. Gdyby bowiem to był uczynił, byłby uniknął owych niepewnych, wahających się, a zupełnie fałszywych pomysłów o włościaninach i zasadzie ziemskiej własności. Inni badacze nie byli od niego szczęśliwszymi, a najgorzej powiodło się już W. A. Maciejowskiemu.

My uważamy ustawy łęczyckie za uzupełnienie rozporządzeń wiślickich, a właściwie za pomnik najdawniejszych ziemskich i włościańskich stosunków, za pomnik — wprawdzie uszkodzony i zabrudzony, ale bądź co bądź, szacowny, nieoceniony

Ziemia łęczycka nawet w r. 1419 używała samoistności co do swoich stosunków wewnętrznych. Sama stanowiła ustawy, nie potrzebując ani zezwolenia, ani początkowania, ani zatwierdzenia przez króla — jej prawo z niej samej wychodziło. Jeżeli uważamy, że szlachcic i kmieć łęczyckiej

ziemi r. 1419 przed sądem i prawem byli równi, że między nimi niepodobna oznaczyć różnicy stanu, nie zbłądzimy, przyznając, że kmiecie, także ziemianie na wiecach mieli swoje miejsce i zakres działania.

Dotychczas atoli nie posiadamy wszystkich ustaw ziemi łęczyckiej, która tak długo używała samoistności, sięgającej niewątpliwie najodleglejszych wieków. Pozostały ułamki z lat 1418 i 1419.

Ustawa łęczycka o niektórych stosunkach ziemskich daje objaśnienia zajmujące i niespodziewane. Przyjmujemy twierdzenie, że puścizna ma oznaczać ziemie narodowe, nadane dożywotnie, a nawet na pewien czas. Mówimy o ziemiach narodowych, nie królewskich, posiadanych przez króla, który u nas nie miał ziem własnych, dziedzicznych. Posiadał on ziemie, ale także nadane. Ustawa łęczycka odsłania jeszcze inne znaczenie puścizny: dobra odbieżane [1]), opuszczone przez kmiecia dobrowolnie, a w r. 1419 opuszczone przez żal, przez rozpacz, przez chęć utrzymania starodawnej swobody, która zaczynała upadać. Prawnie przeto nazywano puściznami, pustkami: dobra odbieżane przez posiadaczy i prawdziwych, dziedzicznych właścicieli, których nikt i pod żadnym pozorem nie mógł wydalić, skoro tylko dopełnili obowiązków, nakazanych przez prawo ziemskie, albo przez zwyczaj ziemski — przez prawo jakiejkolwiek ziemi. Kmieć dobrowolnie, jeśli miał powody, grunt opuszczał, ale taki sam grunt, niezależny, dziedziczny, gdzie chciał, najłatwiej znajdował. Puścizny, pustki, ziemie opuszczone dotąd zachowały swoje pierwotne znaczenie. Pan gruntów odbieżanych, opuszczonych: puścizn—pustek nie miał prawa zajmować, za swoje własne uważać, a jeśli zabierał, natenczas to uważano za przywłaszczenie, za świętokradztwo. Wiara ludu nie zmieniła się; chociaż ciemno przechowała się pamięć stosunków i urządzeń, dla niego zupełnie przyjaznych, niepodobna wzkazać, że pan, że rycerz był właścicielem gruntów, trzymanych przez kmieci. Pan był dawnym władyką włości, lechem, kmieciem, który chodził na sejmy według sądu Lubuszy, starszym, rycerzem, pobierającym czynsze, przynależne publicznemu skarbowi, a nigdy zwierzchnikiem włościanina, właścicielem włościańskiej ziemi. Te ostatnie pojęcia są pojęciami zupełnie nowemi, nieznanemi pierwotnemu układowi Polski.

Jakoż ustawa łęczycka wymienia starszych włości, stano-

---

[1]) *Bona derelicta.*

wiących pierwsze ogniwo władzy administracyjnej i sądowej. Włość dawniej była niewątpliwie samoistna. Do jej układu rycerz, czasowy i przemijający mieszkaniec nie wchodził. Kmieć włości miał poważne znaczenie — używał pełnej swobody, owszem nieograniczonej, z wyjątkiem prawa ziemskiego, które panowało nad wszystkimi. Pana — rycerza — pozywa przed sąd ziemski o kradzież, o zastaw, o wszystko. Ustawa wiślicka za zamordowanie kmiecia nakazała płacić 10 grzywien, a ustawa łęczycka grzywien 20, z nich krewnym 10, panu 7, żonie i dzieciom 3. Rana lekka ocenioną na ćwierć grzywny, ciężka na grzywien 6, ucięcie palca na jedną grzywnę. Były nawet kary wspólne dla kmieci i szlachty: za ucięcie nogi, ręki, części płciowych jednych, i drugich karano gardłem (śmiercią).

Artykuł 20 pierwszej ustawy łęczyckiej jest nadzwyczaj ważny. Wynikałby z niego dowód, że władza sądowa nie przypuszczała rodowej i społecznej wyższości pana—szlachcica nad włościanami. Jeżeli szlachcic służy szlachcicowi *(servus familiaris),* a ma grunt dziedziczny, za przestępstwo odpowiada przed sądem ziemskim, a nie przed sądem swego pana, jako chciał mieć dawny zwyczaj *(juxta antiquam conseutudinem).* Szlachcic przeto przez szlachcica, nawet właściciel ziemi przed r. 1419 bywał sądzony, a tego o kmieciach niepodobna wykazać. Nie sądzimy atoli, aby u nas miały były istnieć stany szlacheckie, szlachta wysoka i szlachta niska. Mogły to być związki, rządy, sądy rodowe, stosunki swobodne, czasowe, ale nie dziedziczne. Znano nawet księgi rodowe, do których wpisywano członków rodziny, albo związku rodzin; a można przypuścić: sprawy i takich, którzy wchodzili swobodnie do związku rodzin, dawnej czeladzi. Również i kmiecie mogli ulegać takim sądom rodowym, wykonywanym przez obieralnych naczelników rodzin, albo włości. Lecz kmiecie sądom rodowym ulegali, dopóki chcieli, ze związku zawsze mogli wystąpić. Ich osoba była zawsze wolna i niepodległa.

Ustawa łęczycka z r. 1419 oznacza dokładnie stanowisko kmiecia jako obywatela i właściciela ziemi. Na dwa tygodnie przed Bożem narodzeniem, kmieć, jeżeli chciał, grunt i dom opuszczał. Było to prawo bezwarunkowe, przeciw któremu pan nie miał żadnej mocy, prawo, które ścieśniła uwielbiona ustawa wiślicka. Atoli wychodzący kmieć przedstawiał na swoje miejsce innego kmiecia, a jeśli nie przedstawił, dawał 3 grzywny, naprawiał dom i płoty i — zdaje się — zostawiał pole zaorane i zasiane swemu następcy, czasowemu posiada-

czowi, a właśnie takie same korzyści na innem miejscu znajdował. Jeżeli zachodził spór, kmieć i pan mianowali sąd polubowny, który wyrokował czyli kmieć dopełnił obowiązków, włożonych nań przez prawo ziemskie, albo przez zwyczaj ziemi. Nie mogliśmy dotąd napotkać umowy pomiędzy panem a włościaninem — dowód to, że kmieć trzymał swój grunt na mocy prawa ziemskiego — z prawa a nie czyjejkolwiek woli, zezwolenia, nadania, albo ustąpienia. Nie była to żadna dzierżawa. Nie znamy żadnej ustawy, któraby upoważniała oddalać, wyrzucać kmieci, zajmować, osadzać ich grunta. Kmieć pod żadnym względem nie był skrępowany, był całkiem wolny — odpowiedzialny prawu ziemskiemu, a nigdy osobie. Opuszczał grunt, jeżeli chciał i kiedy tylko chciał, złożywszy trzy grzywny, zdaje się, jako czynsz, jako wynagrodzenie za opuszczenie przed czasem gruntu i ziemi. Nawet wszyscy kmiecie jakiejś wsi opuszczali ją, jeżeli takie uczynili postanowienie, opuszczali, kiedy tylko chcieli i w ciągu roku [1]). Trudno pomyśleć, wyobrazić sobie swobodę rozleglejszą od swobody kmiecia ziemi łęczyckiej na początku XV. stulecia. Trudno wynaleść wymowniejszy i bardziej pewny dowód, że panowie (dlaczego „panowie“ — nie rozumiemy) nad kmieciami nie mieli żadnej, zupełnie żadnej zwierzchności, jakiejkolwiek sądowej władzy, która zaledwo przy końcu XVI. wieku powstała. Została wzięta, przywłaszczona bezprawnie, czyli według dzisiejszych pojęć — rewolucyjna. Burzyła bowiem rozumny, starodawny układ społeczny.

Z tych prawnych stosunków kmieci i panów wynika, że sama ziemia nie miała wartości; nie byli jej właścicielami bezwarunkowymi ani pan, ani nawet kmieć, który przecież z niej przez pana nie mógł być ruszonym. Kmieć był jej posiadaczem dziedzicznym — dziedzicem. Wartość ziemi nadawał kmieć — praca. Ziemia była wszędzie — ziemia uprawiana, gotowa, narodowa. Stąd największa namiętna dążność panów, aby kmieć nie opuszczał ziemi, aby oddaliwszy się do niej powracał. Grunt dla pana miał wielką wartość, jeżeli na nim kmieć siedział i c z y n s z dawał — jedyny dochód panów, którzy nie mieli łanów. D w o r y w późniejszem znaczeniu jeszcze nie istniały. Zaczęto je wznosić w XVI. stuleciu, ujmując włościanom gruntów, nakładając na nich samowolnie obowiązek — przymus pańszczyzny. Wolna praca zaczynała znikać i stopniowo zniknęła też zupełnie.

---

[1]) *In medio anno, quando volunt.*

Jeżeli kmieć wydalił się samowolnie przed czasem prawnym — przed Bożem narodzeniem — pan zatrzymywał jego odbieżane mienie jako wynagrodzenie, jako rękojmię należytości, które sąd ziemski oznaczał *(pidicium)*. Kmieć, który się wydalił, nie dopełniwszy obowiązków, nakazanych przez prawo ziemskie, był poszukiwany i ścigany, ale jako dłużnik w tym jedynym celu, iżby dopełnił zobowiązań. Prawo ziemskie, statecznie przychylne włościanom, nakazywało panu, aby dwa tygodnie przed Bożem narodzeniem oznajmił, czyli kmieć ma długi i jakichby nie dopełnił powinności. Jeżeli pan milczał, tracił wszystko, później szkody nie mógł poszukiwać. Kmieć przestawał być odpowiedzialnym — unosił całe swoje ruchome mienie. W XV. stuleciu poszukiwano kmiecia jako dłużnika; w XVI. a głównie w XVII. wieku poszukiwano go j a k o w ł a s n o ś c i, jako n i e w o l n i k a, którego ceny pieniężne sejmy przeważnie oznaczały... Jaka przemiana! Jak fatalna pod każdym względem! Po jej wprowadzeniu i ugruntowaniu, Polska zubożała ekonomicznie i zbezwładniała pod względem politycznym. Był to (pozorny) postęp, ale ku — przepaści.

Rozkaz, aby szlachta i kmiecie, uzbrojeni buzdyganami i innym orężem, na posiedzenia sądu do grodu wstępować się nie ważyli, dowodzi, że w r. 1419 szlachta i kmiecie nosili broń — znak swobody i obywatelstwa kmieci, ich równości wobec szlachty – znak, który z postępem czasu coraz więcej i zupełnie znika. Kmieciom zakazano wszelką broń, a pozostawiono tylko kije. Kmiecie utracili najpierw obywatelstwo, a następnie rycerstwo. Co zbudowała potężnie i świetnie Polska wszystkich — szlachty i kmieci, tego Polska szlachecka nie umiała ocalić.

Ustawa łęczycka wymienia nowy, a zaiste najważniejszy przypadek, nieznany przepisom wiślickim, ścieśniający raczej, aniżeli wzmacniający swobodę, prawa kmieci. Wszyscy kmiecie prawnie włość opuszczali, jeżeli pan umniejszał t. j. bezprawnie zabierał grunta i łąki, które kmiecie dawniej z dawien dawna posiadali [1]). Gruntów, trzymanych niegdyś przez włościan pan nie miał prawa zabierać. Jeżeli samowolnie zabierał, bywał karany. Byłże ich właścicielem? Takie kary przeciw szlachcie napisała sama szlachta XV. wieku, wiedząca doskonale, że grunt, trzymany dziedzicznie przez kmiecia — to grunt narodowy, jednak nie wspólny, do niej pod żadnym warunkiem nie na-

---

[1]) *Quando aliquid de agris vel pratis dominus recipiat, in quibus prius Cmethones sederunt.*

leżał. Ustawa łęczycka odsłania początek uprawy ogromnych ziemskich posiadłości. Wywłaszczano, ale nie wynagradzano. Sejm mazowiecki z r. 1421 nakazał pańszczyzny, nieznane przedtem polskim włościanom, którym jednak żadnej wzajemnej nie zapewnił korzyści. Zabierano grunta, nakazywano pańszczyzny bezprawnie, ale nie dawano wynagrodzenia...

Kara na owe czasy niezmierna, zapowiedziana panu, jeżeliby sobie pozwolił umniejszać łany i łąki, posiadane niegdyś przez kmieci wykazuje, że dopiero na początku XV. wieku takie bezprawie, taki gwałt zaczynały występować. Zakładano rozleglejsze dworskie pola, rozpowszechniała się zdradziecko wielka sprawa, której przedtem nie znano. Jedno bezprawie naprowadziło ku innemu, jeszcze szkodliwszemu. Była niem praca przymusowa, nieopłacana pańszczyzna, nieznana błogosławionemu okresowi Piastów, który rozpoczął władca — syn kmieci, a zamknął obrońca kmieci, za słaby, lub zepsuty nowymi wpływami, aby mógł był utrzymać dawne włościańskie swobody, ale zawsze obrońca.

Kościół katolicki polski zachował pamięć tej bezprawnej przemiany własności, lej społecznej, ale fałszywej rewolucyi. W ustawie krakowskiej ziemi z r. 1447 czytamy wyrazy: „Co do dzierżawy z pól, z których szlachta kmiecie wyrzuciła, albo wyrzuca [1]) a sama je uprawia“, dalej: „z pól, które dawniej do kmieci należały [2]) To ostatnie wyrażenie rzeczonej ustawy stwierdza dobitnie, że grunt — dawniej niewątpliwa własność kmieci — szlachta wbrew prawu zajęła i na własny użytek zaczęła uprawiać. Owa zła skłonność porywania cudzej własności, wywracania naszej odwiecznej a szczęśliwej rolniczej budowy objawiła się nawet w r. 1359 za Kazimierza Wielkiego, a więc za czasów króla, który nie był na tyle sprawiedliwym opiekunem kmieci, jak to zwykle mniemamy. Doradzał podpalania, morzył głodem możnowładców a nadużyć szlachty nie powstrzymywał — pomijał je poniekąd.

Poszukiwanie dziesięcin duchownych przechowało dowód nadwerężenia, a z czasem zniweczenia zasady ziemskiej własności kmieci. Jeżeli szlachcic zastawił grunta, wierzyciel powiększał je i uprawiał, ale wyrzucając kmieci z ich narodowej dziejowej własności. Musiał przecież z tych zagrabionych łanów kmiecych oddawać dziesięciny. Kościół słusznie czynił, że dochodził dziesięcin.

---

[1]) *Depulsi et amoti.*

[2]) *De agris, qui quondam erant Cmethonum.*

Ze społeczność polska XV. wieku zdążała ku zbawiennej przemianie, tego nie możemy powiedzieć ze względu na następstwa, jakie wzmocnienia wydały, wydać musiały. Ziemia była jeszcze dla wszystkich otwarta i dostępna, a przez jej posiadanie uzyskiwano rycerstwo i szlachectwo.

Sołtysów i kmieci chętnie wcielano do szlachty, atoli używanie praw politycznych przestało być wspólnem dla wszystkich. Rozszerzały się ścieśnianie, a nawet utrata praw politycznych.

Kmieć polski XV. wieku nie dlatego praw politycznych nie wykonywał, jakoby ich dawniej nie miał, ale dla tej przyczyny, że na wiece ziemi i na wiece ogólne zaniedbał przybywać, lub co większe ma za sobą prawdopodobieństwo, pełnienie swych praw politycznych przekazywał swoim urzędnikom, wyobrazicielom gminy i tak je z czasem nieznacznie utracił. Prawo gminy przeszło na jej wyobraziciela. Ona upadła, zniżyła się — on się wyniósł. Spełniło się z kmieciami-obywatelami zupełnie to, co się spełniło na samym szlachcicu, na zubożałych członkach stanu szlacheckiego, po rozwiązaniu wspólności rodów i rodziny, po wywróceniu ich zależności i prawnej wzajemności! Uboga szlachta nieznacznie przechodziła na rolników zwykłych, na ludzi wolnych [1]), na kmieci a z nimi nieco później prawie na niewolników. Szajnocha wymienia szlachcica, który zapytany, jakiegoby był herbu, odpowiedział: „Nie wiem"! Pamiętał tylko zawołanie, które później także zapomniał, a które utraciło swoje dawne znaczenie — związek, wspólność.

W r. 1420 istniała szlachta tylko z imienia [2]); wywłaszczona jak i wielu kmieci, wystąpiła ze wspólności majątkowej rodu. „Siła chudej szlachty — pisze głęboko myślący historyk XVI. wieku [3]) — ma zaledwo kąseczek ziemi". Owa chuda szlachta, której pozostał ledwie kąseczek ziemi — szlachta zagonowa sięga dosyć odległych czasów. Bez ziemskiej własności, utraciwszy prawo głosowania na wiecach traciła poczucie swojej godności, spadała i stanęła wreszcie na równi z poniżonymi jak ona kmieciami. Swobody polityczne i znaczenie materyalne, przedtem wspólne wszystkim, rozdzielone, rozumnie ułożone przeszły na mniejszość w narodzie. Wierzchołek był świetny — spód czerniał... [4])

---

[1]) *Homines — servi liberi.*

[2]) *Nobiles vagi, in terra nihil possidentes.*

[3]) Górnicki.

[4]) Porównaj: Przyłuskiego ustawy (1553).

Nie piszemy domysłów, nie budujemy teoryi. Kmiecie, nie wiadomo kiedy utracili prawo polityczne. Ich obecności, ich działania na wiecach wypatrzyć trudno, pomimo iż wskazaliśmy ślady, dozwalające sądzić, że kmieć pierwszych czasów Polski był i działał na sejmie. Kmieć „przy samym Bogu na radzie zasiadał“ [1]). Po kmieciach szlachta *(milites, nobiles)*, utraciwszy ziemskie majętności przemieniali się na kmieci, zstępowali nawet niżej, nic nie mieli, gdy kmieć, chociaż nieco ścieśniony w swej swobodzie zatrzymał grunt, aczkolwiek uszczuplony. Był zawsze czemś, a szlachcic zubożały byłto obłamek — hołota, a często i gorzej [2]).

Spadanie szlachty do rzędu kmieci, których stan panujący w XVI. wieku za niewolników uważał, przewidział Górnicki. „Za dzieleniem między bracią majętności — pisze on — do wielkiego ubóstwa się przychodzi, zaczem trudno ubogiemu dochodzić sprawiedliwości; i nietylko do ubóstwa przychodzi się szlachcicowi, ale do tego, że się w chłopa obraca. Wiem tych wiele, którzy swoje powinne, bracia, stryje, kupiwszy od nich majętności za chłopy już mają, i dzień robić im każą. Co widząc oni mądrzy Mazurowie starzy, że do tego za działem przychodzić miało, postanowili byli takie prawo, że poddanemu wolno było odejść od pana swego, gdyby zań drugi szlachcic, pod którymby przyjmował, ręczył. Teraz ci sami Mazurowie, zostawszy mędrszymi, zepsowali to prawo i przyjęli wasze polskie, żeby poddani byli wieczni i tak tej ubogiej szlachcie do wiecznej niewoli przychodzi“ [3]).

Szlachta drobna, uboga, znikała — chłopiała. Cały spód polskiej społeczności XVI. wieku zapadał politycznie i majątkowo do otchłani, drętwiał, obumierał. Szczyt wybujał okazale, ale chorobliwie.

Jeżeli tylko Górnicki się nie mylił (a jemu, prawdziwemu uczonemu i śmiałemu pisarzowi, nieznajomości współczesnych wewnętrznych stosunków zarzucić niepodobna), owi starzy a mądrzy Mazurowie, także ze swych rolniczych urządzeń tyle do nich podobni Łęczycanie, między kmieciami a rycerzami — późniejszą szlachtą nie przyjmowali różnicy rażącej. Prawo opuszczenia ziemi, rękojemstwo i szlachcie i kmieciom jednako służyło.

Ograniczanie osobistej wolności kmieci, albo — jak się

[1]) Pieśń: *Boga-Rodzica.*

[2]) Ostrowski.

[3]) Górnicki: Rozmowa II., 791: rozmowa I., 713. Dworzanin IV. 554.

Górnicki wyraża — ich wieczne przykucie do ziemi jeszcze nie wystarczało. Stan, który chciał być panującym, nieodpowiedzialnym — na własne nieszczęście wymarzył sobie, że i grunt narodowy, posiadany przez kmieci doń należy. Świadectwo Górnickiego nie dopuszcza żadnej dwuznaczności. Gwałt, karany na początku XV. wieku, przy końcu XVI. popełniano najzuchwalej bezkarnie. Zaprowadzono wywłaszczenie na ogromny rozmiar, zniweczono odwieczne, najzupełniej prawne posiadanie ziemi przez kmieci. Jednak temi czasami czytamy wywody bez pamięci na przeszłość, jakoby uwłaszczenie naszych włościan, a uwłaszczenie za wynagrodzeniem miało być naruszeniem zasady własności. Górnickiego żywo wzruszyły odmiany, toż mówił rozumnie, miał niejako widzenie niedalekiej przyszłości. „Ta Rzeczpospolita polska — są jego słowa — jest źle postanowiona, w której stany nie są sobie przyjazne. I prawodawca taki nie dobry jest, który nie obmyśla żeby wszystkie stany Rzeczypospolitej w zgodzie i miłości były zachowane“. We wieku, którym się pysznimy, obwieszczamy szczęśliwym, złotym, zgoda i miłość pomiędzy stanami zniknęły. Górnicki widział pierwsze znaki wstrząśnienia, widział nawet i miejsce, skąd pożar niewstrzymany a rozległy miał wybuchnąć. „Niż koronie kiedyś — zapowiada on — wielkie złe przyniesie“. Górnicki zaświadczył dwa ważne a fatalne wznowienia swego wieku, nieznane dawniejszym wiekom Polski, tj, przytwierdzenie do gleby na wieczność, i zabór kmiecej ziemskiej własności.

* *
*

J. Lelewel najżywiej zajmował się włościaninami. Rozważał uczenie i żałośnie utracone obywatelstwo polskich kmieci, ale rzeczy całej nie wyjaśnił, nie wyczerpał. Szedł za wyniosłym, za prawdziwym kierunkiem, dla włościan dawnych i dzisiejszych miał serce, pragnął dla nich sprawiedliwości, któraby przyniosła błogosławieństwo wszystkim. Z mownicy historycznej ogłosił obowiązek narodowy pojednenia, a przecież i on, zasłużony, serdeczny, uczony, niedawno odjęty naszej czci i miłości, mylił się pod wielu względami: czuł pięknie, rozumiał, widział za ciemno.

Co do nas po właściwem ocenieniu i rozpatrzeniu przedmiotu, roztrząsając dowody, których poprzednicy po największej części nie roztrząsali, ani o osobach włościan, ani o ich ziemskiej własności nie powątpiewamy w szczegółach istotnych.

Najciekawszych pod tym względem wyjaśnień dostarczają nam ustawy mazowieckie i łęczyckie — dosyć dawno znane, a jednakże nieużyte, niepojęte, pominione! Pomniki prawodawcze i sądowe, których ogłoszenie zawdzięczamy ś. p. Helclowi, dopełniają i utrwalają widzenie o włościanach, które przedstawiliśmy i które jeszcze przedstawiamy.

Szlachta Mazowsza i Łęczycy na zjazdach Łąkoszyna (r. 1424, 1426 i 1434) przyjęła ustawy, które dla nich miały być wspólnemi i obowiązującemi. Głównie urządzono stosunki kmieci, ich prawne położenie jako osób i jako właścicieli ziemi, ale urządzono — bez nich, bez ich zezwolenia. Twierdziliśmy i znowu przypominamy, że u Mazurów i Łęczycan najdłużej i najwierniej przechowały się starodawny społeczny układ, swobody, obywatelstwo włościan.

Kmieć występuje zawsze jako wolny, żadnym węzłem nie skrępowany, nieprzywiązany ani do ziemi, ani do pana. Złożyliśmy stanowcze dowody, że wyraz „pan“ nie oznacza żadnej zwierzchności, żadnej władzy sądowej. Prawo ziemskie rozkazywało i panom i kmieciom.

Włościanie, ogólnie każdy mieszkaniec wsi, mógł opuścić wieś, grunta w czasie, oznaczonym przez prawo. Lecz włościanie zaczynali porzucać grunta według upodobania i gromadnie — znak zniechęcenia wobec szkodliwej dla nich, nieznośnej im przemiany tej, jak mniemano wygórowanej swobodzie, ustawa pragnęła położyć koniec. Może pragnęła rozumnie, ale zawsze ścieśnieła prawo osobistej wolności, zapominała, że włościanom nakładano ciężary, dawniej nieznane pańszczyzny, umniejszano łany [1]).

Jednakże kmieć, jeżeli chciał, jeżeli miał powody prawne, uprzedzał naznaczony czas i odchodził, nie mógł być zatrzymany ani poszukiwany. Lecz naówczas dawał wynagrodzenie, a właściwie czynsz, szkody i pół grzywny za łan roli, za gościniec, karczmę, a ćwierć grzywny za dom i ogród, który dzierżawił. Odstępował, puszczał — a nie myślimy, aby grunt panu oddawał albowiem dowiedliśmy, że pan nie był właścicielem gruntów, trzymanych przez włościan. Wynagrodzenie nie było dawane, jeżeli kmieć odchodząc na swoje miejsce przedstawił innego rolnika, albo jeśli posiadany grunt sprzedał. Miałżeby sprzedawać grunt nie swój własny, cudzy, należący do pana? Były grunta, posiadane przez kmieci jako ich własne, osobiste i takie grunta sprzedawane. Grunta, nadane wie-

[1]) Czas odejścia u Mazurów dwa tygodnie przed św. Marcinem.

czyście, narodowe, składano, opuszczano. Jeżeli kmieć dopełnił tych warunków, jeżeli wykonał zobowiązania, nałożone mu przez prawo ziemskie, odchodził gdzie chciał. Rozkaz puszczania, niezatrzymywania dowodzi, że pozwolono sobie ograniczać wolność włościan. Dawały się uczuć pierwsze początki niewoli. Stąd niespokojność włościan; wychodzili pojedynczo — gromadnie.

Mieszczanie mogli posiadać łany pod temi co i kmiecie warunkami. Zdaje się że owe odstępowanie gruntu, owo pożegnanie *(valedictio)* następowały wtedy, gdy kmieć, albo mieszczanin gruntu, który posiadał, nie mógł sprzedać, innym osadzić rolnikiem, a przecież miał powody odejścia. Sam grunt na początku XV. wieku, a nawet daleko później nie miał wielkiej ceny, dopiero p r a c a nadawała mu wartość. Włościanin, gdzie chciał, przenosił się, znajdował gotowe grunta, domy i ogrody, albo nowe pole, nowe zakładał osady. Prawo ziemskie nakazawało odchodzącemu włościaninowi dom, płoty naprawiać, grunt uprawił. Zawsze występuje p r a w o z i e m s k i e, z w y c z a j z i e m i — nigdzie p a n, któremu w latach 1424, 1426, 1434, według ustaw, nazwy i praw właściciela pod jakimkolwiek względem niepodobna przyznać.

Innym mieszkańcom wsi nakładano również ograniczenia, które widocznie przed r. 1434 jeszcze nie istniały. Jeszcze młynarz, karczmarz, zagrodnik, służebnik, albo osadzony na gruncie zbiegł, miał być wydany i z Mazowsza Łęczycanom i odwrotnie. Widocznie w początkach XV. wieku ziemie względem siebie stawały jako s a m o i s t n e, nim jedność Polski utworzyły. Zbiegostwo kmieci, ściganie ich jako zbrodniarzy, zwracanie na grunt, na którym mieli być wiecznie przykutymi, daleko później wynaleziono. Ostrzegamy, że ustawa z r. 1324 była łagodnem ścieśnianiem dawnej prawnej swobody, jakiej dotychczas używała ludność sielska. Nie była to jeszcze niewola — wieczne przywiązanie do gruntu, ale jedynie prawny środek zmuszający dopełnić zobowiązania z umowy, albo obowiązków, nałożonych przez prawo ziemskie. Wieczystość wystąpiła daleko później. Szlachcic-rycerz, skazany wyrokiem, jeżeli natychmiast nie uczynił zadosyć, albo nie dał rękojmi zadosyć uczynienia, był wydawany urzędownie powodowi jako więzień. Należytość odrabiał, wysługiwał, doznawał zawieszenia wolności.

Z innej strony ustawy uwzględniały jak najwięcej wolność kmieci, których praca stwarzała główne, a niejako wyłączne społeczne bogactwo. Za szkody na łąkach, po lasach kmieć

nie mógł być przytrzymany — grabiono siekiery, wóz, woły. Jeżeli kar pieniężnych, na które kmieć był skazany, nie odebrano przed św- Marcinem, natenczas te kary przepadały. Do r. 1334 szlachta i kmiecie mieszali, bawili się razem. Odtąd wynurza się nieznana myśl rozdwojenia, pogardy, rozbratu. Tu początek wewnętrznej niechęci i słabości, cichej albo jawnej waśni między stanami, która ostatecznie w istocie wybuchła. Często zdumiewamy się nad skutkami, nie rozumiejąc, albo nie widząc dalekich przyczyn. Jest np. tajemny związek pomiędzy latami 1573 a 1773 — związek, który z niniejszych poszukiwań najwidoczniej w oczy uderza.

Gmina w r. 1390 była samoistna, wszechwładna, miała swój własny rząd, składała sąsiedztwo-braterstwo. Jeżeli jeden kmieć wsi, osady nie dał zezwolenia, nowy rolnik, kmieć, nie mógł w niej zamieszkać, posiadać gruntu, uzyskać obywatelstwa, wejść do jej związku, do jej społeczności. Postanowienie gminy wymagało j e d n o m y ś l n o ś c i! Co to za pan [1]) — dziedzic [2]) włości, skoro ona sama nowych przybierała członków, na nich głosowała! Pan widocznie do związku włości nie wchodził — był poza nim. Brał czynsze, czasami sądowe kary nie przez własne prawo, ale przez z a s t ę p s t w o, imieniem innej władzy narodowej, wiecowęj.

Przeciw komu taka podejrzliwość? Nie sądzimy, aby chciano wyłączać kmieci. Pewniej, kmiecie w swoim związku, w swej jedności nie chcieli mieć rycerzy-panów, którzy czemś wyższem być zapragnęli, zaczęli pisać przeciw kmieciom, a bez nich — samowolnie poniżające postanowienia. Istotnie, był to właśnie czas wznoszenia się szlachty, a upadania kmieci. Zawiązek, aczkolwiek jeszcze słaby, politycznej i ekonomicznej najfatalniejszej doznał przemiany, albowiem po jego zupełnem rozwinięciu się włościanie zubożeli, szlachta się wzbogaciła, a potem jednych i drugich zgnębiła ohydna polityczna niewola,

Roku 1436, 18 listopada, widział Łąkoszyn nowy zjazd ziemian Łęczycy i Mazowsza, na którym głównie układano kmiecie stosunki, wprowadzano obostrzenia, użyto wyrażeń w uchwałach, jakich dotąd o kmieciach nie śmiano używać. Po dwunastu latach widzimy ruch, ale nie ku lepszemu; dawny układ rolniczy rozrywa się.

Nadmienimy jeszcze ustawy mazowieckie z r. 1390, co do położenia włościan ważne, zajmujące, nakazujące cześć dla

[1]) *Dominus.*

[2]) *Haeres.*

naszej przeszłości. Nie było ziemi, którejby kmieciom posiadać, nabywać zakazano z wyjątkiem łanów narodowych, nadanych wyłącznie kmieciom. Ziemia, jej własność była wszystkim przystępna [1]). Ziemia — zdaje się nowa, nowo uprawiona ale nie ziemia, wydzielana rycerstwu i kmieciom jako udział narodowy przechodziła wszelkim sposobem nabywania od rycerzy do kmieci nawzajem. Kmiecie posiadali grunta jako posag córki rycerza, który w wieku XV. zaczynał się przeobrażać na szlachcica, Ten czyn dowodzi, że w r. 1390 przynajmniej na Mazowszu pomiędzy kmieciami a rycerzami nie było jeszcze rozdwojenia, nieprzyjaźni, jak stwierdza jeden z naszych pisarzy [2]). Szła na własność kmieci wszelka ziemia jako posag, jako zastaw [3]). Córka pana, rycerza, brała kmiecia za męża i nie ubliżała tem swemu stanowi. Szlachcic nie poniżał się, jeżeli pośród kmiotków szukał żony,

Było jeszcze braterstwo r. 1390, ale po stu latach zniknęło. Do r. 1390 Polska nie celowała zamożnością — ale była silna, sprawiedliwa. Później nabyła ogromnej potęgi materyalnej — zakwitnęła, ale opuściła ją dawna sprawiedliwość.

Znajdujemy świadectwa, że do r. 1390 szlachta, rycerze, panowie i kmiecie nie rozerwali się jeszcze, naprzeciw siebie przykro i groźnie nie stanęli. Jeżeli żołnierz *(miles)*, rycerz, niekoniecznie szlachcic, osiadł we wsi, na roli kmiecej, czynszowej, utracał prawo, służące rycerzowi, wychodził ze społeczności, ze stanu rycerzy i podlegał zaraz kmiecemu, a nawet nazwisko kmiecia przyjmował, był prawdziwym kmieciem. Nadmieniliśmy powyżej, że gmina, związek kmieci, przyjmowała tych jedynie w swój poczet, których sama chciała, wybrała, uznała godnymi. Otóż rycerz czyli szlachcic przez samodzierżenie kmiecej ziemi przechodził na kmiecia i nawzajem kmieć, nabywając grunt rycerski, przechodził na rycerza, na szlachcica.

Był szlachetnym *(nobilis)*, w znaczeniu pierwotnem.

Jeżeli rycerz — żołnierz *(miles)* opuścił grunt kmiecy, jeżeli powrócił do swej ojcowizny, albo do rycerskiej ziemi, naonczas odzyskiwał przerwane, zawieszone rycerskie prawo i nazwisko. Odzyskiwał zaszczyty, które był złożył: rycerstwo, szlachetność, szlachectwo. Rycerze i kmiecie przeto nie były to s t a n y, ale zwykły, prawny a swobodny stosunek. Szlachcic

---

[1]) Helcel: P o m n i k i.
[2]) Górnicki.
[3]) Helcel.

według upodobania przechodził na kmiecia, a kmieć na rycerza. Nie natura ziemi, ale jej rozległość i obowiązek do niej przywiązany czyniły posiadacza kmieciem, albo rycerzem, Jeden — dwa łany stanowiły udział kmiecia, cztery łany, albo pięć wynosiły na rycerza. Przy końcu XIV. wieku i nieco później kmieć, rycerz, inaczej szlachetny, szlachcic nie było to prawo osobiste, nadane, wynikające z urodzenia, ale obowiązek i urząd społeczny, przywiązany do ziemi. Wiele rycerzy szlachetnych — szlachty — przyjąwszy grunta kmiece, zostali na zawsze kmieciami, a z czasem chłopami, przywiązanymi do ziemi — niewolnikami. Nawzajem widać wielu kmieci, którzy wziąwszy grunta rycerskie, zostali rycerzami szlachetnymi — szlachtą [1]). To przed r. 1390, a głównie przed r. 1496 nie wzbudzało niechęci, nie czyniło różnicy i nie rozrywało. Przejścia ze stanu do stanu, z obowiązku do obowiązku prawo ziemskie dozwalało każdemu. Takie przejście r. 1496 zamkniono stanowczo.

Inne obowiązki miał kmieć, a inne pełnił rycerz. Tę różnicę społecznych obowiązków oznaczała rozległość ziemi narodowej, wydzielonej kmieciom i rycerzom: pierwszym łan albo dwa, drugim cztery albo pięć. Kmieć płacił czynsz, podatek najbliższemu skarbowi lub rycerzowi. Rycerz czynszu, podatku nie płacił, ale był na zawołanie każdej chwili, sam siebie uzbrajał i utrzymywał. Czasami wybierał czynsze, jako dokładniejsze wynagrodzenie — tytułem dzisiejszego żołdu. Rycerze stanowili wojsko stałe — zawsze gotowe; na przypadek gwałtowniejszej potrzeby wzywano i kmieci na pole bitwy.

Oprócz tych gruntów — pierwotnie narodowych, nadawanych dziedzicznie kmieciom, lub żołnierzom były grunta rodowe, nieczynszowe — grunta nowo założone, osady nowo utworzone, które ulegały obowiązkom służby wojskowej. Każdy mieszkaniec musiał bronić ojczyzny na Litwie, nawet żydzi. Duchownym nakazano dawać zastępcę — i słusznie. Bezpieczeństwo publiczne, byt społeczeństwa byłby mocno nadwerężony, gdyby duchownym — naówczas dzierżycielom ogromnych włości — odpuszczano obowiązek służby wojskowej. Helcel i Maciejowski przedrukowali zapiski sądowe, które dowodnie okazują, że przy końcu XIV. wieku i za czasów, kiedy uchwalono ustawy łęczyckie i łąkoszyńskie, między ziemianami, rycerzami — szlachtą a kmieciami nie było różnicy pod względem

---

[1]) Patrz: „Księga założenia klasztoru N. P. Maryi w Heinrichau“, przez Stencla, Wrocław 1854.

używania praw cywilnych. Rycerz czyli szlachcic i kmieć mieli ten sam sąd i tożsame prawo, wobec którego byli zupełnie równymi. Panowie nad kmieciami nie mieli żadnej władzy. Co do osób, co do własności ziemskiej pomiędzy panami a kmieciami nie ma żadnej różnicy — jedni i drudzy są ziemianami. Później mawiano: „Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie!“ Lecz przy końcu XIV wieku było odmiennie, więcej sprawiedliwie: Kmieć na zagrodzie równy wojewodzie. Prawo ich nie odróżniało.

Helcel w swych „Pomnikach“ umieścił także sądowe zapiski ziemi krakowskiej z lat 1388, 1389, 1390 — najdawniejsze, jakie dotychczas znamy. Są one wielkiej, niezmiernej wagi na ugruntowanie naszego zdania, że sądowe postępowanie, że prawo ziemskie (czyli według Helcla: praktyka sądowa) we wszystkich polskich ziemiach była ta sama.

Co do własności ziemskiej: czyj był właściwie grunt, trzymany przez kmiecia? Samego kmiecia czyli innej osoby? Zapisek 295 przynosi dowód stanowczy.

Wit z Wilczkowicz wygrał spór przeciw Wacławowi z Marcinkowicz o grunta, które u swego kmiecia zakupił. Wilczkowicz nabył grunt własny kmiecia u kmiecia. Kmieć przeto, nie Wilkowicz, mniemany pan włości był właścicielem gruntu. Mógłżeby Wilczkowicz swój grunt u kmiecia kupować, gdyby grunt, posiadany przez kmiecia do niego jako własność należał, gdyby Wilczkowicz swój grunt kmieciom wydzierżawił czasowo, albo wieczyście? Przypominamy ustawę Łakoszyna, według której kmieć, opuszczając włość przedawał grunta posiadane.

Jakiej natury były grunta, które kmieć sprzedawał, a pan nabywał? Pytanie ważne, znajmujące, ale nie ulega żadnej wątpliwości, że pan pod jakimkolwiek względem nie był ani właścicielem, ani zwierzchnikiem gruntów, posiadanych przez kmieci. Nikt przecież swojej własności od samego siebie i dla samego siebie nie nabywa. Może kmieć sprzedawał grunta własne — nowo wykarczowane, nowo uprawione nabyte. Może sprzedawał swoje miejsce, swój grunt narodowy — nadany; a wskazaliśmy, że pan, że rycerz, nabywając łany kmiece przechodził do stanu kmiecego, podlegał prawu kmiecemu, był kmieciem, atoli zatrzymywał prawo odzyskania swego rycerskiego stanowiska, swego stanu żołnierskiego. Może być nawet, że grunta kmiece narodowe, nadane wieczyście przy końcu XV. wieku uważano jako dziedzictwo kmieci bezwarunkowe. Dawniej kmieć grunt nadany tylko opuszczał, zdawał, puszczał

nowemu kmieciowi. Później ustawa grunt narodowy dozwalała sprzedawać. Cokolwiekbądź, pan do gruntów posiadanych przez kmieci, jakiejkolwiekby one były natury, praw żadnych nie miał.

Wiele i wiele trudów przysporzyło J. Lelewelowi zbadanie puścizny. Tych trudów nie uwieńczył pożądany skutek i nie mógł uwieńczyć, skoro Lelewel nie pojmował natury własności ziemskiej u nas. Wahał się, i dziwnie się mięszał, skoro w Statucie wiślickim dostrzegał feudalizm, nałożony kmieciom. Wytłomaczyliśmy pojęcie puścizny. Była to ziemia narodowa, nadana przez wiece, czasami dożywotnie, czasami wieczyście, jednak nie bezwarunkowo. Prawdziwa dziedziczność ziemi poczęła się u nas i ustaliła dosyć późno. Z zapisków Helcla wynikałoby, że role kmiece, dane na dziedziczne, wieczyste posiadanie, bywały puściznami. Kmieć, jeżeli chciał, odbiegał nadane grunta, sprzedawał, zostawiał wolnym, puszczał innemu. Moc, nietykalność tej ziemi, tej własności, wydzielanej kmieciom, tkwiła głęboko w umyśle. Kmieć, chociaż opuścił grunt, czuł, że do tej ziemi miał prawa; przysyłał nowemu posiadaczowi groźby. Grunt odbieżany, opuszczony, zostawiony pustkami dawniej gmina, a później rycerz jako poborca ustąpionych mu czynszów, wydzierżawiał naówczas kmieciowi, oddawał na wieczyste posiadanie. Rycerz nie mógł zabierać, przywłaszczać sobie, jeśli się odważył to uczynić, był karany. Puścizna nie była to chapanina — rzecz niczyja, rabunek, porwanie, jak sobie Lelewel wyobrażał.

Puścizna miała jeszcze inne prawne znaczenie. Puścizny były prawdziwemi spadkami. Obejmowała ona własności ziemskie i ruchome posiadanie przez kmieci i przez rycerzy. To znowu wywraca twierdzenie Lelewela. jakoby u nas własności ziemskie były podwójnej, a bardzo niepodobnej natury: jedne szlacheckie, a drugie kmiece — mimo, że ten sam Lelewel wykazał, iż za pierwszych historycznych czasów Polski, nie można wypatrzyć stanu szlacheckiego. Cała różnica między posiadłościami ziemskiemi rycerskiemi a kmiecemi nadanemi, była ta, że pierwsze wynosiły 4 albo 5 łanów, a drugie 1 łan lub 2. Nie był to przecież jedyny rodzaj własności przy końcu XVI. wieku.

Kmieć polski, dopełniwszy nakazanych przez prawo ziemskie obowiązków opuszczał grunt nadany—dziedziczny, odchodził gdzie tylko chciał — był nietykalnym, był wieczystym dziedzicem ziemi, z której przez nikogo pod żadnym pozorem nie mógł być ruszonym. Co do używania praw cywilnych,

był tejże samej zacności co i szlachta. Ulegał tym samym prawom co i wszyscy — z wyjątkiem prawa i naczelnika narodu żadnej nie uznawał wyższości. Czyż tego rodzaju chlubny układ posiadała Europa zachodnia XIV i XV wieku? Jedna go Polska miała i nieszczęściem potem straciła.

* * *

Nie podobna przedstawić już obecnie stanu rzeczy w okresie wytworzenia się poddaństwa z całą dokładnością. Największym błędem jest generalizowanie, oparte na luźnych faktach, które najczęściej charakteryzują nie samą instytucję w jej prawidłowym rozwoju, ale nadużycia, wynikające z indywidualności niektórych, niestety! bardzo licznych właścicieli gruntu.

Zadanie rozwiązywać można jedynie należycie zapomocą monograficznego opracowania stosunków prawnych, w jak największej ilości wsi, a ogólny obraz po przeprowadzeniu badań w ten sposób wypadnie o wiele inaczej, aniżeli przypuszczają ci, dla których głównym źródłem informacyi są sporadyczne skargi poddanych, lub przesadne częstokroć wzmianki we współczesnej literaturze.

Historya niejednej wsi okaże, że mimo poddaństwa i pańszczyzny los chłopów mógł być wcale dobry i to nie dzięki szczególnym przymiotom pana, ale dlatego, że w danym wypadku trzymano się ściśle zasady prawnej i unikano nadużyć. Jeżeli zaś przy normalnem funkcyonowaniu organizacyi wiejskiej można było osiągnąć rezultaty dodatne, to każdy przykład, stwierdzający ten objaw, służyć będzie razem za dowód, że tam, gdzie się działo inaczej, winnymi były nie instytucye, ale ludzie, którzy nietylko w stosunku do wsi i poddanych, ale także w każdym innym kierunku ze zdrowych zasad organizacyi politycznej i społecznej potrafili wyciągnąć najzgubniejsze dla siebie i państwa konsekwencye.

Badanie kwestyi włościańskiej ma dwie strony: ekonomiczną i prawną; obie ściśle się łączą z sobą. Organizacya prawna stworzoną została dla przeprowadzenia pewnych celów ekonomicznych — dlatego z nią najpierw należy się uporać. Ona stanowi ramy, wśród których właściwa rola chłopów politycznie się uwydatnia. Źródła, które wypada poznać i opanować są nieprzebrane. Z jednej strony księgi gospodarskie, regestra czynszów i robocizn, których bardzo wiele się dochowało od schyłku XV. stulecia, z drugiej strony tysiące doku-

mentów lokacyjnych, wiele konstytucyi sejmowych, ogromna ilość laudów sejmikowych, a przedewszystkiem bardzo dużo ksiąg gromadzkich, będących wyrazem jurysdykcyi patrymonialnej nad włościanami.

Z tych ksiąg najdawniejsze pochodzą z samego początku XV. stulecia, ale najwięcej ich rozpoczyna się z początkiem wieku następnego.

Zakres badania jest niezmiernie rozległy. Ażeby dojść do celu, trzeba zastósować racyonalny podział pracy. Osobno wypadnie traktować genezę ludności rolnej w Polsce, osobno stosunki prawne tych wsi, których księgi sądowe zachowały się w całości.

Jedną z takich wsi jest Kasina wielka w powiecie limanowskim. Obrazu jej organizacyi prawnej dostarczają nam cztery tomy ksiąg gromadzkich kapińskich, obejmujące epokę od początku XVI. aż do schyłku XVIII. stulecia.

* *
*

Najdawniejsza księga gromadzka Kasiny rozpoczyna się z r. 1513. Dziedzicem wsi był wówczas Adam Niewiarowski. W r. 1597 Przecław Niewiarowski darował Kasinę Dominikanom krakowskim, który ją zatrzymali w posiadaniu przez dwa następne stulecia. Tak więc ze wsi świeckiej zawieniła się Kasina na wieś kościelną. Okoliczność ta potęguje jeszcze interes, jaki przedstawia rozwój stosunków prawnych w tej miejscowości.

Na czele organizacyi wiejskiej stoi pan dziedziczny *(haeres)*, którego władza w stosunku do ludności miejscowej jest analogiczną do władzy królewskiej. Siedziba pana nazywa się dworem. W języku urzędowym pojęcie „pan“ i „dwór“ są identyczne. Dlatego mówi się: „Sąd pański lub dworski — władza pańska lub dworska — powinności pańskie lub dworskie — posłuszeństwo wobec pana lub dworu“ i t. d. Sama wieś nazywa się także państwem w przeciwstawieniu do sąsiednich wsi lub państw. Stąd zdrada państwa znaczy tyle co zdrada pana i całej wsi, opuszczenie państwu tyle, co uwolnienie się ze związku gromadzkiego.

Pan jest ustawodawcą i sędzią, opiekunem poddanych i dzierżycielem władzy administracyjnej, policyjnej i wykonawczej.

Bezpośrednim zastępcą pana jest *alter-ego*, jest tak zwany faktor czyli rządca albo starosta. W czynnościach sądowych

wyręcza się pan wójtem i ławicą, złożoną z siedmiu przysiężnych czyli ławników. Na sądach pan jest bardzo często obecnym, czasami zastępuje go faktor. Gdy panem wsi jest klasztor — przeor lub zakonnik, wysłany przez przeora wykonywa attrybucye ustawodawcze, lub sądowe właściciela włości.

Poddani winni są panu bezwzględne posłuszeństwo. Kara na nieposłusznych bywała rozmaitą, według stopnia przewinienia, najczęściej była pieniężną, lub cielesną, ale mogła dojść aż do wyzucia poddanego z dziedzictwa. Za niepowiedzenie prawdy Słomczanie, czyli przymierzanie, zostali skazani w r. 1605, na 10 grzywien winy pańskiej

Pan wymagał od poddanych uszanowania. Nieuczczenie pana przy rugu, pociągało za sobą winę 12 groszy. Katarzyna Kotowa w r. 1649 została skazaną na 6 plag i danie dwu postawników do kościoła za to, że przed ludźmi pogranicznymi mawiała, iż pan nie czyni należytej sprawiedliwości. Fałszywe świadectwo, złożone na sądzie wobec pana uchodziło za „pośmiewisko i wyszydzenie“ dziedzica. Karczmarz kasinski Wawrzyniec Kaletka okupił podobne przestępstwo, w r. 1764, 20-ma plagami. Posądzenie dworu o niesprawiedliwy wyrok, n. p. o niesłuszne wydarcie gruntu, karane było 60-ma plagami oprócz 30 grzywien przypadających na kościół. Porwanie się na faktora pańskiego, stanowiło obrazę samego pana i surowej podlegało karze. W r. 1641 Grzegórz Łukaszów porwał się w polu z siekierą na Ojca Chrobackiego, faktora kasińskiego, a wtrącony do więzienia siłą się z niego wydobył. Za to został skazany: 1) żeby go biła cała gromada przy tej dziurze, którą z więzienia uciekł; 2) żeby tąż dziurą wlazł napowrót do więzienia; 3) ma siedzieć w łańcuchu za szyję przez 3 niedziele; 4) to więzienie ma naprawić; 5) pańskiej winy ma dać 10 grzywien; 6) u kościoła skrzydlnieńskiego ma stać w kunie za szyję przez 4 niedziele; 7) stojąc w kunie ma trzymać siekierę na szyi; 8) do kościoła kasińskiego ma dać parę postawników i gontów 3 kopy; 9) na wiosnę ma zaorać rolę szpitalną i swoim owsem zasiać, tenże owies później zebrać i zwieść do szpitala kasińskiego.

Opór wobec władzy dworskiej uchodził za szczególnie karygodny. Kozub przypłacił go, r. 1726, 100-ma plagami, a oprócz tego miał podczas 7 Mszy w kościele krzyżem leżeć i przez ćwierć roku robić komornego w Konwencie. Z powodu przytoczonego wypadku, Ojciec Seweryn Oczko wydał ustawę, mocą której, w razie ponownego przewinienia, miał przestępca

być przez całą gromadę puszczony na proszczęta (rózgi), a gdyby nie posiadał dziedzictwa, miał być jako łotr ze wsi wyświecony.

Do pana należało ustanowienie urzędników gromadzkich, a więc wójta, przysiężnych i rugowników czyli mowców. Gromada miała przy tem prawo prezenty, ale pan kandydatów potwierdzał i zaprzysięgał.

Rozmaite prośby poddanych napływały ustawicznie do dworu, a pan je zwykle osobiście rozpatrywał i załatwiał. W r. 1633 prosi gromada, aby sądy rugowe odbywały się zawsze w karczmie, jako miejscu obszernem. Przeor uznaje słuszność przytoczonych powodów i wydaje stósowne zarządzenie.

Interwencya dworu w sprawach gromadzkich, objawia się ustawicznie. Czy się rozchodzi o uregulowanie pretensyi poszczególnych poddanych do gromady, czy znowu o zaspokojenie wierzycieli poddanego, czy o kupno, lub spuszczenie soli, zagrody, lub zarobku, czy też o testament i kontrolę nad opiekunem; widzimy prawie zawsze, że w bardziej zawikłanych sprawach, pan wkracza odrazu, lub na skargę stron zmienia dekret urzędu i — jeżeli okaże się potrzeba, udziela wójtowi i ławicy surowej nagany. Ale najbardziej doniosłą jest działalność pana na polu ustawodawstwa wiejskiego. Tu dopiero możemy poznać cały zakres władzy dziedzica i sposób, w jaki on korzysta ze swoich atrybucyj.

Rozporządzenia pańskie występują w księgach kasińskich pod nazwą ustaw lub dekretów. Wydaje je sam pan z własnej inicyatywy, albo na przedstawienie swego zastępcy t. j. faktora czyli starosty, lub na prośbę urzędu t. j. wójta i ławicy. Zazwyczaj konkretny wypadek, nadużycie lub nieposłuszeństwo ze strony poddanych, daje pobudkę do sformułowania normy prawnej, który sąd wiejski ma się nadal trzymać.

Najczęściej ustawy pańskie, zwłaszcza dawniejsze z XVI. stalecia, są bardzo zwięzłe: sucho zredagowane na kary, albo zakazy z wymienieniem kary na opornych, bez podania motywów, Z biegiem czasu pańskie dekrety stają się nietylko liczniejszemi, alo się doskonalą pod względem redakcyi. Nieraz pan wydaje ich kilka równocześnie — zwykle podczas trwania wielkiego gajonego sądu. Promulgacya ustaw dworskich polegała niewątpliwie na ich odczytaniu na gromadzie, poczem pisarz wiejski wpisywał je do księgi. Ustawa zobowiązywała, dopóki nie została zmienioną przez pana, lub cofniętą. Gdy sprawa była większej wagi, pan, w danym razie przeor dominikański prosił w dopisku, zamieszczonym przy końcu ustawy

wszystkich swoich następców, iżby utrzymywali w praktyce raz już uchwalone przepisy.

Władza dworska kasińska była na polu ustawodawstwa wiejskiego bardzo czynną. Nigdy jednak ogół przepisów, wydanych w ciągu dwóch z góry wieków nie został ujęty w jedną całość. W innych wsiach tyle ustaw, ile ich miała Kasina, dziedzice nie wydawali. Panowie świeccy byli w tym względzie mniej zapobiegliwymi.

W r. 1626 dwór kasiński wydaje aż cztery naraz dekrety. Jeden z nich nakazuje gromadzie utrzymywać s k r z y n k ę g r o m a d z k ą, w którejby księgi sądowe były chowane pod potrójnem zamknięciem. W tejże skrzynce przechowane być mają prawa — i pieniądze ubogich sierot i insze rzeczy, należące do sądu. Porządkowych głównie przepisów wydał dwór aż 8 na podsędku z r. 1641. Z tych 4 odnosi się do karczem. Ktokolwiekby piwo przed kim wziął w karczmie, a wypił mu je, ma piwo zapłacić, a winy pańskiej groszy 15 postanawia dekret trzeci. Picie w karczmie pogranicznej karane jest grzywną 3 złotych, pożyczanie na role jest surowo zakazane. Dwór, upatrując w tem ukrytą lichwę odsądza pożyczającego od wypożyczonych pieniędzy i okłada go nadto winą 5 grzywien, zastawiającemu zaś oprócz kary pieniężnej grozi 30 plagami.

Ksiądz Kazimierz Napolski, przeor dominikański, w latach 1695—1702, zajął się z wielką gorliwością prawnemi stosunkami Kasiny. On to pierwszy kazał ekonomowi wystawić gąsior, w którym przestępcy mieli za karę siedzieć, on też najwięcej stosunkowo wydał ustaw. Stanowisko i obowiazki komorników, pańskie robocizny, obrona lasów, prawo propinacyjne, ściąganie podatków, podejmowanie żołnierzy, usuwanie nocnych napadów i t. p. to są główne przedmioty, których dotykają dekrety przeora Napolskiego.

Ostatnie ustawy dworskie dla Kasiny pochodzą od przeora Michała Barwińskiego a zostały wydane w r. 1767.

Jeśli pan dziedziczny był w zasadzie jedynym ustawodawcą dla swej majętności, toć przecie działalność w tym kierunku urzędu i gromady nie była całkowicie przytłumioną. Tak n. p. uchwaliła gromada przy prawie, aby nikt nie śmiał sprzedawać inszą miarą, tylko wielicką, a ktoby inaczej postępował, podpada panu karą kopy i powrozem w kłodzie ma otrzymać plag 20. Innym razem w r. 1623 gromada wydaje dekrety w sprawie opóźniania się na robotę pańską i obostrza je karą od 20—20 plag. W r. 1670 podczas obecności przeora występuje gromada przeciwko lekkomyślnym niewiastom i w ra-

zie, gdyby nie chciały pójść za mąż, lub do służby, nakazuje im za pierwszem przestępstwem uprząść przędziwa 6 łokci do dworu, tudzież odcierpieć plag 10, na wypadek nieopamiętania się mają być ze wsi wyświecone. Wójt z ławicą stanowią także samodzielne przepisy.

Atrybucye pana nie doznały atoli stąd uszczerbku. Przy wydawaniu ustaw gromadzkich, lub urzędowych, pan bywał najczęściej obecnym i tem samem swoją władzą utwierdzał wnioski, płynące z inicyatywy wiejskiej ludności. Formalnie zatem nie mogło być innych ustaw dla wsi, jak dworskie, ale czasami gromada, lub urząd za zgodą pana materyalnie wyręczała go w funkcyach ustawodawczych. Nie jest to okoliczność obojętna. Każdy objaw, zainteresowanie się włościan sprawami zarządu wsi, każde usiłowanie, żeby się przyczynić ze swej strony do utrwalenia porządku, swiadczy dodatnio o inteligencyi ludności wiejskiej i jej zdolności do skutecznego współdziałania w zaspakajania wspólnych potrzeb.

Pan był właścicielem wszystkich gruntów w danej miejscowości i starał się z nich wyciągnąć jak największe korzyści. Z jednej strony był folwark, w którym gospodarstwo było prowadzone na rachunek dworu przeważnie pracą poddanych, z drugiej grunta, uprawiane przez kmieci, zarobników i przymiarczan, z których oni opłacali t. zw. podatki czyli powinności albo opłaty dworskie.

Robocizny były wykonywane w stosunku do ilości trzymanego gruntu częścią pieszo, częścią z bydłem roboczem. Dwór pilnie uważał, ażeby gospodarz, trzymający dwie role, odpowiednie też odrabiał pańszczyznę. Kontrola była też ułatwioną przez samą gromadę, która była zobowiązana nietylko do składania w tym względzie relacyi na rugu, ale nawet i bez tego obowiązku nie omieszkałyby donieść o każdem nadużyciu ze strony poddanych. Rozczytując się w księgach gromadzkich, łatwo skonstatować, jak troskliwie wytykano sobie nawzajem najmniejsze wyróżnienia w powinnościach dworskich i jak bardzo pilnowano, aby rozkład ciężarów był sprawiedliwy.

Pańszczyzna była dla poddanych niezmiernio dotkliwym ciężarem, zwłaszcza, że począwszy od XVI. wieku ciągle wzrastała. Utrzymywano odrębne regestra, w których uwidoczniano: do ilu dni roboczych w roku był każdy mieszkaniec wsi zobowiązany.

Znaczny dochód dla dworu stanowiły czynsze i inne wypłaty, jak n. p. osep. Wysokość czynszów była bardzo różną.

Do wójta, należało ściąganie podatków, za co miał nawet pewne ulgi w odrabianiu pańszczyzny. Jeżeli jaka rola, lub zagroda została przyłączona do dworu, to dwór należne od niej podatki oddaje gromadzie, która jest odpowiedzialną wobec pana za łączną sumę wszystkich czynszów i opłat. Najcięższym był dla poddanych podatek żołnierski. Z jego powodu niektórzy gospodarze opuszczali role, tracąc tem samem swoje dziedzictwo. Dwór zwykle wglądał w okoliczności, które przemawiały za zwolnieniem poddanych od wszystkich, lub od połowy płatów i często uwzględniał zanoszone w tym kierunku prośby całej gromady, lub niektórych kmieci. Także ci poddani, których usługi dla dworu były szczególniej cenne, n. p. kowal, bednarz i t. d., otrzymywali opust albo zmniejszenie czynszu, jeżeli wykonywane przez nich roboty znaczniejszych dochodziły rozmiarów.

Z rozszerzaniem się między ludem wiejskim zamiłowania do gorących trunków, prawo propinacyi dziedzica wzrastało na wartości. Dwór kasiński wyrabia na własną rękę gorzałkę i piwo, utrzymuje w tym celu gorzałczanego i piwowara. Karczem jest dwie: jedna we wsi, druga na przymiarkach. Ustawy pańskie zabraniają sprowadzania obcych trunków z karczem pogranicznych, jakoteż picia poza Kasiną. Kary na przestępcow są znaczne i to tak pieniężne jak cielesne. Im dochód z propinacyi się powiększał, tem trudniej było dworowi zdobyć się na energiczne usuwanie i karanie pijaństwa.

Kary za rozmaite przestępstwa były w znacznej części pobierane w pieniądzach i szły jako winy pańskie na rzecz dworu. Szło głównie o odstraszenie zapomocą wysokich kar i możność okazania miłosierdzia pańskiego przez odpowiedne ich redukowanie.

Obok ustaw pańskich istniały także uchwały gromadzkie, których powstanie przychodziło do skutku za inicyatywą gromady. Ogół poddanych jednej majętności stanowił gromadę w najszerszem tego słowa znaczeniu. Gromada dzieliła się na dziesiątki, na których czele stali d z i e s i ę t n i c y. Z ksiąg kasińskich wynika, że dziesiętnik przestrzegał porządku wśród ciaśniejszej grupy, przekazanej jego opiece, napominał przestępnych kmieci i czuwał, ażeby poddani samowolnie pogranicznych ludzi u siebie nie trzymali na noclegu. Zdaje się więc, że przynajmniej znaczniejsze wsie dzielono zwykle na dziesiątki, a ustanowieni w nich dziesiętnicy obok wójta i urzędu i pod ich nadzorem wykonywali pewne funkcye policyjne.

Gromada obejmuje z jednej strony urząd t. j. wójta i przysiężnych, z drugiej pospólstwo t. j. resztę poddanych. Wójt i przysiężni stanowią gromadę t. zw. starszą. Jest prawdopodobnem, że do gromady starszej należą także dziesiętnicy.

Prawa i obowiązki gromady, jako ogółu poddanych, były bardzo znaczne. Wykonywała ona prawo prezenty w razie ustanowienia wójta i ławników przez pana dziedzicznego, miała udział w sądownictwie cywilnem i karnem, wybierała rugowników, wstawiała się do pana w rozmaitych sprawach — tak wspólnych jak pojedynczych mieszkańców wsi, brała inicyatywę wobec dworu co do zarządzeń niezbędnych dla dobra ogółu, ściągała podatki pańskie i była za ich całość odpowiedzialna, czuwała nad sprawiedliwą repartycyą podatku żołnierskiego, miała obowiązek donoszenia panu, lub jego faktorowi o nadużyciach na niekorzyść dworu popełnionych przez włościan, postrzegała, ażeby roboty pańskie należycie były wykonywane przez poddanych i t. d.

Poddani nie byli więc pozbawieni pewnej samodzielności i o ile każdy z nich z osobna nie wiele znaczył, to gromada, występując solidarnie, znajdowała prawie zawsze posłuch u pana i nie mały wywierała wpływ na sprawy bieżace. Ten charakter gromady jako reprezentanta i rzecznika wspólnych interesów poddanych zasługuje na szczególniejszą uwagę Gromada czuwa, żeby kontrakt, łączący poddanych z panem, był obustronnie ściśle wykonywanym. Dlatego pan, który z powodu przewinienia poddanego, chce go pozbawić roli, zarębku, lub zagrody, przedkłada stan rzeczy gromadzie i łącznie z nią odsądza winowajcę od dziedzictwa. Gromada stojąca na wysokości swojego zadania, utrzymywała wśród mieszkańców wsi poczucie i tradycye wolności i dlatego niedarmo w Kasinie, gdzie rozległy zakres ingerencyi gromadzkiej ciągle się daje widzieć, poddani nazywają się także „obywatelami“ kasińskimi.

Wójt jest głównym dygnitarzem wiejskim, zwierzchnikiem gromady z ramienia pana, przewodniczącym urzędu t. j. ławicy, złożonej z 7 przysięgłych czyli ławników. Naznacza go pan, ale gromadzie przesługuje prawo przedstawiania trzech kandydatów. Życzenia gromady, (pan) dwór tak ściśle uwzględnia, że księgi gromadzkie Kasiny mówią o wyborze wójta bardzo często w ten sposób — jak gdyby ta czynność wyłącznie zależała od gromady. Tymczasem zawsze domyśleć się trzeba potwierdzenia wyboru przez pana, chociażby o tem nie było wzmianki wyraźnej. Wójt, raz naznaczony zatrzymuje swój urząd, dopóki przez pana nie zostanie od niego zwolnionym.

Czasami sam o to prosi, czasem znowu gromada skarży się na wójta, i żąda jego usunięcia przez pana. Wójt w stosunku do pana jest zwykłym poddanym, tylko ma pewne ulgi w robociznach. Czynności wójta są albo sądowe, albo administracyjne. Sądu bez wójta zagaić nie można, dlatego jest on dla wymiaru sprawiedliwości według prawa niemieckiego niezbędnym. Przypilnowanie, aby wyroki sądowe i pańskie były ściśle wykonywane — stanowi główny obowiązek wójta. Jako organ egzekucyjny i reprezentant gromady, ściąga wójt podatki, za które gromada jest odpowiedzialna wobec pana.

U boku wójta stoją ławnicy przysiężni, mianowani i zaprzysięgani w podobny co on sposób. Najważniejszem ich zadaniem jest jurysdykcya cywilna i karna, wykonywana na sądach wielkich hajowych i podsędkach. Prócz tego mają oni wspierać wójta we wszelkich czynnościach administracyjnych i policyjnych. Tak samo jak wójt, obowiązani są ławnicy ściśle przestrzegać ustaw pańskich, a to pod utratą urzędu. Przy ferowaniu wyroków karnych, muszą stosować się do dekretów poprzednich, aby utrzymać jednolitość na wymiarze kar. Taksowanie ról należy także do atrybucyi ławicy.

W XVI. stuleciu, t. j. dopóki Kasina była w rękach świeckich, niema w księgach gromadzkich wzmianki o sądach rugowych czyli „rugach", które przypominają dawniejsze sądy synodalne frankońskie. Począwszy od r. 1602, widocznie pod wpływem nowych dziedziców, rugi odbywają się regularnie i na każdym sądzie rugowym jeden z ławników bywał wybierany przez gromadę na mowcę plenipotenta albo „rugownika". Zdaje się, że późniejszy „generał" kasiński jest niczem innem jak tylko zwykłym rugownikiem. Ławnik, zaszczycony tym wyborem, występował z ławicy i oddawał rug, t. j. był zobowiązany do wyjawienia wszystkich przestępstw, jakie się we wsi zdarzyły od czasu odprawienia ostatniego sądu rugowego. Począwszy od r. 1633, gromada wybiera dwóch rugowników, i to nie z pośród przysiężnych. Przyczyną tej zmiany była większa ilość przestępstw i wynikająca stąd dla jednego rugownika trudność zapamiętania ich wszystkich. Gromada miała obowiązek wspierania rugowników, wybieranych na każdorazowym rugu w ich wielorakich czynnościach.

Pisarzów stałych gromada zazwyczaj nie miała. Najczęściej pan polecał prowadzić księgi gromadzkie jednemu ze swych służebników. Tak czyniła n. p. pani Ewa Niewiarowska, używając do tego celu Marcina Wajnholta. Gdy Kasina dostała się krakowskim Dominikanom, spełniał czynności

pisarskie zwykle który z zakonników. To jest też powodem, dlaczego księgi kapłańskie wyróżniają się tak korzystnie pośród innych. W innych wsiach pisarzami byli każdorazowi organiści, lub zakrystyanie. Ich nieuctwo utrudnia obecnie korzystanie z wielu ksiąg gromadzkich, pisanych niesłychanie niedbale i to pod każdym względem.

Prócz wymienionych urzędników miała Kasina jeszcze woźnych, mianowanych przez dwór, którzy asystowali wójtowi w czasie odprawiania sądów i spełniali jego polecenia. O kacie mowa jest dwukrotnie w księgach kasińskich. Nie jest jednak prawdopodobnem, ażeby utrzymywano we wsi osobnego kata, tem mniej, ponieważ w razie potrzeby, niezmiernie rzadkiej, było go łatwo sprowadzić z jednego z sąsiednich miasteczek.

Poddani, należący do gromady dzielili się na rozmaite kategorye, jako to: kmieci czyli rolników, zarębników, zagrodników, chałupników i komorników. Prócz tego należy rozróżnić mieszkańców samej Kasiny i tych, których role, zarębki, lub zagrody znajdowały się na przymiarkach czyli tak zw. „słomczaczy“ lub „przymiarczan“.

Przymiarki są to grunta, powstałe przez wykarczowanie lasu poza pierwotną miarą, t. j. temi łanami, które przy lokacyi wsi zostały wyznaczone pierwszym osadnikom (kolonistom), przybyłym do Kasiny. Kmiecie czyli rolnicy trzymali całe role, zarębnicy siedzieli na zarębkach czyli półrolkach, zagrodnicy mieli tylko chałupę i kawał gruntu, starczący na wyżywienie. Chałupnicy zbliżali się bardzo do zagrodników, ale istniała między nimi różnica, bo z chałupnika stać się można było zagrodnikiem przez nabycie większego kawałka pola. Nareszcie komornicy i domownice nie mieli własnego domostwa i mieszkali w chałupach kmieci, zarębników, zagrodników, lub chałupników, którzy w stosunku do komorników odróżniani bywaju nazwą „gospodarzy“. Komornicy zatem stanowią proletaryat wiejski i nietylko podlegają dworowi jak inni poddani, ale są jeszcze poniekąd zależnymi od gospodarzy.

Kmieciem, zarębnikiem, zagrodnikiem, lub chałupnikiem można się było stać albo na mocy prawa dziedzicznego, albo na podstawie nadania pustych ról, zarębków, zagród, lub chałup przez pana, albo nareszcie przez kupno; komornikiem lub komornicą najczęściej na mocy wymówienia czyli zastrzeżenia sobie przy sprzedaży dziedzictwa prawa do mieszkania dożywotnego w chałupie oraz używania kilka zagonów pola.

Prawo dziedziczne czyli naturalne albo sukcesyonalne do roli, albo zarębku i t. d. występowało jako prawo bliższości, bądź jako prawo pierwokupu. Realizowanie prawa bliższości polegało na wykazaniu pokrewieństwa z ostatnim kmieciem, lub zarębnikiem: byleby tenże nie utracił dziedzictwa w sposób wykluczający od roli, lub zarębku także jego spadkobierców. Prawo pierwokupu zapewniało dziedzicom, sprzedającym swą ojcowiznę, lub dziadowiznę pierwszeństwo przed wszystkimi, którzyby daną rolę, lub zarębek chcieli w dalszym ciągu kupić od pierwszego nabywcy.

Dziedzictwo z zasady idzie na mężczyzn, a nie na niewiasty, bracia zatem wykluczają siostry. Dlatego siostra, której sąd przyznaje prawo bliższości do roli braterskiej, nietylko musi złożyć cenę kupna, otrzymaną przez brata, ale tak długo nie osiągnie posiadania odkupionego dziedzictwa, dopóki nie wyjdzie za mąż. Ten, który się do niej przyżeni nazywa się „wstępniem“.

Gdy poddany umarł bezpotomnie, jego dziedzictwo przechodziło na dwór. Role, opuszczone przez kmieci, albo odebrane im z powodu złej gospodarki, lub nieuiszczenia dworskich powinności, pan starał się jak najrychlej na nowo osadzić. Przychodziło to do skutku przez nadanie roli, zarębku, zagrody, lub chałupy dziedzicznem prawem, przyczem dwór zawierał kontrakt z nowym poddanym, tak względem ceny kupna, jak dopełnienia poddańczych obowiązków. W wielu bardzo wsiach widywano w takim wypadku osobne dokumenty czyli karty, opatrzone pieczęcią pańską. W wielu miejscowościach zbyt wielkie robocizny i powinności, jak niemniej napady nieprzyjacielskie n. p. we wschodnich województwach tatarskie, wyludniały wsie z poddanych do tego stopnia, że trzeba było na nowo przeprowadzać całe osadnictwo, ażeby pola nie leżały odłogiem.

Poddani niższej kategoryi, t. j. zarębnicy, zagrodnicy i chałupnicy, byli obowiązani na wezwanie dworu objąć role puste, które pan im wyznaczał. Często nie był to interes korzystny, a wówczas poddani, wymawiający się od objęcia roli składali kwotę, potrzebną na osadę kmiecia i za tę cenę pozostawali przy swem pierwotnem dziedzictwie.

Dwór nadawał grunta nietylko prawem dziedzicznem, ale także wydzierżawiał je, lub wynajmował, albo też nareszcie oddawał je w dożywocie. Tylko w pierwszym wypadku gospodarz był doskonałym, w każdym innym był jedynie gospodarzem doczesnym. Czasem grunta dworskie otrzymywali pod-

dani sposobem dzierżawy, a dopiero po pewnym czasie i po wypróbowaniu ich pracowitości uzyskiwali przywilej na dziedzictwo.

Do niektórych ról i zagród były przywiązane pewne specyalne obowiązki. Tak była rola młynarska, którą trzymał każdorazowy młynarz, zagroda bednarska, przeznaczona dla poddanego-bednarza, chałupa kowalska, której każdorazowy właściciel oddawał dworowi 1000 gwoździ gontowych i t. d. Sprzedać rolę, zarębek, lub zagrodę można było tylko za dozwoleniem pańskiem, inaczej transakcya była nieważna. Kupujący składał cenę kupna swemu poprzednikowi i wstępował w jego miejsce.

Robocizny i powinności poddanych zależały od zajmowanego stanowiska w gromadzie czyli od kategoryi, do której oni należeli. Repartycya nie zawsze była sprawiedliwą, stąd utyskiwania, które pan najczęściej uwzględniał.

Utrata dziedzictwa następowała wskutek sprzedaży roli, lub zarębku po dopełnieniu przepisanych formalności prawnych, albo wskutek czynów karygodnych, które pociągały za sobą odebranie dziedzictwa przez pana. Niezgodne pożycie, pustoszenie budynków, niemożność wypłacenia grzywien sądowych, zapuszczenie gospodarstwa, zdrada pana i gromady, niezgłoszenie się w porę z prawem bliższości, to były najczęstsze wypadki, w których poddany narażał się na utratę ojcowizny. Dwór jednak mógł winę darować i przestępcę zachować przy roli, wymierzając dlań inny rodzaj kary.

Dwór wykonywał sądownictwo nad poddanymi z obowiązku. Poddany bowiem nie miał poza wsią żadnego sądu, do którego się mógł udać, a wskutek tego cała jurysdykcya cywilna i kryminalna należy do zakresu instytucyi wiejskich.

Organizacya sądów wiejskich polega na prawie niemieckiem — magdeburskiem. Z upływem jednak czasu na podstawie instytucyj prawnych niemieckich, rozwijało się w polskich wsiach samodzielne prawo zwyczajowe; a obok niego wchodziły jeszcze w zastosowanie ustawy pańskie. Co prawda: ustawodawstwo dworu uwzględnia przeważnie sprawy karne i administracyjne, ale czasami dotyka także stosunków prawnoprywatnych.

Sądy były albo wielkie gajone czyli doroczne, bo raz w roku bywały zagajone, albo podsądki, które znacznie częściej się odbywały. Sądy rugowe albo walne nie różnią się niczem od sądów gajonych; są to więc odmienne nazwy tej samej instytucyi. Obok podsędków zbierają się jeszcze tak

zwane „gromady“, które prawdopodobnie identyczne są z podsędkami.

Na sądach gajonych, zwłaszcza wielkich, pan, lub jego reprezentant jest często obecnym. Zagajenia sądu dokonywa wójt, którego współudział przy tym akcie jest niezbędny. Oprócz ławników uczestniczy w sądach gromada; wymiar sprawiedliwości jest jawnem, postępowanie ustnem. W sprawach karnych rolę instygatorów zajmuję rugownicy, którzy są obowiązani donosić o przestępstwach, dokonanych we wsi. Istnieje także sąd dworski w ścisłem tego słowa znaczeniu, który funkcyonuje nie w domu sołtysa, lub w karczmie, ale we dworze pańskim. Sąd ten załatwia przedewszystkiem sprawy mniejszej wagi, o których pan, albo jego starosta orzeka bez współudziału wójta i ławicy. Zwykle jednak udawały się sądy i w sprawach potocznych do sądów wielkich, lub podsędków.

W obszerniejszem znaczeniu wszystkie sądy wiejskie są dworskiemi, dlatego pan ma prawo wglądać bezpośrednio w jurysdykcyę, wykonywaną przez sądy wielkie i podsędki, przyjmować zażalenia stron, zmieniać wyroki wójta i ławników, łagodzić naznaczone przez nich kary i nareszcie karać urząd, dopuszczający się niesprawiedliwego orzeczenia.

Oprócz spraw spornych interweniował sąd także przy sprawach niespornych, jak sprzedaż, lub opuszczenie roli, ustanowienie posagu, wiana i t. d. Dowód przeprowadzano najczęściej zapomocą świadków, lub przysięgi.

Działy, spadki, testamenty, opłaty długów, zastawy roli, spisy ruchomości, szacunki ról i zagród i mnóstwo innych spraw było przedmiotem działalności sądu, który oprócz tego wykonywał jeszcze nadzór nad opiekunami małoletnich i rachunki, składane przez opiekunów sprawdzał i do ksiąg sądowych wpisywać kazał.

Przewodniemi myślami jurysdykcyi kryminalnej nad poddanymi był z jednej strony wzgląd na korzyść ekonomiczną dworu, z drugiej staranie, aby się stało zadosyć wymaganiom sprawiedliwości. Pan był bezpośrednio interesowanym tak w ścisłem zachowywaniu przez poddanych ustaw dworskich, które zwykle były obostrzone surowemi karami, jak w utrzymaniu zgodnego pożycia wśród mieszkańców swej majętności. Począwszy od 17 stulecia większa intenzywność w wykonywaniu jurysdykcyi karnej daje się wszędzie uczuć, a fakt ten stoi w bliskim niewątpliwie związku z wzmagającem się ciągle dą-

żeniem dworów do urzeczywistnienia szerokich atrybucyj, jakie posiadały w stosunku do swych terytoryów i poddanych.

Sądy rugowe ścigają energicznie nietylko przewinienia poddanych wobec dworu, ale także te, których włościanie się dopuszczają jeden względem drugiego, lub które obrażają porządek domowy, przepisy religii i moralności.

Postępowanie jest inkwizycyjne: rugownicy z jednej strony, gromada z drugiej mają obowiązek donoszenia o każdem przekroczeniu bądź dworowi, bądź na rugu wójtowi i ławicy, a przemilczenie czegokolwiek karane bywa plagami. Najcięższem przestępstwem jest zabójstwo, karane ścięciem.

Sąd wglądał także w domowe pożycie męża z żoną, wspólników na jednej roli i w tej samej siedzących chałupie braci, prowadzących społem gospodarstwo i t. d. Niektórzy poddani nie zadawalniali się uprawą roli, ale szukali zysków, bądź trudniąc się lichwą, bądź nierzetelnem kupiectwem. Dwór w obu razach występował z całą surowością: dłużnika uwalniał z rąk lichwiarza, okładając tegoż karą 5 grzywien i siedzeniem w kozie, za bankructwo zaś skazywał na utratę dziedzictwa.

Fałszywe świadectwo uchodziło za obrazę Boga, dworu i sądu; z tego powodu było surowo karane grzywną i plagami aż do 100.

Kto nie bywał w kościele w święto, lub chodził do kościoła obcego, brał plag 12. Praca w polu w niedzielę pociągała tęż samą karę, albo też obowiązek złożenia 2 par świec woskowych na kościół. Za picie gorzałki w dzień świąteczny składał winowajca albo funt wosku do kościoła, albo przez 3 święta siedział w kunie u fary.

W istnienie czarów i czarownic wierzyła w Kasinie nietylko gromada, ale i pan, t. j. klasztor dominikański. Toż kilkoro osób spalono żywcem na stosie.

Utrzymanie moralności pośród włościan leżało bardzo na sercu dworowi kasińskiemu. Pod tym względem gromada wchodziła bardzo gorliwie w intencye pańskie, a rugowi bez miłosierdzia donosili o wszystkich, niestety! dość licznych tego rodzaju przekroczeniach, jakich się dopuszczali obywatele i obywatelki kasińscy. Kary były rozmaite, często bardzo surowe; od kilkunastu plag aż do wyświecenia ze wsi, a nawet spalenia na stosie! Lecz dwór okazywał zwykle więcej miłosierdzia, aniżeli ławica i zadawalniał się zastósowaniem obok kary cielesnej najróżnorodniej obmyślanych pokut publicznych.

System kar, zastósowanych przy wykonywaniu jurysdykcyi kryminalnej w Kasinie polega częściowo na przepisach prawa

magdeburskiego, częściowo jest zależnym wyłącznie od uznania dworu, lub sądu. Począwszy od 17 stulecia jednak wyrabia się w obmyślaniu kar pewna praktyka, która jednak określa tylko rozmaite sposoby karania, ale nie doprowadza do zupełnej jednolitości przy wymierzaniu kary w pojedynczych wypadkach. Dyskrecyonalna władza dworu jest tem większą: im bardziej ustawodawstwo pańskie bierze górę nad pierwotnem prawem niemieckiem. Pan, mogący w przedmiocie sądownictwa karnego wydawać ogólne normy, nie czuje się skrępowanym wyrokami, wydanemi poprzednio w podobnych sprawach, ale za każdym razem arbitralnie karę ustanawia, a za przykładem pana idą sądy rugowe.

Rozmaitość i stopniowanie kar jest nader wielkie; kara śmierci przez ścięcie lub spalenie, w zasadzie istnieje, ale bywa stósowaną w ostatniej formie tylko na czarownicach.

Z wykonywanych w istocie kar najcięższą jest „wyświecenie“ czyli wydalenie z gromady.

Więzienie czyli turma występuje bądź jako areszt śledczy, bądź jako środek egzekucyjny przy ściąganiu win dworskich, bądź nareszcie jako samodzielna kara za lekkie przewinienia, albo jako uzupełnienie innej kary cielesnej, lub pieniężnej.

Plagi, wymierzane postronkiem we dwójkę, albo rózgami czyli miotełkami należą do najczęściej używanych środków karnych i nie zdaje się, ażeby bardziej były znienawidzone od kar pieniężnych.

Rozczytując się w księgach kasińskich doznaje się początkowo wrażenia, jakoby jurysdykcya karna w Kasinie była niesłychanie srogą i nieludzką. Zwłaszcza ówczesny zwyczaj kombinowania kar i zamieszczania w wyroku rozmaitych zaostrzeń, dzisiaj niepraktykowanych, uderza nieobeznanego z kryminalistyką europejską 16 i 17 stulecia, a częściowo i 18 wieku. Kto jednak zapozna się z treścią ówczesnych kodeksów karnych, nabędzie przekonania, że w porównaniu z miastami francuskiemi, holenderskiemi, lub niemieckiemi Kasina nie mogła się skarżyć na zbytnią surowość w karach, owszem uważać się mogła za uprzywilejowaną, nie będąc widownią tortur i strasznych męczarni, które gdzieindziej skazańcy ponosili aż do schyłku 18 stulecia.

Sąd kasiński chętnie nakłaniał strony do zawarcia ugody i nierzadko poprzestawał na zarządzeniu wzajemnych przeprosin. Czuć także, że przy doborze różnorodnych środków karnych kierowała dworem nietylko dążność do odstraszenia poddanych od popełniania przestępstw, ale także pragnienie, ażeby

winowajcę sprowadzić na drogę poprawy. Pokuty kościelne miały niewątpliwie temu służyć celowi.

Wieś polska, osadzona na prawie niemieckiem miała za zadanie czynić zadosyć wszystkim prawnym i ekonomicznym potrzebom zamieszkujących ją ludzi. Pierwotnie między miastem a wsią różnica była niewielka. Dopiero z czasem niektóre miasta wyrobiły sobie odmienną, doskonalszą organizacyę, ale pomniejsze miasteczka pozostały zawsze bardzo podobne do wsi. Kasina również tak była urządzoną, że poddani mogli w jej obrębie zaspakajać całkowicie skromne swe wymagania. Z jednej strony wymienić tu należy kościół, cmentarz i szpital, z drugiej księgi prawne, skrzynkę gromadzką, więzienie i gąsior, a nareszcie karczmę, młyn, kramy oraz rozmaitych rzemieślników jak szewca, bednarza, kowala, a prócz tego balwierza czyli cyrulika, który spełniał czynności lekarza i chirurga gminnego.

W kościele nietylko odbywała się służba Boża, ale także spełniano pokuty publiczne, nałożone wyrokiem sądowym na winowajców. Na rzecz kościoła szły niektóre pieniężne grzywny i kary w wosku i świecach. Przed kościołem znajdowała się kłoda albo kuna, t. j. pniak drewniany, do którego wsadzano przestępców za nogi. W r. 1695 zastąpił drewnianą kunę gąsior, sporządzony z żelaza.

Szpital znajdował się poniżej karczmy naprzeciwko stawu młyńskiego; jako uposażenie służyła szpitalowi osobna rola, zwana szpitalna.

Karczma była miejscem zabaw, ale także posiedzeń sądowych. Najście karczmy, lub niespokojne zachowywanie się w niej ulegało surowym karom. Z orężem, kijami, lub siekierami nie wolno było wchodzić do karczmy. Kto na wezwanie karczmarza nie oddał mu broni do przechowania, płacił groszy 15 i brał tyleż plag.

Karczmarz szynkował trunki, dostarczane mu z gorzelń i browaru pańskiego, napitków pogranicznych nie mógł sprzedawać. Na wesela poddani mieli piwo i gorzałkę kupować wprost we dworze, a nie od karczmarza. Karczem było w Kasinie dwie: jedna we wsi, druga na przymiedzkach.

Młyn przynosił równą korzyść panu i włościanom. Niegdyś za czasów pierwszych opodatków odgrywał we wsi rolę bardzo wybitną.

Księgi gromadzkie, zwane także dekretowemi, rugowemi, prawnemi, lub sądowemi, były prowadzone w Kasinie prawdopodobnie jeszcze w XV stuleciu. Najdawniejsze jednakże za-

ginęły. Dla poddanych stanowiły one wielkie dobrodziejstwo. Wszystkie sprawy gruntowe i kontrakty zapisywano do ksiąg i przez to stosunki prawne między dworem a poddanymi, oraz pomiędzy mieszkańcami wsi zyskiwały na pewności i trwałości. Ustawy pańskie i gromadzkie wciągano również zaraz po ich wydaniu do ksiąg.

W r. 1626, dekret pański nakazał utrzymywanie skrzynki gromadzkiej. Ta skrzynka pozostawała niewątpliwie w ręku i pod strażą wójta. Na mocy ustawy pańskiej z r. 1788, jeden klucz od skrzynki miał być we dworze, drugi u wójta, trzeci u jednego z przysiężnych.

W skrzynce tej przechowywano księgi gromadzkie, grzywny, płynące na rzecz gromady oraz prawa i pieniądze sierocińskie. Zwyczaj utrzymywania skrzynek gromadzkich dochował się dodziśdnia; obecnie jednak nazywają się one wójtowskiemi. Szkoda tylko, że po większej części brak już w nich dawnych ksiąg sądowych, których miejsce zajmują nowsze akta, często nie mające żadnej wartości.

Uczucia i wrażenia rannych.

Żołnierze, którzy brali udział w bitwie, często są wypytywani o czem myśleli i jakie mieli wrażenia w chwilach krytycznych. Każdy niemal pytający jest pewny, że w odpowiedzi usłyszy historyę tragiczną, pełną grozy; tymczasem doznaje rozczarowania. «Nie myślałem o niczem, nie czułem rany» — odpowiadają badani. Wydaje się to dziwnem, a nawet nieprawdopodobnem; przecież proste skaleczenie sprawia tyle bólu, sama myśl o wojnie zgrozą przejmuje, a żołnierz nie czuje rany, zadanej przez odłam granatu lub kulę karabinową, nie doznaje wrażeń wśród grzmotu dział i żniwa śmierci? Tak jest; tę niby nadzwyczajność łatwo można wytłómaczyć.

Podczas bitwy wszystkie nasze nerwy mają działalność zwróconą w jednym kierunku, widzimy przed sobą cel jeden tylko: to naprężenie jednostronne nie pozwala na wrażenia duchowe lub zmysłowe. Skaleczenie, upadek, przestrach i inne wypadki życia codziennego odczuwamy silnie, ponieważ umysł nasz i zmysły nie znajdują się w stanie owego podniecenia w jednym kierunku. Amerykanin Kilmer i Francuz de Varigny zebrali wiele ciekawych danych, potwierdzających opowieści rannych.

Żołnierz, biorący udział w wojnie amerykańskiej, otrzymał postrzał w nogę, mimo to nie przestał walczyć, nie zachwiał się nawet; dopiero gdy mu towarzysze powiedzieli, że jest rannym — upadł. Rana była śmiertelną. Oficer, chcąc się rozpatrzeć po okolicy, wlazł na stos desek; nagle spada, a podnosząc się uczuwa ból w kostce. Sądził, że się stłukł tylko, a to kula strzaskała mu stopę; obie rany były ciężkie, a ból przy jednej żaden, przy drugiej nieznaczny. Rany lekkie często sprawiają dotkliwe cierpienia; bywają wypadki, że pocisk nie zadraśnie skóry, uderzy tylko o ciało, powodując guz, a uderzonemu się zdaje, że jest przeszyty gradem kul.

Mniejsze lub większe uczucie bólu zależy od nastroju psychicznego rannego, także od rodzaju rany i jej rozmiarów. Rany śmiertelnej można nie czuć, jeśli jest mała; przeciwnie, rana lekka, niech to będzie zdarcie skóry, wywoła szalony ból, jeśli jest wielka. Innemi słowy: uczucie bólu zależy od tego, jak wiele środków nerwowych zostało dotkniętych.

Rodzaj bolu zmienia się względnie do rany; skaleczenie powierzchowne (mówimy o zadanych bronią palną) sprawia wrażenie oparzelizny; kontuzyi, połączonej ze zgruchotaniem kości, towarzyszy kłucie i strzykanie; jeśli kość jest uderzona, ale nie złamana, przestrzeń dokoła rany drętwieje, po chwili dopiero uczuwa się ból; zranienie muskułu, ścięgna, wywołuje uczucie szarpania, darcia.

Utrzymują niektórzy, że wrażenia jednocześnie otrzymywane, albo się unicestwiają, albo przeważa silniejsze; zasada ta, znana z fizyki, nie zawsze znajduje potwierdzenie na polu bitwy. Kilmer na dowód przytacza oficera, który otrzymał trzy rany, jedną po drugiej — w udo, ramię i głowę; zapytany o wrażenia, odpowiedział, że czuł ból wszystkich trzech kontuzyj wyraźnie i silnie. To nie zbija przytoczonego wyżej spostrzeżenia, że rany, otrzymane w stanie nadzwyczajnego podniecenia, jeżeli nie porażają natychmiast działalności życiowej i nie tamują ruchów, to przez dość stosunkowo długi przeciąg czasu nie sprawiają bólu. Uczony niemiecki, Heim, mówi, że ludzie, którzy upadając tłuką się mocno, a jednocześnie kości ich ulegają złamaniu, nie czują na razie bólu, nie wiedzą, który z członków został uszkodzony, dopóki leżą bez ruchu; dopiero gdy usiłują się podnieść uczuwają ból. Upadek ze znacznej wysokości nie zawsze bywa bardzo bolesnym. Whymper runął z alpejskiego wierzchołka w przepaść, a chociaż spadając, uderzał się o skały i srodze potłukł, nie cierpiał wcale. A oto przykłady znieczulenia bólu skutkiem zapału (podniecenia):

Pewien generał odbywał na czele oddziału zażartą utarczkę, mającą zdecydować o losie bitwy. Zwyciężył, lecz natychmiast po walce musiano go zsadzić z konia, tak go osłabił upływ krwi z rany, którą otrzymał w nogę, chociaż w szale walki nie czuł tego. W tej samej utarczce, żołnierz, wzięty do niewoli, wraz z kolegą, szedł za oficerem, rozmawiając swobodnie, lecz od czasu do czasu przystawał. Gdy mu oficer rozkazał przyśpieszyć kroku, pokazał ranę na nodze. W obozie oddano go do lazaretu, chirurg uznał ranę za lekką; nagle, podczas opatrunku, pacyent zmarł; wtedy przekonano się, że otrzymał drugi postrzał śmiertelny w piersi, którego nie czuł wcale.

Zdarzają się wypadki nieczułości przy samowiedzy. Porucznik otrzymał kontuzyę w nogę; uczuł ją, mimo to wydawał rozkazy, chodził, co trwało blisko kwadrans. Generał Johnston został raniony podczas szarży; spostrzegł ranę, lecz nie przestał walczyć, dopóki go upływ krwi sił nie pozbawił.

Przy ranach lekkich zauważono wypadki porażeń, mających pozór śmierci. Kapitan leżał w zasadzce, z karabinem przygotowanym do wystrzału; nagle doznaje uczucia, jak gdyby go kto przygwoździł do ziemi prętem żelaznym, który przeszył mu rękę lewą, kolumnę pacierzową i serce. Uczucie było bardzo bolesne; kapitan słyszał co się dokoła niego dzieje, ale poruszyć się nie mógł. — Raniony! — odezwał się jeden z kolegów. — Gdybyż raniony... biedak już nie żyje — dodał inny. Oględziny wykazały, że kapitan leżąc, trzymał lewą rękę przy sercu, zbłąkana kula nieprzyjacielska, trafiwszy w guz metalowy munduru, znajdujący się na rękawie, spowodowała tylko zadraśnięcie skóry, lecz uderzenie z kości, pomiędzy łokciem a dłonią, przyciśniętej do piersi, udzieliło się oponie sercowej i wywołało porażenie serca.

Inny oficer, rażony kulą, upadł, jak się zdawało, bez życia. Stało się coś dziwnego. Ranny słyszy rozkaz kolegi: — Zanieść zwłoki na miejsce bezpieczne! — a sam słowa przemówić, ani się poruszyć nie może. Dwóch szeregowców zbliża się do niego. — Co to jest? — Podnoszą głowę tylko, resztę ciała zostawiają. — Ależ to barbarzyństwo! — utyskuje mniemany nieboszczyk. — Kto słyszał odłączać głowę od kadłuba. Com ja wart teraz? Oszaleli doprawdy. — Stara się wszelkiemi siłami zwrócić uwagę szeregowców, lecz naprożno. — Ha! stało się... — monologuje w dalszym ciągu — przecież kiedyś znajdę resztę kości... No, no... nigdy nie myślałem, żeby głowa mogła się obejść bez innych części ciała. Rozumowania przerwał ból poniżej czaszki. — Do licha! — krzyknął nieboszczyk — mam coś więcej,

niż głowę... — Kontuzyonowany przekonał się, że kula strzaskała mu obojczyk, a siła uderzenia poraziła ośrodki mózgowe, skutkiem czego nastąpiła chwilowa śmierć pozorna.

Aktor, udający umierającego na polu bitwy, stara się wywołać efekt jak największy — więc «robi śmierć» najwrażliwiej. Nic go nie obchodzi, że fizyolog i psycholog uśmieją się z jego nieuctwa, zresztą on świadomie gesta konającego wedle swego widzimisię przekształca, bo przecież tu mu chodzi nie o dyplom naukowy, ale o oklaski, o starganie nerwów publiczności. Więc rażony szałem, lub innego rodzaju ciosem śmiertelnym, słania się, twarz wykrzywia, jak po wypiciu kwasu octowego, oczami przewraca — wreszcie upada, zawsze z gracyą... Śmierć taka jest możebną w innych warunkach, gdy człowiek umiera z choroby, lub gdy cios nie pozbawia go życia odrazu. Żołnierz na polu bitwy zwykle słania się, upada, bez żadnych gestów i wykrzywień; ręce tylko wykonywają kilka poruszeń (odruchów). Tak samo umierają rozstrzelani. Obserwowano żołnierza, który otrzymał kulą cios śmiertelny; zachwiał się usiadł, wreszcie wyciągnął się na ziemi, nie zdradzając bólu. Nic w tem dziwnego: bolu być nie może, gdzie samowiedzy niema, a śmiertelne porażenie ją odejmuje. Często na polu walki, na barykadach, znajdujemy poległych w pozycyi, jaką w chwili śmierci mieli; ten trzyma szablę przygotowaną do cięcia, ów bagnet podniesiony — twarze nie noszą śladu agonii; patrząc zdaleka, możnaby sądzić, że to obraz żywy.

Takie są wrażenia, gesty i uczucia ranionych na polu bitwy; aktorzy, powieściopisarze i malarze, inaczej je przedstawiają, obałamucając czytelników.

Wyjątki z różnych dawnych mów weselnych.

Wiadomo jest każdemu z jakim przepychem w starożytnej Polsce odbywały się nietylko publiczne, lecz domowe i familijne obrządki, chrzty, wesela, pogrzeby. Tam się to w całym blasku okazywała narodowa gościnność; tam się spajało i utwierdzało obywatelskie między szlachtą braterstwo.

Lecz obok uczt, biesiad, tańców, gonitew, głównym warunkiem i okrasą każdego podobnego obrzędu, była wymowa. Stąd przysłowie: wprzęd nim Bachus biesiaduje, mądra Pallas peroruje. Wymowa w Polsce, uważaną była nietylko jako wielka

zaleta, lecz jako przyrodzona potrzeba każdego obywatela. Ona to obok innych zasług, sadzała go na senatorskich krzesłach: otwierała mu izbę poselską; dawała moc i przewagę na sejmikach i sejmach, jednała wziętość i sławę w narodzie, i nakoniec w każdym domu, na każdej uroczystości, miłym go i pożądanym gościem czyniła.

Najznakomitsi w kraju urodzeniem, urzędem i nauką mężowie i senatorowie, Biskupi, hetmani, nie wzbraniali się bynajmniej krasomowskiej posługi, na prywatnych nawet obrządkach, skoro ich do niej krwi związek, lub uprzejmy gospodarz powołał; owszem wezwanie takowe, uważano za wyrządzony wezwanemu zaszczyt.

To też powiedzieć można, że jeśli Polska jak inne kraje nie miała swojej własnej poezyi narodowej, miała za to swoją własną narodową wymowę, która w niej miejsce tamtej trzymała; wymowę historyczną, malującą nietylko stan uprawy języka, oświecenia i gustu, lecz oraz duch i charakter narodowy, zwyczaje i obyczaje każdej z epok czasu; a nadto, jak gdzieindziej poezya, przechowująca w sobie mnóstwo historycznych i familijnych pamiątek i podań.

Bo zwykłą treścią mów, na prywatnych zwłaszcza obrzędach miewanych, było wyliczanie imion, cnót, dzieł i zasług przedków, po mieczu i po kądzieli, aby wzorem ich potomków i słuchaczów do naśladowania zachęcić. N. p. na weselach, nim młoda para weszła na kobierzec, ojciec, brat, lub uproszony przez nich krewny panny młodej, oddawał ją uroczyście w ręce oblubieńca, okazując w stosownej mowie chwałę i zaszczyty domu, z którego żonę wybiera, wszystkich krewnych i powinowatych, z któremi się przez nią ma złączyć, i taka mowa zwała się oddawaniem panny; odpowiedź zaś na nią w podobnymże guście ze strony pana młodego, dziękowaniem za pannę. Poczem następowała trzecia jeszcze mowa, dającego ślub księdza, który już tylko świętość Sakramentu, lub obowiązki chrześcijańskiego pożycia, młodej parze wystawiał.

Jeśli król, jak się w możniejszych familiach zdarzało, był na weselu przytomny, wszystkie mowy zaczynały się od apostrofy do niego, a przynajmniej od aluzyi do owego zaszczytu, jaki przez to rodzinę oblubieńców i ich samych spotykał. Mów podobnych rodziło się nieskończone mnóstwo po różnych stronach Polski; te jednak w rękopismach tylko zwyczajnie zostając, koleją czasu zbutwiałe albo zniszczone, wyszły dziś tak dalece z wiadomości powszechnej, że ze słuchu tylko wiedząc o nich, że były, wyobrażenia prawie o ich duchu i toku nie mamy;

i dziwimy się, jak nadzwyczajnej osobliwości, jeśli w znanej książce, jak n. p. w pamiętnikach Paska, coś podobnego znajdziemy.

Następujące wyjątki, które jako próbę dawnej naszej w tym rodzaju wymowy umieszczamy, wzięte są z dawnego, a nader rzadkiego już dzieła Ostrowskiego, pod tytułem: «Swada polska i łacińska, albo Miscellanea oratorskie, sejmowe, weselne, kaznodziejskie etc. dla pożytku i pochopu w każdej materyi audytorów Eloquencyi, do druku podane 1745 roku.

Mowa J. W. Krzysztofa Zawiszy, wojewody Mińskiego, oddając siostrę swoję I. M. P. Piotrowi hrabiemu Tarnowskiemu 1690.

Czas ten, który wojennym zabawom koniec czyni, który walecznego Marsa uwalnia od trudu, i sfatygowanego ustawicznie pracami żołnierza, miłym kontentuje odpoczynkiem, dając mu wszelkie do uspokojenia się folgi i dyspensy; listopad mówię, tempus, quo bella quiescunt do wojny obiera Himeneusz; nie uważa pory, prawa nie mający: verus amor nullum noscens habere modum. I nie dziw! ma bowiem racyę, aby snać jesienią oziębionych, ta zagrzała igraszka; sam za największą ponętę mając dla siebie tryumfy, zwycięstwa i hołdy.

Wojowała ta bohaterska miłość od samego początku stworzenia człowieka, i co za efekt uczyniła, znać dały feralne, na cały świat ogłoszone gazety. Jadowita miłości strzała Dafnidę z ludzkiej wyzuwa postaci, obraca w drzewo. Nie wstrzymuje podobnychże impetów Galatea. Fillis toż dla niej ginie, i ledwie pamięć imienia zostawuje na drzewie.

Tak to jest mocna miłość; takiej jest siły, tak niebezpieczna z nią wojna. Wypowiedziała miłość wojnę, ogłosiła certamen, zaczęła luctam w sercach szczęśliwie łączącej się dziś pary; i żeby pożądańszy wzięła efekt, do serdecznych ich fortec swoje zawiodła garnizony.

Cóż za skutki na dzisiejszym placu? oto wygrała miłość, i tak znaczną otrzymała Wiktoryą, że mogę rzec: oboje zwyciężeni victus uterque fuit. Znasz się naprzód być zdewinkowanym Mci panie Amor [1]) hrabio na Tarnowie Tarnowski, przyjaźnią siostry mojej, Imci Panny Starościanki Bracławskiej, tak dalece, że cię już amor album mutavit in alitem; zdewindyko-

---

[1]) Amor, przydomek Tarnowskich.

wałeś oraz przyjaźne jej serce, i co patronowi twemu przypisał symbolista, tobie słusznie przyznać: remoras nescit amor.

A kiedy tak wygrawa, tak tryumfuje ta nad wami bohaterka, nic nie należy, tylko onej wspólny hołd, homagium złożyć. Oddaj haracz miłości mci panie hrabio, w osobie tej damy afektem i przyjaźnią zniewolonej, a na znak wiecznego hołdu oddaj jej serce. Zwyciężyła miłość przez WM. pana, jejmość M. pannę; wzajemnie więc od niej serce odbierz, bez którego że żyć trudno, przy sercu weź i samę.

Odbieraj W. M. W. M. pan afektem zwyciężonego przyjaciela, damę z familii znakomitej, i konjukcyi z wielkiemi domami w koronie polskiej i W. Ks. Litewskim. Nie śmiem być Cicero pro domo mea, famosas przodków moich prezentując imagines; bo choćby kto gościem był w ojczyźnie, tedy jeśli się nie napatrzył wielkich czynów, to się nasłuchać, albo doczytać w kronikach mógł gloriosa domu tego nomina. Dość jest tutaj powiedzieć, że i w Imci pannie i ozdobnych cnót jej własnych świecą się dowody, zacności familii jawny zaszczyt. Nie jest to Łabędź [1]) podłego gniazda; nidus jego pod faworem łaskawego nieba i łaskawych influencyj w gniaździe orła polskiego, w którem wypielęgnowany, famam sibi canebat et orbi; bujał na ojczystem powietrzu candore nitens; któremu przyświecały Lumina domu J. O. O. książąt Wiśniowieckich, Hlebowiczów i Tyszkiewiczów; wzbijał się pod same nieba Strzałami Chodkiewiczów i Sapiehów; bierze się ad regem avium, do orła J. O. domu Radziwiłłów, i towarzyszy się z nim bliską konjukcyą; pasie się inter lilia domu Paców candida; przybiera consortium z dzielnym Lwem i Jeleniem Kryszpinowskim; bierze wspólny zaszczyt od sławnych światu familii, domu książąt Sanguszków, Wołłowiczów, Pociejów: których crescens in immensum gloria, Łabędziowi temu, między tylą zacnych gniazd wypielęgnowanemu, dodaje sławy, zalety i godności. Odbieraj naostatek W. M. pan ulubionego sobie przyjaciela z doskonałem matki błogosławieństwem, z zaletą krewnych i przyjaciół, ze wszystkiego, na ten akt weselny zgromadzonego koła apprekacyą. Ja przy konkluzyi miłości wojny, która się nie zwykła kończyć jeno traktatem i pokojem, mowę moję, krótką od wszystkich zakończę apprekacyą: Quin gratiam, egregio genere dignisque Hymeneis des pater, et pacem hanc aeterno foedere jungas.

---

[1]) Łabędź herb Zawiszów.

Mowa J. Ks. Andrzeja Załuskiego, dziękując od brata swego za J. M. pannę Teresę Witowską, kasztelankę sandomirską.

Nie znał się takowy na wartości rzeczy, albo przyskępszemi od nieba, natury i fortuny uprzywilejowany musiał być faworami, ktokolwiek z tym, bezpieczeństwa niż prawdy bliższym wydał się sekretem: iż nic łacniejszego, jako podziękować. Moi Mościwi państwo! u mnie nic trudniejszego, jako w takiej okazyi, przy tak walnych okolicznościach, godnie podziękować. Trwoży niedoświadczoną wymowę obecność tych, których słowa oraculorum vim miewały i mają w senacie i całej ojczyźnie.

Trudni nieporównana dobrodziejstwa znamienitość: bo któż nie wie, co to jest dożywotniem przymierzem Sacramento oddany przyjaciel. Toć to jest adjutorium od Boga samego za rajskim przywilejem ordynowane; to głowy stroskanej lube wezgłowie, reclinatorium; to obej fortuny nierozdzielny towarzysz.

Gubią przy nim cenę świata wszystkiego w jedne zebrane skarby; traci glanc arabskich gór złoto, gasną z słonecznemi promieniami wrodzoną certujące jasnością dyamenty; przy tej zwłaszcza panieńskiej pulcheryi, której wdzięczna twarzy purpura, i liliami zmieszany rumieniec, z poranną zorzą w bezpieczną idzie antagonią; i baśliwie albo zawstydza gracye, albo w jednej wszystkie wystawia: Ściąga wszystkich podziwienie, owa nad lata układność w obyczajach, niezmyślony statek w postępkach, roztropność w odpowiedziach, cnota w sercu.

Owychci to wyniosłych szczepów wyborny, a tuż padający owoc: córka, wnuczka, prawnuczka senatorska; złote złotego drzewa jabłko, w ręku twoich J. W. M. pani kasztelanowa sandomirska dojrzałe, pod której pieczołowitem wychowaniem chwalebny wzrost brać, nic innego nie jest, tylko w gniaździe cnót świętych uchować się, a wyborną naturę ozdobniejszemi codzień wspierać obyczajami. Pewna nadzieja MM. państwo, że kiedy się przez małżeńską ligę rodowitość z rodowitością, starożytność Junoszów z starożytnością Jastrzębiów, sława obojego z przedniejszemi zpowinowaconego domu, w jedną jakoby latorośl idzie; pewna, mówię, nadzieja, że z niej, da Bóg, za czasem obfite szczęśliwości wykwitną. Mówić cokolwiek na pochwałę rodzonej krwi mojej, nie godzi mi się, ani pro domo mea być Tuliuszem.

Dosyć na tem, iż chwalebną Junoszów*) pamięć Avunculus excitat Hector. Nie ujdzie też oczu i sławy, wrodzona brata,

[1]) Junosza, herb Załuskich.

mego JM. pana Łowczego, a domowym i obcem światem polerowana dexteritas; który tu, jako ów nie przez jedno morze żeglujący Eneasz, trafi z Boskiego wyroku na swoją Lawinią. Znajdzie starowieczny a prześwietny Jastrzębiec [1] w domu Junoszy, to jest Jazona polskiego, złote wzajemnych ozdób runo, i z niego proporcyonalne sobie szlacheckie i senatorskie gniazdo uściele; z którego wzlecą, da Bóg, wysoko, i w znamienitą wypierzą się sławę, wspólne obu domów pociechy. Odbiera tedy wdzięcznie z łaski i rąk twoich, J. W. M. pani kasztelanowa sandomirska, to delicium, ten drogi klejnot, miłą oblubienicę swoją JM. pan Łowczy Rawski, brat mój, a przy uniżonem podziękowaniu, dożywotnią się wdzięcznością W. M. pani, a już matce swojej dobrodziejce, obliguje. Obaczy niebo, które tę przyjaźń arcanis nodis wiązało; przyzna kto grzeczny, że nie gdzieindziej ta dama, tylko w złotych Łowczego siatkach, z swoją i swoich pociechą uwięzła.

Asekuruje przezemnie W. M. pan Łowczy, i przyobiecuje Jejmość pannie tę wiarę, której nic nie naruszy; to poszanowanie, które równie z cnoty jak z urodzenia zawołanej powinien godności; tę miłość, której godna, summorum femina voto digna virum. Co wszystko dożywotnie, przy winnych usługach swoich, na zawsze oświadczać będzie. Mnie nie zostaje nic więcej, jeno kończyć voto: żebyście młode państwo za przychylnego nieba indultem, przy kwitnących pomyślnościach, godziny różą, momenta liliami przeplatali.

---

[1] Jastrzębiec, herb Witowskich.